



Victor Hugo

*NEDZNICY\_IV*





# Spis treści

- [CZĘŚĆ CZWARTA c.d.](#)
  - [KSIĘGA CZTERNASTA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
    - [ROZDZIAŁ VI](#)
    - [ROZDZIAŁ VII](#)
  - [KSIĘGA PIĘTNASTA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
- [CZĘŚĆ PIĄTA](#)
  - [KSIĘGA PIERWSZA](#)
    - [ROZDZIAŁ I](#)
    - [ROZDZIAŁ II](#)
    - [ROZDZIAŁ III](#)
    - [ROZDZIAŁ IV](#)
    - [ROZDZIAŁ V](#)
    - [ROZDZIAŁ VI](#)
    - [ROZDZIAŁ VII](#)
    - [ROZDZIAŁ VIII](#)
    - [ROZDZIAŁ IX](#)
    - [ROZDZIAŁ X](#)
    - [ROZDZIAŁ XI](#)
    - [ROZDZIAŁ XII](#)
    - [ROZDZIAŁ XIII](#)
    - [ROZDZIAŁ XIV](#)
    - [ROZDZIAŁ XV](#)
    - [ROZDZIAŁ XVI](#)
    - [ROZDZIAŁ XVII](#)
    - [ROZDZIAŁ XVIII](#)
    - [ROZDZIAŁ XIX](#)
    - [ROZDZIAŁ XX](#)
    - [ROZDZIAŁ XXI](#)
    - [ROZDZIAŁ XXII](#)
    - [ROZDZIAŁ XXIII](#)
    - [ROZDZIAŁ XXIV](#)

- [KSIĘGA DRUGA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
- [KSIĘGA TRZECIA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
  - [ROZDZIAŁ VII](#)
  - [ROZDZIAŁ VIII](#)
  - [ROZDZIAŁ IX](#)
  - [ROZDZIAŁ X](#)
  - [ROZDZIAŁ XI](#)
  - [ROZDZIAŁ XII](#)
- [KSIĘGA CZWARTA](#)
- [KSIĘGA PIĄTA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
  - [ROZDZIAŁ V](#)
  - [ROZDZIAŁ VI](#)
  - [ROZDZIAŁ VII](#)
  - [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [KSIĘGA SZÓSTA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)
- [KSIĘGA SIÓDMA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
- [KSIĘGA ÓSMA](#)
  - [ROZDZIAŁ I](#)
  - [ROZDZIAŁ II](#)
  - [ROZDZIAŁ III](#)
  - [ROZDZIAŁ IV](#)

- KSIĘGA DZIEWIĄTA
  - ROZDZIAŁ I
  - ROZDZIAŁ II
  - ROZDZIAŁ III
  - ROZDZIAŁ IV
  - ROZDZIAŁ V
  - ROZDZIAŁ VI

# NĘDZNICY

Tom IV

Victor Hugo

## CZEŚĆ CZWARTA c.d.

### KSIĘGA CZTERNASTA

#### MAJESTAT ROZPACZY

#### ROZDZIAŁ I

#### SZTANDAR —

#### AKT PIERWSZY

Nic jeszcze się nie działo. Na wieży kościoła Św. Mederyka wybiła dziesiąta; Enjolras i Combeferre z karabinami w ręku usiedli w pobliżu przejścia przy wielkiej barykadzie. Nie rozmawiali ze sobą; nadśluchiwali starając się pochwycić odgłos kroków, choćby najcichszy i najdalszy.

Nagle, gdzieś jak gdyby od strony ulicy Św. Dionizego, rozległ się wśród posępnej ciszy głos dźwięczny, młody i wesoły, który śpiewał na nutę starej ludowej piosenki *Przy świetle księżycy* te słowa, zakończone okrzykiem imitującym pianie koguta:

Oj! Z nosa mi kapie,

Miły mój Bugeaud!

Daj tu swych żandarmów,

Powiem ja im coś!

Niebieskie mundury,

Pełno jest ich tu,

A na czapach kury,

Ku-ku-ku-ry-ku!

Ścisnęli się za ręce.

— To Gavroche — rzekł Enjolras.

— Ostrzega nas — rzekł Combeferre.

Tupot biegnących nóg zmaćił spokój bezludnej ulicy; jakaś drobna, zręczniejsza od linoskoczka istota wdrapała się na omnibus i zadyszany Gavroche wskoczył w środek barykady krzyząc:

— Gdzie mój karabin? Idą!

Wstrząs elektryczny przebiegł całą barykadę, słycać było, jak ręce sięgają po karabiny.

— Chcesz mój karabin? — zapytał Enjolras chłopca.

— Chcę tę dużą strzelbę — odparł Gavroche. I wziął karabin Javerta.

Dwóch wartowników cofnęło się i wróciło na barykadę prawie równocześnie z Gavroche'em; była to straż z końca ulicy Konopnej i z uliczki Małej Żebraczej. Straż z ulicy Dominikańskiej zastała na posterunku, co oznaczało, że od strony mostów i Hal nic nie nadchodzi.

Ulica Konopna, której tylko niewielki kawałek bruku był widoczny w blasku światła padającego na sztandar, wydawała się powstańcom wielką czarną bramą, lekko uchyloną wśród mgły.

Każdy zajął swoje stanowisko.

Czterdziestu trzech powstańców, wśród nich Enjolras, Combeferre, Courfeyrac, Bossuet, Joly, Bahorel i Gavroche, klęczało na wielkiej barykadzie trzymając głowy na równej linii ze szczytem szanca, wsunawszy lufy karabinów między kamienie jak w strzelnice; byli uważni, milczący, gotowi do strzału. Sześciu innych pod wodzą Feuilly ustawilo się w oknach obu pięter „Koryntu”, z wycelowanymi strzelbami.

Upłynęło jeszcze kilka chwil; nagle od strony SaintLeu rozległ się wyraźny odgłos kroków, miarowych, ciężkich, gromadnych. Odgłos ów, zrazu słaby, potem wyraźny, wreszcie mocny i dudniący, zbliżał się powoli, uparcie, bez przerwy, z jakąś ciągłością spokojną i przeraźliwą. Tylko to było słycać. Była to

jednocześnie i cisza, i stąpanie posągu Komandora; lecz ten kamienny krok — ogromny i zwielokrotniony — nasuwał myśl o tłumie, a zarazem myśl o widmie. Zdawało się, że zbliża się straszliwy posąg — któremu na imię Legion.

Krok zbliżał się, zbliżył się jeszcze i zatrzymał. Z końca ulicy dochodził jakby oddech wielu ludzi. Jednakże nie widać było nic, tylko w głębi, w gęstym mroku ukazało się mnóstwo jakichś drucików, cienkich jak igły i ledwo dostrzegalnych. Drgały niczym owe nie dające się opisać siatki fosforyczne, które widzimy niekiedy przed zaśnięciem pod zamkniętą powieką w pierwszych oparach snu. Ta daleki odblask pochodni oświetlał niewyraźnie bagnety i lufy karabinów.

Nastąpiła jeszcze chwila przerwy, jak gdyby obie - strony na coś czekały. Nagle z dna mroku rozległ się . głos, tym bardziej złowieszczy, że nie widać było nikogo i zdawało się, że to sama ciemność przemówiła.

Głos ten zawołał:

— Kto tam?

Równocześnie rozległ się szczęk odwodzonych kurków.

Enjolras odpowiedział głosem wibrującym ze wzruszenia i wyniosłym:

— Rewolucja Francuska!

— Ognia! — odpowiedział głos.

Błyskawica oblała purpurą fasady wszystkich domów, jak gdyby nagle otworzyły się i zatrzęsły znowu drzwiczki rozżarzonego pieca.

Straszliwa detonacja wstrząsnęła barykadą. Czerwony sztandar upadł. Salwa była tak gwałtowna, pociski siekły tak gęsto, że przecięły drzewce sztandaru, czyli koniec dyszla omnibusu. Kule, odbite od gzymsów domów, upadły na barykadę i zraniły wielu ludzi.

Ta pierwsza salwa wywarła przerażające wrażenie; atak był gwałtowny i nawet najodważniejszych mógł skłonić do zastanowienia. Nie ulegało wątpliwości, że powstańcy mają do czynienia a co najmniej całym pułkiem.

— Towarzysze! — zawołał Courfeyrac. — Nie marnujmy prochu! — Czekajmy, aż wejdą w ulicę!

— A przede Wszystkim — powiedział Enjolras — podnieśmy sztandar.

I podjął z ziemi sztandar, który upadł u jego stóp. Po drugiej stronie barykady



słysząc było stuk stempli w lufach; wojsko ponownie nabijało broń. Enjolras odezwał się znowu:

— Kto się zdobędzie na odwagę? Kto na nowo zawiesi sztandar na barykadzie?

Nikt nie odpowiedział. Wejście na barykadę, w chwili gdy żołnierze wzięli ją na pewno znowu na cel, było równoznaczne ze śmiercią. Najodważniejszy człowiek waha się, nim dobrowolnie pójdzie na pewną zgubę. Nawet Enjolrais zadrżał. Powtórzył:

— Nikt się nie zgłasza?

## ROZDZIAŁ II

### SZTANDAR —

#### AKT DRUGI

Odkąd powstańcy przybyli do „Koryntu” i rozpoczęli budowę barykady, nikt nie zwracał już uwagi na ojca Mabeuf. Pan Mabeuf nie opuścił jednak oddziału. Wszedł do parterowej sali szynku, usiadł za ladą i tu jakby się zatracił. Zdawało się, że nie patrzy i nie myśli. Courfeyrac i inni powstańcy nagabywali go parokrotnie, ostrzegali przed niebezpieczeństwem, namawiali, by odszedł, ale starzec jakby ich nie słyszał. Kiedy nikt do niego nie mówił, wargi jego poruszały się, jak gdyby komuś odpowiadał, z chwilą gdy zwracano się do niego, usta mu nieruchomiały, a oczy traciły wszelki wyraz. Kilka godzin przed rozpoczęciem ataku na barykadę usiadł w pozycji, której już nie zmienił: obie pięści oparł na kolanach, głowę zwiesił w dół, jakby patrzył w przepaść. Nic nie zdołało go wyrwać z tego stanu — duchem zdawał się być poza barykadą. Kiedy wszyscy zajęli swe stanowiska, w izbie gospody pozostał tylko Javert przywiązany do słupa, powstaniec z obnażoną szablą pilnujący więźnia i pan Mabeuf. W momencie ataku huk detonacji wstrząsnął nim; jak obudzony ze snu, podniósł się nagle, przeszedł przez izbę i gdy Enjolras powtarzał swe wezwanie: „Nikt się nie zgłasza?”, starzec ukazał (się w progu szynku.

Jego widok wywarł wstrząsające wrażenie. Rozległo się wołanie:

— To jeden z tych, co głosowali. To członek Konwentu! Przedstawiciel ludu!

Zapewne wcale tego nie słyszał.

Szedł prosto na Enjolrasa, a powstańcy rozstępowali się przed nim z religijną czcią. Wyrwał sztandar z rąk Enjolrasa, który cofnął się osłupiały. Nikt nie ośmielił się przeszkodzić ani dopomóc temu osiemdziesięcioletniemu starcowi, który z trzęsącą się głową zaczął pewną stopą powoli wstępować na kamienne stopnie, ustawione wewnątrz barykady. Było to tak groźne i talk wzniosłe, że wszyscy dokoła zawołali: „Czapki z głów!” Za każdym stopniem, na który pan Mabeuf wstępował, widok nabierał większej grozy: siwe włosy, poszarzała twarz, zapadnięte policzki, wysokie, łyse i poorane zmarszczkami czoło, wpadnięte oczy, otwarte, zdziwione usta, starcze ramię wznoszące w górę czerwony sztandar — wyłaniały się z cienia i olbrzymiały w krwawym blasku pochodni; zdawało się, że to widmo 1793 roku wychodzi spod ziemi ze sztandarem terroru w rękę. . Kiedy starzec był już na najwyższym stopniu, kiedy ta zjawa, drżąca i straszliwa, stojąc na stosie gruzów, naprzeciw tysiąca dwustu

niewidocznych karabinów, wyprostowała się w obliczu śmierci, jak gdyby silniejsza od niej, cała barykada przybrała w ciemności wygląd nadnaturalny i potężny.

Zapadła cisza, jaka 'towarzyszy tylko cudom.

Wśród tej ciszy starzec potrząsnął czerwonym sztandarem i krzyknął:

— Niech żyje Rewolucja! Niech żyje Republika! Braterstwo, równość — i śmierć!

Za barykadą rozległ się szybki, cichy szept, przypominający szmer modlitwy odmawianej w pośpiechu przez księdza. To zapewne na drugim końcu ulicy komisarz policji wydawał urzędowe polecenia.

Po czym ten sam donośny głos, który przed chwilą krzyknął: „Kto tam?”, zawołał:

— Usunąć się!

Pan Mabeuf, trupio blady, półprzytomny, ze źrenicami roziskrzonymi ponurym Wąsikiem obłądu, wzniosł sztandar nad głowę i zawołał:

— Niech żyje Republika!

— Ognia! — rozkazał głos.

Druga salwa, niby ogień kartaczy, runęła na barykadę.

Pod starcem ugięły się kolana; wyprostował się, wypuścił z rąk sztandar i sztywno jak kawał drewna padł na wznak, z rozkrzyżowanymi ramionami.

Spod ciała popłynęły strugi krwi. Twarz starca, blada i smutna, zdawała się spoglądać w niebo.

Powstańcy, przejęci wzruszeniem, silniejszym od człowieka, które sprawia, że zapomina się nawet o własnej obronie, zbliżyli się do trupa z pełnym czci przerażeniem.

— Cóż to za ludzie, ci królobójcy! — rzekł Enjolras. Courfeyrac nachylił się do jego ucha:

— Coś ci powiem, ale tylko tobie, bo nie chcę osłabiać entuzjazmu. To nie był wcale królobójca. Znałem go. Nazywał się ojciec Mabeuf. Nie wiem, co mu się dzisiaj stało. To dzielny safandula. Spójrzcie na jego twarz!

— Twarz safanduly, a serce Brutusa! — rzekł Enjolras.

Po czym podniósł głos:

— Obywatele! Oto przykład, jaki starcy dają młodym. Myśmy się wahali — on stanął! Myśmy się cofali — on wystąpił. Oto, czego ci, którzy drżą ze starości, uczą tych, którzy drżą ze strachu! Ten starzec okrył się chwałą wobec ojczyzny. Miał długie życie i wspaniałą śmierć! A teraz musimy osłaniać jego zwłoki. Niech każdy z nas broni tego zabitego starca tak, jakby bronił swego żywego ojca, i niech jego obecność pośród nas uczyni tę barykadę nie do zdobycia!

Szmer aprobaty ponurej i stanowczej odpowiedział jego słowom.

Enjolras z groźnym wyrazem twarzy schylił się, uniósł głowę starca i ucałował go w czoło, po czym rozsunał jego ręce i dotykając zmarłego z tkliwą ostrożnością, jak gdyby się bał sprawić mu ból, zdjął z niego surdut, pokazał wszystkim jego krwawe dziury i rzekł:

— Oto nasz sztandar!

## ROZDZIAŁ III

### GAVROCHE LEPIEJ BY ZROBIĆ, GDYBY WPIĘŁ KARABIN ENJOLRASA

Ciało ojca Mabeuf przykryto długim czarnym szalem wdowy Hucheloup. Sześciu ludzi zrobiło ze strzelb nosze, umieścili na nich zwłoki i z odkrytymi głowami, uroczyście, powoli zanieśli je do izby na parterze, gdzie złożyli na dużym stole.

Ludzie ci, pochłonięci swoją poważną i świętą czynnością, zupełnie zapomnieli o grożącym im niebezpieczeństwie.

Gdy zwłoki niesiono obok obojętnego na wszystko Javerta, Enjolras powiedział do szpiega:

— Zaraz nadejdzie twoja kolej! .

Tymczasem małemu Gavroche'owi, który jedyny nie opuścił swego stanowiska i czuwał, wydało się, że widzi ludzi skradających się cichaczem ku barykadzie. Zawołał nagle:

— Baczość!

Courfeyrac, Enjolras, Jan Prouvaire, Comibeferre, Joly, Bahorel i Bossuet wypadli tłumnie z gospody. Czas był najwyższy! Ujrzano rozmigotany gąszcz bagnetów falujący nad barykadą. Rośli gwardziści miejscy wdzierali się do środka, jedni po omnibusie, drudzy przez przejście pod murem, napierając na chłopca, który cofał się przed nimi, lecz nie uciekał.

Chwila była krytyczna. Był to ów pierwszy moment powodzi, gdy rzeka dochodzi do wysokości grobli i woda zaczyna się przesączać przez szczeliny w tamie. Jeszcze sekunda, a barykada byłaby wzięta.

Bahorel rzucił się na pierwszego gwardzistę, który wdarł się do środka, i położył go strzałem z karabinu; . drugi gwardzista zabił Bahorela pchnięciem bagnetu. Inny powalił już Courfeyraca, który wołał: „Do mnie!” Największy ze wszystkich, olbrzym prawie, szedł z bagnetem prosto na Gavroche'a. Chłopiec uniósł w drobnych rękach wielki karabin Javerta, rezolutnie wymierzył w olbrzyma i pociągnął za kurek. Karabin nie wystrzelił. Javert go nie nabił. Gwardzista wybuchnął śmiechem i zamierzył się bagnetem na dziecko. -

Nim bagnet dotknął Gavroche'a, karabin wypadł z rąk żołnierza, kula trafiła go w środek czoła i runął na wznak. Druga kula ugodziła prosto w pierś gwardzistę, który walczył z Courfeyrakiem i powaliła go na bruk. To Mariusz wszedł na

barykadę.

## ROZDZIAŁ IV

### BARYŁKA PROCHU

Mariusz, ukryty za węglem ulicy Zakręt, patrzył na początek walki pełen niezdecydowania i trwogi. Nie mógł wszakże opierać się dłużej temu tajemniczemu i przemożnemu przyciąganiu, które można by nazwać wołaniem przepaści. Wobec bliskości niebezpieczeństwa, śmierci pana Mabeuf — tej posępnej zagadki, śmierci Bahorela, słysząc wołanie Courfeyraca: „Do mnie”, widząc w śmiertelnym niebezpieczeństwie dziecko i towarzyszy, którzy czekali na jego pomoc lub pomstę — Mariusz przestał się wahać i z dwoma pistoletami w ręku rzucił się w wir walki. Pierwszym strzałem ocalił Gavroche'a, drugim oswobodził Courfeyraca.

Na odgłos strzałów, na krzyki rannych gwardzistów atakujący wdarli się na barykadę; spoza jej szanca wyłonił się teraz cały tłum żołnierzy gwardii miejskiej, pułków liniowych i podmiejskich oddziałów gwardii narodowej, wychylonych do połowy, z karabinami w ręku. Zdobyli już przeszło dwie trzecie szanca, ale nie zeskakiwali do środka barykady, jakby się wahali, bojąc się jakiejś zasadzki. Zaglądali do ciemnego wnętrza jak do jaskini lwa. Blask pochodni oświetlał tylko bagnety, futrzane bermyce i górną część niespokojnych i gniewnych twarzy.

Mariusz nie miał broni, bo odrzucił wystrzelone pistolety, ale dostrzegł w izbie szynku blisko drzwi baryłkę z prochem.

Kiedy odwrócił się patrząc w tamtą stronę, jakiś żołnierz wycelował w niego. W tej samej chwili czyjaś dłoń zasłoniła lufę karabinu. Ktoś rzucił się na pomoc: był to młody robotnik w welwetowych spodniach. Padł strzał, kula przeszła rękę — a może nie tylko rękę, bo chłopak upadł — ale nie dosięgła Mariusza. W gęstym dymie ledwo spostrzeżono to zdarzenie; Mariusz, który wchodził właśnie do izby, prawie nie zwrócił uwagi na to, co zaszło. Jednakże zamajaczyła mu przed oczami wycelowana w niego lufa karabinu i dłoń, która ją zasłoniła; słyszał także huk strzału. Ale w podobnych chwilach rzeczy przed oczami migają, przepływają szybko, i człowiek nie zatrzymuje się na nich. Coś tajemnego popycha w gęstszy jeszcze mrok i wszystko staje się mglistym obłokiem.

Powstańcy, zaskoczeni, ale nie przestraszeni, szybko się opamiętali. Enjolras krzyknął: „Czekajcie! Me strzelajcie na ślepo!” Istotnie w pierwszym zamieszaniu -mogli zranić jedni drugich. Większość stanęła w oknach pierwszego piętra i mansardy, skąd górowali nad atakującymi. Najdzielniejsi —

z Enjolrasem, Courfeyrakiem, Janem Prouvairre i Combeferrem, dumnie oparli się o ściany domów stojących w głębi i niczym nie osłonięci stawiali czoło szeregom żołnierzy i gwardzistów, wychylających się zza barykady.

Odbyło się to wszystko bez pośpiechu, z dziwną i złowieszczą powagą, która poprzedza chaos bitwy. Przeciwnicy celowali do siebie z bliska, dzieliła ich bowiem tak mała odległość, że mogliby ze sobą rozmawiać. Gdy brakowało już tylko iskry, oficer z blachą pod szyją i w sutych epoletach wyciągnął szablę i zawołał:

— Złóżcie broń!

— Ognia! — odpowiedział Enjolras.

Salwy gruchnęły z obu stron równocześnie i dym przesłonił wszystko.

Dym ostry i dławiący, w którym ze słabym, głuchym jękiem czołgali się konający i ranni.

Gdy dym się rozwiął, ujrzano oba szeregi walczących, przeredzone, ale stojące na swoich pozycjach i w milczeniu nabijające broń.

Nagle jakiś grzmiący głos zawołał:

— Precz stąd, albo wysadzę barykadę!

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której rozległ się ów głos.

Mariusz wszedł do izby szynku, wziął baryłkę prochu i korzystając z dymu i tej jakby ciemnej mgły, która wypełniła wnętrze barykady, poczołgał się wzdłuż szanca aż do kamiennej wnęki, w której umieszczona była pochodnia. Wyrwać pochodnię, wstawić w jej miejsce baryłkę, podsunąć stos kamieni pod baryłkę, której dno wyskoczyło natychmiast ze straszliwym posłuszeństwem — wszystko to zajęło Mariuszowi tyle czasu, ile trzeba, aby się schylić i wyprostować. A teraz wszyscy — gwardziści narodowi, gwardziści miejscy, oficerowie, żołnierze — zebrani na drugim końcu barykady, patrzyli w osłupieniu, jak jedną nogą wsparty o wyrwane kamienie, z pochodnią w ręku, z dumną twarzą jaśniejącą tragicznym postanowieniem — Mariusz pochyla płonąca pochodnię nad tym groźnym rumowiskiem, gdzie widać było pękniętą beczkę prochu, i rzuca przeraźliwe słowa:

— Precz stąd, albo wysadzę barykadę.

Mariusz tu, na tej barykadzie, po osiemdziesięcioletnim starcu, był wizją młodej rewolucji po ukazaniu się starej.



— Wysadzisz barykadę — odezwał się jakiś sierżant — ale i siebie.

— I siebie! — odrzekł Mariusz.

I przybliżył pochodnię do beczki z prochem.

Ale na barykadzie nie było już nikogo. Napastnicy, porzuciwszy swoich zabitych i rannych, pierzchli w nieładzie na kraniec ulicy i znowu roztopili się w ciemnościach. Był to popłoch.

Barykada była wolna.

## ROZDZIAŁ V

### KONIEC POEMATU JANA PROUVAIRE

Wszyscy otoczyli Mariusza. Courfeyrac rzucił mu się na szyję.

— To ty!

— Co za szczęście — zawołał Combeferre.

— W samą porę przyszedłeś! — rzekł Bossuet.

— Gdyby nie ty, już bym nie żył! — powiedział Courfeyrac.

— Gdyby nie pan, miałbym się z pyszna! — dodał Gavroche.

Mariusz zapytał:

— Kto jest dowódcą?

— Ty! — odrzekł Enjolras.

Żar myśli, które przez cały dzień rozsadzały głowę Mariusza, przemienił się teraz w wir. Zdawało mu się, że wir ten jest poza nim i unosi go. Miał wrażenie, że od życia dzieli go już niezmierna odległość. Dwa promienne miesiące radości i miłości, które nagle zakończyły się straszną przepaścią, utrata Kozety, ta barykada, śmierć pana Mabeuf za Republikę, wreszcie on sam, jako przywódca powstańców, wszystko to wydawało mu, się jakimś potwornym snem. Musiał wyteżać umysł, aby zdać sobie sprawę, iż to, co go otacza, jest rzeczywistością. Za krótko jeszcze żył, aby wiedzieć, że , najbliżej nas jest to, co niemożliwe, i że należy zawsze przewidywać nieprzewidziane. Patrzył na własny dramat jak na niezrozumiałe widowisko.

W tym zamroczeniu myśli nie poznał Javerta, który — przywiązany do słupa — nie poruszył nawet głową podczas ataku na barykadę i patrzył na otaczającą go burzliwą rewoltę z rezygnacją męczennika i majestatem sędziego. Mariusz nawet go nie zauważył.

Tymczasem napastnicy nie ponawiali natarcia. Słychać było ich kroki i poruszanie się na końcu ulicy, nikt nie zapuszczał się jednak w kierunku szanca, czy to dlatego, że napastnicy czekali na rozkaz, czy też — na posiłki, nim ruszą do szturm na tę niezdobytą redutę. Powstańcy rozstawili strażę, a niektórzy z nich, studenci medycyny, zabrali się do opatrywania rannych.

Wyrzucono wszystkie stoły z szynku z Wyjątkiem dwóch przeznaczonych na szarpie i naboje i trzeciego, na którym spoczywały zwłoki ojca Mabeuf. Dorzucono 'je do barykady, a na ich miejsce rozpostarto materace z łóżek matki Hucheloup i służących. Na tych materacach ułożono rannych. Nikt nie wiedział, co się stało z trzema nieszczęsnymi mieszkankami. „Koryntu”. Po jakimś czasie odnaleziono je ukryte w piwnicy.

Bolesne wzruszenie przyćmiło radość ocalonej barykady.

Zarządzono apel. Jednego powstańca brakowało. Kogo? Najmilszego i najdzielniejszego — Jana Prouvaire. Szukano go między rannymi — na próżno. Szukano go między poległymi — na próżno. Widocznie dostał się do niewoli.

Combeferre rzekł do Enjolrasa:

— Mają naszego przyjaciela; ale my mamy ich agenta. Czy bardzo zależy ci na tym szpiclu?

— Bardzo — odpowiedział Enjolras — ale mniej niż na życiu Jana Prouvaire.

Działo się to w parterowej izbie, tuż przy słupie, do którego przywiązany był Javert.

— A zatem — rzekł Combeferre — przywiążę do laski białą chustkę i pójdę jako parlamentariusz zaproponować im wymianę jeńców.

— Posłuchaj — powiedział Enjolras kładąc mu dłoń na ramieniu.

Na końcu ulicy rozległ się charakterystyczny szczęk broni.

Męski głos zawołał:

— Niech żyje Francja! Niech żyje przyszłość! Poznali głos Prouvaire'a.

Mignęła błyskawica i huknął strzał. . I znów.zapanowała cisza.

— Zabili go — zawołał Combeferre. Enjolras spojrział na Javerta i rzekł:

— Twoi przyjaciele rozstrzelali cię!

## ROZDZIAŁ VI

### AGONIA ŚMIERCI PO AGONII ŻYCIA

Osobliwością tego rodzaju wojny jest to, że natarcie na barykadę prawdę zawsze idzie od czoła i że oblegający rezygnują zwykle z okrążania nieprzyjaciela, lękając się zasadzek lub nie mając odwagi zapuszczać się w kręte uliczki. Toteż cała uwaga powstańców skupiała się na wielkiej barykadzie, niewątpliwie najbardziej zagrożonej, gdzie niezawodnie walka miała rozpocząć się od nowa. Mariusz pomyślał jednak o małej barykadzie i poszedł ją zlustrować. Była pusta, strzegł jej tylko lampion kołyszący się między kamieniami. Na uliczce Zakręt i w rozgałęzieniach ulic Małej Żebraczej i Łabędziej panował głęboki spokój. Wracając po dokonaniu oględzin Mariusz usłyszał słaby głos wołający go w ciemnościach:

— Panie Mariuszu!

Zadrzał, bo poznał głos, który przed dwiema godzinami zawołał nań przez kratę na ulicy Plumet. Tylko teraz głos ten był słaby jak tchnienie. Rozejrzał się dokoła i nie dostrzegł nikogo.

Pomyślał, że się pomylił, że padł ofiarą złudzenia, które jego wyobraźnia dodała do tych wszystkich niezwykłych wydarzeń rzeczywistych kłębiących się wokół niego. Zrobił krok naprzód, by wyjść z załamania murów, gdzie stała barykada.

— Panie Mariuszu! — powtórzył głos.

Tym razem nie mógł już wątpić, usłyszał wyraźnie; spojrzął — i znowu nic nie dostrzegł.

— U pana stóp — rzekł głos.

Schylił się i zobaczył w ciemnościach jakiś kształt, który pełznął ku niemu. Coś czołgało się po bruku i właśnie to coś wołało go. Światło lampionu pozwoliło dojrzeć bluzę, podarte spodnie z szarego welwetu, bosa nogi i coś, co wyglądało na kałużę krwi. Mariusz zobaczył również wzniesioną ku niemu bladą twarz i usłyszał pytanie:

— Pan mnie nie poznaje?

— Nie.

— Jestem Eponina.

Mariusz schylił się szybko. Była to istotnie ta nieszczęśliwa dziewczyna, przebrana za mężczyznę.

— Skąd się tu wzięłaś? Co tu robisz?

— Umieram — odrzekła.

Są słowa i wydarzenia, które budzą z najcięższego przygnębienia.

Mariusz zawołał, jakby nagle wyrwany ze snu:

— Jesteś ranna! Poczekaj, zaniosę cię do izby. Tam zrobią ci opatrunek. Czy to ciężka rana? Jak cię mam wziąć, żeby nie urazić? Gdzie cię boli? Na pomoc! Mój Boże! Ale po coś tu przyszła?

I usiłował wsunąć pod nią rękę, aby ją unieść.

Podnosząc ją dotknął jej dłoni.

Eponina wydała słaby okrzyk.

— Czy cię uraziłem? — spytał Mariusz.

— Trochę.

— Przecież dotknąłem tylko ręki.

Podniosła dłoń do jego oczu i Mariusz zobaczył na środku dłoni czarną dziurę.

— Co ci się stało w ręką? — zapytał.

— Jest przebita.

— Przebita?

— Tak.

— Czym?

— Kulą.

— W jaki sposób?

— Czy widział pan karabin wycelowany w pana? — Tak, i widziałem rękę, która zasłoniła lufę.

— To była moja ręka. Mariusz zadrżał.

— Co za szaleństwo ! Biedne dziecko! Ale tym lepiej, jeżeli tylko to, rana nie jest groźna. Pozwól, zaniosę cię na łóżko. Zrobią ci opatrunek; nie umiera się z powodu przestrzelonej dłoni.

Dziewczyna szepnęła:

— Kula przebiła dłoń, a wyszła przez plecy. Nie warto mnie stąd ruszać. Powiem panu, jak mnie pan może opatrzeć lepiej od chirurga. Niech pan siądzie przy mnie na tym kamieniu.

Usłuchał; Eponina położyła mu głowę na kolanach i nie patrząc nań rzekła:

— O jak przyjemnie! Jak mi dobrze! Już mnie nic nie boli!

Milczała chwilę, po czym z wysiłkiem odwróciła twarz i spojrzała na Mariusza.

— Wie pan, panie Mariuszu, złościło mnie, że pan wchodzi do tego ogrodu. To było bardzo głupie z mojej strony, bo przecież sama pokazałam panu ten dom i powinnam dobrze wiedzieć, że taki człowiek jak pan...

Przerwała i przedarłszy się przez strefę ciemności, która zapanowała już w jej umyśle, zapytała z rozdzierającym uśmiechem:

— Pan uważał, że jestem brzydka, prawda?

Ciągnęła dalej:

— Widzi pan, jest pan zgubiony. Nikt już nie wyjdzie z tej barykady. I to ja pana tu sprowadziłam. Pan umrze. Liczę na to. A jednak, jak zobaczyłam, że ten żołnierz wziął pana na cel, zasłoniłam ręką lufę. To śmieszne, ale cóż? Chciałam umrzeć przed panem. Kiedy mnie kula trafiła, doczołgałam się tutaj; nikt mnie nie widział, nikt mnie nie zabrał. Czekałam na pana i mówiłam sobie: „Czy on nigdy nie przyjdzie?” Och, gdyby pan wiedział! Tak mnie bolało, że gryzłam bluzę! Ale teraz jest mi dobrze. Pamięta pan, jak weszłam kiedyś do pana pokoju i przeglądałam się w pana lusterku? A jak spotkałam pana na bulwarze, koła praczek? Jak wtedy ptaki śpiewały! To nawet było nie bardzo dawno! Pan dał mi pięć franków, a ja powiedziałam, że nie chcę pana pieniędzy. Czy pan aby podniósł je z ziemi? Przecież pan nie jest bogaty, a ja zapomniałam panu powiedzieć, że trzeba je podnieść. Słońce wtedy świeciło, było ciepło. Pamięta pan, panie Mariuszu? Ach, jestem szczęśliwa! Wszyscy umrą!

Twarz jej miała wyraz błędny, skupiony i przejmujący. Rozdarta bluza ukazywała nagą pierś. Mówiąc przyciskała przebitą dłoń do piersi, gdzie widniał również otwór od kuli, z którego wypływał co chwila strumień krwi, jak wino z odemkniętego otworu beczki.

Mariusz patrzył z głębokim współczuciem na to nieszczęsne stworzenie.

— Och! — zawołała nagle. — Znowu boli. Duszę się! I zaczęła gryźć bluzę; nogi jej coraz sztywniej wyciągały się *na* bruku.

W tej chwili na barykadzie rozległ się koguci głosik małego Gavroche'a. Chłopiec wdrapał się na stół, aby nabić karabin, i wesoło wyśpiewywał tak popularną wówczas piosenkę:

Gdy idzie Lafayette

Żandarmi krzyczą wnet:

«Zmykajmy co tchu! Zmykajmy co tchu!»

Eponina uniosła się nad słuchując i szepnęła:

— To on.

Po czym zwróciła się do Mariusza:

— Tam jest mój brat, nie chcę, żeby mnie zobaczył. Skrzyczałby mnie!

— Twój brat? — zapytał Mariusz, który w głębi serca myślał z przejmującą goryczą i bólem o obowiązkach, jakie ojciec przekazał mu względem The-nardierów — Kto jest twoim bratem?

— Ten mały.

— Ten, co śpiewa?

— Tak.

Mariusz poruszył się.

— Och, niech pan nie odchodzi — szepnęła Eponina. — To już nie potrwa długo.

Usiadła prawie, ale głos jej był bardzo cichy i przerywany czkawką. Chwilami rżenie przerywało jej słowa. Przysunęła twarz jak najbliżej do twarzy Mariusza i powiedziała jakimś dziwnym tonem:

— Niech pan posłucha, nie chcę panu robić głupich kawałów. Mam w kieszeni list do pana. Od wczoraj. Kazano mi go odnieść na pocztę. Schowałam go. Nie chciałam, żeby doszedł do pana. Ale może gniewałby się pan o to na mnie tam, gdzie się za chwilę spotkamy. Bo się spotkamy prawda? Niech pan weźmie swój list.

Schwyciła konwulsyjnie rękę Mariusza swoją przebitą dłonią, ale zdawała się już nie czuć bólu. Włożyła dłoń Mariusza w kieszeń swojej bluzy. Mariusz wyczuł tam rzeczywiście kartkę papieru.

— Niech pan weźmie! — rzekła. Mariusz wziął list.

Uczyniła ruch wyrażający zadowolenie i zgodą.

— A teraz, za to, co zrobiłam, niech mi pan obieca.. Urwała.

— Co? — zapytał Mariusz.

— Niech mi pan obieca!...

— Obiecuję!

— Niech mi pan obieca, że jak umrę, pocałuje mnie pan w czoło. Poczuję to.

Głowa jej opadła na kolana Mariusza, powieki zamknęły się. Miał wrażenie, że jej biedna dusza już uleciała. Eponina leżała bez ruchu. A kiedy Mariusz sądził, że już usnęła na wieki, nagle otworzyła powoli. oczy, w których jawiła się ciemna głębia śmierci, i szepnęła do niego głosem, którego tkliwość zdawała się już pochodzić z innego świata:

— Bo widzi pan, panie Mariuszu, ja chyba byłam w panu trochę zakochana.

Spróbowała jeszcze uśmiechnąć się i skoła.



## ROZDZIAŁ VII

### GAVROCHE, WNIKLIWY KALKULATOR ODLEGŁOŚCI

Mariusz dotrzymał obietnicy, złożył pocałunek na bladym czole, na którym perlił się zimny pot. Nie była to niewierność wobec Kozety, lecz pełne zadumy i tkliwości pożegnanie nieszczęśliwej duszy.

Nie bez drżenia wziął list, który mu oddała Eponina. Wyczuł od razu, że zawiera coś ważnego. Pilno mu było go odczytać. Takie już jest serce ludzkie; ledwie nieszczęsna dziewczyna zamknęła oczy, a Mariusz myślał już o rozwinięciu tej kartki. Ostrożnie złożył Eponinę na ziemi i odszedł. Coś mówiło mu, że przy jej zwłokach nie powinien czytać tego listu.

Zbliżył się do świecy w izbie na parterze. Był to mały bilecik złożony i zapieczętowany z wytworną starannością kobiety. Adres skreślony kobiecą ręką brzmiał:

„Wielmożny pan Mariusz Pontmercy, u pana Courfeyrac, ulica Szklarska numer 6.”

Złamał pieczętkę i przeczytał:

Ukochany mój! Niestety, ojciec chce wyjechać natychmiast. Dziś wieczorem będziemy na ulicy Człowieka Zbrojnego numer 7. Za tydzień wyjeżdżamy do Londynu.

4 czerwca

*Kozeta*

Ich miłość była tak niewinna, że Mariusz nie znał nawet pisma Kozety.

To, co zaszło, da się opowiedzieć w kilku słowach. Wszystko było dziełem Eponiny. Po wieczorze 3 czerwca nurtowały ją dwie myśli: przeszkodzić zamiarom ojca i bandytów wobec domu przy ulicy Plumet i rozłączyć Mariusza z Kozetą. Zamieniła swoje łachmany z pierwszym lepszym andrusem, który myśl przebrania się za kobietę uznał za dobry kawał, sama zaś włożyła męski strój. Ona to na Polu Marsowym dała Janowi Valjean wymowne ostrzeżenie: „Wyprowadźcie się.” Jan Valjean wrócił do domu i oznajmił Kozecie: „Dziś wieczorem wyprowadzamy się razem z Toussaint na ulicę Człowieka Zbrojnego, w przyszłym tygodniu będziemy w Londynie.” Zdruzgotana tą niespodziewaną decyzją, Kozeta skreśliła naprędce parę słów do Mariusza. Ale jak zanieść list na

pocztę? Nie wychodziła nigdy sama, a Toussaint, zdumiona takim poleceniem, z pewnością pokazałaby list panu Fauchelevant. Dręczona tym niepokojem Kozeta dostrzegła nagle przez kratę Eponinę, przebraną za chłopca, która krążyła teraz nieustannie koło ogrodu. Przywołała „młodego robotnika”, wręczyła mu pięć franków i list, mówiąc: „Proszę natychmiast oddać ten list pod wskazanym adresem.” Eponina schowała list do kieszeni. Nazajutrz, 5 czerwca, poszła do Courfeyraca dowiedzieć się o Mariusza, nie po to, aby mu oddać list, ale — co zrozumie każde kochające i zazdrosne serce — aby „popatrzeć”. Tu czekała na Mariusza lub przynajmniej na Courfeyraca — tylko po to, aby „popatrzeć”. Gdy Courfeyrac powiedział: „Idziemy na barykady”, przyszła jej do głowy pewna myśl: rzucić się w tę śmierć, jak gotowa była rzucić się w każdą inną, i popchnąć w nią Mariusza. Poszła za Courfeyrakiem, upewniła się, w którym miejscu zaczęto wznosić barykadę, i pewna, że Mariusz, jak co wieczór, zjawi się o zmierzchu na miejscu schadzki nie wiedząc o niczym, bo ona przejęła list, pobiegła na ulicę Plumet, doczekała się Mariusza i w imieniu przyjaciół rzuciła mu wezwanie, które — jak sądziła — powinno go zaprowadzić na barykadę. Liczyła na jego rozpacz, kiedy nie odnajdzie Kozety — i nie omyliła się. Sama też wróciła na ulicę Konopną i widzieliśmy, jak się zachowała. Umarła z tą tragiczną radością zazdrosnych serc, które pociągają za sobą w śmierć istotę kochaną myśląc: „Nikt go mieć nie będzie!”

Mariusz okrył pocałunkami list Kozety. A więc kochała go! Przez chwilę pomyślał, że nie powinien umierać. Ale potem powiedział sobie: „Odjeżdża! Jej ojciec zabiera ją do Anglii, mój dziadek nie godzi się na małżeństwo. Nic się nie zmieniło w mojej smutnej doli.” Marzyciele, tacy jak Mariusz, łatwo popadają w stan bezdenne przygnębienia, z czego wywodzą się desperackie decyzje. Zmęczenie życiem jest rzeczą nie do zniesienia; łatwo Wtedy o śmierć.

Pomyślał wtedy, że pozostaje mu jeszcze spełnić dwa obowiązki: zawiadomić o swej śmierci Kozetę przesyłając jej ostatnie pożegnanie i ocalić z nadciągającej katastrofy tego biednego dzieciaka, brata Eponiny i syna Thenardiera.

Miał przy sobie pugilares, ten sam, który mieścił niegdyś zeszytik, gdzie spisywał wyznania miłosne dla Kozety. Wyrwał z niego kartkę i napisał ołówkiem te słowa:

Małżeństwo nasze jest niemożliwe. Prosiłem o pozwolenie mego dziadka, odmówił. Nie mam majątku; ty nie masz go również. Pobiegłem do Ciebie, ale Cię nie zastałem. Wiesz, co Ci przyrzekłem. Dotrzymuję słowa. Umieram. Kocham Cię. Gdy będziesz czytać te słowa, duch mój stanie przy Tobie i uśmiechnie się do Ciebie.

Nie mając nic pod ręką, by zapieczętować list, złożył go tylko we czworo i napisał adres:

„Panna Kozeta Fauchelevant, u pana Fauchelevant, ulica Człowieka Zbrojnego numer 7.”

Złożywszy list, trwał chwilę w zamyśleniu, po czym znowu wziął pugilares, otworzył go i tym samym ołówkiem napisał na pierwszej stronie słowa:

Nazywam się Mariusz Pontmercy. Proszę zanieść mego trupa do mojego dziadka, pana Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich numer 6, w dzielnicy Bagno.

Wsunął pugilares do kieszeni surduta i przywołał Gavroche'a. Na głos Mariusza chłopiec nadbiegł z wesołą i pełną oddania miną:

— Chcesz coś dla mnie zrobić?

— O rany! Wszystko, jak babcię kochana! — zawołał Gavroche. — Gdyby nie pan, ładnie bym wyglądał, no!

— Widzisz ten list?

— Widzę.

— Weź go. Wyjdź zaraz z barykady — tu Gavroche zaczął się niespokojnie drapać w ucho — i jutro rano oddaj go według adresu pannie Kozecie u pana Fauchelevant na ulicy Człowieka Zbrojnego numer 7.

Bohaterska chłopak odpowiedział:

— Aha, a tymczasem wezmą barykadę, a mnie tu nie będzie!

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa atak zacznie się nad ranem i barykada nie zostanie zdobyta wcześniej niż jutro w południe.

Istotnie, chwila wytchnienia, którą napastnicy dali barykadzie, przedłużała się. Była to jedna z tych przerw, częstych w nocnych walkach, po których następuje tym zacieklejszy bój.

— A gdybym tak odniósł pański list jutro rano? — zapytał Gavroche.

— To będzie za późno . Barykada zostanie na" pewno otoczona, ulice strzeżone, nie przedostaniesz się. Idź zaraz.

Gavroche nie znajdował odpowiedzi i stał niezdecydowany, drapiąc się smutno w ucho. Nagle, właściwym sobie ptaszęcym ruchem, chwycił list.

— Dobra — rzekł.

I biegiem wpadł w ulicę Zakręt.

Przyszła mu bowiem do głowy pewna myśl, która wpłynęła na jego decyzję. Nie wyjawiał jej wszakże z obawy, aby Mariusz się nie sprzeciwił.

Myśl była taka: „Jest zaledwie północ, ulica Człowieka Zbrojnego jest niedaleko, zaraz zaniosę list i zdążę wrócić na czas!”

# KSIĘGA PIĘTNASTA

## ULICA CZŁOWIEKA ZBROJNEGO

### ROZDZIAŁ I

#### BIBUŁA—GADUŁA .

Czymże są konwulsje miasta wobec buntu ludzkiej duszy? Człowiek to jeszcze większa głęбина niż lud. W tej właśnie chwili Jan Valjean wydany był na pastwę straszliwego buntu wewnętrznego. Rozwarły się w nim wszystkie otchłanie. Podobnie jak Paryż drżał na progu wielkiej, tajemniczej rewolucja. Wystarczyło kilku godzin. Los jego i sumienie okrył nagle mrok. O nim, podobnie jak o Paryżu, można byłoby powiedzieć: dwie zasady stanęły twarzą w twarz. Anioł biały i anioł czarny chwyciły się za bary na moście zawieszonym nad przepaścią. Kto kogo strąci? Kto zwycięży?

W przeddzień 5 czerwca Jan Valjean w towarzystwie Kozety i Toussaint przeniósł się na ulicę Człowieka Zbrojnego. Oczekiwały go tam niespodziane powikłania.

Kozeta opuściła ulicę Plumet nie bez próby oporu. Po raz pierwszy od czasu, gdy żyli razem, wola Kozety okazała się różna od woli Jana Valjean i jeśli obie się nie stały ze sobą, to w każdym razie były sprzeczne. Z jednej strony był sprzeciw, z drugiej — nieugiętość. Niespodziana przestroga — "Wyprowadźcie się" — dana mu przez nieznanomego tak przeraziła Jana Valjean, że stał się bezwzględny. Sądził, iż jest odkryty i ścigany. Kozeta musiała ustąpić.

Oboje przybyli na ulicę Człowieka Zbrojnego nie otworzywszy ust, nie wymówiwszy ani słowa, każde zatopione we własnych myślach. Jan Valjean był tak niespokojny, że nie dostrzegł smutku Kozety. Kozeta tak smutna, że nie dostrzegła niepokoju Jana Valjean.

Jan Valjean zabrał ze sobą Toussaint, czego nigdy poprzednio nie czynił. Przewidywał, że może już nie wróci nigdy na ulicę Plumet, nie mógł przeto zostawać Toussaint za sobą ani też powierzyć jej swojej tajemnicy, chociaż uważał, że jest przywiązana i zasługuje na zaufanie. Sługa zdradza swego pana z ciekawości. A Toussaint — jakby predestynowana na służącą Jana Valjean — nie była wcale ciekawa. Jąkając się, mówiła w swojej chłopskiej gwarze z okolic Barneville: „Już ja jestem taka; patrzę swojej roboty i kwita. Reszta — nie moja sprawa.”

Podczas tej przeprowadzki z ulicy Plumet, Która wyglądała na ucieczkę, Jan Valjean zabrał tylko przepojony balsamiczną wonią kuferek, zwany przez Kozetę „nierozłącznym towarzyszem”. Wielkie kufry wymagały tragarzy, a tragarze — to świadkowie. Sprowadzono dorożkę przed bramę, od ulicy Babilońskiej i tak odjechali.

Toussaint z trudem uzyskała pozwolenie zabrania nieco pościeli i ubrań oraz kilku przyborów toaletowych.

Kozeta wzięła jedynie papiery i teczkę na listy.

Chcąc uniknąć oczu ludzkich i otoczyć swe zniknięcie większą ciemnością, Jan Valjean zdecydował, aby opuszczenie pałacyku nastąpiło o zmierzchu, dzięki czemu Kozeta miała czas na skreślenie bileciku do Mariusza. Na ulicę Człowieka Zbrojnego przyjechali już po zapadnięciu nocy.

W milczeniu udali się na spoczynek.

Mieszkanie na ulicy Człowieka Zbrojnego mieściło się na drugim piętrze, wychodziło na podwórze i składało się z dwóch pokoi sypialnych, jadalni i przylegających do niej kuchni z niszą, gdzie stało polowe łóżko, które przypadło w udziale Toussaint. Jadalnia służyła zarazem za przedpokój i rozdzielała pokoje sypialne. Mieszkanie było zaopatrzone we wszystkie potrzebne sprzęty.

Człowiek odzyskuje spokój z równie bezsensowną łatwością, jak popada w trwogę; taka jest natura ludzka. Zaledwie Jan Valjean przybył na ulicę Człowieka Zbrojnego, a już jego obawy zmniejszyły się i stopniowo znikły. Niektóre miejsca działają kojąco na umysł w sposób niemal mechaniczny. Uliczka była nieuczęszczana, mieszkańcy spokojni. Janowi Valjean jakby udzielił się spokój tej uliczki starego Paryża, tak wąskiej, że zamkniętej dla ruchu kołowego belką położoną w poprzek na dwóch słupkach, niemej i głuchej wśród wrzawy miasta, mrocznej w południe i — rzecz by można — niezdolnej do wzruszeń, między dwoma rzędami wysokich, stuletnich domów, milczących, jak na starców przystało. Jakieś zastygłe zapomnienie wypełniało tę uliczkę. Jan Valjean odetchnął. Któż by mógł go tu odnaleźć?

Przede wszystkim umieścił nieodłączny kuferek koło swego łóżka.

Spał dobrze. Noc przynosi radę, dodać by można: noc uspokaja. Nazajutrz rano zbudził się prawie wesół. Piękna wydała mu się szkaradna jadalnia, której umeblowanie stanowił okrągły stół, niski kredens, wiszące nad nim krzywe lustro, fotel stoczony przez korniki i kilka krzesel zarzuconych tobołkami Toussaint. Z jednego z tych tobołków wyzierał mundur gwardii narodowej Jana Valjean.

Kozeta kazała Toussaint przynieść sobie filiżankę rosołu i wyszła ze swego pokoju dopiero wieczorem.

Około piątej Toussaint, krzątająca się po domu i bardzo zaaferowana tą niewielką przeprowadzką, postawiła na stole jadalnym półmisek z zimnym drobiem, na który Kozeta raczyła spojrzeć jedynie przez wzgląd na ojca.

Następnie, pod pozorem uporczywej migreny, powiedziawszy dobranoc przeszła do swojej sypialni. Jan Valjean zjadł z apetytem skrzydełko kurczęcia i wsparty na stole, coraz pogodniejszy, czuł, że mu wraca poczucie bezpieczeństwa.

Podczas tego skromnego obiadu, kilkakrotnie dochodził jego uszu głos Toussaint, która jękając się mówiła: „Proszę pana, coś się święci! Biją się w Paryżu.” Pogrążony jednak w różnych myślach nie zwrócił na to uwagi, nawet, prawdę mówiąc, nie słyszał wcale jej słów.

Wstał i zaczął się przechadzać od okna do drzwi, od drzwi do okna, coraz spokojniejszy.

Wraz z uspokojeniem powracał myślą do jedyne go przedmiotu swoich trosk — Kozety. Nie dlatego, aby go zaniepokoiła ta migrena, drobne rozdrażnienie nerwów, dziewczęce dąsy, przelotna chmurka, która w ciągu jednego czy dwóch dni rozwieje się bez śladu, ale myślał o przyszłości i — jak zawsze — myślał o niej z rozczuleniem. Ostatecznie nie widział żadnej przeszkody, aby życie potoczyło się nadal szczęśliwie. Są godziny, w których wszystko wydaje się niemożliwe, - w innych — wszystko wydaje się łatwe; Jan Valjean przeżywał właśnie jedną z takich dobrych godzin. Przy chodzą one zwykle po złych, jak dzień po nocy, zgodnie z owym prawem, następstwa i kontrastu, które jest samą istotą natury, a które umysły powierzchowne nazywają antytezą. W tej spokojnej uliczce, gdzie się schronił, Jan Valjean wyzwalał się od wszystkiego, co go trapiło od pewnego czasu. I właśnie dlatego, że widział wiele ciemności, zaczął teraz dostrzegać lazur nieba. Już to samo było pomyślną wróżbą, że opuścił ulicę Plumet bez żadnego wypadku i bez żadnych powikłań. Może rozsądnie byłoby wyjechać z kraju chociażby tylko na kilka miesięcy i udać się do Londynu? A więc dobrze, pojedzie. Czy będzie we Francji, czy w Anglii, jakie to może mieć znaczenie, byleby tylko miał przy sobie Kozetę. Kozeta była jego ojczyzną. Kozeta wystarczała mu do szczęścia; myśl, że może on jej do szczęścia nie wystarcza — ta myśl, która niegdyś trawiła go gorączką i spędzała sen z powiek — nie przychodziła mu teraz nawet do głowy. Zbladły wszystkie dawne zmartwienia, był pełen optymizmu. Skoro Kozeta była przy nim, wydawało mu się, że należy do niego; złudzenie optyczne, którego każdy doświadczył. Ogromnie upraszczając wszystko, układał w myśli wyjazd; Kozeta do Londynu, a wyobraźnia otwierała mu perspektywy odbudowania na nowo

szczęścia, bez względu na miejsce, w którym zamieszkają.

Przechadzając się powoli Wzdłuż i wszerz pokoju, natrafił nagle wzrokiem na coś dziwnego.

Naprzeciw, w pochylonym lustrze, wiszącym nad kredensem, zobaczył i wyraźnie przeczytał takie oto słowa:

Ukochany mój! Niestety, ojciec chce wyjechać natychmiast. Dziś wieczorem będziemy na ulicy Człowieka Zbrojnego numer 7. Za tydzień wyjeżdżamy do Londynu.

4 czerwca

*Kozeta*

Jan Valjean stanął jak porażony.

Kozeta położyła po przyjeździe teczkę z papierami na kredensie i pogrążona w bolesnej rozterce zapomniała zabrać, ją, nie zauważywszy nawet, że zostawiła ją otwartą, i to w tym właśnie miejscu, gdzie osuszała na bibułę parę słów skreślonych do Mariusza i przesłanych przez młodego robotnika z ulicy Plumet. Pismo odcisnęło się na bibule..

Lustro je odbijało.

Wynikło z tego zjawisko, zwane w geometrii obrazem symetrycznym; pismo, odbite na bibule odwrotnie, w lustrze odbijało się we właściwej postaci, tak że Jan Valjean miał przed oczami list Kozety do Mariusza, napisany poprzedniego dnia.

Było to proste i druzgocące.

Jan Valjean podszedł do lustra. Przeczytał ponownie tych parę słów, ale nie wierzył własnym oczom. Zdawało mu się, że migają przed nim w świetle błyskawicy. To złudzenie. To niemożliwe. Tego nie było.

Powoli powracała mu zdolność spostrzegania. Spojrzał na teczkę Kozety i odzyskał poczucie rzeczywistości. Wziął ją i rzekł: „To stąd.” Gorączkowo zaczął badać cztery wiersze odcisnięte na bibule; litery, odbite na opak, tworzyły dziwaczną bazgraninę, w której nie mógł się dopatrzeć żadnego sensu. Wówczas powiedział sobie: „Przecież to nic nie znaczy, tu nie ma nic.” I z niewymowną ulgą odetchnął pełną piersią. Któż w ciężkich chwilach nie



doświadczył takich nedorzecznych radości? Dusza nie poddaje się rozpacz, nim nie wyczerpie wszystkich złudzeń.

Trzymał bibułę w ręce i przyglądał się jej bezsensownie uszczęśliwiony, gotów prawie śmiać się, że stał się igraszką takiego przywidzenia. Nagle wzrok jego znowu padł na lustro i ujrzał to samo: cztery wiersze rysowały się tam z nieubłaganą dokładnością. Tym razem to nie było przywidzenie; powtarzające się złudzenie staje się rzeczywistością: to było namacalne, to było pismo odbite w lustrze. Zrozumiał.

Jan Valjean zachwiał się, wypuścił z rąk bibułę i w półprzytomny, ze spuszczoną głową i szklistym wzrokiem padł na stary fotel obok kredensu. Powiedział sobie, że to jest oczywiste, że jasność świata zgasła dla niego na zawsze, że Kozeta napisała do kogoś ten list. A wtedy dusza jego stała się znowu straszna i wydała w ciemnościach głuchy ryk. Spróbujcie lwu wydrzeć psa, którego ma w swej klatce.

Rzecz dziwna i smutna — w tym momencie Mariusz nie miał jeszcze listu Kozety; zdradziecki traf wydał -go wcześniej Janowi Valjean niż Mariuszowi.

Aż do tego dnia Jan Valjean nie ugiął się nigdy pod żadną przeciwnością losu. Przeszedł straszliwe próby; żaden cios nie został mu oszczędzony; okrutny los, zbrojny we wszystkie kary i omyłki społeczne, zawziął się na niego i prześladował zaciekle. Ale Jan Valjean nigdy się nie cofnął i nie uległ. Kiedy było trzeba, przyjmował każdą ostateczność; poświęcił odzyskaną nietykalność ludzką, zrezygnował z wolności, ryzykował życie, wszystko stracił, wszystko przecierpiał i pozostał bezinteresowny, pełen stoicyzmu; chwilami można było sądzić, że wyrzekł się samego siebie, jak męczennik. Jego sumienie, zahartowane wśród tylu przeciwności, zdawało się nieugięte; a jednak ten, kto w tej chwili zajrzyłby do jego duszy, musiałby stwierdzić, że słabnie.

Ze wszystkich katuszy, którymi torturowała go zła dola — ta była najgroźniejsza. Nigdy jeszcze nie chwyciły go takie kleszcze. Czuł, że tajemniczo drgnęła cała jego ukryta wrażliwość. Czuł, że coś w nim szarpnęło jakąś nieznaną strunę. Niestety, najcięższą próbą, powiedzmy lepiej: jedyną prawdziwą próbą, jest utrata kochanej istoty.

To pewne, że biedny, stary Jan Valjean kochał Kozetę jedynie uczuciem ojca; ale podkreślaliśmy już poprzednio, że osamotnienie, w jakim żył, przepoiło to ojcostwo wszystkimi rodzajami miłości; kochał Kozetę jak córkę, kochał ją jak matkę, kochał ją jak siostrę. A że nie miał nigdy kochanki ani żony, natura zaś jest wierzyicielem, który nie zna zaprotestowanych weksli, to uczucie także, najbardziej uparte ze wszystkich, dołączyło się do innych, niejasne, nieświadome, czyste czystością zaślepienia, bezwiedne, niebiańskie, anielskie,

boskie; nie tyle uczucie, ile instynkt, nie tyle instynkt, ile pociąg, pociąg niedostrzegalny, niewidzialny, ale rzeczywisty! i miłość — w pełnym znaczeniu tego słowa — była w jego wielkim przywiązaniu do Kozety, jak żyła złota w łonie góry — ukryta i dziewicza.

Należy pamiętać o tym stanie serca, na któryśmy już poprzednio wskazali. Żadne małżeństwo nie było między nimi możliwe; nawet małżeństwo dusz; a jednak nie ulega wątpliwości, że losy ich splotły się nierozzerwalnie ze sobą. Z wyjątkiem Kozety, czyli losu jednego dziecka — Jan Valjean nie znał w swoim długim życiu nic, co mógłby kochać. Kolejne namiętności i miłości nie pozostawiły w jego duszy zmiennych barw zieleni — od jasnej wiosennej aż po tę dojrzałą zieleń, którą widzimy na liściach, co przetrwały zimę, i w sercach ludzie co przekroczyli pięćdziesiątkę. Słowem, nieraz podkreślaliśmy to z naciskiem, to duchowe zespolenie, ta jedność, z której wynikała wielka cnota, uczyniła Jana Valjean ojcem Kozety. Niezwykłym ojcem, który był jej dziadkiem, synem, bratem i mężem; ojcem, który był jej nawet matką; ojcem, który kochał, ubóstwiał Kozetę i dla którego to dziecko było światłem, domem, rodziną, ojczyzną, rajem. Toteż gdy zobaczył, że wszystko skończyło się nieodwołalnie, że Kozeta mu się wymyka, wysuwa z rąk, że się oddala nieuchwytna jak mgła albo woda, gdy stanął wobec tej druzgocącej oczywistości: ktoś inny jest celem jej serca, ktoś inny jest pragnieniem jej życia, inny ma jej uczucie — a ja jestem tylko ojcem; ja nie istnieję; gdy już. nie mógł wątpić i powiedział sobie: „Ona odchodzi ode mnie” — ból, jakiego doznał, przeszedł wszelką miarę. Zrobić to wszystko, co dotychczas zrobił, i dojść do tego! Stać się niczym! Wtedy — jak już mówiliśmy — dreszcz buntu wstrząsnął nim od stóp do głów. Uczuł aż w korzonkach włosów potężne przebudzenie egoizmu i „ja” zawyło w głębinach tego człowieka.

Istnieją duchowe załamania. Rozpacзлиwa rzeczywistość, przenikająca do duszy, zrywa i łamie pewne głębokie składniki stanowiące nieraz istotę człowieka. Gdy cierpienie dojdzie do tego stopnia, wprawia w bezładną ucieczkę wszystkie siły sumienia. Groźne to przesilenia. Nieliczni tylko wychodzą z tych zmagają podobni do siebie i wierni swym zadaniom. Gdy boleść przekroczy pewne granice, najbardziej niezłomna cnota -zaczyna się chwiać. Jan Valjean wziął znowu bibułę do ręki i przekonał się raz jeszcze. Siedział pochylony, osłupiały, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w te nieubłagane litery, i duszę jego zaległy chmury tak gęste, że można by sądzić, iż wszystko w niej runęło.

Patrzył na to odkrycie, wyolbrzymione jeszcze przez wyobraźnię, ze spokojem pozornym i straszliwym, bowiem rzecz to groźną, gdy spokój człowieka upodabnia się do chłodu posągu.

Zmierzył myślą straszliwe posunięcie losu, o którym nic nie wiedział, przypomniał sobie swoje obawy z ubiegłego lata, tak lekkomyślnie rozproszone;

rozpoznał, że to była ta sama przepaść, tylko że on nie stał na jej krawędzi, lecz leżał na dnie.

Rzecz niesłychana i bolesna: runął w przepaść nie wiedząc o tym. Zgąsto wszystko światło jego życia, a on sądził, że wciąż mu słońce świeci.

Instykt jego nie wahał się ani chwili. Porównał pewne okoliczności, pewne daty, pewne rumieńce i bladość Kozety i powiedział sobie: „To on.” Przenikliwość rozpaczony łuk, który nigdy nie chybia celu. Pierwszym podejrzeniem trafił w Mariusza. Nie znał jego imienia, ale natychmiast odgadł człowieka. W nieubłaganym świetle wspomnień dostrzegł wyraźnie nieznanego włóczęgę z Ogrodu Luksemburskiego, tego nędznego poszukiwacza miłostek, romansowego próżniaka, durnia i nikczemnika, bo nikczemnością jest umizgiwanie się do dziewcząt, które mają kochającego je ojca.

Stwierdziwszy niezbitcie, że przyczyną tej sytuacji był ów młody człowiek i że wszystko wywodzi się od niego, on, Jan Valjean człowiek odrodzony, człowiek, który tyle pracował nad swoją duszą i tyle zadał sobie trudu, aby całe życie, całą nędzę i wszystkie cierpienia przemienić w miłość, wejrzał w siebie i zobaczył tam widmo — Nienawiść.

Wielkie cierpienia zawierają w sobie uczucie przygnębienia. Odbierają chęć do życia. Człowiek dotknięty nimi czuje, że coś go opuszcza. W młodości takie spotkanie z cierpieniem jest ponure; w wieku dojrzałym — złowieszcze. Niestety, tak! Rozpacz jest straszna, nawet wtedy, gdy krew gorąca, a włosy czarne, gdy głowa trzyma się prosto nad tułowiem jak płomień nad pochodnią, gdy zwój przeznaczenia dopiero zaczął się rozwijać, gdy na uderzenie serca przepelnionego miłością — odpowiedzieć może inne serce, gdy jest jeszcze czas naprawić wszystko, gdy ma się dla siebie wszystkie kobiety, wszystkie uśmiechy, całą przyszłość i cały horyzont, gdy nietknięte są siły życiowe. Jeśli wtedy rozpacz jest straszna, czymże musi być na starość, gdy spłowiałe lata płyną coraz prędzej; czymże musi być o tej godzinie zmierzchu, gdy już pojawiają się naszym oczom gwiazdy mogiły?

Kiedy tak rozmyślał, weszła Toussaint. Jan Valjean wstał i zapytał:

— W której to stronie?

Zdumiona Toussaint odpowiedziała tylko:

— Co proszę?

Jan Valjean powtórzył:

— Przecież przed chwilą mówiliście, że się biją.

— A tak, proszę pana — odrzekła Toussaint — Biją się w stronie Św. Mederyka.

Istnieją machinalne odruchy, które poza naszą świadomością wywodzą się z naszych najskrytszych myśli.

Zapewne pod nakazem jednego z takich odruchów, prawie nieświadomionego, Jan Valjean w pięć minut później znalazł się na ulicy.

Z odkrytą głową usiadł na kamieniu przy bramie. Zdawał się nadśłuchiwać.

Zapadła noc.

## ROZDZIAŁ II

### ULICZNIK, NIEPRZYJACIEL ŚWIATŁA

Ile czasu tak spędził? Jakie były przyptywy i odpływy jego tragicznych rozmyślań? Czy się otrząsnął, czy ugiął? A może się załamał? Czy mógł się podźwignąć i oprzeć się w swej świadomości na czymś trwałym? Sam zapewne nie umiałby tego powiedzieć.

Ulica była pusta. Kilku zaniepokojonych mieszczan, wracających w pośpiechu do domu, ledwie go dostrzegło. W niebezpiecznych czasach każdy myśli o sobie. Latarnik przyszedł jak zwykle zapalić latarnię stojącą na wprost bramy numeru 7 i odszedł. Temu, kto przyjrzałby mu się w ciemnościach, Jan Valjean nie wydałby się żywym człowiekiem. Siedział na kamieniu przy swojej bramie, nieruchomy jak upiór lodowy. W rozpaczy jest złodowacenie. Z daleka dobiegał głos dzwonu na trwogę i głuchy burzliwy szum. Wśród niespokojnego bicia dzwonów i wrzawy rozruchów zegar na wieży kościoła Św. Pawła wybił godzinę jedenastą poważnie, bez pośpiechu; albowiem głos dzwonu na trwogę — to człowiek; a głos zegara — ta Bóg. Jan Valjean pozostał obojętny na przebijanie godzin; siedział bez ruchu. Tymczasem, i to prawie w tym właśnie momencie, nagła detonacja rozległa się w okolicy Hal, potem druga jeszcze gwałtowniejsza; było to prawdopodobnie owo natarcie na barykadę przy ulicy Konopnej, odparte — jak widzieliśmy — przez Mariusza. Na odgłos tej dwukrotnej salwy, której gwałtowność potęgowała jeszcze głucha cisza nocna, Jan Valjean drgnął; odwrócił się w stronę, z której huk dochodził, a potem znów osunął się na kamień, skrzyżował ramiona i głowa powoli opadła mu na piersi.

Rozpoczął znowu posepną rozmowę z samym sobą.

Nagle podniósł oczy; ktoś szedł ulicą; usłyszał bliskie kroki, rozejrzał się i w świetle latarni, od strony ulicy biegnącej do Archiwum, ujrzał twarz bladą i promienną.

To Gavroche wszedł w ulicę Człowieka Zbrojnego.

Gavroche patrzył w górę i zdawał się czegoś szukać. Widział doskonale Jana Valjean'a, ale nie zwracał nań uwagi.

Popatrzywszy w górę, popatrzył z kolei w dół; wspinał się na palce, obmacując drzwi i okna parteru; wszystkie były zamknięte i zaryglowane. Stwierdziwszy, że pięć czy sześć domów było w ten sposób zabarykadowanych, chłopak wzruszył ramionami i zagaił rozmowę z samym sobą słowem:

— Psiakrew!

I znów zaczął patrzeć w górę.

Jan Valjean, który w tym stanie ducha, w jakim znajdował się przed chwilą, nie odezwałby się i nie odpowiedział nikomu, pod wpływem jakiejś przemożnej siły zwrócił się do dziecka:

— *Czego chcesz, mały?*

— Jeść — odrzekł zwięźle Gavroche i dodał. — Sam pan jesteś mały.

Jan Valjean sięgnął do kieszeni i wydobyl monetę pięciofrankową.

Ale Gavroche, żywy jak pliszka, był w ustawicznym ruchu; teraz właśnie podniósł kamień. Spostrzegł bowiem latarnię.

— Cóż to — powiedział. — Tu jeszcze są latarnie? Źle się prowadzicie, moi mili. To wbrew ładowi. Stłuczemy to.

I cisnął kamień w latarnię, której szyby wypadły z takim łoskotem, że mieszczuchy ukryte za firankami w przeciwległym domu zawołały: „Mamy znowu rok dziewięćdziesiąty trzeci!”

Latarnia zakołysała się gwałtownie i zgasła. Ulica nagle pogrążyła się w ciemnościach.

— Tak, stara ulico—zauważył Gavroche — wkładaj na głowę szlafmycę.

I zwracając się do Jana Valjean dodał:

— Jak się nazywa to ogromne domisko tam, na końcu ulicy? To Archiwum, prawda? Warto by wyłuskać parę tych wielkich kolumn i zbudować z nich śliczną barykadkę!

Jan Valjean zbliżył się do Gavroche'a.

— Biedne dziecko! — rzekł półgłosem do siebie. — Jest głodne.

I włożył mu w rękę pięć franków. Gavroche podniósł nos, zdumiony wielkością tego su, i przyjrzał mu się w ciemnościach, olśniony jego bla-

skiem. Pięciofrankówki znał tylko ze słyszenia; podobała mu się ich reputacja, 'był zachwycony, że jedną z nich ogląda z bliska. Rzekł:

— Spójrzmy na grubego zwierza!

Przez chwilę przyglądał się monecie z zachwytem; potem obrócił się do Jana Valjean, oddał mu ją i rzekł wyniośle:

— Mieszczaninie, Wolę tłuc latarnie. Zabierz pan swoją dziką bestię. Nie dam się przekupić. Ma pięć pazurów, ale mnie nie zadraśnie.

— Czy masz matkę? — zapytał Jan Valjean. - Gavroche odpowiedział:

— Prędzej niż pan!

— W takim razie — podjął Jan Valjean — schowaj te pieniądze dla matki.

Gavroche czuł się poruszony. Zauważył poza tym, że człowiek, z którym rozmawiał, był bez kapelusza, a to wzbudziło w nim zaufanie.

— Naprawdę? — rzekł. — Nie po to mi pan daje, żebym nie tłukł latarni?

— Tłucz sobie, co ci się podoba!

— Porządny z pana człowiek — rzekł Gavroche. I włożył pięć franków do jednej ze swych kieszeni. Potem w przypiływie zaufania zapytał:

— Pan jest z tej ulicy?

— Tak, bo co?

— Czy może mi pan pokazać numer siódmy?

— A na co ci numer siódmy?

Chłopiec zamilkł z obawy, że powiedział za dużo; energicznie zanurzył palce w czuprynie i odpowiedział tylko:

— E e e, nic, tak sobie.

Nagła myśl przemknęła Janowi Valjean przez głowę. Rozpacz miewa chwile jasnowidzenia. Zapytał chłopca:

— Może przynosisz list, na który czekam?

— Pan? — odrzekł Gavroche. — Pan rade jest kobietą.

— List jest do panny Kozety, prawda?

— Kozeta? — mruknął Gavroche. — Owszem, zdaje mi się, że to jest właśnie to śmieszne imię.

— Otóż ja mam oddać jej list — rzekł Jan Valjean. — Daj

— W takim razie chyba pan wie, że jestem przysłany z barykady.

— Oczywiście — rzekł Jan Valjean.

Gavroche zanurzył rękę do innej ze swych kieszeni i wyciągnął kartkę papieru *złożoną*, we czworo. Następnie salutując po wojskowemu zawołał:

— Z szacunkiem do tej depeszy. Pochodzi od Rządu Tymczasowego.

— Daj — orzekł Jan Valjean.

Gavroche trzymał kartkę wysoko nad głową.

— Niech pan sobie nie wyobraża, że to liścik miłosny. To dla kobiety, ale to dla ludu. My się bijemy i szanujemy płeć piękną. Nie jesteśmy jak te lwy salonowe, co swoim gęsiom posyłają czułe dyrdymałki.

— Dawaj.

— Co prawda — ciągnął dalej Gavroche — ma pan minę porządnego człowieka.

— Dawaj prędko.

— Proszę.

I wręczył kartkę Janowi Valjean.

— I pospiesz się, panie Ktosiu, bo panna Ktosieta czeka.

Gavroche był zachwycony swoim conceptem.

Jan Valjean zapytał:

— Czy odpowiedź trzeba zanieść do Saint-Merry?

— No! Strzeliłby pan wtedy bestię, pospolicie bąkiem zwaną! — zawołał Gavroche. — Ten list pochodzi z barykady przy ulicy Konopnej, i zaraz tam wracam. Dobrej nocy, obywatelu!

Powiedziawszy to, Gavroche odszedł, a raczej odfrunął z powrotem, jak ptak wypuszczony z klatki. Z szybkością wystrzelonego pocisku dał nurka w ciemności, jakby przeszywał je na wylot; ulica Człowieka Zbrojnego znów stała się cicha i pusta; w mgnieniu oka, to dziwne dziecko — ni to cień, ni to zjawa — zanurzyło się w mrok między rzędami czarnych domów i jak dym rozplynęło w



ciemnościach. Można byłoby sądzić, że rozwiało się w powietrzu, gdyby w parę minut po jego zniknięciu nie rozległ się ogłuszający brzęk tłuczonego szkła i imponujący łoskot rozpryskującej się na bruku latarni na nowo nie wyrwał ze snu oburzonych mieszczuchów. To Gavroche przechodził ulicą Słomianą.

## ROZDZIAŁ III

### PODCZAS GDY KOZETA I TOUSSAINT ŚPIĄ

Jan Valjean wrócił do domu z listem Mariusza.

Po omacku wszedł po schodach, rad ciemnościom jak sowa trzymająca zdobycz w szponach, cicho otworzył i zamknął drzwi do siwego pokoju, nadstawił ucha, czy nie usłyszy jakiegoś szmeru, stwierdzał, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Kozeta i Toussaint śpią; tak drżały mu ręce, że zanurzał kilkakrotnie zapałki w fosforycznej butelce, nim zdołał Wreszcie jedną zapalić; to, co zrobił, było w pewnym stopniu kradzieżą. W końcu zapalił świecę, oparł się na stole, rozwinął kartkę i przeczytał.

W gwałtownych wzruszeniach człowiek nie czyta, ale, rzecz by można, miażdży trzymany w ręku papier, dusi go jak ofiarę, gniecie i zagłębia w nim szpony gniewu lub radości; biegnie wzrokiem na koniec, przeskakuje na początek, uwaga jest rozgorączkowana; obejmuje całość w przybliżeniu, pojmuje tylko to, co najważniejsze, chwyta jeden punkt, a reszta znika. W liście Mariusza do Kozety Jan Valjean zobaczył tylko tyle:

„Umieram. Gdy będziesz czytać te słowa, duch mój stanie przy Tobie.”

Odczytując te słowa doznał przerażającego olśnienia; przez chwilę był jakby zmiażdżony nagłą odmianą uczuć, która się dokonała w jego sercu. Popatrzył na list Mariusza w jakimś upojeniu zdumieniem; oto miał przed oczami widok wspaniały: śmierć znienawidzonej istoty.

Wydał okropny krzyk wewnętrznej radości. A więc — skończyło się. Rozstrzygnięcie nadeszło prędzej, niżby ośmielił się spodziewać. Zniknął ten, który ciążył na jego losie. Zniknął sam, niczym nie przymuszony, dobrowolnie. On, Jan Valjean, w niczym się do tego nie przyczynił; nie z jego winy „ten człowiek” umiera. Może nawet już umarł? Tu rozgorączkowanie jego zaczęło rachować. Nie. Jeszcze nie umarł. List był najoczywiściej pisany z myślą, że Kozeta czytać go będzie nazajutrz rano; po tych dwóch salwach, które rozległy się między jedenastą a północą, nie było walk; mocny szturm na barykadę przypuszczony będzie dopiero o świcie; ale to wszystko jedno. Skoro „ten człowiek” wmieszał się do tej wojny, nie wyjdzie z niej żywy; zmiażdżą go nieubłagane tryby maszyny. Jan Valjean poczuł się wyzwolony. A więc znowu będzie ich tylko dwoje: on i Kozeta. Rywal ustępuje; przyszłość rozpoczyna się od nowa. Wystarczy schować list do kieszeni, a Kozeta nie dowie się nigdy, co się stało z „tym człowiekiem”. „Wystarczy zostawić wszystko swojemu biegowi.

Ten człowiek nie umknie śmierci. Jeśli jeszcze nie umarł, niebawem umrze na pewno. Co za szczęście!"

Powiedziawszy sobie w duchu to wszystko, sposepniał.

Potem zszedł na dół i obudził stróża.

W niespełna godzinę Jan Valjean wyszedł na ulicę w pełnym umundurowaniu gwardii miejskiej i z bronią w ręku. Stróż bez trudu znalazł w sąsiedztwie wszystko, czego mu brakowało do- ekwipunku. Jan Valjean miał nabity karabin i ładownicę pełną naboju. Skierował się w stronę Hal.

## ROZDZIAŁ IV

### NADMIERNA GORLIWOŚĆ GAVROCHE'A

Tymczasem Gavroche'owi przytrafiła się przygoda.

Po sumiennym ukamienowaniu latarni na ulicy Słomianej doszedł do ulicy Vieilles-Haudriettes i nie widząc tam nawet „psa z kulawą naga”, uznał, (że nadarza się okazja, by śpiewać, ile dusza zapragnie. Śpiewanie, miast przeszkadzać, przyspieszyło jeszcze jego kroki. Na uśpione lub przerażone domy zaczął rozsiewać te zapalne kuplety:

W starej altance gil zawodzi:

«Atala piękna, dobra, miła,

Z kochankiem w podróż wyruszyła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Nie krzycz Piotrusiu, to nie szkodzi, Że najmilejsza twa Ludmiła Całus przez okno mi przesyła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Ach, te kokietki. Co noc, co dzień Taka z ich uczuć płynie siła, Że Orifala zwyciężyła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

W sprzeczce miłość płynie słodziej, Choć na mnie sidła zastawiła, Sama w nie wpadła Bogumiła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Mantylka, widzę, teraz w modzie. Suzy ramiona nią okryła, Miłość się moja w niej ukryła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Miłość jak słońce w mroku wschodzi, Różami Zuzię uwieńczyła, Smagłą twarzyczkę rozjaśniła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Lusterko na bezdroża wodzi, Janeczko, dusza moja śniła, Że mnie pieściłaś i tuliłaś.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Żeby po tańcu się ochłodzić, Wyszliśmy na dwór — gwiazda lśniła, Dobrze się Stelli przypatrzyła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Gavroche uzupełniał swój śpiew bogatą mimiką. Gest jest akcentem refrenu. Twarz malca — niewyczerpany zasób masek — wykrzywiała się w grymasach bardziej konwulsyjnych i dziwacznych niż dziurawa bielizna na porywistym wietrze. Niestety, ponieważ był sam i w ciemnościach — nikt ich nie widział i widzieć nie . mógł. Dużo jest takich zmarnowanych skarbów.

Nagle zatrzymał się:

— Przerwijmy arię — rzekł.

Jego kocie źrenice dostrzegły we wnętrzu bramy coś, co w języku malarskim nazywa się kompozycją, to znaczy istotę i rzecz, rzeczą był ręczny wózek, a istotą — chłop z Owernii śpiący w tym wózku.

Drażki wózka opierały się o bruk, a głowa Owerniarka o tylną krawędź wózka. Leżał zwinięty w kłębek na tej równi pochyłej, nogami dotykając ziemi.

Gavroche, świadomy spraw tego świata, rozpoznał pijaka.

Był to jakiś tragarz z tej dzielnicy, który bardzo dużo wypił i bardzo mocno spał.

„Oto— pomyślał Gavroche — na co mogą się przydać letnie noce. Owerniak zasypia w wózku. My zabieramy wózek dla republiki, a monarchii zostawiamy Owerniaka.”

Olśniła go bowiem genialna myśl: ten wózek świetnie by wyglądał na naszej barykadzie!

Owerniak chrapał.

Gavroche delikatnie pociągnął wózek do tyłu, a Owerniaka do przodu, to znaczy za nogi, i po chwili chłop leżał na bruku, śpiąc nadal w najlepsze. Wózek był wolny.

Gavroche, przygotowany z góry na wszelkie niespodzianki, nosił zawsze wszystko przy sobie. Pogrzebał w kieszeniach, wyjął skrawek papieru i kawałek

czerwonego ołówka, który zwędził jakiemuś cieśli.

Napisał:

REPUBLIKA FRANCUSKA

Otrzymało twój wózek

podpisał: *Gavroche*

Uczyniwszy to wsunął papier do kieszeni welwetowej kamizelki chłopca, który nie przestał chrapać, chwycił drążki w obie dłonie i ruszył pełnym, galopem w kierunku Hal, pchając przed sobą wózek z triumfalnym turkotem.

To było niebezpieczne. Koło Drukarni Królewskiej mieścił się odwach. Gavroche nie pomyślał o tym. Posterunek był obsadzony przez gwardię narodową z przedmieścia. Oddział zaniepokoił się; gwardziści, leżący na łózkach polowych, podnieśli głowy. Dwie latarnie stłuczone jedna po drugiej, piosenka śpiewana na całe gardło to już było bardzo wiele, jak na te tchórzliwe ulice, które chodzą spać razem z kurami i tak wcześnie gaszą świece. Już od godziny chłopak hałasował w tej spokojnej dzielnicy jak mucha w butelce. Sierżant z przedmieścia nastawiał ucha i czekał. Był to człowiek ostrożny.

Wściekły turkot wózka dopełnił miary; niesposób było czekać dłużej.

Sierżant zdecydował się na rekonesans.

— Jest ich tam cała banda — rzekł — Idźmy ostrożnie!

Było rzeczą oczywistą, że Hydra Anarchii wypełzła ze swej kryjówki i szaleje w dzielnicy.

Skradającym się krokiem sierżant odważył się wyjść z odwachu.

Kiedy Gavroche, pchając wózek, wynurzył się z ulicy Vieilles-Haudriettes, nagle znalazł się twarzą w twarz z mundurem, czakiem, kitą i karabinem.

Po raz drugi stanął jak wryty.

— Masz ci los — rzekł. — To on. Dzień dobry, panie władza.

Zdziwienie u Gavroche'a trwało krótko i zniknęło szybko.

— Dokąd idziesz, łobuzie? — wrzasnął sierżant.

— Obywatelu — rzekł Gavroche — jeszcze cię nie nazwałem mieszczuchem.

Dlaczego mnie obrażasz?

— Dokąd idziesz, huncwocie?

— Mój panie — odparł Gavroche — może wczoraj byłeś dowcipnym człowiekiem, ale dziś zostałeś zdegradowany.

— Pytam się, dokąd idziesz, łotrze? Gavroche odpowiedział:

— Pan jest taki uprzejmy. Dalibóg, nie wygląda pan na swoje lata. Powinien pan sprzedawać, swoje włosy po sto franków sztuka. Uciąłaby pan z pięćset franków.

— Dokąd idziesz? Dokąd idziesz, bandyto?

— A fe, jakie brzydkie słowa! — odciął się Gavroche. — Na drugi raz, jak cię mamka będzie karmić, niech ci lepiej obetrze gębę.

Sierżant nastawił bagnet.

— Powiesz mi wreszcie, dokąd idziesz, nikczemniku?

— Mój generale — rzekł Gavroche — idę po doktora. Małżonka moja rodzi.

— Do broni! — krzyknął sierżant.

Uratować się za pomocą tego, co było przyczyną zguby — oto sztuka dzielnych ludzi. Jednym rzutem oka Gavroche ocenił sytuację. Wózek naraził go na niebezpieczeństwo, wózek powinien go ocalić.

Kiedy sierżant miał już rzucić się na Gavroche'a, wózek pchnięty, z całej siły przemienił się w pocisk i z furią runął na napastnika.

Sierżant, ugodzony w brzuch, zwałił się na wznak do rynsztoka, a karabin jego wystrzelił w powietrze.

Na krzyk sierżanta żołnierze wysypali się w nieładzie z odwachu. Wystrzał z karabinu stał się hasłem do ogólnej strzelaniny; po pierwszej salwie, oddanej na oślep, nabito broń i zaczęto strzelać od nowa.

Ta karabinowa zabawa w ciuciubabkę trwała dobry kwadrans i uśmierciła kilka szyb okiennych.

Tymczasem Gavroche, który zawrócił w szaleńczym pędzie, zatrzymał się dopiero o jakieś pięć czy sześć ulic dalej i siedział zziębnięty na narożnym kamieniu przy ulicy Czerwonych Dzieci. Nasłuchiwał.

Odsapnąwszy nieco, odwrócił się w stronę, skąd dochodziła zawzięta strzelanina, podniósł lewą rękę do wysokości nosa i trzykrotnie wyrzucił ją ku przodowi, uderzając się równocześnie prawą ręką w tył głowy: wspaniały gest, w którym ulicznicy paryscy skondensowali ironię francuską, gest widocznie skuteczny, skoro przetrwał pół wieku.

Gorzka refleksja zmąciła jednak wesołość chłopca:

— Tak — powiedział sobie. — Śmieję się do rozpuku, pękam ze śmiechu, szalenie mi wesoło, ale zszedłem z drogi i teraz będę musiał obchodzić naokoło. Bylebym tylko zdążył w porę na barykadę.

I znowu ruszył pędem.

Biegnąc przypomniał sobie: — Ale, ale, na czym to stanąłem? Zapuszczając się szybko w ulicę podjął na nowo

swoją piosenkę i w ciemnościach cichły te słowa:

Bastylia! O nią teraz chodzi! W nią niech uderzy nasza siła, Ażeby w gruzy się zwała!

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Zagrać nam w kręgle nie zaszkodzi, Świat zgniły i monarchia zgniła! Niechby w nią kula uderzyła!

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Ludu, ty, co o kulach chodzisz, Tymi kulami w Luwr — tani zgniła Monarchia żywot przetańczyła.

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi?

Li, la.

Krata wolności nie odgrodzi, Król Karol bagaż w świat wysyła, Zwiął, aż się za nim zakurzyło!

Dokąd to piękne dziewczę uchodzi? Li, la.

Zbrojny alarm na odwachu bynajmniej nie minął bez echa. Wózek został zdobyty, pijak wzięty do niewoli. Wózek zarekwirowano; właściciela zaś ciągnano nieco po sądach polowych, jako współwinowajcę. Ówczesną prokuratura wykazała przy tej okazji swoją niestrudzoną gorliwość w obronie społeczeństwa.



Przygoda Gavroche'a przeszła do tradycji dzielnicy Tempie jako jedno z najstraszliwszych wspomnień starych mieszkańców Bagna i zapisała się w ich pamięci jako „nocny atak na odwach przy Drukarni Królewskiej”.

# CZĘŚĆ PIĄTA

JAN VALJEAN

## KSIĘGA PIERWSZA

### WOJNA WŚRÓD CZTERECH ŚCIAN

#### ROZDZIAŁ I

##### CHARYBDA PRZEDMIŚCIAŚW. ANTONIEGO

##### I SCYLLA PRZEDMIĘSCIA TEMPIE

Dwie najbardziej pamiętne barykady, które badacz chorób społecznych może wymienić, nie należą do okresu, w którym rozgrywa się akcja tej książki. Barykady te, z których każda w inny sposób była symbolem groźnych wydarzeń, wyrosły spod ziemi w czasie nieszczęsnego powstania w czerwcu 848 roku, owej największej wojny ulicznej, jaką zna historia.

Niekiedy z głębi swoich udręk, zwątpień, nędzy, gorączki, nieszczęść, z głębin wyziewów, niewiedzy i ciemnoty ten wielki desperat — motłoch protestuje nawet przeciw zasadom, przeciw wolności, równości i braterstwu, przeciw głosowaniu powszechnemu i rządowi wszystkich przez wszystkich, i pospólstwo wydaje walkę ludowi.

Nędzarze atakują prawo powszechne; ochlokracja powstaje przeciw ludowi:

Ponure są to dni, albowiem nawet w tym szaleństwie jest zawsze szczypta prawa; w tym pojedynku jest coś z samobójstwa; i te słowa, które chcą być obelgami: hołota, motłoch, ochlokracja, gawiedź — stwierdzają niestety raczej winę tych, co rządzą niż tych, co cierpią; raczej winę uprzywilejowanych niż wydziedziczonych.

My zaś wymawiamy zawsze te słowa z bólem i z szacunkiem, Medy bowiem filozof sonduje fakty, którym słowa owe odpowiadają, często obok nikczemności znajduje prawdziwą wielkość. Ateny były ochlokracją, Holandia jest dziełem hołoty; motłoch niejedną raz ocalił Rzym; gawiedź szła za Chrystusem.

Nie ma myśliciela, który by czasem nie wejrzał z uwagą we wspaniałe wielkości nizin społecznych.

O tym motłochu myślał zapewne Św. Hieronim o wszystkich tych biedakach, włóczęgach, nędzarzach, z których wywodzili się apostołowie i męczennicy, kiedy wypowiedział te tajemnicze słowa: *Fex urbis, lex orbis* .

Akty rozpaczony tego tłumu, który cierpi i broczy krwią, popełniane przezeń gwałty sprzeczne z zasadami stanowiącymi o jego życiu, jego ataki na prawo są ludowymi zamachami stanu i muszą być tłumione. Człowiek uczciwy poświęca się dla tej sprawy i z miłości do tego tłumu zwalcza go. Stawiając mu czoło, ileż jednak znajduje rzeczy na jego usprawiedliwienie . Opierając mu się, jakąż otacza go czciami! Jest to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy czyniąc to, co należy, człowiek czuje się mimo to niepewny, jakby coś odradzało mu, żeby szedł dalej; nie cofa się, gdyż tak trzeba; ale sumienie, choć spokojne, jest przecież smutne, a spełnieniu obowiązku towarzyszy bolesne ściśnięcie serca.

Spieszmy powiedzieć, że czerwiec 848 roku to fakt zupełnie odrębny i prawie niemożliwy do sklasyfikowania w filozofii historii. Wszystkie słowa, które wypowiedzieliśmy przed chwilą, należy odrzucić, kiedy chodzi o te niezwykle zamieszki, w których czuło się święty niepokój pracy domagającej się swoich praw. Trzeba było je tłumić — tak nakazywał obowiązek — gdyż godziły w republikę. Ale — w gruncie rzeczy — czym był czerwiec 848? Buntem ludu przeciwko samemu sobie.

Nie może być mowy o dygresji, kiedy nie traci się z oczu głównego wątku; niech nam wolno będzie zatem zatrzymać przez chwilę uwagę czytelnika na owych wspomnianych przez nas dwóch barykadach — w swoim rodzaju jedynych — tak charakterystycznych dla tego powstania.

Jedna z nich tarasowała wejście na przedmieście Św. Antoniego; druga broniła dostępu do przedmieścia Tempie: ci, w czyich oczach się wzniosły te dwa arcydzieła wojny domowej na tle olśniewającego błękitu czerwcowego nieba, nie zapomną ich nigdy.

Barykada Św. Antoniego była potworna. Wysoka na trzy piętna, a szeroka na siedemset stóp, zagradała od jednego końca do drugiego szeroki wylot przedmieścia, czyli trzy ulice; poszczerbiona, zębata, poszarpana, postrzępiona, rozdarta olbrzymią wyrwą, złożona z wspartych o siebie stosów, z których każdy był bastionem, wysuwając tam i ówdzie swoje półwyspy, potężnie wsparta o dwa wielkie cyple domów przedmieścia, wyrastała z głębi groźnego placu, który oglądał dzień 4 lipca, jak tama wzniesiona przez cyklopów. Za tą barykadą-matką piętrzyło się w głębi ulicy dziewiętnaście innych barykad. Na sam widok tej barykady czuło się, że nieogarnione, śmiertelne cierpienie tego przedmieścia osiągnęło ów ostateczny punkt, w którym rozpacz chce przemienić się w zagładę. Z czego zbudowana była barykada? „Z trzech sześciopiętrowych domów umyślnie zburzonych — mówili jedni. „Z

nagromadzonego gniewu ludu" — mówili inni. Była jak każda budowla nienawiści — żalosną kupą gruzów. Można było powiedzieć: „Kto to zbudował?" Można było powiedzieć również: „Kto to zburzył?" Była to improwizacja oburzenia. O! Macie tutaj drzwi! kratę! daszek! ramę okienną! pękniętą fajerkę! wyszczerbiony rondel! Dawajcie wszystko! Rzucajcie tu wszystko! Pchajcie, toczcie, rozkopujcie, przewracajcie, zwalajcie wszystko! Tworzyły ją kamienie brukowe, płyta z chodnika, belka, sztaba żelazna, ścierka, wybita szyba, dziurawe krzesło, głąb kapusty, szmata, łachman i złorzeczenia. Było to i wielkie, i małe. Parodia otchłani przez bałagan. Olbrzymia bryła obok atomu; kawał muru i stłuczona miska; groźne zbratanie wszelkich szczątków. Syzyf dorzucił tu swój głaz, a Hiob wyszczerbiony czerep. Słowem — straszne. Akropol nędzarzy. Przewrócone wózki sterczały ze skarpy, wielki dwukołowy wóz leżący w poprzek, osią do góry, przecinał niby szrama tę niespokojną fasadę; omnibus beztrosko wciągnięty na sam szczyt wału, jak gdyby architekci tej dzikiej budowli chcieli do grozy dodać łobuzerię — wyciągał swój dyszel zapraszając jakieś powietrzne rumaki. Ten gigantyczny stos, aluwialne pokłady zamieszek, przywodził na myśl wyobrażenie Ossy na Pelionie wszystkich dawnych rewolucji; rok 93 na 1789; 9 Thermidora na 10 sierpnia; 18 Brumaire'a na 21 stycznia; Vendemiaire na Prairialu, rok 1848 na 1830. Plac zasługiwał na tę rolę, barykada godna była stanąć w miejscu, z którego znikła Bastylia. Gdyby ocean wznosił tamy, zbudowałby je w taki właśnie sposób. Na tej bezkształtnej zaporze odcisnęła się wściekłość fal.. Jakich fal? — Tłumu. Zdawało się, że widać skamieniały, stężały huk fal. Zdawało się, że słyhać brzęczenie olbrzymich, mrocznych pszczoł gwałtownego postępu, jak gdyby barykada była ich ulem. Byłyż to zarośla? Byłaż to orgia? Byłaż to forteca? Zdawało się, że szaleństwo zbudowało barykadę jednym uderzeniem swych skrzydeł. Ta reduta miała w sobie coś z kloaki; ten chaos miał w sobie coś olimpijskiego. W tym bezładzie pełnym rozpaczki widać było krokwie z dachu, ściany poddaszy razem z tapetami, ramy okienne z całymi szybami wstawione w gruzy i czekające na kule armatnie, wyrwane kominki, szafy, stoły, ławy, słowem — ryczący bałagan; a ponadto tysiąc nędznych rupieci, wzgardzonych nawet przez żebraka, które zawierają w sobie i wściekłość, i nicość. Rzekłbyś, że były to łachmany ludu, łachmany z drzewa, z żelaza, ze spiżu; z kamienia, które przedmieście Św. Antoniego jednym potężnym zamachnięciem wymiotło na swój próg, budując ze swej nędzy barykadę. Kloce, podobne do pni katowskich, zerwane łańcuchy, wsporniki, części konstrukcji ciesielskich podobne do szubienic, koła leżące na płask i wystające ze stosów gruzu nadawały tej budowli anarchii posępny wyraz, przywodząc na myśl dawne tortury, którymi niegdyś męczono lud. Na barykadzie Św. Antoniego wszystko służyło za broń; sypało się stamtąd wszystko, co wojna domowa może cisnąć w głowę społeczeństwa; nie była to walka, lecz paroksyzm. Z karabinów broniących tej reduty — a znajdowały się między nimi i garłacze — leciały okruchy porcelany, kostki, guziki, a nawet kółka od nocnych szafek, pociski

niebezpieczne, bo miedziane. Tę barykadę opętał szal; pod niebiosa bił z niej niesamowity krzyk; chwilami, wyzywając wojsko, pokrywała się tłumem i burzą; wieńczyła ją ciżba rozpromienionych głów; wypełniało mrowie ludzkie, niby kolczasty grzebień wyrastał z niej las karabinów, szabel, kijów, toporów, pik i bagnatów; wielki czerwony sztandar łopotał na wietrze. Dobiegał z niej odgłos komendy, pieśni bojowe, warkot bębnow, łkania kobiet i ponury śmiech głodomorów. Była olbrzymia i pulsująca życiem. Jak naelektryzowany grzbiet zwierza iskrzyła się błyskami piorunów. Duch rewolucji okrywał chmurą szczyt szczyt szczyt, skąd dobywał się pomruk głosu ludu, podobny do głosu Boga; przedziwny majestat płynął z tego tytanicznego śmietnika. Była to kupa śmieci i zarazem góra Synaj. Jak mówiliśmy przed chwilą, . w imię rewolucji atakowała kogo? — Rewolucję. Barykada ta, którą stworzył przypadek, nieład, przestrasz, nieporozumienie i to, co nieznanne, miała naprzeciw siebie izbę ustawodawczą, suwerenność ludu, głosowanie powszechne, naród, republikę. *Karmaniola* wyzywała do walki *Marsylianke*.

Wyzwanie niedorzeczne, lecz bohaterskie: to stare przedmieście bowiem jest bohaterem.

Przedmieście i reduta pomagały sobie; przedmieście osłaniało się redutą, reduta opierała się o przedmieście. Rozległa barykada ciągnęła się jak skalisty brzeg, o który rozbijała się strategia generałów zaprawionych w wojnie w Afryce. Jej pieczary, narośla, brodawki garby zdawały się robić grymasy i śmiać szyderczo w kłębach dymu. Tej bezkształtnej masy nie miały się kule; pociski zapadały się w nią, tonęły, grzęzły; kartacze wybijały w niej tylko szczyrby; na cóż się zda bombardować chaos? I pułki, nawykłe do najbardziej okrutnych obrazów wojny, niespokojnym okiem spoglądały na tę redutę przypominającą drapieżne zwierzę, zjeżoną jak odyniec, olbrzymią jak góra.

O ćwierć mili stamtąd, śmiałek, który wychyliłby głowę zza rogu ulicy Tempie, wychodzącej na bulwar niedaleko Wieży Ciśnień, za występ muru utworzony przez wystawę sklepu Dallemagne, ujrzałyby w oddali, za kanałem, na ulicy biegnącej w górę do Belleville, w najwyższym punkcie owej pochyłości — dziwny mur. Mur ten sięgał wysokości drugiego piętra łącząc domy z prawej strony z domami z lewej, jak gdyby sama ulica zagięła swoją najwyższą ścianę, aby się nagle odrodzić. Ściana ta, zbudowana z kamieni brukowych, była prosta, poprawna, chłodna, prostopadła, wyrównana według linii, wyciągnięta pod sznurek, ułożona według pionu. Może brakło w niej cementu, ale to, podobnie jak w murach rzymskich, w niczym nie psuło jej surowej architektury. Z jej wysokości wnosić było można i o jej głębokości. Krawędź górna była ściśle równoległa do podstawy. Na szarej powierzchni rysowały się w pewnych odstępach, podobne do czarnych nitek, ledwo widoczne strzelnice, umieszczone w równych o odstępach. Jak okiem sięgnąć ulica była pusta. Wszystkie okna i wszystkie drzwi zamknięte. W głębi, zmieniając ulicę w ślepy

zaułek, wznosiła się owa zaporą — mur nieruchomy i spokojny; nie widać było na nim nikogo, nie słychać nic: ani krzyku, ani szmeru, ani tchnienia. Grobowiec.

Oślepiające czerwcowe słońce zalewało tę rzecz potworną potokami światła.

Była to barykada na przedmieściu Tempie.

Przybywając w jej pobliżu, nawet największy śmiałek musiał na jej widok zastanowić się nad tym zagadkowym zjawiskiem. Wszystko tam było dopasowane, spojone, połączone, gładkie, symetryczne i ponure. Złożyła się na nią wiedza i ciemności. Czuło się, że dowódca tej barykady jest geometrą lub upiorem. Patrzano na nią i mówiono szeptem.

Czasem jakiś żołnierz, oficer lub przedstawiciel ludu odważył się przejść przez opustoszałą jezdnię, wówczas rozlegał się cichy, ostry świst i przechodzień padał martwy lub ranny, a jeśli udało mu się ujść cało, kula grzęzła w zamkniętej okiennicy, w jakiejś szparze w bruku lub w tynku kamienicy. Czasem była to nie kula, lecz kartacz. Albowiem ludzie z barykady zrobili sobie dwie armatki z dwóch kawałków żeliwnych rur od gazu, zatkanymi pakułami i gliną do wylepiania pieca. Nie marnowano prochu, prawie każdy strzał był celny. Tu i ówdzie leżało kilka trupów, na bruku widniały kałuże krwi. Pamiętam białego motyla, który latał nad ulicą. Lato nie abdykuje.

W pobliżu wszystkie wnęki bram pełne były rannych.

Każdy czuł, że jakiś niewidoczny strzelec trzyma go na muszce swojej strzelby i że ulica na całej długości jest pod obstrzałem.

Stłoczeni za łukiem utworzonym przez sklepiony most na kanale u wejścia na przedmieście Tempie żołnierze kolumny szturmowej patrzyli z powagą i skupieniem na ową posępną redutę, na ten bezruch, na tę niewzruszoność, z której wybiegała śmierć. Niektórzy czołgali się na brzuchu w górę, po pochyłości mostu, uważając, żeby ich czaka nie wystawały.

Dzielny pułkownik Monteynard patrzył na tę barykadę z zachwytem nie pozbawionym lęku: „Jak wspaniale jest zbudowana! — mówił do któregoś z przedstawicieli ludu. — Ani jeden kamień nie wystaje! Cóż za misterna robota!” W tej samej chwili kula strzaskała krzyż na jego piersi: pułkownik padł.

„Tchórze! — mówiono. — Niechże się pokażą! Niech ich zobaczymy! Nie mają odwagi! Kryją się!” Barykada na przedmieściu Tempie, broniona przez osiemdziesięciu ludzi, atakowana przez dziesięć tysięcy, trzymała się przez trzy dni. Czwartego chwycono się tego samego sposobu, co w Zaatcha i w Konstantynie: przebito domy, wdarto się przez dachy i barykada została

zdobyta. Żaden z osiemdziesięciu tchórzów nie pomyślał o ucieczce; wszyscy polegli, z wyjątkiem przywódcy Barthelemy'ego, o którym będziemy mówili za chwilę.

Barykada Św. Antoniego była hukiem gromów; barykada Tempie — ciszą. Te dwie reduty różniły się między sobą: jedna była groźna, druga złowieszcza. Jedna wydawała się paszczą, druga — maską.

Założywszy, że gigantyczna i ponura insurekcja czerwcową składała się z gniewu i zagadki, w pierwszej barykadzie czuło się smoka, za drugą — sfinksa.

Te dwie twierdze zostały wzniesione przez dwóch ludzi, jeden nazywał się Cournet, drugi Barthelemy. Cournet zbudował barykadę Św. Antoniego; Barthelemy — barykadę Tempie. Każda z nich była obrazem swego twórcy.

Cournet był wysoki, miał szerokie bary, czerwoną twarz, potężną pięść, mężne serce, prawą duszę, wejrzenie szczere i groźne. Nieustraszony, energiczny, zapalczywy, wybuchowy, najserdeczniejszy z ludzi, najgroźniejszy z przeciwników. Wojna, walka, zgiełk bitwy były jego żywiołem i wprawiały go w wyśmienity humor. Był niegdyś oficerem marynarki: z jego ruchów i głosu znać było, że wraca z oceanu, że przybywa z burzy. Bitwa była dlań dalszym ciągiem huraganu. Cournet miał w sobie coś z Dantona (z wyjątkiem geniuszu), podobnie jak Danton — coś z Herkulesa (z wyjątkiem boskości).

Barthelemy, chudy, niepozorny, blady i milkliwy, był swego rodzaju ulicznikiem z, piętnem tragizmu. Spoliczkowany przez policjanta śledził go, tropił i zabił, za co. — w siedemnastym roku życia — został skazany na ciężkie roboty. Wszedł z nich i zbudował tę barykadę. Później — fatalnym zbiegiem okoliczności — na wygnaniu w Londynie Barthelemy zabił Courneta. Był to tragiczny pojedynek. Po pewnym czasie, uwikłany w jakąś tajemniczą historię, gdzie grała rolę namiętność — jedna z tych, dla których sprawiedliwość francuska znajduje okoliczności łagodzące, a sprawiedliwość angielska tylko śmierć — Barthelemy został powieszony.

Ponura budowla społeczna tak jest urządzona, że wskutek nędzy materialnej, wskutek ciemnoty moralnej ów nieszczęśnik o dużej — a może nawet wybitnej inteligencji — zaczął od ciężkich robót we Francji, a skończył na szubienicy w Anglii. Barthelemy uznawał jeden tylko sztandar: czarną chorągiew.

## ROZDZIAŁ II

### CO ROBIĆ W PRZEPAŚCI, JEŚLI NIE ROZMAWIAĆ?

Szesnaście lat znaczy wiele w podziemnej edukacji rewolucyjnej, toteż czerwiec 848 mądrzejszy był w tym względzie od czerwca 832. W porównaniu z olbrzymimi barykadami, o których wspominaliśmy, barykada na ulicy Konopnej była zaledwie zarysem, embrionem; wszakże na owe czasy ona także była groźna.

Pod okiem Enjolrasa — bo Mariusz nie zwracał już na nic uwagi — powstańcy wykorzystali noc. Nie tylko naprawili, ale powiększyli barykadę. Podwyższyli ją o dwie stopy. Żelazne sztaby, wetknięte między kamienie, wyglądały jak lance nastawione na sztorc. Poznoszono zewsząd wszelkiego rodzaju rupiecie i barykada zewnątrz sprawiała wrażenie jeszcze większego chaosu. Reduta została misternie obmurowana od wewnątrz, a najeżona na zewnątrz.

Naprawiono także kamienne schody, po których można było wejść na nią jak na mur cytadeli.

Barykada została uporządkowana, izba na parterze wyprzątnięta, kuchnia zajęta na szpital, ranni opatrzeni, rozsypany proch pozbierany, kule odlane, naboje sfabrykowane, szarpie naskubane, porzucona broń rozdana, wewnątrz reduty wyczyszczone, śmieci uprzątnięte, trupy wyniesione.

Zabitych złożono na stos w uliczce Zakręt, którą powstańcy wciąż jeszcze trzymali w ręku. Przez długi czas bruk w tym miejscu pozostał czerwony. Wśród poległych było czterech gwardzistów gwardii narodowej z przedmieścia. Enjolras kazał odłożyć na bok ich mundury.

Enjolras poradził także przespać się ze dwie godziny. Rada Enjolrasa była rozkazem. Jednakże kilku zaledwie powstańców usłuchało jej. Feuilly zużył te dwie godziny na wykucie napisu w murze naprzeciw szynku:

NIECH ŻYJĄ LUDY

Te. trzy słowa, wryte w kamieniu gwoździem, widniały na tej ścianie jeszcze w roku 1848.

Trzy mieszkanki „Koryntu” skorzystały z nocnej przerwy, aby zniknąć na dobre; powstańcy odetchnęli z ulgą. Zdołały znaleźć schronienie w jednym z sąsiednich domów.



Większość rannych mogła i chciała jeszcze walczyć. W kuchni, zamienionej na ambulans, na pościeli z materaców i wiązek *słomy*, leżało pięciu ciężko rannych, wśród nich dwóch miejskich gwardzistów. Opatrzono ich przed innymi.

W izbie na parterze został tylko pan Mabeuf pod czarnym całunem i Javert przywiązany do słupa.

— Tutaj jest sala umarłych — rzekł Enjolras.

W izbie tej, słabo oświetlonej łójówką, stół z nieboszczykiem był umieszczony w głębi w poprzek słupa, tak że stojący Javert i leżący Mabeuf tworzyli coś w rodzaju Wielkiego krzyża. Dyszel omnibusa, choć strzaskany przez kule, sterczał jeszcze w górę i można było zawiesić na nim chorągiew.

Enjolras, który miał tę cechę wodza, że wykonywał zawsze to, co powiedział, przywiązał do tego drzewca podziurawiony kulami i skrwawiony surdut zabitego starca.

Nie było już nic do jedzenia. Ani chleba, ani mięsa. Pięćdziesięciu ludzi z barykady w ciągu szesnastu godzin wyczerpało do cna szczupłe zapasy gospody. Dla każdej barykady, która się trzyma, nadchodzi nieuchronnie moment, kiedy staje się tratwą „Meduzy”. Trzeba było pogodzić się z głodem. Wstawał spartański dzień 6 czerwca, kiedy to na barykadzie Saint-Merry Jeanne otoczony przez powstańców domagających się chleba odpowiadał tym wszystkim bojownikom woła jącym „Jeść!": „Jeść? Po co? Jest trzecia. O czwartej już nie będziemy żyli!”

Ponieważ nie było nic do jedzenia, Enjolras nie pozwolił pić. Zupelnie zabronił wina i wydzielił porcje Wódki.

W piwinicy znaleziono piętnaście pełnych butelek, szczelnie zalakowanych. Enjolras i Combeferre obejrzel je. Combeferre wracając na górę powiedział:

— To stare zapasy ojca Hucheloup, który był niegdyś kupcem korzennym.

— To musi być uczciwe winko — rzekł Bossuet. — Całe szczęście, że Grantaire śpi. Gdyby był na nogach, mielibyśmy trudności z ocaleniem tych butelek.

Mimo szemrania powstańców Enjolras postawił również *veto* co do tych piętnastu butelek i żeby nikt ich nie tknął, kazał ustawić je niczym jakąś świętość pod stołem, na którym spoczywał ojciec Mabeuf.

Około drugiej nad ranem powstańcy policzyli się. Było ich jeszcze trzydziestu siedmiu.

Wstawał świt. Zgaszono pochodnię, którą ustawiono z powrotem w kamiennej wnęce. Wnętrze barykady, rodzaj niewielkiego podwórka wykrojonego z ulicy, zalegał gęsty mrok, w posępnej szarości brzasku wyglądało to jak pokład tonącego okrętu. Poruszały się na nim czarne sylwetki walczących. Nad tym straszliwym gniazdem cienia rysowały się blado piętra milczących domów; w górze już białąły kominy. Niebo miało uroczą, nieokreśloną barwę, ni to białą, ni to niebieską. Ptaki przelatywały z radosnym świergotem. Na dachu wysokiego, zwróconego ku wschodów domu w głębi barykady kładł się różowy odbłask. W okienku na trzecim piętrze poranny wietrzyk rozwiewał siwe włosy zabitego mężczyzny.

— Cieszę się, że pochodnia już zgaszona.— odezwał się Coturfeyrac eto Feuilly'ego. — Złościł mnie jej płomień chybotający na wietrze. Wyglądało to, jakby się bała. Światło pochodni podobne jest do mądrości ludzi tchórzliwych: kiepsko oświeca, bo drży.

Jutrzenka budzi i ptaki, i myśli; wszyscy zaczęli -rozmawiać. Joly, widząc kota spacerującego po rynnie, filozofował na jego temat.

— Co to jest kot? — mówił. —. To poprawka. Pan Bóg, stworzywszy mysz, powiedział Bobie: „Oho palnąłem głupstwo!” I stworzył kota. Kot to korekta myszy. Mysz i kot to przejrzana i poprawiona odbitka dzieła stworzenia.

Combeferre w kole studentów i robotników mówił o poległych, o Janie Prouvaire, Bahorelu, o panu Mabeuf, nawet o Le Calbucu; mówił też o surowym smutku Enjolrasa:

— Harmodiusz i Arystogiton , Brutus, Kassiusz Chaerea , Stephanus, Cromwell, Charlotte Corday , Sand , każdy z tych ludzi po zamachu przeżywał chwile udręki. Serce nasze jest tak czułe, życie ludzkie jest taką tajemnicą, że nawet wtedy, gdy zabójstwo jest czynem obywatelskim czy wyzwalającym — jeśli zabójstwo może nim być — wyrzut sumienia z powodu podniesienia ręki na człowieka żywszy jest niż radość z zasługi wobec ludzkości.

W chwilę później — tok gawędy często biegnie zygzakiem — od wierszy Jana Prouvaire Combeferre przeszedł do porównywania tłumaczy *Georgik, Raux*

Cournanda , Cournanda i Delille'a , wymienił też pewne ustępy tłumaczone przez Malfilatre'a , a szczególnie ten o cudach towarzyszących śmierci Cezara; od Cezara rozmowa znowu wróciła do Brutusa.

— Cezar — mówił Combeferre — słusznie zginął. Cycero jest względem niego surowy, i ma rację. Surowość jego nie ma w sobie nic z paszkwilu. W napaściach Zoila na Homera, Mariusza na Wergilego, Visego na Moliera, Pope'a

na Szekspira czy Frerona na Woltera działa odwieczne prawo zazdrości i nienawiści; geniusze przyciągają zniewagi, wielcy ludzie zawsze są mniej lub więcej oszczeni. Ale Zoil to zupełnie co innego niż Cyncero. Cyncero domaga się sprawiedliwości myślą — podobnie jak Brutus domaga się/sprawiedliwości mieczem. Co do mnie, to potępiam tę drugą sprawiedliwość — miecz; ale starożytność ją uznawała. Cezar, pogwałciciel Rubikonu, który rozdawał godności, jakby pochodziły one od niego, a nie od ludu, który nie wstawał podczas wejścia do senatu — postępował — powiada Eutropas — jak król, niemal nawet jak tyran — *regia ac poene tyrannica*. Był wielkim człowiekiem; tym gorzej albo tym lepiej; tym dobitniejsza płynie z tego nauka. Dwadzieścia trzy rany Cezara mniej mnie wzruszają niż oplwane czoło Jezusa. Cezara zaszyli senatorowie; Jezusa policzkowali pachołcy. Im większa zniewaga, tym wyraźniej występuje boskość.

Bossuet, który stojąc z karabinem w ręku na stosie kamieni, górował nad rozmawiającymi, wykrzykiwał:

— O Cydathenaeum, Myrrinusie! Probalinto! O Gracie Eantydzie! Ach, któż sprawi," żebym mógł deklamować wiersze Homera jak Grek z Laurium lub Edapteonu!

## ROZDZIAŁ III

### PRZEJAŚNIENIA I ZAĆMIENIA

Enjolras poszedł na zwiady. Wyszedł przez uliczkę Zakręt, przemykając się wzdłuż domów.

Powstańcy — stwierdźmy to — byli pełni nadziei. Łatwość, z jaką odparli szturm nocny, sprawiła, że już niemal lekceważyli atak, który miał nastąpić o świcie. Czekali na niego z uśmiechem. Wierzył w swój sukces, podobnie jak wierzyli w swoją sprawę. Na pewno zresztą otrzymają posiłki. Liczyli na nie. Z ową skłonnością do wróżenia zwycięstwa, która stanowi wielką siłę walczącego Francuza, dzielili nadchodzący dzień na trzy z góry ustalone okresy: o szóstej rano pułk, który „urobili” przejdzie na ich stronę; w południe — w całym Paryżu wybuchnie powstanie; o zachodzie słońca — rewolucja.

Słychać było dzwon od Saint-Merry; od wczorajszego dnia nie zamilkł ani na chwilę; dowodziło to, że . inna barykada — ta wielka, dowodzona przez Jeanne'a — trzyma się ciągle.

Grupki powstańców wymieniały między sobą te pełne nadziei wieści ożywionym, groźnym szeptem, podobnym do brzęku rozgniewanych pszczoł w ulu.

Nadszedł Enjolras. Powracał z posępnej, orlej wyprawy w ciemności zewnętrzne. Ze skrzyżowanymi ramionami i ręką na ustach przysłuchiwał się przez chwilę tej wesolej wrzawie. Po czym, różowy i świeży we wzrastającej jasności poranka, rzekł:

— Cały garnizon paryska naciera. Trzecia część tego wojska oblega barykadę, na której jesteście. Prócz tego gwardia narodowa. Poznałem czaka piątego pułku liniowego i proporczyki szóstej legii. Za godzinę zostaniecie zaatakowani. Lud burzył się wczoraj, ale dziś już się nie rusza. Nie ma czego oczekiwać, nie ma się czego spodziewać. Ani przedmieścia, ani pułku. Jesteście opuszczeni.

Słowa te padły w gwar rozmów i podziały na powstańców tak, jak na rój pszczoł działa pierwsza kropla ulewy. Wszyscy zaniemówili. Nastąpiła chwila tak niezwykłej ciszy, że można było usłyszeć przelatującą śmierć.

Chwila ta trwała krótko.

Z najdalszej grupy jakiś głos krzyknął do Enjolrasa:

— Niech i tak będzie. Wznieśmy barykadę na dwadzieścia stóp i wszyscy tu zostaniemy. Obywatele! Niech nasze trupy będą naszym protestem! Pokażmy, że chociaż lud porzuca republikanów, republikanie nie porzucą ludu!

Te słowa wywodziły wspólną myśl z ciężkiej chmury osobistych niepokojów. Przyjęto je z entuzjazmem.

Nie dowiedziano się nigdy nazwiska człowieka, który powiedział te słowa: był to jakiś nieznany robotnik, bezimienny, zapomniany, bohaterski przechodzień, ów wielki anonim, zawsze obecny w przełomowych chwilach ludzkości przy narodzinach nowych społeczeństw, który w decydującej chwili wypowiada ostatecznie, rozstrzygające słowo i znika w ciemnościach, on, który przez minutę w świetle błyskawicy reprezentował lud i Boga.

To nieubłagane postanowienie unosiło się chyba w powietrzu dnia 6 czerwca 1832 roku, bo o tej samej prawie godzinie na barykadzie Saint-Merry powstańcy wzniesli okrzyk, który przeszedł do historii i został wciągnięty do protokołów sądowych: „Wszystko jedno, czy nadejdzie pomoc, czy nie! Zgińmy tu do ostatniego!”

Widać z tego, że obie barykady, choć materialnie oddzielone, miały przecież łączność ze sobą.

## ROZDZIAŁ IV

### O PIĘCIU MNIEJ, O JEDNEGO WIĘCEJ

Kiedy człowiek, który zadeklarował protest trupów, wypowiedział i ujął w słowa ogólny stan ducha, ze wszystkich ust dobył się okrzyk dziwnie radosny i straszliwy, żałobny w treści, triumfalny w tonie:

— Niech żyje śmierć! Zostańmy tu wszyscy. — Dlaczego wszyscy? — zapytał Enjolras. — Wszyscy! Wszyscy!

Enjolras mówił dalej:

— Pozycja jest dobra, barykada piękna. Trzydziestu ludzi wystarczy. Po co poświęcać czterdziestu?

Odpowiedzieli:

— Bo żaden nie zechce stąd odejść.

— Obywatele! — zawołał Enjolras, a w głosie jego brzmiała prawie nuta gniewu. — Republika nie jest dość zasobna w ludzi, żeby nimi szafować bez potrzeby. Szukanie czczej sławy to rozrzutność. Jeśli niektórym z was obowiązek każe stąd odejść, obowiązek ten powinien być spełniony jak każdy inny.

Enjolras — uosobienie zasad — miał nad swymi współwyznawcami ideału przemożną władzę, która wypływa z absolutu. A przecież mimo tej wszechmocy rozległy się szept.

Słyszając szemrania, Enjolras, wódz w każdym calu, tym siłniej zaczął nalegać. Rzekł wyniośle:

— Ci, co się boją, że zostanie nas tylko trzydziestu, niech to głośno powiedzą.

Szemranie wzrosło.

— Łatwo to powiedzieć: odejść! — zauważył ktoś z gromady. — Barykada jest otoczona.

— Nie od strony Hal — rzekł Enjolras. — Ulica Zakręt jest wolna i przez ulicę Dominikańską można dostać się na plac Młodzianków.

— I tam wpaść! — odpowiedział inny głos z tłumu. — Jakiś patrol żołnierzy albo

gwardzistów zobaczy przechodzącego człowieka w bluzie i kaszkiecie. „Skąd idziesz? Czy nie z barykady?” Obejrzą ci ręce. Pachniesz prochem. Kulika w łeb.

Enjolras bez słowa odpowiedzi dotknął ramienia Combeferre'a i obaj weszli do izby.

Po chwili wrócili. Enjolras trzymał w rękach cztery mundury, które kazał schować. Combeferre niósł za nim lederwerki i czaka.

— W tych mundurach — powiedział Enjolras — można wmieszać się w szeregi i uniknąć. Jest tego dla czterech.

I rzucił cztery mundury na ziemię odartą z bruku.

Nikt się nie poruszył w tym stoickim audytorium. Combeferre zabrał głos:

— Moi drodzy — rzekł. — Miejcie trochę litości. Wiecie, o kogo tu chodzi? O kobiety. Posłuchajcie. Czyż nie ma kobiet? I dzieci? Czyż nie ma matek kołyszących niemowlęta i otoczonych gromadką drobiazgu? Niech ten z was, który nigdy nie widział piersi karmicielki, podniesie rękę. Chcecie zginąć — ja także chcę zginąć tutaj, ale nie chcę, żeby dokoła mnie widma kobiet łamały ręce z rozpacz. Umierajcie, zgoda, ale nie skazujcie na zgubę innych! Takie samobójstwa jak to, które się tu dokona, są Wzniosłe, ale samobójstwo ma ściśle ograniczony zakres i nie można go rozszerzać, z chwilą bowiem kiedy dosięga naszych bliskich, samobójstwo staje się morderstwem. Pomyślcie o drobnych jasnych główkach, pomyślcie o siwych włosach. Słuchajcie, Enjolras opowiadał mi, że widział przed chwilą na rogu ulicy Łabędziej oświetlone okno na piątym piętrze i drżący na szybie cień staruszki, która musiała spędzić całą noc na oczekiwaniu. Może to matka któregoś z was? Niechże więc ten odejdzie, niech spieszy powiedzieć jej: „Matko, jestem!” Niech będzie spokojny! I bez niego zrobi się tu, co należy. Kto swoją pracą utrzymuje rodzinę, nie ma prawa poświęcać życia. Byłaby to dezercja. A ci, co mają córki? Siostry? Czy pomyśleliście o nich? Zabijają was, polegliście, dobrze, a co będzie jutro? Młode dziewczęta bez chleba — to straszne! Mężczyzna żebrze, kobieta sprzedaje się. Ach, te urocze istoty, powabne i słodkie, z kwiatami wpiętymi we włosy, istoty, które nuca, szczebioczą i przepajają cały dom blaskiem swojej niewinności, które są jak gdyby żywą wonią i swoją dziewiczą czystością dowodzą na ziemi istnienia aniołów w niebie, te Joasie, Elżunie, Manusie, piękne i zalotne dziewczęta, wasze błogosławieństwo i wasza дума — mój Boże! będą cierpiały głód! Cóż wam więcej powiedzieć? Istnieje handel ciałem ludzkim i nie obronicie przed nim swoich dziewcząt drżącymi dłońmi cieni. Pomyślcie o ulicy, o chodnikach, zatłoczonych przechodniami, o sklepach, przed którymi krążą wydekoltowane, skalane kobiety. One też były niegdyś czyste. Ci, którzy mają

siostry, niech o nich pomyślą. Nędza, prostytutka, policja, więzienie Św. Łazarza, oto, dokąd się stoczą delikatne, śliczne- dziewczęta, subtelne cuda wstydlivosti, Wdzięku i urody, świeższe niż bzy majowe. Ach! Wy poległście, nie ma was! Dobrze! Chcieliście wyzwolić lud od monarchii, rzuciliście wasze córki na łup policji. Przyjaciele, zastanówcie się, miejcie litość! Niewiele myśli się zazwyczaj o kobietach, o biednych kobietach! Liczy się na to, że kobiety „nie mają takiego wykształcenia jak mężczyźni, zabrania im się czytać, myśleć, zajmować polityką; czy zabronicie im jutro wieczorem biec do kostnicy, żeby rozpoznać wasze zwłoki? Tak, ci, co mają rodziny, miech będą rozsądni, niech uściskną nam ręce i odejdą stąd, a zostawią nas tu samych z naszą robotą. Wiem, że nie łatwo odejść, trzeba na to prawdziwej odwagi, ale im większa trudność, tym większa zasługa. Powiadacie: „Mam strzelbę w garści, stoję na barykadzie, ano, trudno, zostaję!” Trudno! — To się tak mówi. Nadejdzie jutro, wy go nie zobaczycie, przyjaciele, ale rodziny wasze je zobaczą. Ileż cierpień je czeka! Czy wiecie, co się dzieje z dzieckiem zdrowym, różowym i jędrnym jak jabłuszko, które gaworzy, szczebiocze i śmieje się wesoło? Czy wiecie, co się z nim dzieje, kiedy jest opuszczone? Widziałem takiego malca: ledwo to od ziemi odrosło. Ojciec mu umarł. Przygarnęli go z litości jacyś biedacy, którzy sami nie mieli chleba. Było to zimą. Dzieciak był wiecznie głodny. Nie płakał. Podchodził do pieca, na którym nigdy nie było ognia, wyskubywał paluszkami grudki żółtej gliny, którą, jak wiecie, rura jest zawsze oblepiona, i zjadał je. Oddech miał chrapliwy, twarz siną, zwiotczałe nogi, rozdęty brzuch. Nie odzywał się wcale, nie odpowiadał, kiedy ktoś zwracał się do niego. I umarł. Przyniesiono go do szpitala Neckera, aby tam umarł. Tam właśnie go zobaczyłem. Byłem wtedy na praktyce lekarskiej w tym szpitalu. A *teraz*, jeśli między wami są ojcowie szczęśliwi, kiedy idą w niedzielę na spacer 'trzymając w spracowanej, szerokiej dłoni małą rączkę swojego dziecka, niechże sobie wyobrażą to swoje dziecko na miejscu tamtego malca. Pamiętam tego biednego bąka; mam go w oczach, kiedy leżał nagi na sekcyjnym stole, a żebra sterczały mu spod skóry, jak mogiłki spod cmentarnej darni. W żołądku tego dziecka znaleziono coś w rodzaju błota. W zębach — popiół. Nuże, zajrzyjmy do swego sumienia, poradźmy się swego serca. Statystyki stwierdzają, że śmiertelność wśród opuszczonych dzieci wynosi pięćdziesiąt pięć procent. Powtarzam: chodzi o żony, o matki, o dziewczęta, o drobne dzieci. Czyż o was mówię? Wiadomo, kim jesteście. Wiadomo, żeście odważni, do kroćset! że każdy z was z radością i dumą w duszy odda życie za wielką sprawę; że każdy z was czuje się powołany, by zginąć z pożytkiem i chwałą, że każdemu drogi jest udział w triumfie! Wiemy to wszyscy! Doskonale! Ale nie jesteście sami na świecie. Są inni, o których trzeba pomyśleć. Nie bądźmy samolubni!

Wszyscy ponuro spuścili głowy.

Dziwne są sprzeczności ludzkiego serca w chwilach jego najwyższych wzlotów.



Combeferre, który tak mówił, sam nie był sierotą. Pamiętał o innych matkach, zapomniał o swojej. Szedł ma śmierć. Był „samo lubny”.

Mariusz, trawiony głodem i gorączką, wyzbywszy się kolejno wszystkich nadziei, wydany na łup cierpienia, tej najtragiczniejszej z katastrof, przeżywszy zbyt wiele wzruszeń i świadom bliskiego końca, pogrążał się coraz bardziej w pełnym wizyj otępieniu, które zawsze poprzedza chwilę fatalną i dobrowolnie przyjętą.

Fizjolog mógłby studiować na nim coraz wyraźniejsze objawy gorączkowego zatapiania się w sobie, znanego i sklasyfikowanego przez naukę, które tym jest w stosunku do cierpienia, czym rozkosz jest w stosunku do przyjemności. Rozpacz ma również swoją ekstazę. W takim właśnie stanie znajdował się Mariusz. Brał udział we wszystkim, jakby stojąc z boku; mówiliśmy już, że wydarzenia, które się wokół niego działy, wydawały mu się odległe: ogarniał całość, lecz nie dostrzegał szczegółów. Jak przez ognistą zasłonę widział poruszających się powstańców; słyszał głosy jak gdyby wydobywające się z przepaści.

Jednakże ta scena go wzruszyła. Było w niej coś, co dosięgło go swoim ostrzem i zbudziło. Miał już tylko jedno pragnienie: umrzeć, i unikał wszystkiego, co by go mogło od tej myśli oderwać; w tym grobowym półśnie pomyślał, że ginąc, wolno mu przecież kogoś ocalić. Powiedział więc głośno:

— Ehjolas i Combeferre mają rację; nie można dopuścić do niepotrzebnych ofiar. Podzielam ich zdanie. Pospieszcie się. Combeferre podał wam powody decydujące. Są między nami tacy, którzy mają rodzinę, matki, siostry, żony, dzieci. Ci niech wystąpią z szeregów!

Nikt się nie ruszył.

— Żonaci oraz żywicieli rodzin — wyjść z szeregu! — powtórzył Mariusz.

Cieszył się tu wielkim autorytetem. Enjolras był dowódcą barykady, ale Mariusz był jej wybawcą.

— Rozkazuję! — krzyknął Enjolras. — Proszę was o to — rzekł Mariusz.

Wówczas, wstrząśnięci słowami Combeferre'a, zachwiani rozkazem Enjolrasa, wzruszeni prośbą Mariusza, ci bohaterscy ludzie zaczęli się nawzajem wydawać. — Racja! — mówił jakiś młody chłopak do dojrzałego mężczyzny. — Ty jesteś ojcem rodziny. Idź!

— To raczej ty — odpowiedział tamten. — Utrzymujesz dwie siostry.

I wybuchła niezwykła walka. Nikt nie chciał dać się wypędzić z przedsiönka grobu.

— Spieszmy się — rzekł Courfeyrac. — Za kwadrans będzie już za późno.

— Obywatele! — ciągnął Enjolras. — Mamy tu republikę i obowiązuje nas głosowanie powszechne. Wskażcie sami tych, którzy powinni odejść

Usłuchano go. Po kilku minutach pięciu ludzi, jednomyślnie wybranych, wystąpiło z szeregu.

— Jest ich pięciu! — zawołał Mariusz. Mieli tylko cztery mundury.

— Ha! cóż! — odparli tamci. — Jeden z nas musi zostać. I znowu każdy chciał zostać, przekonując innych o konieczności odejścia. Wielkoduszna kłótnia wybuchła na nowo.

„Ty masz kochającą żonę.” — „Ty masz starą matkę.” — „A ty nie masz już ojca ani matki, co się stanie z twoimi trzema małymi braćmi?” — „Ty masz pięcioro dzieci.” — „Ty powinienesz żyć, masz siedemnaście lat, za Wcześnie ci ginąć!”

Na tych wielkich barykadach rewolucyjnych wyznaczyły sobie spotkanie wszelkie bohaterstwa. Niezwykłe było tu rzeczą zwykłą. Nikt w nikim nie budził podziwu.

— Spieszcie się! — powtarzał Courfeyrac. Ktoś z szeregów zawołał do Mariusza:

— Niech pan wybiera, który ma zostać.

— Tak — powtórzyło tych pięciu. — Niech pan wybiera! Usłuchamy.

Mariusz sądził, że jest już niezdolny do żadnego wzruszenia. A przecież na myśl, że ma wybrać na śmierć człowieka, poczuł, że cała krew spływa mu do serca. Zbladłby, gdyby mógł jeszcze bardziej zblednąć.

Podszedł ku tym pięciu, którzy się do niego uśmiechali i wołali jeden przez drugiego z tym wspaniałym ogniem w oczach, który poprzez wieki historii goreje nad Termopilami: — Ja! Ja! Ja!

Mariusz policzył ich bezmyślnie; tak, było ich ciągle pięciu! Po czym spuścił wzrok na cztery mundury.

W tej właśnie chwili spadł jak z nieba piąty mundur.

Piąty człowiek był ocalony.

Mariusz podniósł oczy i poznał pana Fauchelevant. Jan Valjean wszedł na barykadę.

Czy to zasięgnąwszy informacji, czy też instynktownie, a może przypadkiem przyszedł przez uliczkę Zakret. Miał na sobie mundur gwardii narodowej, dzięki czemu szedł bez przeszkód. Powstaniec stojący na warcie w uliczce nie wszczywał alarmu na widok samotnego gwardzisty. Pozwolił mu przejść, myśląc, że zapewne chce przystać do powstańców, a w najgorszym razie zostanie jeńcem. Chwila była zbyt poważna, aby wartownik *mógł* zaniedbać swoich obowiązków i zejść ze stanowiska.

Nikt nie zauważył Jana Valjean wchodzącego do reduty, wszystkie oczy utkwione były w pięciu wybranych i cztery mundury. Ale Jan Valjean widział i słyszał wszystko, toteż zdjął po cichu mundur i rzucił go na stos innych.

Wśród powstańców zapanowało nie dające się opisać poruszenie.

— Co to za człowiek? — zapytał Bossuet.

— To człowiek, który ocala innych — odpowiedział Combeferre.

Mariusz rzekł z powagą w głosie:

— Znam go.

Ta rekomendacja wystarczyła wszystkim." Enjolras zwrócił się do Jana Valjean mówiąc:

— Witaj nam, obywatelu. . Po czym dodał:

— Wiesz, że czeka nas śmierć.

Bez, słowa odpowiedzi Jan Valjean pomógł włożyć swój mundur powstańcowi, którego ocalił.

## ROZDZIAŁ V

### JAKIE HORYZONTY OTWIERAJĄ SIĘ ZE SZCZYTU BARYKADY

Sytuacja ogólna w tej tragicznej godzinie i w tym opuszczonym przez litość miejscu znalazła wyraz i punkt szczytowy w głębokiej melancholii Enjolrasa.

Enjolras uosabiał pełnię rewolucji; miał jednak pewne braki, o ile absolut może mieć braki. Zbyt wiele wziął cech z Saint -Juista , a za mało z Anacharsisa Clootsa ; jednakże w Towarzystwie Przyjaciół Abecadła umysł jego uległ w pewnym stopniu magnetycznemu przyciąganiu idei Combeferre'a, o: d jakiegoś czasu Enjolras zaczął powoli wychodzić poza ciasne ramy dogmatu, pogodził się z rozszerzeniem pojęcia postępu i uznał za formę ostatecznej i wspaniałej ewolucji przemianą wielkiej republiki francuskiej w olbrzymią republikę ludzkości. W bezpośrednim działaniu był zwolennikiem gwałtownych środków, gdyż tego wymagała sytuacja; pod tym względem nie zmienił się i pozostał wierny owej epickiej, groźnej szkole, którą określa jedno słowo: rok dziewięćdziesiąty trzeci.

Stał na kamieniach ułożonych w stopnie, opierając się łokciem na lufie karabinu. Rozmyślał; chwilami drżał, jakby przenikał go jakiś podmuch; przez miejsca, w których jest śmierć, przebiegają takie prorocze tchnienia. Ze źrenic jego, zapatrzonych w głąb, tryskały jakieś tłumione ognie. Nagle podniósł głowę; jasne włosy opadły mu do tyłu, jak u anioła powożącego ponurą kwadrygą gwiazd, i wyglądały niby lwia grzywa zjeżona grozą w płomienną aureolę. Enjolras zawołał:

— Obywatele! Czy wyobrażacie sobie przyszłość? Ulice miast skąpane w blasku, zielone gałęzie na progach, zbratane narody, ludzie sprawiedliwi, starcy błogostawiający dzieci, przeszłość w zgodzie z terażniejszością, myśliciele korzystający z pełnej swobody, ludzie wierzący — z pełnej równości, zamiast religii — niebo, Bóg jedynym kapłanem, sumienie ludzkie ołtarzem, kres wszelkich nienawiści, zbratanie warsztatu i szkoły, kara i' nagroda sprowadzone do pulMicfenej nagany i publicznej pochwały; praca dla wszystkich, dla wszystkich prawo, nad wszystkimi pokój, koniec rozlewów krwi, koniec wojen! Szczęśliwe matki!. "Ujarzmienie materii to pierwszy krok; drugi — to urzeczywistnienie ideału. Pomyślcie, czego już dokonał postępn! Niegdyś pierwotne plemiona., drżały z lęku na widok hydry ziejącej swoim tchnieniem na wody, smoka rzygającego ogniem i latającego gryfa — tego powietrznego potwora o skrzydłach orła i szponach tygrysa; te przerażające bestie panowały nad człowiekiem. Człowiek zastawił jednak swoje sidła, święte sidła rozumu, i wreszcie schwycił potwory.

Poskromiliśmy hydrę i dziś zwie się ona statkiem parowym, poskromiliśmy smoka i dziś zwie się on parowozem; niebawem poskromimy gryfa, już mamy go w rękę; nazywa się balonem. W dzień kiedy zostanie dokonane to prometejskie dzieło i człowiek założy jarzmo potrójnej Chimerze starożytności: hydrze, smokowi i gryfowi, stanie się on panem wody, ognia i powietrza, a dla reszty żywego stworzenia będzie tym, czym dla niego byli' niegdyś dawni bogowie. Odwagi i naprzód! Obywatele, do czego zdążamy? Do tego, aby wiedza objęła rządy, aby siła faktów stała się jedyną publiczną siłą, aby prawo naturalne, zawierające w sobie sankcje i kary, dekretowała sama oczywistość, aby wstał świt prawdy niby świt dnia. Zdążamy do braterskiego związku ludów: zdążamy do zrównania wszystkich ludzi. Koniec fikcjom, koniec pasożytom! Rzeczywistość rządzona przez prawdę — oto cel. Cywilizacja obradować będzie na szczycie Europy, a później pośrodku wszystkich kontynentów, w wielkim parlamencie rozumu. Coś podobnego istniało już w dziejach. Amfiktonie zbierały się dwa razy do roku, raz w Delfach, stolicy bogów, a drugi raz w Termopilach, stolicy bohaterów. Europa będzie 'miała swoje amfiktonie, cała ziemia będzie miała swoje amfiktonie. Francja nosi w swoim łonie tę wspaniałą przyszłość. Niałbrzemienny jest wiek dziewiętnasty. Dzieło zapoczątkowane przez Grecję godne jest tego, by ukończyła je Francja. Posłuchaj mnie, Feuilly, dzielny robotniku, synu ludu, synu ludów! Czczę ciebie. Tak, ty jasno widzisz przyszłe czasy, tak, ty masz słuszność! Nie miałeś ojca ani matki; za matkę uznałeś więc ludzkość, za ojca — prawo. Czeką cię tu śmierć, czyli triumf. Obywatele, cokolwiek dziś się stanie, przegrywając czy też odnosząc zwycięstwo -robimy rewolucję. Podobnie jak pożar zalewa swym światłem całe miasto, rewolucja zalewa swym światłem rodzaj ludzki. Jakiej rewolucji dokonamy? Mówiłem to przed' chwilą — rewolucji Prawdy. Z politycznego punktu widzenia istnieje jedna tylko zasada: suwerenna władza człowieka nad samym sobą. Ta najwyższa władza nad sobą, wykonywana przez siebie samego — nazywa się. Wolnością. Tam, gdzie łączą się dwie lub więcej takich suwerennych jednostek, zaczyna się państwo. Ale w tym połączeniu nie ma żadnego wyrzeczenia. Każda jednostka ustępuje pewną część swą suwerenności i tak tworzy się prawo powszechne. Część ta jest dla wszystkich jednakowa; ta jednakowość ustępstwa, które każdy robi na rzecz wszystkich, nazywa się Równością. Prawo powszechne to nic innego, jak wspólna ochrona praw każdej poszczególniej jednostki. Ta ochrona każdego przez wszystkich zwie się Braterstwem. Punkt przecięcia zespolonych suwerenności zwie się Społecznością. Ponieważ przecięcie to jest połączeniem, przeto punkt ów jest węzłem. Stąd to, co nazywa się: więź społeczna. Niektórzy nazywają to kontraktem społecznym, czyli umową społeczną, co *oznacza* to samo, gdyż słowo kontrakt etymologicznie łączy się z pojęciem więzów. Musimy uzgodnić znaczenie słowa: równość. Jeśli wolność jest wierzchołkiem, równość jest podstawą. Równość, obywateli, nie oznacza przycięcia roślinności do jednego poziomu, nieoznacza społeczeństwa wybujałych *żdźbeł* trawy i skarłałych

dębów ani sąsiedztwa naw!zajem trzebiących się zawiści; z obywatelskiego punktu widzenia znaczy to, że dla wszystkich zdolności te same drogi stoją otworem; z politycznego — że wszystkie głosy mają to samo znaczenie; z religijnego — że wszystkie przekonania mają te same prawa. Równość ma swój organ: bezpłatne, obowiązkowe nauczanie. Prawo do alfabetu — od tego trzeba zacząć! Obowiązek szkoły powszechnej dla wszystkich, dostęp do szkoły średniej dla wszystkich — oto jest prawo. Z jednakowej szkoły wychodzi jednakie społeczeństwo. Tak, nauczanie! Światło! Światło! Ze światła wszystko bierze swój początek, do niego wszystko powraca. Obywatele, dziewiętnasty wiek jest wielki, ale dwudziesty będzie szczęśliwy!. W niczym nie będzie podobny do dawnych dziejów; nie trzeba się będzie lękać — jak dzisiaj — podboju, najazdu, uzurpacji władzy, zbrojnej rywalizacji narodów, zahamowania rozwoju cywilizacji zależnej od małżeństwa królów, narodzin spadkobiercy w dziedzicznych tyraniach, rozbioru kraju przez kongres ani rozpadu państwa z powodu wygaśnięcia dynastii, walk dwóch religii ścierających się jak dwa kozły z cienia na moście nieskończoności; nie trzeba się będzie lękać głodu, wyzysku, prostytucji z nędzy, ubóstwa z bezrobocia, szafotu, miecza, bitew ani żadnych innych rozbojów przypadku w puszczy wydarzeń. Można by niemal powiedzieć: nie będzie wydarzeń. Zapanuje powszechna szczęśliwość. Rodzaj ludzki będzie posłuszny swojemu prawu, podobnie glob ziemski posłuszny jest swojemu; przywrócona zostanie harmonia między duszą a gwiazdą. Dusza będzie krążyła wokół prawdy jak gwiazda wokół światła. Przyjaciele, godzina, w której do was przemawiam, jest ponura; ale taka jest straszliwa cena przyszłości. Rewolucja to haracz. Ach, ludzkość będzie wyzwolona, pocieszona, dźwignięta wzwyż! Takie zapewnienie składowaliśmy z tej oto barykady. Skąd ma się wznieść głos miłości, jeśli nie z wyżyn poświęcenia? O bracia, tutaj łączą się ci, którzy myślą, i ci którzy cierpią; ta barykada nie jest zbudowana ani z kamieni, ani z beczek, ani z żelastwa; zbudowana jest z dwóch stosów — ze stosu idei i ze stosu cierpienia. Nędza spotyka się tu z ideałem. Dzień obejmuje uściskiem noc i mówi: „Umrę wraz z tobą, a ty odrodzisz się wraz ze mną. Z uścisku wszystkich niedoli wytryska wiara. Cierpienia przynoszą tu swoją agonię, idee — swoją nieśmiertelność. Ta agonía zespolona z tą nieśmiertelnością złoży się na naszą śmierć. Bracia, kto umiera tu, umiera w promieniach blasku przyszłości; zstępujemy do grobu rozjaśnionego jutrzenką.

Enjolras przerwał raczej, niż skończył przemawiać; . poruszał w milczeniu wargami, jak gdyby mówił jeszcze sam do siebie; i powstańcy wyęzając uwagę, aby nie stracić tych słów, wpatrywali się w niego. Nie było. oklasków, ale szepty rozlegały się długo. Słowo to . wiew; pulsowanie umysłów przypomina drżenie liści.

## ROZDZIAŁ VI

### MARIUSZ NIEPRZYTOMNY, JAVERT LAKONICZNY

Powiedzmy, co się działo w myślach Mariusza.

Przypomnijmy stan jego duszy. Mówiliśmy przed chwilą, że wszystko wydawało mu się już tylko majakiem. Umysł miał zamroczony. Wielkie mroczne skrzydła, które rozpościerają się nad konającymi, rzucały swój cień na Mariusza. Czuł, że już wszedł do grobu, miał wrażenie że stoi po tamtej stronie muru, i na twarze żyjących patrzył oczyma umarłego.

W jaki sposób dostał się tu pan Fauchelevant? Dlaczego przyszedł? Co zamierzał tu robić? Mariusz nie zadawał sobie tych pytań. Rozpacz nasza ma zresztą tę właściwość, że ogarniamy nią wszystko dokoła; wydawało mu się więc logiczne, że wszyscy szukają śmierci.

Tylko serce ścisnęło mu się na myśl o Kozecie.

Zresztą pan Fauchelevant nie odezwał się do niego słowem, nie spojrzał na niego i nawet zdawał się nie słyszeć jego głosu kiedy Mariusz powiedział: „Znam go.”

To zachowanie pana Fauchelevant sprawiło ulgę

Mariuszowi i gdyby można było użyć takiego słowa dla określenia takich wrażeń, powiedzielibyśmy, że mu się podobało. Czuł zawsze, że w żaden sposób nie potrafiłby przemówić do tego tajemniczego człowieka, który wydawał mu się zarazem i podejrzany, i imponujący. Ponadto nie widział go już od bardzo dawna, co naturom nieśmiałym i zamkniętym w sobie jak Mariusz jeszcze bardziej uniemożliwia rozmowę.

Pięciu wybranych opuściło barykadę przez uliczkę Zakręt był łudzaco podobni do gwardzistów narodowych. Jeden z nich płakał odchodząc. Przed odejściem uściskali tych, co zostawali.

Kiedy pięciu ludzi zwróconych życiu odeszło, Enjolras pomyślał o skazanym na śmierć. Wszedł do izby na parterze; Javert, przywiązany do słupa, dumiał.

— Potrzeba ci czego? — zapytał go Enjolras.

Javert odpowiedział:

— Kiedy mnie zabijecie?

Poczekaj! W tej chwili potrzebny nam jest każdy nabój.

— To dajcie mi pić— rzekł Javert.

Enjolras sam podał mu szklanekę wody, a że Javert był skrępowany, przytknął mu ją do ust.

— Czy to wszystko? — zapytał znowu Enjolras.

— Niewygodnie mi przy tym słupe — odparł Javert — Niezbyt czułe macie serca, żeby mnie tak zostawić przez całą noc. Zwiążcie mnie, jak chcecie:, ale możecie przecież położyć mnie na stole, jak tamtego.

I ruchem głowy wskazał na zwłoki pana Mabeuf.

Jak czytelnik pamięta, w głębi izby stał wielki, długi stół, na którym odlewano kule i robiono naboje. Wszystkie naboje zostały już zrobione i cały proch zużyty, stół był więc już pusty.

Na rozkaz Enjolrasa czterech powstańców odwiązało Javerta od słupa. Kiedy go odwiązywano, piąty trzymał bagnet przyłożony do jego piersi. Ręce miał wciąż skrępowane z tyłu, nogi zaś spętano mu postronkiem cienkim i mocnym, tak żeby mógł stąpać drobnymi krokami, jak człowiek idący na szafot. Zaprowadzono go tak w głąb izby do stołu, na którym go ułożono i mocno przywiązano w połowie ciała.

Oprócz całego systemu wiązań, uniemożliwiających wszelką ucieczkę, dla większej pewności zastosowano jeszcze węzeł zwany w więzieniach martyngałem: sznur biegnie od karku do brzucha, tu się krzyżuje i przeciągnięty między nogami wiązuje obie ręce.

Podczas gdy krępowano Javerta, jakiś mężczyzna stojący na progu przyglądał mu się ze szczególną uwagą. Na widok cienia padającego od tego człowieka Javert odwrócił głowę. Podniósł oczy i poznał Jana Val-jean. Nie drgnął nawet, dumnie opuścił powieki i powiedział tylko:

— Oczywiście!



## ROZDZIAŁ VII

### SYTUACJA STAJE SIĘ CORAZ POWAŻNIEJSZA

Rozwidniało się szybko. Ale żadne okno się nie otworzyło, nie uchylity się żadne drzwi. Był to świt, nie przebudzenie. Wspomnieliśmy już, że wojsko wycofało się z przeciwległego krańca ulicy Konopnej, która wydawała się wolna i otwierała się dla przechodniów ze złowieszczym spokojem. Ulica Św. Dionizego była niema jak aleja Sfinksów w Tebach. Ani żywej duszy na zalanych słońcem rogach. Jakże złowiszczy jest blask słoneczny na bezludnych ulicach! Puste były dla oczu, ale nie dla uszu. Z pewnej odległości dochodziły odgłosy tajemniczego ruchu. Nie ulegało wątpliwości, że nadchodzi krytyczna chwila. Podobnie jak poprzedniego wieczora, strażę wycofały się, ale tym razem wszystkie.

Barykada była mocniejsza niż w czasie pierwszego ataku. Po odejściu pięciu powstańców jeszcze ją podwyższono. Za radą wartownika, który obserwował okolice Hal, Enjolras, lękając się zaskoczenia od tyłu, powziął ważną decyzję. Kazał zabarykadować wolny dotąd, wąski przesmyk uliczki Zakręt. W tym celu zerwano bruk sprzed kilku jeszcze domów. Tak więc barykada, zamurowana z trzech stron: z przodu od Konopnej, z lewej strony od Łabędziej i Małej Żebraczej, a z prawej — od uliczki Zakręt, była rzeczywiście prawie nie do zdobycia; co prawda powstańcy byli w niej całkowicie zamknięci. Miała trzy fronty i ani jednego wyjścia.

— Forteca, ale i pułapka — powiedział ze śmiechem Courfeyrac.

Enjolras kazał ułożyć przy wejściu do gospody trzydzieści płyt z chodnika, „wyrwanych na zapas”, jak mówił Bossuet

W stronie, skąd należało spodziewać się ataku, panowała cisza tak głęboka, że Enjolras kazał wszystkim zająć stanowiska.

Każdy otrzymał rację wódki.

Nie ma nic ciekawszego nad wygląd barykady gotującej się do odparcia szturm. Każdy wybiera sobie miejsce, jak w teatrze. Każdy wynajduje, na czym by się oprzeć łokciem czy ramieniem. Niektórzy budują sobie rodzaj stalli z kamieni brukowych. Tu przeszkadza występ muru trzeba się stąd odsunąć; tam jakieś wgłębienie może zapewnić ochronę — trzeba się w nim schronić. Mańkuci są bardzo poszukiwani; zajmują miejsca niedogodne dla innych. Wielu tak się urządza, żeby walczyć siedząc. Każdy chciałby mieć swobodę ruchów

przy zabijaniu i wygodę przy umieraniu. Podczas tragicznej wojny w czerwcu 1848 roku pewien powstaniec, niezawodny strzelec, obrawszy stanowisko na tarasie płaskiego dachu kazał sobie tam przynieść wolterowski fotel; w nim dosięgła go kula.

Kiedy dowódca zarządza pogotowie bojowe, ustaje wszelki nieskoordynowany ruch; cichną scysje i rozmowy na uboczu; rozpraszają się grupki i grupy; wszystkie myśli zestrzelone w jeden punkt przemieniają się w oczekiwanie napastnika. Barykada, dopóki niebezpieczeństwo nie zagraża, to chaos; w niebezpieczeństwie to dyscyplina. Niebezpieczeństwo wprowadza ład. Kiedy Enjolras wziął swój karabin i stanął jak w strzelnicy przy szczelinie muru, którą zarezerwował sobie zawczasu — umilkli wszyscy. Wzdłuż kamiennego szańca rozległy się przytłumione, krótkie, suche trzaski. To nabijano broń. Wszyscy mieli postawę tak dumną i ufną jak nigdy; u szczytu poświęcenia duch krzepnie; powstańcy stracili już nadzieję, ale została im rozpacz. „Rozpacz — to ostatni oręż, który niekiedy zwycięża.” Tak powiedział Wergili. Desperacja bywa ratunkiem. Dobrowolnie rzucić się w odmęty śmierci to niekiedy uratować się od rozbicia; wieko trumny staje się deską ratunku.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru, Wszyscy wpatrywali się — można prawie powiedzieć — wpijali się oczyma w koniec ulicy, widoczny teraz w pełnym świetle dnia.

Oczekiwanie nie trwało długo. Od strony Saint-Leu zaczęły wyraźnie docierać ruchy wojska, nie przypominało to jednak w niczym przygotowań do pierwszego ataku. Brzęk łańcuchów, niepokojące dudnienie czegoś ciężkiego, dzwonienie metalu o bruk, coś w rodzaju uroczystego zgiełku zapowiadało, że zbliża się jakaś złowroga machina żelazna. Dreszcz wstrząsnął trzewiami tych spokojnych ulic przebitych i zbudowanych dla płodnej wymiany interesów i idei, a bynajmniej nie przygotowanych do turkotu potwornych kół wojny.

Żrenice powstańców wbite w przeciwległy kraniec ulicy nabrały wyrazu zaciętości.

Ukazało się działo.

Artylerzyści popychali armatę odprzodkowaną i narychtowaną do strzału; dwóch żołnierzy podtrzymywało lawetę; czterech pchało koła, kilku szło z tyłu ciągnąc jaszcz. Widać było dym zapalonego lontu.

— Ognia! — krzyknął Enjolras.

Cała barykada dała ognia, rozległ się straszliwy huk; tumany dymu spowiły i zasłoniły działo i żołnierzy; po kilku sekundach chmura rozwiąła się, armata i

żołnierze ukazali się na nowo; artylerzyści wolno, metodycznie, bez pośpiechu ustawiali ją naprzeciw barykady. Ani jeden nie został trafiony. Dowódca baterii siadł na lawecie armaty i regulował cel z powagą astronoma nastawiającego lunetę.

— Brawo, kanonierzy! — zawołał Bossuet. I cała barykada zaczęła klaskać.

Po chwili armata stała na samym środku ulicy, w poprzek rynsztoka, gotowa do strzału. Przed barykadą otwarła się potworna paszcza.

— Zaczyna się zabawa — rzekł Courfeyrac. — Ot i kolubryna. Dostaliśmy prztyczka w nos, teraz dostaniemy pałką w łeb. Wojsko wyciąga ku nam swoją wielką łapę. Barykada dostanie solidne cięgi... Ogień karabinowy maca, armatni uderza.

— To ośmioletka, najnowszy model ze spiżu — objaśnił Combeferre. — Jeżeli ilość cyny przekroczy dziesięć procent w stosunku do ilości miedzi, działa te rozsada wybuch. Nadmiar cyny sprawia, że są niewytrzymałe; w otworze zapalnym tworzą się wżery i wydęcia. Aby uniknąć tego niebezpieczeństwa, a zwiększyć siłę ładunku, trzeba by może powrócić do dawnych sposobów stosowanych w czternastym wieku: działo opasywano obręczami i skuwano stalowymi, nielutowanymi pierścieniami, od tyłców aż do wylotu. Na razie radzi się złu, jak się da. Miejsca, gdzie się potworzyły wżery, można rozpoznać przy pomocy wycieru. Ale istnieje lepszy sposób, a mianowicie przyrząd zwany ruchomą gwiazdą Gribeauvala .

— W szesnastym wieku gwintowano działa — zauważył Bossuet.

— Tak — odpowiedział Combeferre. — To powiększa zasięg, ale zmniejsza celność strzału. Poza tym w strzelaniu na bliską odległość krzywa pocisku jest nazbyt stroma, parabola nadmiernie się wygina, tor kuli nie jest dość prosty, żeby mogła trafiać wszystkie obiekty, jakie są na jej drodze, a to jest przecież konieczne podczas bitwy i staje się coraz ważniejsze w miarę zbliżania się nieprzyjaciela i potrzeby szybkiego strzelania. Wadliwość krzywej pocisku armat szesnastowiecznych wynikała z małej siły ładunku; ta zaś podyktowana jest w tego rodzaju machinach prawami balistyki, a w szczególności koniecznością oszczędzania łożyska.

Jednym słowem, armata — ta despotka — nie może robić wszystkiego, co chce. Siła jest wielką słabością! Pocisk armatni leci z szybkością zaledwie sześciuset mil na godzinę; a światło przebiega siedemdziesiąt tysięcy mil na sekundę. Oto wyższość Chrystusa nad Napoleonem!

— Nabić broń! — rzekł Enjolras.

Jak barykada wytrzyma strzał armatni? Czy pocisk zrobi w niej wyłom?

To był najważniejszy problem. Podczas gdy powstańcy ponownie nabijali broń, kanonierzy ładowali działo. Redutę ogarnęła trwoga. Działo wypaliło, rozległ się potężny huk.

— Jestem! — zawołał wesoły głos.

I równocześnie z armatnią kulą Gavroche wpadł w środek barykady. Przyszedł od strony ulicy Łabędziej, przeskoczywszy z łatwością boczną barykadę, stojącą frontem do labiryntu ulicy Małej Żebraczej. Przybycie Gavroche'a wywarło większe wrażenie niż wystrzał armatni. Pocisk ugrzązł w stosie gruzu. Strzaskał tylko koło omnibusu i rozbił do szczętu stary wózek handlarza wapnem Anceau. Widząc to cała barykada wybuchnęła śmiechem:

— Strzelajcie dalej! — krzyknął Bossuet do artylerzystów.

## ROZDZIAŁ VIII

### Z ARTYLERZYSTAMI NIE MA ŻARTÓW WSZYSCY OTOCZYLI GAVROCHE'A.

Nie miał jednak czasu nic opowiedzieć. Mariusz, drżąc z niepokoju, wziął go na bok.

— Po coś tu przyszedł?

— Jak to! — odparł chłopiec. — A pan?

I utkwiał w Mariuszu oczy pełne epickiego zuchwalstwa. Blask tkwiącej w nich dumy rozszerzał mu źrenice.

Mariusz, pytał dalej surowym głosem:

— Kto ci kazał wracać? Czy przynajmniej oddałeś list pod wskazanym adresem?

Gavroche miał trochę nieczyste sumienie z powodu tego listu. Tak snu było pilno powrócić na barykadę, że listu raczej się pozbył, niż go doręczył. Musiał przyznać w duchu, że nieco lekkomyślnie powierzył go nieznanemu, którego twarzy nawet nie mógł dojrzeć. Wprawdzie tamten człowiek nie miał kapelusza, ale to . nie było dostateczną gwarancją. Słowem, Gavroche robił sobie w tym względzie pewne wyrzuty i bał się wymówek Mariusza. Wybrnął z kłopotliwej sytuacji najprostszym sposobem: bezczelnie skłamał.

— Obywatelu, list oddałem dozorczy. Dama spała.. Dostanie list, kiedy się obudzi.

Wysyłając ten list, Mariusz miał podwójny cel: pożegnać Kozetę i ocalić Gavroche'a. Musiał się zadowolić połowicznym, spełnieniem tego, czego pragnął.

Uprzytomnił sobie, że wysłanie listu zbiegło się z pojawieniem się pana Fauchelevant na barykadzie. Pokazał Gavroche'owi pana Fauehelevant.

— Czy znasz tego człowieka?

— Nie — odpowiedział Gavroche. Rzeczywiście, jak pamiętamy, Gavroche widział

Jasna Vałjean jedynie w nocy.

Mgliste, chorobliwe przypuszczenia, które zaczęły kiełkować w głowie Mariusza, rozproszyły się. Nie znał przecież przekonań politycznych pana Fauchelevent. Może pan Fauchelevent jest republikaninem? Stąd jego obecność w walce.

Tymczasem Gavroche był już na drugim końcu barykady i wołał:

— Gdzie mój 'karabin?

Courfeyrac kazał mu go oddać.

Gavroche uprzedził „towarzyszy” — tak nazywał powstańców — że barykada jest okrążona. Przedostał się z wielkim trudem. Batalion liniowy, ustawivszy broń w kozły na ulicy Małej Żebraczej, obserwował Łabędią; ze strony przeciwnej gwardia miejska obsadziła Dominikańską. Na wprost barykady zgromadziły się główne siły.

Udzieliwszy tych informacji, Gavroche dodał:

— Zezwalam, żebyście im dali zdrowego łupnia!

Tymczasem Enjolras, wytyżając słuch, czuwał przy swojej strzelnicy.

Oblegający, zapewne niezbyt zadowoleni ze swego strzału armatniego, już go nie powtórzyła.

Kompania piechoty liniowej zajęła koniec ulicy za armatą. Żołnierze wrywali kamienie z bruku i ustawiali na wprost barykady niskie podmurowanie, coś w rodzaju stanowiska strzelniczego, nie wyższego nad osiemnaście cali. Zza tego podmurowania, po lewej stronie, widać było czoło kolumny batalionu z przedmieścia, zgrupowanego na ulicy Św. Dionizego.

Enjolras, stojący na czatach, miał wrażenie, że słyszy odgłos, który towarzyszy wyjmowaniu puszek z prochem z jaszczaka; zobaczył, że dowódca baterii zmienia nastawienie lufy i przesuwa ją nieco w lewo. Po czym kanonierzy naładowali działo. Dowódca sam schwycił lont i zbliżył do wylotu.

— Schylić głowę i pod mur! — zawołał Enjolras. — Wszyscy na klęczki pod barykadę!

Rozproszeni przed gospodą powstańcy, którzy zeszli ze swoich stanowisk w chwili przybycia Gavroche'a, rzucili się tłumnie ku barykadzie; nim zdążyli jednak wypełnić rozkaz Enjolrasa, armata wystrzeliła z rykiem towarzyszącym zwykle pociskowi kartacza. Był to rzeczywiście kartacz. Strzał, skierowany w przejście między redutą a domem, odbił się o mur i straszny rykoszet zabił dwóch powstańców, a trzech zranił. Jeszcze kilka takich strzałów, a barykada

będzie nie do utrzymania. Kartacze wpadały do środka. Rozległ się szmer przerażenia.

— Postarajmy się nie dopuścić do drugiego strzału — rzekł Enjolras. I zniżywszy karabin, wziął na cel dowódcę baterii pochylonego właśnie nad lawetą, który . poprawiał i ostatecznie ustalał cel.

Był to dorodny sierżant, młody blondyn o bardzo łagodnej twarzy; miał wygląd inteligentny, co się często spotyka u żołnierzy tej wybranej, a groźnej broni, która tak się doskonali w swej okropności, że w końcu musi zabić wojnę.

Combeferre, stojąc obok Enjolrasa, uważnie przyglądał się młodemu sierżantowi.

— Szkoda! — rzekł. — Co za ohydna rzecz takie jatki. Ano cóż, kiedy nie będzie królów, nie będzie wojen. Celujesz w tego sierżanta, ale go nie widzisz. Wyobraź sobie, że to czarujący chłopak, nieustraszony, widać też, że myślący — ci młodzi ludzie z artylerii są bardzo wykształceni; ma ojca, matkę, ma rodzinę, pewno jest zakochany; ma najwyżej dwadzieścia pięć lat; mógłby być twoim bratem.

— Jest nim — rzekł Enjolras.

— Tak — odparł Combeferre. — I moim również. Wiesz co , nie zabijajmy go.

— Daj pokój! Trzeba robić to, co trzeba.

I łza stoczyła się wolno po marmurowej twarzy Enjolrasa.

Jednocześnie pociągnął za cyngiel karabinu. Trysnęła błyskawica. Artylerzysta zakręcił się dwa razy dokoła siebie, wyciągając do przodu ramiona i podnosząc głowę, jakby chciał zaczerpnąć powietrza, po czym osunął się bokiem na działo i został tak bez ruchu.

Widać było jego plecy, z których buchał strumień krwi. Kula przeszła mu pierś na wylot. Nie żył.

Trzeba go było zabrać i zastąpić innym. Powstańcy zyskali kilka minut.

## ROZDZIAŁ IX

### O ZASTOSOWANIU DAWNEGO TALENTU KŁUSOWNICZEGO I NIEZAWODNEJ CELNOŚCI STRZAŁU, KTÓRA WPŁYNEŁA NA WYROK Z 1796 ROKU

Powstańcy naradzali się pospiesznie. Za chwilę armata znowu zacznie strzelać. Kartacze zburzą barykadę, nim minie kwadrans. Należało bezwzględnie osłabić działanie pocisków.

Enjolras rzucił rozkaz:

— Trzeba tam umieścić materac.

— Nie mamy materaca — rzekł Combeierre. — Leżą na nim ranni.

Jan Valjean siedząc na skraju chodnika, przy gospodzie, ze strzelbą między kolanami, do tej pory nie brał w niczym udziału. Zdawał się nie słyszeć, że dokoła rozlegały się głosy powstańców: „Patrzcie, ta strzelba próżnuje.”

Na dźwięk rozkazu, wydanego przez Enjolrasa, wstał.

Przypominamy sobie, że gdy oddział wpadł w ulicę Konopną jakaś staruszka, przewidując strzelaninę wywiesiła przed oknem materac. To okno — okienko raczej — znajdowało się na mansardzie sześciopiętrowego domu, wysuniętego nieco przed barykadę. Materac, umieszczony w poprzek i oparty na dwóch tyczkach do suszenia bielizny, był podtrzymywany od góry przez dwa grube powrozy, z daleka wyglądające jak sznureczki i przywiązane do gwoździ, wbitych w sramy okna. Sznury te, wyraźnie rysujące się na tle nieba, wydawały się cienkie jak włosy.

— Może mi kto pożyczyć dwustrzałowego karabinu? — zapytał Jan Valjean.

Enjolras podał mu swój karabin, przed chwilą nabity na nowo. Jan Valjean wycelował w okienko mansardy i strzelił.

Jeden sznur został przecięty. Materac wisiał już tylko na drugim. Jan Valjean strzelił powtórnie. Drugi sznur uderzył o szybę okienka. Materac zsunął się między tyczkami i spadł na ulicę.

Na barykadzie rozległy się oklaski.

Wszyscy zawołali:



— Mamy materac!

— Tak! — rzekł Combeferre, — Ale kto po niego pójdzie?

Rzeczywiście, materac upadł przed barykadę, między obleganymi a oblegającymi. Śmierć sierżanta kanonierów doprowadziła wojsko do wściekłości; żołnierze położyli się za osłoną z brukowców, którą wznieśli, i czekając aż zmuszone do milczenia działo po uzupełnieniu obsługi odezwie się znowu, od kilku już minut otworzyli ogień na barykadę. Powstańcy nie odpowiadali na te salwy, oszczędzając amunicji. Strzały rozbijały się o barykadę, ale ulica, gdzie gęsto gwizdały kule, była bardzo niebezpieczna.

Jan Valjean wysunął się wąskim przejściem, wyszedł na ulicę, dotarł pod gradem kul aż do materaca, zarzucił go na plecy i wrócił na barykadę.

Sam zastawił przejście materacem; umieścił go przy murze tak, aby artylerzyści nie mogli go zobaczyć.

Teraz czekano na nowy strzał.

Me czekano długo.

Ze straszliwym rykiem działo rzygnęło ładunkiem ołowiu. Ale rykoszetu nie było. Kartacz ugrzązł w materacu. Osiągnięto zamierzony efekt. Barykada ocalała raz jeszcze.

— Obywatelu! — rzekł Enjolras do Jana Valjean. — Republika dziękuje ci.

Bossuet patrzył z podziwem i śmiał się. Zawołał:

— To niemoralne, żeby materac miał taką siłę. To triumf tego, co się ugina, nad tym, co miota pioruny. Ale mniejsza o to! Chwała materacowi, który unieszkodliwił armatę!

# ROZDZIAŁ X

## JUTRZENKA

W tej właśnie chwili Kozeta obudziła się.

Pokój jej był. niewielki, schludny, i skromny; od wschodu miał wysokie okno wychodzące na podwórze.

Kozeta nie wiedziała nic o tym, co się działo w Paryżu. Poprzedniego dnia nie wychodziła na miasto, a kiedy Toussaint oznajmiła, że „coś się święci”, była już w swoim pokoju.

Spała niedługo, lecz mocno. Sny miała przyjemne, może" trochę i dlatego że łóżeczka jej było śnieżna białe. Jakaś postać, która była Mariuszem, ukazywała się jej w powodzi światła. Zbudziła się, kiedy promień słońca padł jej na powieki, i zrazu wydawało się jej, że jeszcze śni.

Kiedy się ocknęła z tego snu, pierwsza jej myśl była promienna. Poczowała się zupełnie uspokojona. Podobnie jak Jan Valjean przed paroma godzinami, przeżywała reakcję duszy, która wszelkimi sposobami odżegnuje się od nieszczęścia. Ożyły w niej z całą mocą nadzieje, choć nie wiedziała dlaczego. Potem serce ścisnęło się boleśnie. Od trzech już dni nie widziała Mariusza. Tu pocieszyła się myślą, że otrzymał zapewne już jej list, wie, gdzie ona mieszka, i on — taki mądry — znajdzie na pewno sposób, aby do niej dotrzeć. I to z pewnością już dzisiaj, może nawet dziś rano! Dzień już był jasny; ale promień słońca padał tak poziomo, że Kozeta sądziła, iż jeszcze jest wczesny ranek; jednakże trzeba wstawać, żeby przygotować się na przyj-

ście Mariusza. Kozeta czuła, że nie może żyć bez Mariusza, a to było wystarczającym powodem, żeby Mariusz przyszedł. Ta sprawa nie znosiła żadnych sprzeciwów. Wszystko było oczywiste. Cierpiała przez trzy dni — ' to. już dość potworne. Przez trzy dni nie widziała Mariusza — to okrucieństwo . ze strony Pana Boga. Ale teraz niegodziwe żarty niebios należą już do przeszłości. Mariusz nadejdzie niebawem i przyniesie dobre nowiny. Taka jest młodość, szybko osusza swe - łzy, uważa cierpienie za rzecz niepotrzebną i nie przyjmuje go. Młodość to uśmiech przyszłości do tego, co nieznane i co jest nią samą. Szczęście jest dla niej naturalnym stanem. Wydaje się, że oddycha nadzieją.

Kozeta nie mogła sobie zresztą przypomnieć, co Mariusz powiedział jej na temat tej nieobecności, która miała trwać tylko jeden dzień, i czym" ją tłumaczył. Każdy z nas wie 'dobrze, jak upuszczony na ziemię pieniądz potrafi

zręcznie się potoczyć, schować i jak mistrzowsko wynajduje kryjówki, których niesposób znaleźć. Podobną psotę płatają nam czasem myśli; zaszywają się w jakiś kącik mózgu — i przepadło! Zagubiły się; pamięć już ich nie złowi. Kozetę gniewało trochę, że daremnie usiłuje sobie to przypomnieć. Wyrzucała sobie, że postąpiła szkaradnie i niegodziwie, tak zapominając słowa Mariusza.

Wyskoczyła z łóżka i odświeżyła duszę i ciało; duszę — modlitwą, a ciało — kryniczną wodą.

Można ostatecznie wprowadzić czytelnika do sypialni małżeńskiej, ale nie do dziewczęcego pokoju. Poezja zaledwie ośmieliłaby się przekroczyć ten próg, proza nie powinna tego czynić.

Pokój dziewczęcy to zamknięty pęk kwiatu, biel jaśniejąca w mroku, najskrytsze wnętrze stulonego kielicha lilii, na którym nie powinno spocząć oko człowieka, nim nie spoczęło na nim oko słońca. Nierozkwitły kwiat kobiety — to świętość. Rozesłane dziewicze łóżeczko, wdzięczna półnagość, co sama siebie się lęka, biała nóżka wsuwająca się w pantofelek, pierś, która się osłania przed zwierciadłem, jak gdyby zwierciadło było spojrzeniem, koszulka podciągana pod szyję, aby okryć ramiona za lada trzaśnięciem mebla czy turkotem pojazdu, te tasiemki, sprzączki, sznurówki, to drzenie, te dreszczyki z zimna i wstydlivosti, czarowna płochliwość w każdym ruchu, ter niepokój niemal skrzydlaty, gdy nie ma żadnego powodu do obaw, kolejne fazy tualety, równie urocze jak obłoki jutrzeńki — są to wszystko rzeczy, o których nie godzi się opowiadać; już samo napomknienie o nich jest zbytnią śmiałością.

Oko mężczyzny z większą czcią powinno spoglądać na wstającą z łoża młodą dziewczynę niż na wstającą gwiazdę. Fakt, że jest osiągalna, powinien zwiększać szacunek. Puszek brzoskwini, srebrzysty nalot na śliwce, gwiaździsty kryształek śniegu, pyłek skrzydeł motyli są ciężkie i ordynarne w porównaniu z tą czystością, która nawet nie wie, że jest czysta. Młoda dziewczyna nie jest jeszcze posągiem, jest dopierc przebłyskiem marzenia. Jej alkowę okrywa tajemnicza strona ideału. Niedyskretny dotyk spojrzenia kazi ten blady półmrok. W tym wypadku patrzeć — to profanować.

Toteż nie ukażemy tutaj rozkosznej krzątany Kozety wstającej ze snu.

Wschodnia bajka opowiada, że Bóg stworzył różę białą; ale kiedy płatki jej się rozchylały, Adam spojrzał na nią i róża zaróżowiła się z zawstydzenia. Należymy do osób, które tak czczą dziewice i kwiaty, że czują wobec nich onieśmienie.

Kozeta szybko się ubrała, uczesała i upięła włosy, co było prostą sprawą w czasach, kiedy kobiety nie powiększały bujności swojej fryzury sztucznymi warkoczami, postiszami i nie wkładały włosianek we włosy. Po czym otworzyła

okno i przebiegła wzrokiem dokoła, mając nadzieję, że zobaczy jakiś fragment ulicy — róg domu czy skrawek chodnika — gdzieby mogła wypatrywać Mariusza. Ale nic nie było widać. Za podwórzem, otoczonym dość wysokimi murami, dostrzegało się w dali tylko jakieś ogrody.

Kozeta stwierdziła, że są szkaradne; po raz pierwszy w życiu kwiaty wydały się jej brzydkie. Stokroć bardziej odpowiadałby jej w tej chwili widok ulicznego rynsztoka. Zaczęła więc patrzeć w niebo, jak gdyby myślała, że Mariusz może nadejść z tej strony.

Nagle zalała się łzami. Nie świadczyło to o zmienności usposobienia, ale w jej obecnej sytuacji nadzieje przeplatały się z chwilami przygnębienia. Niejasno czuła, że dzieje się coś strasznego. Istotnie, wydarzenia unoszą się w atmosferze. Powiedziała sobie, że niczego nie może być pewna, że jeśli stracili się oboje z oczu, to są dla siebie straceni.

Myśl, że Mariusz mógłby spaść z nieba, nie wydawała jej się teraz urocza, lecz ponura.

A potem — tak płynne są te chmurki — wróciły jej spokój, nadzieja i nieświadomiona, lecz uśmiechnięta ufność w Bogu.

W domu wszyscy jeszcze spali. Panowała cisza jak w prowincjonalnym miasteczku. Nie otworzyła się żadna okiennica. Stancyjka dozorczy była zamknięta. Toussaint jeszcze nie wstała i Kozeta sądziła, że naturalnie ojciec śpi także. Wiele musiała wycierpieć i bardzo cierpiała jeszcze, skoro uważała, że ojciec jej był niedobry; za to wierzyła w Mariusza. To światło nie mogło zblednąć. Zaczęła się modlić. Chwilami docierały do niej z daleka jakieś głucho wstrząsy; mówiła sobie: „To dziwne, że otwierają i zamykają bramy o tak wczesnej godzinie. Były to strzały armatnie bijące w barykadę.

O kilka stóp pod oknem Kozety, na starym poczerniałym gzymsie, uwiły gniazdko jerzyki; wystawało ono nieco zza krawędzi gzymsu, tak że z góry można było zajrzeć do tego maleńkiego rajku. Matka okrywała pisklęta rozpostartymi jak wachlarz skrzydłami; ojciec krążył dokoła, oddalał się i wracał przynosząc w dziobku pokarm i pocałunki. Wstający dzień złocił ten obraz szczęścia, to objawienie wielkiego prawa: „Rozmnażajcie się”, uśmiechnięte, a dostojne; słodka tajemnica rozkwitała w glorii poranka. Kozeta z włosami w słońcu, a duszą w marzeniach, jaśniejąca blaskiem miłości, zalana promieniami jutrzeńki, wychyliła się niemal bezwiednie i tając przed samą sobą, że równocześnie myśli o Mariuszu, patrzyła na ptaszki, na tę rodzinę, na samczyka, na samiczkę, na matkę z pisklętami; patrzyła z głębokim zmieszaniem, jakie widok gniazda budzi w dziewczycy.



## ROZDZIAŁ XI

### STRZAŁ, KTÓRY NIE CHYBIA CELU, LECZ NIE ZABIJA NIKOGO

Ogień oblegających nie ustawał. Strzały armatnie salwy karabinowe następowały po sobie kolejno, niewiele jednak wyrządzając szkody. Ucierpiała tylko górna część fasady „Koryntu”; okna na pierwszym piętrze i w mansardach, posiekane grubym śrutem i kartaczami, rozpadały się zwolna. Powstańcy, którzy tam mieli stanowiska, musieli się wycofać. Na tym zresztą polega taktyka ataku na barykadę; strzelać długo, żeby wyczerpać amunicję powstańców — o ile popełnią ten błąd, że odpowiadają przeciwnikowi. Kiedy po słabnięciu ich ognia oblegający poznają, że brak im już kul i prochu, ruszają do natarcia. Enjolras nie dał się wciągnąć w tę zasadzkę: barykada nie odpowiadała na strzały. -

Po każdej salwie plutonu Gavroche wypychał sobie policzek językiem na znak najgłębszej pogardy.

— Dobrze! dobrze! — mówił. — Drzyjcie płótno. Przydadzą nam się szarpie.

Courfeyrac zapytywał kartacze, dlaczego wyrządzają tak mizerne szkody, i przemawiał do armaty:

— Coś ci się ręce trzęsą, staruszeko!

Podczas bitwy przeciwnicy intrygują jedni drugich, jak na balu maskowym. Uporczywe milczenie barykady zaniepokoiło prawdopodobnie oblegających i wzbudziło obawę jakiejś niespodzianki; widocznie zapragnęli sprawdzić, co się dzieje za tym stosem kamieni, za tym niewzruszonym murem, który obojętnie przyjmował pociski i nie odpowiadał na nie. Powstańcy ujrzeli nagle kask błyszczący w słońcu na sąsiednim dachu. Jakiś strażak, oparty o wysoki komin, stał tam jakby na warcie. Spojrzenie jego padało prosto na barykadę. Krępujący jest ten dozorca — rzekł Enjolras.

Jan Valjean oddał karabin Enjolrasowi, ale miał swoją strzelbę.

Bez słowa wymierzył do strażaka i w sekundę później kask, trafiony kulą, z brzękiem upadł na bruk. Przerażony żołnierz wycofał się co prędzej.

Miejsce jego zajął drugi obserwator. Był to oficer.

Jan Valjean ponownie nabił strzelbę, złożył się i kask oficera spadł w ślad za kaskiem żołnierza. Oficer nie upierał się i szybko zniknął. Tym razem

zrozumiano przestrogę. Nikt nie pojawił się już na dachu; przeciwnik zrezygnował z podglądania barykady.

Czemu nie zabił pan tego człowieka? — zapytał Bossuet Jana Valjean.

Jan Valjean nie odpowiedział.

## ROZDZIAŁ XII

### NIEŁAD STRONNIKIEM ŁADU BOSSUET SZEPNĄŁ COMBEFERRE'OWI NA UCHO:

— Nie odpowiedział na moje pytanie.

— Ten człowiek czyni dobro kulami — odrzekł Combeferre.

Ci, którzy zachowali jakieś wspomnienia z tej — odległej już — epoki, pamiętają, że gwardia narodowa z przedmieścia dzielnie walczyła przeciw powstańcom. Szczególną zaś zaciekłością i odwagą odznaczyła się w czerwcu 1832 roku. Ten czy ów oberżysta z Pantin, Vertus albo la Cunette, którego „zakład” był nieczynny z powodu zamieszek, czuł w sobie iście lwią odwagę na widok swej sali tańca świecącej pustkami i szedł na śmierć w obronie ładu, którego symbolem był. szynk. W owych, czasach, mieszczzańskich i bohaterskich zarazem, idee miały swoich rycerzy, a interesy swoich paladynów. Prozaiczność pobudek w niczym nie pomniejszała brawury ruchu. Topniejący stos dukatów sprawiał, że bankierzy śpiewali *Marsyliankę*. Lirycznie przelewano krew za sprawę kontuaru i ze spartańskim entuzjazmem broniono sklepiku, tego ogromnego zdrobnienia ojczyzny.

W istocie — powiedzmy to — szło tu o sprawy bardzo poważne. Żywioły społeczne ruszyły do walki w oczekiwaniu dnia, kiedy znajdą się w stanie równo wagi.

Inny znamienity rys owych czasów stanowiło połączenie anarchii z prorożadnością (barbarzyńska nazwa stronników rządu). Zwolennicy ładu postępowali w sposób bezładny. Znienacka, na rozkaz jakiegoś pułkownika gwardii narodowej, według jego fantazji bęben zaczynał bić na apel. Jakiś kapitan rzucał się w wir walki idąc aa głosem natchnienia, jakiś oddział gwardii narodowej bił się „za ideę” na własną odpowiedzialność. W chwilach przełomowych, w owych „dniach”, radzono się nie tyle swoich dowódców, ile własnych instynktów. W wojsku broniącym ładu byli prawdziwi *guerillos*, jedni szabli — jak Fannicot, inni pióra — jak Henryk Fonfrede .

Cywilizacja, w owym czasie reprezentowana niestety raczej przez splot interesów niż przez zbiór zasad, była zagrożona lub też za taką się miała; wydawała okrzyk trwogi; każdy stawał się ośrodkiem, bronił jej, wspierał ją i ochraniał według własnego widzimisie; pierwszy lepszy przybłęda podawał się za wybawcę społeczeństwa.



Gorliwość doprowadzała czasem do zbrodni: Ten czy ów pluton gwardii narodowej samowolnie obwoływał się trybunałem wojennym i w przeciągu pięciu minut osądzał i tracił pojmanego powstańca. Taki właśnie zaimprovizowany sąd, zabił Jana Prouvaire. Żadna partia nie może wyrzucać innym tego okrutnego prawa lynchu, stosowane jest bowiem ono zarówno przez republikę w Ameryce, jak i przez monarchię w Europie. To prawo lynchu pogarszały jeszcze pomyłki. Pewnego dnia podczas zamieszek młody poeta, Paul-Aime Garnier, ścigany na placu Królewskim, czuł już bagnety na plecach i uszedł z życiem tylko dlatego, że się schronił w bramie domu numer 6. Wołano za nim: „Oto jeszcze jeden z tych saintsimonistów” i chciano go zabić. Otóż niósł pod pachą tom pamiętników księcia de Saint-Simon. Jakiś gwardzista przeczytał na książce słowa: „Saint-Simon” i zawołał: „Śmierć zdrajcy.”

6 czerwca 1832 roku kompania gwardii narodowej z przedmieścia, pod dowództwem wspomnianego już kapitana Fannicota, z własnej a nieprzymuszonej woli dała się zdziesiątkować na ulicy Konopnej. Ten osobliwy fakt został stwierdzony przez śledztwo, przeprowadzone po upadku powstania 832 roku. Kapitan Fannicot, krewki i śmiały mieszczanin, z rasy kondotierów porządku, których scharakteryzowaliśmy przed chwilą, fanatyczny i niesforny zwolennik rządu, nie potrafił oprzeć się pokusie otwarcia ognia przed wyznaczoną godziną i ambicji zdobycia barykady samemu, czyli ze swoją kompanią. Doprowadzony do ostateczności widokiem czerwonego sztandaru, a następnie starego surduta, który wziął za czarną chorągiew, głośno wymyślał generałom i dowódcom, którzy naradzali się, przekonani, że moment decydującego szturmu jeszcze nie nadszedł i — według słynnego określenia jednego z nich — pozwalali, aby powstanie „smażyło się we własnym sosie”. On zaś uważał, że barykada już dojrzała, a ponieważ to, co jest dojrzałe, powinno samo wpaść w ręce, spróbował szczęścia.

Dowodził garstką podobnych sobie śmiałków, „wściekłych ryzykantów” — jak powiada naoczny świadek. Jego kompania — ta sama, która rozstrzelała Jana Prouvaire — była pierwszą kompanią batalionu, stojącego na rogu ulicy. W najmniej spodziewanym momencie rzucił swoich ludzi na barykadę. Ten manewr, wykonany z większą dozą zapału niż strategii, drogo kosztował kompanię Fannicota. Zanim bowiem przebyła dwie trzecie ulicy, powitała ją ogólna salwa z barykady. Czterej najodważniejsi, którzy biegli na przedzie, padli, jak ścięci kosą, pod samą redutą; ta dzielna gromada gwardzistów, ludzi odważnych, ale nie mających wytrzymałości zawodowego żołnierza, musiała się wycofać po chwili wahania, zostawiając na bruku piętnaście trupów. Ta chwila wahania pozwoliła powstańcom nabić ponownie broń i druga mordercza salwa dosięgła kompanię, nim zdołała się schronić za zakrętem ulicy. Przez moment została wzięta w dwa ognie; znalazła się bowiem pod ostrzałem własnej baterii, która nie mając odpowiedniego rozkazu nie przestała strzelać. Dzielny i

nieroztropny Fannicot znajdował się wśród tych, których trafiły kartacze. Zabito go działa, czyli narzędzie ładu.

Ten atak, szaleńczo odważny, lecz mało poważny, rozgniewał Enjolrasa.

— Durnie! — zawołał. — Wysyłają na śmierć swoich żołnierzy, a nam zużywają niepotrzebnie amunicję.

Enjolras mówił, jak przystało mówić prawdziwemu dowódcy rozruchów, którym był w istocie. Powstanie i represja walczą nierówną bronią. Powstanie łatwo się wyczerpuje, rozporządza ograniczoną ilością strzałów i ograniczoną ilością ludzi. Wypróżnionej ładownicy ani zabitego człowieka nie może zastąpić nowym. Represja nie liczy ludzi, bo ma wojsko, i nie liczy amunicji, bo ma Vincennes. Represja ma tyle pułków, ile barykada ludzi, i tyle arsenałów, ile barykada ładownic. Toteż są to walki jednego przeciw stu, które zawsze kończą się zgnieceniem barykady, o ile rewolucja, wybuchając nagle, nie rzuci na szalę swego gorejącego miecza archanioła. Zdarza się to. Wówczas wszystko powstaje, bruk zaczyna wrzeć, mnożą się reduty ludu, Paryż ogarnia przemożne drżenie, wyłania się *quid dvinum*, 10 sierpnia jest w powietrzu, 29 lipca jest w powietrzu, ukazuje się cudowne światło, otwarta paszcza przemocy cofa się i wojsko — ten lew — widzi przed sobą stojącego spokojnie proroka — Francję.

## ROZDZIAŁ XIII

### PRZELOTNE BLASKI

W chaosie uczuć i namiętności, które bronią barykady, znajdziesz wszystko: brawurę, młodość, ambicję, entuzjazm, idealizm, przekonanie, zaciekłość gracza, a nade wszystko przyływ nadziei.

Taki właśnie przyływ, taki nieuchwytny dreszcz nadziei, przeniknął nagle w najmniej spodziewanym momencie barykadę na Konopnej.

— Posłuchajcie — zawołał nagle Enjolras, który stale nadśluchiwał. — Zdaje mi się, że Paryż się budzi.

Nie ulega wątpliwości, że rankiem 6 czerwca powstanie przybrało na sile na przeciąg jednej czy dwóch godzin. Uporczywość dzwonów od Saint-Merry wznieciła przelotną chęć do walki. Na ulicy Poirier i na ulicy Gravilliers pośpiesznie stawiano barykady. Przed bramą Św. Marcina jakiś młody człowiek uzbrojony w karabin zaatakował sam jeden szwadron kawalerii. Przyklęknął bez osłony na środku bulwaru, przyłożył broń do ramienia, strzelił, zabił dowódcę szwadronu i odwrócił się ze słowami: „Oto jeszcze jeden, który już nam nie wyrządzi krzywdy!” Rozniesiono go na szablach. Na ulicy Św. Dionizego jakaś kobieta strzelała poprzez spuszczone żaluzje do gwardii miejskiej. Listwy żaluzji drgały za każdym strzałem. Na ulicy Cossonnerie zatrzymano czternastoletniego wyrostka z kieszeniami pełnymi naboju. Liczne posterunki zostały zaatakowane. U wylotu ulicy Bertin-Poiree pułk kirasjerów, na którego czele kroczył generał Cavaignac de Baragne, został znieczeka powitany gęstą strzelaniną. Na ulicy Planche-Mibray na wojsko rzucono z dachów starej dziurawe garnki i sprzęty kuchenne; zły to znak; kiedy doniesiono o tym wydarzeniu marszałkowi Soult, stary oficer napoleoński zamyślił się przypominając sobie słowa, które Suchet wypowiedział pod Saragossą: „Skoro stare baby wylewają nam nocniki na głowę, to znaczy, że jesteśmy, zgubieni.”

Te ogólne symptomy, występujące w, chwili kiedy sądzono, że rozruchy są zlokalizowane, ta rosnąca gorączka gniewu, te iskry, które latały tu i ówdzie nad olbrzymimi złożami łatwopalnych materiałów, zwanych przedmieściami Paryża, zaniepokoiły dowódców wojskowych. Spiesznie postarano się stłumić pożar w zarodku, Toteż póki nie ugaszono tych języków ognia, wstrzymywano się z atakiem na barykady przy ulicach Maubuee, Konopnej i Saint-Merry, aby mieć już tylko z nimi do czynienia i móc skończyć ze wszystkim za jednym zamachem.

Kolumny wojska, rzucone na burzące się ulice, oczyszczały z 'nieprzyjaciela duże, sondowały małe, to na lewo, to na prawo, to ostrożnie i powoli, to znowu cwałem. Żołnierze wyłamywali bramy domów, z których strzelano; równocześnie szarże kawalerii rozpraszały tłumy na bulwarach. Przy represjach tych nie obyło się bez wrzawy i tego hałaśliwego zgiełku, który towarzyszy starciom wojska i ludu. To właśnie słyszał Enjolras w 'przerwach między ogniem artyleryjskim a karabinowym. Ponadto zobaczył, że na końcu ulicy niesiono na noszach rannych.

— To nie są nasi ranni — powiedział do Courfeyraca.

Nadzieja trwała krótko, błysk światła szybko zgasł. W niespełna pół godziny to, co było w powietrzu, rozwiało się; była to błyskawica bez piorunu, powstańcy poczuli, że przywała ich ołowiane-wieko, które obojętność ludu rzucą na upartych i opuszczonych.

Powszechne poruszenie, które zarysowało się mgliście, spaliło na panewce; tak więc uwaga ministra wojny i strategia generałów mogły się teraz skoncentrować na trzech czy czterech pozostałych barykadach..

Słońce coraz wyżej wznosiło się na niebie.

Jeden z powstańców zapytał Enjolrasa:

— Jesteśmy głodni. Czy naprawdę mamy umierać bez jedzenia?

Enjolras, oparty . wciąż o swoją strzelnicę, skinął potakująco głową, nie spuszczając wzroku z przeciwległego krańca ulicy.

## ROZDZIAŁ XIV

### W KTÓRYM PRZECZYTAMY IMIĘ KOCHANKI ENJOLRASA

Courfeyrac, siedząc na kamieniu koło Enjolrasa, wykpiwał nadal armatę i za każdym razem, kiedy ciemna chmura — zwana kartaczem — przelatowała z potwornym rykiem, przyjmował ją wybuchem drwin:

— Zdzierasz sobie płuca biedna, stara kolubryno. Żal mi cię. Cały ten hałas na nic. To nie grzmot, to kaszel.

Dokoła rozlegał się śmiech.

Courfeyrac i Bossuet, których junacki dobry humor rósł wraz z powiększaniem się niebezpieczeństwa, zastępowali pożywienie żartami, jak pani Scarron, i w braku wina obdzielali wszystkich wesołością.

— Podziwiam Enjolrasa — mówił Bossuet. — Zachwyca mnie jego niezłomna odwaga. Żyje sam i to może sprawia, że jest nieco smutny; Enjolras skarży się na swoją wielkość, która go skazuje na samotność. My wszyscy mamy jakieś kochanki, które robią z nas ludzi szalonych, czyli odważnych. Kiedy człowiek jest zakochany jak tygrys, łatwo mu się bić jak lew. To jest swego rodzaju odwet za pociski miłości, którymi rażą nas panie gryzетки. Roland *zginął na złość* Angelice. Wszystkie nasze bohaterstwa pochodzą od kobiet. Mężczyzna bez kobiety to pistolet bez kurka; kobieta działa jak spłonka. Otóż Enjolras nie ma kobiety. Nie kocha się, a przecież potrafi być nieustraszony. To niepojęte, że można być zimnym jak lód i śmiałym jak ogień.

Enjolras zdawał się nie słuchać, ale ktoś, kto by stał blisko niego, usłyszałby, jak wyszeptał cicho:

— Patria.

Bossuet śmiał się jeszcze, kiedy Courfeyrac zawołał:

— Oho! Nowość!

I naśladowując głos woźnego sądowego wywołującego nazwiska dodał:

— Nazywam się Ośmioletka!

Istotnie, nowa osobistość wkroczyła na scenę. Było to drugie działo.

Artylerzyści szybko odprzodkowali armatę i ustawili ją obok pierwszej.

To już zapowiadało rozwiązanie.

Po chwili oba działa, sprawnie obsługiwane, strzelały razem w redutę. Ogień plutonu piechoty liniowej i gwardii przedmieścia wspierał ogień artyleryjski.

Z pewnej odległości słychać było inną kanonadę. Kiedy dwa działa biły zaciekle w szaniec przy ulicy Konopnej, dwa inne, jedno wycelowane w ulicę Św. Dionizego, drugie w ulicę Aubry-le-Boucher siekły pociskami barykadę Saint-Merry. Ryk tych czterech armat odpowiadał sobie złowieszczym echem.

Ponure psy wojny szczekały do siebie.

Z dwóch armat, które waliły teraz w barykadę przy Konopnej, jedna strzelała kartaczami, druga kulami.

Armata strzelająca kulami wycelowana została nieco wyżej i strzał był tak obliczony, że kule uderzały w górną krawędź barykady, kosiły ją i kruszyły kamienie brukowe, zasypując powstańców odłamkami jak gradem kartaczy.

Ten sposób strzelania zmierzał do zepchnięcia obrońców ze szczytu reduty i zmuszenia ich, aby się zgrupowali wewnątrz; a więc zapowiadał natarcie.

Po wyparciu walczących kulami ze szczytu barykady, a kartaczami z okien gospody, kolumny szturmowe mogłyby zapuścić się w ulicę nie narażając się na obstrzał (może nawet niezauważone), wedrzeć się niespodzianie na barykadę, jak poprzedniego wieczora, i kto wie — może zdobyć ją przez zaskoczenie.

— Trzeba koniecznie jakoś unieszkodliwić te działa — rzekł Enjolras i zawołał:  
— Ognia do artylerzystów!

Wszyscy byli gotowi. Milcząca od tak dawna barykada otworzyła gwałtowny ogień; gruchnęło siedem czy osiem salw jedna po drugiej; strzelano z zaciekłością i jakby z uciechą; ulica wypełniła się oślepiającym dymem i po kilku chwilach poprzez tę mgłę, porysowaną ognistymi smużkami, można było dojrzeć dwie trzecie artylerzystów, leżących pod kołami armat. Ci, którzy trzymali się na nogach, nie przestali obsługiwać dział z surowym spokojem, ale ogień stał się rzadszy.

— Dobra nasza — rzekł Bossuet do Enjolrasa. — Odnieśliśmy piękny sukces!

Enjolras pokiwał głową i odpowiedział:

— Jeszcze kwadrans takich sukcesów, a nie będzie nawet dziesięciu naboju na

barykadzie.

Zdaje się, że Gavroche usłyszał te słowa.

## ROZDZIAŁ XV

### GAVROCHE PRZED BARYKADĄ

Courfeyrac spostrzegł nagle kogoś przed barykadą. Gavroche wziął z gospody kosz na butelki, wysliznął się przejściem i najspokojniej zaczął wypróżniać pełne naboje ładownice gwardzistów narodowych poległych u stóp barykady.

— Co ty tam robisz? — zapytał Courfeyrac. Gavroche podniósł głowę.

— Napętniam koszyk, obywatelu!

— Nie widzisz, że lecą kartacze? Gavroche odpowiedział:

— Kapie coś tam z góry. No to co? Courfeyrac krzyknął:

— Wracaj!

— Zaraz wracam! — odrzekł Gavroche. I jednym susem skoczył w głąb ulicy. Pamiętamy, że kompania Fannicota, wycofując się, zasłała ulicę trupami.

Ze dwudziestu poległych gwardzistów leżało rozrzuconych na bruku na całej długości ulicy. Dwadzieścia ładownic dla Gavroche'a. Zapas naboje dla barykady. Dym wypełniał ulicę, jak mgła. Kto widział chmurę opadłą w wąwóz górski, między dwa strome zbocza, może sobie wyobrazić ten dym ściśnięty i jak gdyby zgęszczony między dwoma ciemnymi rzędami wysokich domów. Wzbijał się wolno w górę i wciąż się odnawiał; toteż robiło się coraz mroczniej mimo białego dnia. Walczący ledwo widzieli się nawzajem, a przecież ulica była krótka.

Ten półmrok, zapewne pożądanym i z góry zaplanowanym przez dowódców kierujących natarciem na barykadę, był bardzo na rękę Gavroche'owi.

Przysłonięty płachtą dymu mógł dzięki swej drobnej postaci zapuścić się dość daleko w głąb ulicy nie będąc widziany. Bez większego niebezpieczeństwa wypróżnił pierwsze siedem czy osiem ładownic.

Czołgał się na brzuchu, pędził na czworakach, trzymając koszyk w zębach, wił się, wykręcał, prześlizgiwał, pełzał jak wąż od jednych zwłok do drugich i wyłuskiwał -naboje z ładownic, jak małpa wyłuskuje orzechy.

Z barykady, od której niezbyt się jeszcze oddalił, nie odważono się nawoływać go do powrotu, z obawy, żeby nie zwrócić na niego uwagi oblegających. Przy



trupie jakiegoś kaprała znalazł rożek z prochem.

— Przyda się! — rzekł chowając go do kieszeni. Posuwając się ciągle naprzód dotarł do miejsca, gdzie mgła spowodowana strzelaniną stawała się przezroczysta.

Wreszcie strzelcy z piechoty liniowej, stojący za osłoną kamieni, jak również strzelcy z gwardii podmiejskiej, zgrupowani za rogiem ulicy, zaczęli sobie pokazywać coś, co poruszało się w dymie.

I kiedy Gavroche zabierał naboje sierżantowi leżącemu tuż przy krawężniku, kula trafiła trupa.

— Tam do diabła! — rzekł Gavroche. — Zabijają mi moich nieboszczyków.

Druga kula skrzesała iskrę na bruku, taż obok niego. Trzecia przewróciła mu koszyk.

Gavroche spojrzał i zobaczył, że strzelają gwardziści z przedmieścia.

Wstał, wyprostował się, wziął się pod boki i z rozwianymi włosami, wpatrując się w strzelających gwardzistów zaśpiewał:

Jeśli brzydal, to z Nanterre, A kto 'winien? Pan Voltaire. Że są durnie w Palaiseau, Temu winien pan Rousseau.

Po czym podniósł koszyk, pozbierał co do jednego rozsypane ładunki i podsunąwszy się jeszcze bliżej ku strzelającym, zaczął opróżniać nową ładownicę. Tu czwarta kula chybiła go jeszcze. Gavroche zaśpiewał:

Jam ni pisarz ani mer, A kto winien? Pan Voltaire; Wolny ptaszek, w głowie pstro, Tego pragnął pan Rousseau.

Piąta kula wywołała tylko trzecią zwrotkę.

Śmieję się jak walet kier. A kto winien? Pan Voltaire; Że w sakiewce widać dno Temu winien pan Rousseau.

Trwało to pewien czas.

Widok był przeraźliwy i urzekający zarazem. Ostrzeliwany Gavroche drwił ze strzelaniny. Zdawał się bawić znakomicie. Był to wróbel dziobiący myśliwych. Na każdą salwę odpowiadał zwrotką piosenki. Strzelano doń bez przerwy i zawsze chybiano. Żołnierze i gwardziści śmieli się biorąc go na cel. On zaś padał, zrywał się, krył w kącie bramy, wyskakiwał, znikał, ukazywał się znowu,

uciekał, wracał, odpowiadał na ogień kartaczy grając na nosie, a jednocześnie plądrował w ładownicach, opróżniał je i napełniał swój koszyk. Powstańcy dysząc z (trwogi nie spuszczała z niego oczu. Barykada drżała, Gavroche śpiewał. Nie było to dziecko, nie był to mężczyzna, ale jakiś przedziwny chłopak-czarodziej; jakiś — rzekłbyś — chochlik bitewnego zamętu, którego nie miały się kule. Gonili go, lecz on był od nich zwinniejszy. Bawił się ze śmiercią w jakąś przerażającą ciuciubabkę; ilekroć zbliżała się do niego beznosa twarz widma, chłopak częstował ją szczutkiem.

Jedna wszakże kula, lepiej wymierzona lub bardziej od innych zdradziecka, dosięgła wreszcie to dzieckobłądny ogień. Gavroche zachwiał się i osunął na ziemię. Cała barykada krzyknęła; ale w tym Pigmeju było coś z Anteusza . Dla ulicznika dotknąć bruku znaczyło tyle, co dla olbrzyma dotknąć ziemi. Gavroche upadł tylko po to, żeby się zaraz podnieść; usiadł na bruku, długa smużka krwi przecinała mu policzek, podniósł w górę obie ręce, spojrzął w stronę, z której padł strzał, i zaczął śpiewać:

Śmierci dali mnie na żer, A kto winien? Pan Voltaire; Nos w rynsztoku —  
pociecz sto, A to sprawił pan...

Nie dokończył. Druga kula tego samego strzelca przerwała piosenkę w pół słowa. Tym razem upadł twarzą na bruk i nie poruszył się więcej. Wielka dusza małego człowieczka odleciała.

## ROZDZIAŁ XVI

### W JAKI SPOSÓB BRAT STAJE SIĘ OJCEM

W tym samym właśnie czasie w Ogrodzie Luksemburskim — spojrzenie dramatu winno dotrzeć wszędzie — szło dwoje dzieci trzymając się za ręce. Jedno z nich mogło mieć siedem lat, drugie pięć. Deszcz je zmoczył, szły więc po słonecznej stronie alei, starszy chłopiec prowadził młodszego, byli obdarci i bladzi, wyglądali jak dzikie ptaki; młodszy powtarzał: „Bardzo chce mi się jeść!”

Starszy już opiekuńczym gestem prowadził brata lewą ręką, a w prawej trzymał kijek.

Byli sami w Ogrodzie. Ogród był pusty, bramy na rozkaz policji zamknięte z powodu powstania. Oddziały wojska, które tu biwakowały, wyruszyły już do walki.

Skąd się tu wzięły te dzieci? Może uciekły z jakiejś kordegardy? Może w pobliżu, koło roгатki d'Enfer, esplanady Obserwatorium lub na sąsiednim rogu uli cy, gdzie wznosi się fronton domu z napisem: *Invenerunt parvulum pannis involutum* , stał jakiś barak linoskokczków, z którego się wymknęły? A może poprzedniego wieczora w chwili zamykania bram zmyliły czujność dozorców Ogrodu i spędziły noc w jednej z altanek, gdzie się czyta gazety? W każdym razie były zbłąkane i wydawały się wolne. Błąkać się i wydawać wolnym — to znaczy zgubić się. Istotnie, te biedne dzieci były zgubione.

Byli to dwaj malcy, o których martwił się Gavroche i których czytelnik sobie przypomina. Dzieci Thenardierów, wypożyczone Magnon, przypisywane panu Gillenormand, a teraz — liście spadłe z tych wszystkich gałęzi bez korzeni i miecione wiatrem po ziemi.

Ubranka ich, schludne za czasów Magnon, gdy służyły . za prospekt reklamowy dla pana Gillenormand, podarły się w strzępy.

Te dwie istoty należały teraz w statystyce do rubryki „dzieci opuszczonych”, które policja wykrywa, zbiera, gubi i' znowu odnajduje na paryskim bruku. Trzeba było aż zamieszek tego dnia, aby dwaj mali nędzarze mogli znaleźć się w tym Ogrodzie. Gdyby dozorczy dostrzegli ich, wypędziliby tych łachmaniarzy. Mali biedacy nie mają wstępu do ogrodów publicznych; a jednak trzeba by pomyśleć, że — jako dzieci — mają także prawo do kwiatów. Ci dwaj chłopcy znaleźli się w Ogrodzie Luksemburskim dzięki zamkniętym bramom. Naruszali

przepisy prawne. . Wśliznęli się do Ogrodu i już tu zostali. Zamknięte bramy nie zwalniają dozorców z ich obowiązków, dozór powinien istnieć nadal, ale w rzeczywistości słabnie i maleje; toteż dozorczy, ogarnięci ogólnym niepokojem i przejęci bardziej tym," co się dzieje na zewnątrz niż wewnątrz Ogrodu, nie zaglądali do środka i nie dostrzegli dwóch przestępców.

Deszcz padał poprzedniego dnia, a nawet kroił trochę z rana. Ale w czerwcu ulewy nie mają znaczenia. Już w godzinę po burzy ledwo widać, że ten piękny, jasny dzień płakał. W lecie ziemia obsycha tak szybko jak policzki dziecka.

W tej porze roku światło południa jest, że tak powiem, zachłanne. Zabiera wszystko. Kładzie się na ziemi, przylega, nieledwie przysysa się do niej. Rzekłbyś, że słońce ma pragnienie. Ulewa to szklanka wody; w jednej chwili deszcz jest wypity. Rankiem wszystko lśni kroplście, wieczorem wszystko pokrywa kurz.

Cóż cudniejszego nad zieleń obmytą deszczem i osuszoną promieniem słońca? To świeżość ogrzana. Ogrody i łąki, mając wodę w korzeniach, a słońce w kwiatach, zmieniają się w kadzielnice i rozsiewają wszystkie . swe wonie na raz. Wszystko śmieje się, śpiewa, oddaje. Człowiek czuje się leciutko pijany. Wiosna — to tymczasowy raj; słońce ułatwia ludziom oczekiwanie.

Są istoty, które niczego więcej nie pragną; śmiertelnicy, którzy mając błękit nieba mówią: „To mi wystarczy!”, marzyciele, zatopieni w cudach, czerpiący z uwielbienia natury obojętność na dobro i zło, badacze kosmosu, radośnie zapominający o człowieku, którzy nie rozumieją, jak można się przejmować głodem jednych, pragnieniem drugich, nagością biedaka w zimie, limfatycznym skrzywieniem kręgosłupa u dziecka, jak można przejmować się barłogiem, poddaszem, więzieniem czy łachmanami dygocących z zimna dziewcząt, kiedy tek dobrze jest marzyć pod drzewami. Umysły spokojne i straszne, bezlitośnie zadowolone. Rzecz dziwna — nieskończoność im wystarcza. Ta wielka potrzeba człowieka: skończoność, która uznaje serdeczny uścisk, jest im zupełnie nie znana. Skończoność, która uznaje postęp, ten wzniosły trud, nawet na myśl im nie przyjdzie. Nie pojmują tej rzeczy nieokreślonej, zrodzonej z boskiego i ludzkiego połączenia nieskończoności i skończoności. Dość im wpatrywać się w ogrom niezmierny, żeby się uśmiechać. Nigdy radości, zawsze ekstaza. Żyją w zapamiętaniu. Historia ludzkości jest dla nich jedynie wycinkiem ogólnego planu. Nie obejmuje wszystkiego; prawdziwe Wszystko pozostaje na zewnątrz, po cóż zaprzętać sobie głowę tym szczegółem — człowiekiem? Człowiek cierpi, możliwe; ale spójrzcie — oto wschodzi Aldebaran ! Matka nie ma pokaraniu, niemowlę umiera, nic o tym nie wiem, ale patrzcie tu na tę cudowną rozetę, którą pod mikroskopem tworzy krążek miazgi drzewnej w sośnie! Nie można z nim porównać najpiękniejszych koronek brabanckich! Myśliciele ci nie umieją kochać. Gwiazdy zodiaku tak ich zajmują, że przysłaniają im płaczące dziecko.

Bóg zaćmiewa im dusze. To ród duchów wielkich i małych zarazem. Należał do nich Horacy, należał do nich Goethe, może również i La Fontaine; wielcy egoiści nieskończoności, spokojni widzowie cierpienia, którzy nie dostrzegają Nerona, jeśli jest pięknie na dworze, którym słońce przesłania płonący stos, którzy patrząc, jak gilotynują człowieka, widzieliby jedynie grę świateł i którzy nie słyszą ani krzyku, ani szlochu, ani jęku, ani dzwonu na trwogę; dla nich wszystko jest dobre, skoro istnieje maj; są zadowoleni, póki mają nad głową purpurowe i złociste obłoki; postanowili być szczęśliwi, póki nie wygasną promienie gwiazd i nie ucichnie śpiew ptaków.

To są promienni synowie ciemności. Nie domyślają się nawet, że są pożałowania godni. A są godni pożałowania. Kto nie płacze, nie widzi. Trzeba ich podziwiać i żałować, tak jak żałowałoby się i podziwiałoby stworzenie będące równocześnie dniem i nocą, które nie miałoby oczu pod powiekami, a miałoby gwiazdę pośrodku czoła.

Obojętność tych myślicieli jest, zdaniem pewnych ludzi, filozofią wyższego rzędu. Zgoda. Ale w tej wyższości jest ułomność. Można być nieśmiertelnym i kulawym; dowodem tego Wulkan. Można być więcej niż człowiekiem, a zarazem mniej niż człowiekiem. Niedoskonałość na skalę ogromu panuje w naturze. Któż zaręczy, że słońce nie jest ślepe?

Jak to? Komu mamy ufać? *Solem quis dicere falsum audeat?* Więc niektórzy geniusze, szczyty ludzkości, ludzie-gwiazdy, mogliby się mylić? Więc to, co jest na górze, na szczycie, u zenitu, to, co zsyła na ziemię tyle światłości, samo widziałyby mało, widziałyby źle, nie widziałyby wcale? Czyż to nie jest rozpaczliwe? Nie! Cóż jest ponad słońcem? Bóg.

6 czerwca 832 roku koło godziny jedenastej Ogród Luksemburski, pusty i wyludniony, był uroczy. Kępy drzew i kwietniki zalane potokami światła słały sobie aromaty i olśnienia... Zdawało się, że gałęzie, oszalałe w blasku południa, chcą się spleść w uścisku. W Sykomorach głośno świergotały piegże, wróble ćwierkały zwycięsko, dzięcioły chodziły po kasztanach, stukając dziobkami w szczeliny kory. Klomby uznawały królewską władzę lilii. Biel śle najwspanialsze wonie. W powietrzu unosił się korzenny zapach goździków. Stare wrony Marii Medici krążyły zakochane wśród wielkich drzew. Słońce złociło, powlekało czerwienią i zapalało tulipany, te różnorodne płomyki przemienione w kwiaty. Nad grzędami tulipanów krążyły pszczoły, iskry tych kwiatów-płomieni. Wszystko było urokiem i radością, nawet grożący deszcz; ta recydywa, na której miały skorzystać konwalie i wiciokrzewy, nie miała w sobie nic niepokojącego; jaskółki powtarzały swoją wdzięczną pogrózkę, latając nisko. Wszystko zachłystywało się szczęściem; życie miało cudowny zapach, cała przyroda tchnęła pogodą, życzliwością, dobrocią, ojcowskim uczuciem, pieśczętą, jutrzenką. Myśli, które spływały z nieba, były słodkie jak mała rączka dziecka

zapraszająca do pocałunku.

Posągi pod drzewami nagie i białe miały szaty z cienia podziurawione światłem: słońce podarło tym boginiom suknie na strzępy, zewsząd zwisały im promienie. Wokół dużej sadzawki ziemia tak wyschła, że była prawie spieczona. Podmuchy wiatru miały dość siły, aby gdzieniegdzie wywołać małe zamieszki kurzu. Kilka żółkłych liści — pozostałość po ostatniej jesieni — goniło się wesoło i figlowało. Obfitość światła miała w sobie coś kojącego. Wszędzie przelewało się życie, soki żywotne, upał, fluidy; w bogactwie stworzenia czuło się ogrom jego źródła; we wszystkich tych tchnieniach przepojonych miłością, w migotaniu światła i blasków, w olśniewającej rozrzutności promieni, w tej nieopisanej powodzi płynnego złota, czuło się rozrzutność nieprzebranych sił, a poprzez tę wspaniałość, jak poprzez zasłonę z płomieni, dostrzegało się Boga — milionera gwiazd.

Dzięki obfitości piasku nie było nawet plamki błota; dzięki deszczom nie było nawet ziarnka kurzu. Bukiety barw obmyły się przed chwilą; wszystkie aksamity, wszystkie atłasy, wszystkie glazury i całe złoto, które pod postacią kwiatów wychodzi z ziemi, było nieskalane. Ten przepych był czysty. Wielka cisza szczęśliwej natury wypełniała ogród. Niebiańska cisza harmonizująca z tysiącem, melodii, ze świergotaniem gniazd, brzęczeniem rojów, pulsowaniem wiatru. Cała harmonia tej pory roku zlewała się we wdzięczną całość; wiosna wchodziła i schodziła ze sceny w przewidzianym z góry porządku; kończyły się bzy, zaczynały jaśminy; kilka kwiatów zapóźniło się, kilka owadów pojawiło się przedwcześnie; awangarda czerwonych motyli czerwcowych bratała się z ariergardą białych motyli majowych. Płatany zmieniały skórę. Wiatr marszczył w fale bujną rozłożystość kasztanów. To było wspaniałe. Stary żołnierz, patrząc z sąsiednich koszar w *głąb* ogrodu, powiedział: „Oto wiosna z bronią u nogi w galowym rynsztunku!”

Cała natura ucztowała; świat zasiadł do stołu; nadeszła właściwa godzina. Wielki niebieski obrus rozestany był na niebie, wielki zielony obrus rozestany był na ziemi; słońce świeciło *a giorno*. Bóg podawał posiłek wszelkiemu stworzeniu. Każdy miał swój żer albo swoje jado. Gołąb-grzywacz znajdował siemię, zięba — ziarnko prosa, szczygieł — mokrzycę, raszka — robaki; pszczoły znajdowały kwiaty, muchy znajdowały wymoczki, a dzwonec znajdował muchy. Po trosze zjadano się nawzajem, co jest tajemnicą pomieszania zła i dobra; ale żadne zwierzę nie miało pustego żołądka.

Dwaj opuszczeni malcy doszli do dużej sadzawki i nieco onieśmieleni powodzią światła starali się gdzieś ukryć; jest to instynktowny odruch istot biednych i słabych wobec każdego przepychu — nawet bezosobowego; stanęli więc za budką dla łabędzi.

Chwilami, kiedy powiał wiatr, dolatywały do nich niewyraźne krzyki, jakaś wrzawa, zgiełkliwy jazgot będący odgłosem salw karabinowych i głucho uderzenia będące echem armatniej palby. Nad dachami w stronie Hal unosił się dym. Dzwon dzwonił z oddali, jakby nawołując.

Dzieci zdawały się nie słyszeć tej wrzawy. Od czasu do czasu młodszy powtarzał półgłosem: „Jeść mi się chce.”

Prawie jednocześnie z dwoma malcami do sadzawki zbliżyła się inna para. Pięćdziesięcioletni jegomość prowadził za rękę sześćoletniego jegomościa. Prawdopodobnie był to ojciec z synem. Sześćoletni jegomość trzymał w ręce duże drożdżowe ciastko.

W owym czasie mieszkańcy niektórych przylegających do ogrodu domów przy ulicy Madame i ulicy d'Enfer mieli klucz od Ogrodu Luksemburskiego i mogli korzystać z niego, kiedy bramy były zamknięte; przywilej ten został później zniesiony. Zapewne ojciec i syn wyszli z jednego z tych domów.

Dwaj mali biedacy widząc zbliżającego się „pana” ukryli się jeszcze głębiej.

Ów pan był to mieszczanin. Może nawet ten sam, którego Mariusz usłyszał kiedyś poprzez swoją gorączkę miłosną, jak doradzał synowi, aby „unikał krańcowości”. Miał minę uprzejmą i wyniosłą, a usta zawsze otwarte w uśmiechu. Ten mechaniczny uśmiech, wynik zbyt dużych szczęk i zbyt skąpej skóry, ukazuje raczej zęby niż duszę. Chłopiec z nadgryzionym ciastkiem w ręku był wyraźnie przejeżdżony. Syn — z powodu rozruchów — miał na sobie mundurek gwardii narodowej, ojciec zaś — z powodu roztropności — ubrany był po cywilnemu.

Ojciec i syn zatrzymali się przy sadzawce, gdzie pluskały się dwa łabędzie. Ów mieszczuch zdawał się żywić jakiś specjalny podziw dla łabędzi. Był nawet do nich podobny, chodził tak jak one. W tej chwili łabędzie pływały — co jest ich główną umiejętnością — i wyglądały wspaniale.

Gdyby dwaj mali biedacy mogli to słyszeć i byli w stanie zrozumieć, do ich uszu doszłyby takie oto słowa człowieka poważnego. Ojciec przemawiał do syna:

— Mędrzec zadowala się małym. Spójrz na mnie, synu. Nie lubię przepychu. Nie widziano mnie nigdy w stroju haftowanym złotem i drogimi kamieniami; fałszywy blask zostawiam duszom źle zorganizowanym.

Tu głucho krzyki, dochodzące od strony Hal, rozległy się ze zdwojoną siłą, wraz z biciem dzwonu i zgiełkiem.

— Co to? — zapytał chłopiec.

— To saturnalia! — odparł ojciec.

Nagle zauważył dwóch małych oberwańców, znieruchomiałych za zieloną budką dla łabędzi.

— Oto początek! — rzekł.

I po chwili milczenia dodał:

— Anarchia wciska się do tego ogrodu. Tymczasem chłopiec ugryzł kawałek ciastka, wypluł go i nagle zaczął płakać.

— Czemu płaczesz? — zapytał ojciec.

— Nie jestem głodny! — odpowiedział chłopiec. Uśmiech ojca zaostrzył się.

— Nie trzeba być głodnym, żeby jeść ciastko.

— Ciastko mi nie smakuje. Jest czerstwe! — Nie chcesz go?

— Nie. Ojciec pokazał mu łabędzie.

— Rzuć je tym płetwonogom.

Chłopak zawahał się; można już nie mieć ochoty na ciastko, ale to jeszcze nie powód, żeby je komuś oddawać.

Ojciec nalegał:

— Bądź ludzki. Trzeba mieć litość dla zwierząt.

I wzięwszy ciastko z ręki syna, rzucił je do sadzawki.

Ciastko upadło dość blisko brzegu.

Łabędzie były daleko na środku sadzawki, zajęte polowaniem na jakąś zdobycz. Nie widziały ani jegomościa, ani ciastka.

Mieszczuch, widząc, że ciastko może się zmarnować, w obawie niepotrzebnej straty, zaczął gorączkowo dawać jakieś telegraficzne znaki, które wreszcie zwróciły uwagę łabędzi. Spostrzegły coś pływającego na powierzchni, zmieniły kurs jak okręty i pożeglowały w kierunku ciastka wolno, z majestatycznym spokojem, jak przystoi białym ptakom.

— Łabędzie pojęły moje orędzie — rzekł mieszczanin uszczęśliwiony swoim rymem.



W tej chwili daleki zgiełk miejski stał się nagle jeszcze głośniejszy. Tym razem brzmiał złowieszczo. Niektóre podmuchy wiatru mówią wyraźniej niż inne. Ten, który wiał w tej chwili, przyniósł wyraźny warkot bębnow, krzyki, salwy karabinowe, posępny dwugłos dzwonów i dział. Jednocześnie czarna chmura przysłoniła nagle słońce.

Łabędzie jeszcze nie dopłynęły do ciastka.

— Wracajmy — rzekł ojciec. — To atak na Tuilerie.

Znów ujął syna za rękę i mówił dalej:

— Tuilerie dzieli od Luksemburgu taka sama odległość jak króla od para; niedaleka to droga. Za chwilę posypią się tu kule.

Spojrzał na chmurę.

— A może nawet i spadnie deszcz! Niebiosa także wdały się w dzisiejsze awantury. Młodsza linia jest skazana na zagładę. Wracajmy co żywo.

— Chciałbym zobaczyć, jak łabędzie będą jadły ciastko! — rzekł chłopiec.

Ojciec odpowiedział:

— Byłaby to nieroztropność!

I zabrał swojego małego mieszczucha.

Syn, żałując łabędzi, oglądał się na sadzawkę, dopóki na zakręcie alei nie zasłoniły mu jej drzewa.

Tymczasem razem z łabędziami dwaj mali włóczędzy zbliżyli się do ciastka. Pływało po wodzie. Młodszy patrzył na ciastko, starszy na oddalającego się mieszczucha.

Ojciec i syn zniknęli w labiryncie alei wiodącej na główne schody przy kępie drzew od ulicy Madame.

Kiedy już ich nie było widać, starszy położył się szybko plackiem na zaokrąglonej krawędzi sadzawki i uczepiwszy się jej lewą ręką, wychylił się tak, że omal nie wpadł do wody, a prawą rękę z kijkiem wyciągnął w stronę ciastka. Na widok nieprzyjaciela łabędzie zaczęły się spieszyć, ale swym pośpiechem pomogły tylko małemu rybakowi; poruszyły piersią wodę i kolista, koncentryczna fala popchnęła łagodnie ciastko pod kijek chłopca. Kiedy ptaki dopłynęły, ciastko dotykało już kijka. Chłopiec uderzył mocno w wodę,

przyciągnął je do brzegu, odstraszył łabędzie, pochwycił ciastko i wstał. Ciastko było mokre, ale dzieciom chciało się i jeść, i pić. Starszy rozłamał ciastko na dwie nierówne części — mniejszą wziął sobie, większą dał małemu bratu — i rzekł:

— Masz, włóż to do dzioba!

## ROZDZIAŁ XVII

### MORTUUS PATER FILIUM MORITURUM EXPECTAT

Mariusz wybiegł za barykadę. Combeferre pośpieszył za nim. Ale było już za późno. Gavroche nie żył.-

Combeferre zabrał koszyk z nabojami. Mariusz zabrał dziecko.

„Ach! — myślał. — To, co ojciec Gavroche'a uczynił dla jego ojca, on oddaje teraz synowi; ale Thenardier przyniósł jego ojca żywego; on niestety niesie martwe dziecko.”

Kiedy Mariusz z Gavroche'em na ręku wszedł do reduty, miał — tak samo jak chłopiec — całą twarz zalaną krwią.

W chwili kiedy schylał się, aby podnieść Gavroche'a, kula drasnęła go w głowę; wcale tego nie spostrzegł.

Courfeyrac odwiązał chustkę z szyi i owinął Mariuszowi czoło.

Złożono Gavroche'a na stole obok ojca Mabeuf i oba ciała okryto czarnym szalem. Starczyło go i dla starca, i dla dziecka

Combeferre rozdał naboje z przyniesionego koszyka. Dla każdego wypadło po piętnaście nabojów.

Jan Valjean siedział nieruchomo wciąż na tym samym miejscu na skraju trotuaru. Kiedy Combeferre podawał mu naboje, przecząco potrząsnął głową.

— To jakiś oryginał! — powiedział cicho Combeferre do Enjolrasa. — Znajduje sposób, żeby się nie bić na tej barykadzie.

— Co mu nie przeszkadza bronić jej — odparł Enjolras.

— Bohaterstwo miewa swoich dziwaków — rzekł na to Combeferre.

A Courfeyrac słysząc to dorzucił:

— To inny gatunek niż ojciec Mabeuf.

Trzeba powiedzieć, że strzały bijące w barykadę wcale prawie nie zakłócały spokoju reduty. Kto sam nie doświadczył zamętu takich wojen, nie może mieć żadnego wyobrażenia o przedziwnych chwilach spokoju, które następują wśród

tych konwulsyjnych zmagania. Ludzie chodzą wówczas swobodnie, gawędzą, żartują, spacerują. Podczas kanonady pewien powstaniec zwrócił się do jednego z naszych znajomych w te słowa: „Jesteśmy tu jak na kawalerskim śniadanku.” Powtarzamy więc, że wewnątrz reduty przy ulicy Konopnej wydawało się zupełnie spokojne. Wszystkie odmiany losu i kolejne fazy dopełniły się lub miały dopełnić się niebawem. Sytuacja z krytycznej stała się groźna, a z groźnej miała się zapewne stać beznadziejna. W miarę jak położenie pogarszało się, blask heroizmu powlekał barykadę coraz płomienniejszą purpurą. Pełen powagi Enjolras górował nad nią niczym młody Spartanin ofiarowujący obnażony miecz posępnemu geniuszowi Epidotesowi.

Combeferre, opasany fartuchem, opatrywał chorych. Bossuet i Feuilly robili ładunki z prochu, którego pełny rożek znalazł Gavroche przy poległym kapralu; Bossuet mówił do Feuilly:

— Wkrótce wsiądziemy do dylizansu odchodzącego na inną planetę.

Courfeyrac na paru kamieniach, które sobie zarezerwował w pobliżu Enjolrasa, rozłożył i porządkował cały swój arsenał: laskę ze szpadą, strzelbę, dwa kawaleryjskie pistolety i tzw. kuksaniec; a robił to ze starannością młodej dziewczyny, która porządkuje swoją etażerkę. Jan Valjean milcząco wpatrywał się w przeciwległy mur. Jakiś robotnik przywiązywał sobie sznurkiem na głowie wielki kapelusz matki Hucheloup, aby — jak mówił — uchronić się przed porażeniem słonecznym. Młodzi ludzie, członkowie Kugurdy z Aix, gawędzili ze sobą, jakby zależało im na tym, aby przed śmiercią nagadać się w swoim dialekcie. Joly, zdjąwszy lusterko wdowy Hucheloup, oglądał sobie język. Paru powstańców znalazło w szufladzie suche skórki spleśniałego chleba i zjadało je chciwie. Mariusz z niepokojem myślał o tym, co niebawem powie mu ojciec.

## ROZDZIAŁ XVIII

### SĘP, KTÓRY STAJE SIĘ ŁUPEM

Rodkreślamy tu z naciskiem pewien fakt psychologiczny właściwy barykadom. Nic, co charakteryzuje tę zadziwiającą wojnę uliczną, nie powinno być pominięte.

Pomimo osobliwego spokoju panującego wewnątrz reduty, o czym mówiliśmy przed chwilą, dla ludzi, którzy się w niej znajdują, barykada jest jakimś przywidzeniem.

Wojna domowa ma w sobie coś z Apokalipsy; wszystkie mgławice tego, co nieznane, mieszają się z jej groźnymi płomieniami; rewolucje to sfinksy i ten, . kto przeszedł przez barykadę, myśli że przeszedł przez sen.

Mówiąc o Mariuszu, opisaliśmy, co się odczuwa w takich miejscach, i zobaczymy, jakie to ma konsekwencje; to więcej i mniej niż życie. Wydostawszy się z barykady człowiek nie pamięta, co tam widział. Był straszny, lecz o tym nie wie. Otaczały go walczące idee, które miały ludzkie twarze; głowę opromieniał mu blask przyszłości. Trupy leżały na ziemi, a widma stały. Godziny były olbrzymie *i* zdawały się godzinami wieczności. Żył się w śmierci. Przesuwały się jakieś cienie. Co to było? Widziałeś ręce zbroczone krwią; było to przerażające ogłuszenie, była to również potworna cisza; widziałeś otwarte usta, które krzyczały inne otwarte usta, które milczały. Wszystko spowijał dym, a może noc. Zdawało się, że dotknąłeś złowrogiej wilgoci sączącej się z nieznanych głębin; spoglądasz na coś czerwonego, co masz za paznokciami. Nie przypominasz sobie nic.

Ale wróćmy na Konopną. Nagle między dwiema salwami usłyszano dalekie bicie zegara wydzwaniającego godzinę.

— Południe — rzekł Combeferre.

Jeszcze nie przebrzmiało dwunaste uderzenie, kiedy Enjolras zerwał się i grzmącym głosem zawołał ze szczytu barykady:

— Znosić brukowce do domu. -Obwarować nimi okno na piętrze i okienka na poddaszu. Połowa ludzi do broni, połowa do znoszenia kamieni! Nie ma ani chwili do stracenia.

Zza rogu ulicy ukazał się w bojowym ordynku oddział saperów z siekierami na ramieniu.

Nie mogło to być nic innego, jak czołówka kolumny. Jakiej kolumny? Kolumny szturmowej, oczywiście. Saperzy, mający burzyć barykadę, idą zawsze przed żołnierzami idącymi do ataku. Najwyraźniej zbliżał się moment, który w roku 822 pan Clermont-Tonnerre nazwał „ostatnim uderzeniem”.

Rozkaz Enjolrasa został wykonany z systematycznym pośpiechem, właściwym okrętom i barykadom, tym dwom miejscom walki, z których nie ma odwrotu. W niespełną minutę dwie trzecie kamieni brukowych, które Enjolras kazał złożyć przy drzwiach „Koryntu”, wniesiono na górę i nim upłynęła druga minuta, kamienie te, artystycznie ułożone jeden na drugim, zasłaniały do połowy okno na pierwszym piętrze i okienka na poddaszu. Parę otworów, starannie obmyślonych przez głównego konstruktora, Feuilly, służyło za strzelnice. Obwarowanie okien poszło tym łatwiej, że ogień kartaczy ucichł. Obie armaty strzelały teraz kulami w środek barykady, aby przygotować jakąś szczerbę lub — w miarę możliwości — wyłom dla natarcia.

Kiedy skończono- układanie kamieni przeznaczonych do tej ostatecznej obrony, Enjolras kazał zanieść na pierwsze piętro butelki stojące pod stołem, na którym leżały zwłoki pana Mabeuf.

— Któż je wypije? — zapytał Bossuet.

— Oni — odrzekł Enjolras.

Następnie zabarykadowano okno na parterze i ustawiono w pogotowiu sztaby żelazne, którymi na noc zamykano drzwi gospody.

Twierdza była gotowa. Barykada stanowiła wał ochronny, a karczma — basztę. Pozostałymi kamieniami założono przejście przy murze. Ponieważ obrońcy barykady muszą oszczędzać amunicję, oblegający, którzy o tym wiedzą, czynią swoje przygotowania z irytującą swobodą, wystawiają się na strzały, raczej zresztą pozornie niż w rzeczywistości, i robią, co chcą. Przygotowania do natarcia odbywają się zwykle z pewną metodyczną powolnością; a potem — pada grom!

Ta powolność pozwoliła Enjolrasowi przejrzeć wszystko i wprowadzić wszędzie ulepszenia. Uważał, że skoro mieli umrzeć tacy ludzie", śmierć ich powinna być arcydziełem.

Powiedział do Mariusza:

— My dwaj jesteśmy dowódcami. Ja wydam ostatnie rozkazy wewnątrz. Ty zostań na zewnątrz i uważaj!

Mariusz stanął na szczycie barykady i patrzył. Enjolras kazał zabić gwoździemi

drzwi od kuchni przemienionej, jak pamiętamy, na ambulans.

— Uważajcie na rannych! — rzekł.

Ostatnie instrukcje wydawał w izbie na parterze, zwięźle, lecz z całkowitym spokojem; Feuilly słuchał i odpowiadał w imieniu wszystkich.

— Na pierwszym piętrze miejcie siekiery w pogotowiu, żeby porąbać schody. Macie siekiery?

— Mamy — odrzekł Feuilly.

— Ile?

— Dwie siekiery i toporek.

— Dobrze. Jest nas dwudziestu sześciu zdolnych do walki. Ile mamy karabinów?

— Trzydzieści cztery.

— O osiem za dużo. Nabijcie te karabiny i miejcie je pod ręką. U pasa szable i pistolety. Dwudziestu ludzi na barykadzie. Sześciu, ukrytych w oknie pierwszego piętra i na strychu, otworzy ogień na napastników przez strzelnice w kamieniach. Niech nikt nie będzie bezczynny. Kiedy werbel zagra do ataku, tamtych dwudziestu niech skacze na barykadę. Kto przyjdzie pierwszy, będzie miał lepsze miejsce.

Wydawszy te zarządzenia, zwrócił się do Javerta i rzekł:

— Nie zapominam o tobie.

I kładąc pistolet na stole dodał:

— Ostatni, który stąd wyjdzie, rozwali łeb temu szpiclowi.

— Tu? — zapytał jakiś głos.

— Nie! Nie godzi się mieszać tego trupa z naszymi poległymi. Można wyjść za barykadę na uliczkę Zakręt: barykada ma tam tylko cztery stopy wysokości. Jest dobrze związany. Wyprowadzić go tam i rozstrzelać.

Ktoś miał w tej chwili wyraz twarzy bardziej niewzruszony jeszcze niż Enjolras; był to Javert.

W tej chwili zjawił się Jan Valjean.

Dotychczas stał w gromadce powstańców; teraz wystąpił z niej i zapytał Enjolrasa:

— Pan jest dowódcą, prawda?

— Tak.

— Przed chwilą dziękował mi pan.

— W imieniu republiki. Barykada ma dwóch wybawców: Mariusza Pontmery i pana.

— Czy sądzi pan, że zasługuję na nagrodę? — Niewątpliwie.

— A więc proszę o nią.

— Czego pan chce?

— Chcę sam palnąć w łeb temu człowiekowi. Javert podniósł głowę, zobaczył Jana Valjean, drgnął niedostrzegalnie i rzekł:

— Słusznie!

Enjolras zabrał się do nabijania karabinu, po czym powiódł wzrokiem dokoła:

— Nikt się nie sprzeciwia? I odwróciwszy się do Jana Valjean, rzekł:

— Bierz pan tego szpicla.

Jan Valjean objął w posiadanie Javerta, siadając na brzegu stołu.

Wziął pistolet, cichy trzask oznajmił, że go nabija. Niemal w tej samej chwili rozległ się głos trąbki.

— Do broni! — krzyknął Mariusz ze szczytu barykady.

Javert zaczął się śmiać właściwym sobie bezgłośnym śmiechem i patrząc uporczywie na powstańców rzekł:

— Nie lepiej się macie niż ja!

— Wszyscy na ulicę! — krzyknął Enjolras. Powstańcy wypadli hurmem i w drzwiach jeszcze dostali — że się tak wyrażę — w plecy te słowa Ja-verta:

— Do rychłego zobaczenia.



## ROZDZIAŁ XIX

### JAN VALJEAN MŚCI SIĘ

Kiedy Jan Valjean został sam z Javertem, odwiązał sznur, który krępował więźnia w pasie i zawiązany był na węzeł pod stołem.

Po czym dał mu znak, żeby wstał.

Javert usłuchał rozkazu z tym nieokreślonym uśmieszkiem, w którym koncentruje się cała wyższość skrępowanej władzy.

Jan Valjean ujął go za sznur, jakby prowadził jucznego konia za uzdę, i ciągnąc za sobą wyszedł powoli z gospody, bo Javert ze spętanymi nogami mógł stąpać tylko bardzo drobnym krokiem.

Jan Valjean trzymał w ręku pistolet. Tak przeszli przez wnętrza barykady mające kształt trapezu. Powstańcy, pochłonięci nadciągającym szturmem, odwróceni byli do nich plecami.

Jeden tylko Mariusz, który stał bokiem w lewym rogu szańca, widział, jak przechodzili. Grobowe światło, które miał w duszy, oświetliło tę grupę — skazańca i kata.

Jan Valjean nie bez trudu przeciągnął Javerta przez niewielkie obwałowanie przy uliczce Zakręt, nie puszczając go jednak ani na chwilę.

Kiedy przebyli barykadę, znaleźli się w uliczce sami. Nikt nie mógł ich widzieć. Węgieł domu zasłaniał ich przed okiem powstańców. Trupy przyniesione z barykady leżały tuż obok tworząc straszliwy stos.

Wśród tych zwłok widać było siną twarz, rozplecione włosy, przestrzeloną rękę i na wpół odstoniętą pierś niewieścią. Była to Eponina.

Javert spojrzął z ukosa na zmarłą i z niezmaconym spokojem powiedział półgłosem:

— Zdaje mi się, że znam tę. dziewczynę.

Po czym odwrócił się do Jana Valjean.

Jan Valjean wsunął pistolet pod pachę i utkwiał w Javercie spojrzenie, które i bez słów mówiło wy raźnie: „Javercie, to ja!”

Javert odpowiedział: — Mścij się! . Jan Valjean wyciągnął z kieszeni nóż i otworzył go.

— Majcher! — zawołał Javert. — Masz słuszość! To stosowniejsza broń dla ciebie. .

Jan Valjean przeciął sznur, który Javert miał na szyi, potem przeciął mu postronki na rękach, potem, schyliwszy się, przeciął rzemienie u nóg i prostując się rzekł:

— Pan jest wolny.

Niełatwo było zadziwić Javerta. A jednak, choć tak znakomicie panował nad sobą, nie zdołał się oprzeć gwałtownemu wzruszeniu. Otworzył usta i stał nieruchomo.

Jan Valjean ciągnął dalej:

— Nie sądzę, żebym uszedł z życiem. Ale jeżeli jakimś trafem wydostanę się stąd, to mieszkam pod nazwiskiem Fauchelevant przy ulicy Człowieka Zbrojnego pod numerem siódmym.

Jakiś tygrysi grymas rozchylił jedną stronę ust Javerta; mruknął przez zęby:

— Strzeż się!

— Idź pan — rzekł Jan Valjean. Javert odrzekł:

— Więc powiadasz: Fauchelevant, przy ulicy Człowieka Zbrojnego?

— Numer siódmy. Javert powtórzył półgłosem:

— Numer siódmy.

Zapiął surdut, wyprężył się po wojskowemu, zrobił półobrót, skrzyżował ramiona i trzymając się jedną ręką za podbródek zaczął iść w kierunku Hal. Jan

Valjean śledził go wzrokiem. Uszedłszy kilka kroków Javert odwrócił się i krzyknął do niego:

— Mam tego dość! Niech mnie pan raczej zabije! Nie spostrzegł nawet, że powiedział do Jana Valjean „pan”.

— Niech pan sobie idzie! — odrzekł Jan Valjean. Javert oddalił się wolnym krokiem. Po chwili skręcił za róg Dominikańskiej.

Kiedy Javert zniknął, Jan Valjean wypalił z pistoletu w powietrze. Po czym wrócił na barykadę i rzekł:

— Zrobione!

A oto, co tymczasem zaszło:

Mariusz, zajęty raczej tym, co się działo na zewnątrz niż wewnątrz barykady, dotychczas nie przyjrzał się uważniej szpiegowi skrepowanemu w ciemnym kącie izby.

Kiedy zobaczył w pełnym świetle, jak tamten przechodził przez barykadę, idąc na śmierć, poznał go. Nagłe wspomnienie przemknęło mu przez głowę. Przypomniał sobie inspektora z ulicy Pontoise i dwa pistolety, które od niego otrzymał i które przysłużyły się jemu — Mariuszowi — tutaj, właśnie na tej barykadzie; przypomniał sobie nie tylko jego twarz, ale i nazwisko.

Jednakże to wspomnienie było mgliste i zamazane jak wszystkie jego myśli. Toteż nie tyle stwierdził, ile raczej zadał sobie pytanie: „Czy to przypadkiem nie inspektor policji, który mi powiedział, że się nazywa Javert?”

Może był jeszcze czas, aby wstawić się za tym człowiekiem? Ale należałoby się przedtem upewnić, czy to jest istotnie Javert.

Mariusz zawołał do Enjolrasa, który stał na drugim końcu barykady:

— Enjolras!

— Co?

— Jak się nazywa ten człowiek?

— Kto?

— Ten agent policji. Znasz jego nazwisko?

— Oczywiście; sam mi powiedział. — Jak się nazywa?

— Javert.

Mariusz zerwał się.

W tej samej chwili rozległ się strzał z pistoletu. Jan Valjean ukazał się i krzyknął:

— Zrobione!

Ponury chłód przeszył serce Mariusza.

## ROZDZIAŁ XX

### UMARLI MAJĄ SŁUSZNOŚĆ, A ŻYWI SIĘ NIE MYLĄ

Agonia barykady miała się zacząć niebawem. Wszystko powiększało tragiczny majestat tej ostatniej godziny: tysiące tajemniczych odgłosów w powietrzu, oddech niewidocznych, uzbrojonych mas poruszających się na ulicach, przerywany galop kawalerii, ciężkie dudnienie artylerii w pochodzie, salwy plutonów zmieszane z kanonadą w labiryncie Paryża, dymy bitwy, które złociły się wznosząc ponad dachami, jakieś dalekie, przeraźliwe krzyki, wszędzie błyski groźby, bicie dzwonu z SaintMerry, który teraz zdawał się łkać i zawodzić, urok lata, wspaniałość nieba pełnego słońca i obłoków, piękno dnia i straszliwe milczenie domów.

Od poprzedniego dnia bowiem oba rzędy domów przy Konopnej zamieniły się w dwa mury; okrutne mury. Bramy zamknięte, zamknięte okna, zamknięte okiennice.

W owych czasach, tak różnych od czasów, w których żyjemy, kiedy nadchodziła godzina, że lud chciał skończyć z sytuacją, która zbyt długo trwała, z oktrojowaną konstytucją czy z legalizmem, kiedy powszechny gniew unosił się w atmosferze i miasto godziło się na wrywanie swoich bruków, kiedy mieszczaństwo uśmiechało się do powstania, które szeptało mu swoje hasła do ucha, wtedy mieszkaniec, przeniknięty, że tak powiem, rozruchami, był pomocnikiem walczącego i dom bratał się z wspartą o niego, zaimprovizowaną twierdzą. Kiedy natomiast sytuacja jeszcze nie dojrzała, kiedy na powstanie nie było zdecydowanej zgody, kiedy masy nie popierały ruchu, walczący byli zgubieni; dokoła rewolty miasto zamieniało się w pustynię, serca zamieniały się w lód, schronienia zamykały się, a ulica otwierała, aby ułatwić wojsku zdobycie barykady.

Nie można zmusić ludu przez zaskoczenie, aby szedł prędzej, niż sam chce. Biada temu, kto stawia go w sytuacji przymusowej. Lud nie pozwala się prowadzić. I pozostawia powstanie własnemu losowi. Powstańcy stają się zapowietrzeni. Dom staje się górskim urwiskiem, brama — protestem, fasada — murem. Ten mur widzi, słyszy i nie chce. Mógłby się otworzyć i ocalić cię. Ale nie! Ten mur — to sędzią. Patrzy na ciebie i potępia cię. Jakże złowrogie są zamknięte domy! Wydają się umarłe, a przecież żyją. Życie trwa. w nich, choć jest jakby w zawieszeniu. Od dwudziestu czterech godzin nikt stamtąd nie wyszedł, ale też nikogo tam nie brakuje. Wewnątrz tej skały ludzie chodzą, kładą się spać, wstają; są w rodzinnym gronie; jedzą, piją i, rzecz potworna — boją się. Strach usprawiedliwia ich okrutną niegościnnosć; wprowadza do niej

okoliczność łagodzącą — przerażenie. Czasami nawet i to się zdarza, że strach przeradza się w opętanie; trwoga może przemienić się w szal, jak ostrożność we wściekłość; stąd głęboko mądre określenie: „wściekle umiarkowani”. Od płomieni najwyższego lęku, jak złowieszczy dym, bije gniew.

„Czego chcą ci ludzie? Nigdy nie są zadowoleni. Kompromitują spokojnych obywateli. Jakbyśmy i tak nie mieli dosyć rewolucji! Co oni tu robią? Niech sobie radzą sami. Trudno. To ich wina. Mają to, na co zasługują. To nie nasza sprawa. Spójrzcie na naszą biedną ulicę, podziurawioną kulami jak rzeszoto. To banda nicponi. Nie ważcie się otwierać bramy!” I dom przybiera wygląd grobu. Powstaniec kona przed bramą; widzi, jak lecą kartacze, jak zbliżają się obnażone szable; jeśli zawoła, wie, że go usłyszą, ale nikt nie przyjdzie z pomocą; są tam ściany, które by mogły go osłonić, są tam ludzie, którzy by mogli go ocalić; i te ściany mają ludzkie uszy, a ci ludzie mają serca z kamienia.

Kogo tu oskarżać?

Nikogo i wszystkich.

Niedoskonałe czasy, w których żyjemy.

Tak się zawsze dzieje, że utopia na własne ryzyko przeistacza się w insurekcję; z protestu filozoficznego staje się protestem orężnym, z Minerwy staje się Palladą. Utopia, która traci cierpliwość i zmienia się w rozruchy, wie, co ją czeka; prawie zawsze zjawia się za wcześnie. A wtedy poddaje się swemu losowi i ze stoicyzmem przyjmuje katastrofę miast triumfu. Bez skargi służy tym, którzy się jej wyparli, rozgrzesza ich i wielkodusznie godzi się ze swym opuszczeniem. Wobec przeszkody jest niezłomna, a łagodna wobec niewdzięczności.

Czy to zresztą jest niewdzięczność?

Z punktu widzenia ludzkości — tak.

Z punktu widzenia jednostki — nie.

Postęp to sposób bycia człowieka. Życie ogólne rodzaju ludzkiego zwie się postępem. Postęp jest zawsze w marszu; odbywa wielką podróż ludzką i ziemską ku temu, co niebiańskie i boskie; ma postoje, na których zbiera zapóźnionych; ma swoje przystanki, na których rozmyśla w obliczu jakiejś wspaniałej Ziemi Obiecanej, odsłaniającej nagle swe horyzonty; ma również swoje noce, kiedy zasypia; i to właśnie jest jednym z najbardziej dręczących niepokojów myśliciela: widzieć cień rozpościerający się nad ludzką duszą, dotykać w Ciemnościach uśpionego postępu i nie móc go zbudzić.

„A może Bóg umarł?” — powiedział raz do autora tej książki Gerardde Nerval , utożsamiając postęp z Bogiem i biorąc przerwę w ruchu za śmierć Bytu.

Ten, co rozpacza, jest w błędzie. Postęp zbudzi się niezawodnie i w rezultacie można by powiedzieć, że nawet we śnie posuwa się naprzód, bo rośnie. Kiedy wstanie, widzisz, że jest wyższy. Płynąć zawsze spokojnie nie jest zarówno w mocy postępu, jak i rzeki; nie wznosicie na niej tam, nie wrzucajcie głazów; od przeszkód pieni się woda i burzy ludzkość. Stąd zamieszki, ale po tych zamieszkach widać, że kawał drogi zrobiono. Dopóki nie ustali się ład, który jest niczym innym, jak powszechnym pokojem, dopóki nie zapanuje jedność i harmonia, etapami postępu będą rewolucje.

Czym więc jest postęp? Powiedzieliśmy to przed chwilą: wiecznotrwałym życiem ludów.

Zdarza się czasem, że krótkotrwałe życie jednostek stawia opór wiecznemu życiu ludzkości.

Przyznajmy bez goryczy, że jednostka ma swoje odrębne interesy i nie popełniając wykroczenia może pilnować ich i bronić; teraźniejszość zawiera pewną wybaczalną dozę egoizmu. Krótkotrwałe życie ma także swoje prawa i nikt nie jest obowiązany poświęcać się ciągle dla przyszłości. Pokolenie, na które w danej chwili przyszła kolej pobytu na ziemi, nie musi skracać go dla pokoleń — równych mu przecie — które z kolei nastaną po nim. „Istnieją!” — szepcze ten ktoś, kto zwie się Wszyscy. „Jestem młody i zakochany, jestem stary i chcę odpocząć; jestem ojcem rodziny; pracuję, dobrze mi się wiedzie, robię korzystne interesy, mam domy do wynajęcia, mam pieniądze w pożyczkach państwowych, jestem szczęśliwy, mam żonę i dzieci, kocham to wszystko, pragnę żyć, zostawcie mnie w spokoju!” Stąd w pewnych godzinach całkowita oziębłość dla wielkodusznej awangardy rodzaju ludzkiego.

Przyznajmy zresztą, że utopia prowadząc wojnę wychodzi ze swych promiennych sfer. Ona, prawda Dnia Jutrzejszego, swój sposób postępowania, czyli walkę, zapożycza od wczorajszego kłamstwa. Ona, przyszłość, postępuje tak jak przeszłość. Ona, czysta idea, staje się gwałtem. Do swego bohaterstwa wprowadza przemoc i słusznie ponosi za to odpowiedzialność; przemoc okoliczności i przemoc środków działania, sprzeczną z zasadami, za którą ponosi nieuniknioną karę. Utopia — powstanie walczy trzymając stary kodeks wojskowy 'w rękę. Rozstrzeliwuje- szpiegów, dokonuje egzekucji zdrajców, zgładza żywe istoty i wtrąca je w nieznaną ciemność. Posługuje się śmiercią — a to rzecz poważna! Wydaje się, że utopia straciła wiarę w promieniowanie, swoją siłę nieodpartą i niezniszczalną. Uderza mieczem. A każdy kij ma dwa końce, każdy miecz jest obosieczny; kto innych rani jednym ostrzem, sam rani się drugim.

Zrobiwszy to zastrzeżenie — i zrobiwszy je z całą bezwzględnością — nie możemy się oprzeć uczuciu podziwu dla pełnych chwały bojowników przyszłości, dla tych wyznawców utopii — bez względu na to, czy zwyciężają, czy nie. Nawet jeśli chybią, są godni szacunku i może właśnie w niepowodzeniu mają najwięcej dostojeństwa. Zwycięstwo, zgodne z postępem, zasługuje na poklask ludów; ale bohaterska przegrana zasługuje na ich tkliwość. Jedno jest wspaniałe, drugie jest wzniosłe. Dla nas, którzy przenosimy męczeństwo nad powodzenie, John Brown jest większy od Washingtona, a Pisacane większy od Garibaldiego.

Ktoś musi się opowiedzieć po stronie zwyciężonych.

Ludzie są niesprawiedliwi dla tych wielkich pionierów, jeśli ich wysiłki spełzną na niczym.

Oskarża się rewolucjonistów, że sieją trwogę. Każda barykada wydaje się zamachem. Obwinia się ich teorie, podejrzewa się godziwość ich celu, lęka ukrytych intencji, podaje w wątpliwość sumienie. Zarzuca się im, że przeciw panującemu stanowi faktycznemu wznoszą, budują, gromadzą górę nędz, nieszczęść, niesprawiedliwości, krzywd i rozpaczy; że z nizin wrywają bryły ciemności i zza nich strzelają i walczą. Woła się do nich: „Wrywacie bruk z piekła!” Mogliby odpowiedzieć: „Z tego wniosek, że nasza barykada zbudowana jest z dobrych chęci.”

Zapewne, rozwiązanie pokojowe jest najlepsze. Przyznajmy, że społeczeństwo obawia się właśnie tych dobrych chęci, jakiejś niedźwiedziej przysługi, słowem — dobrej woli. Ale od społeczeństwa zależy jego własne ocalenie i do jego dobrej woli się odwołujemy. Gwałtowne środki nie są konieczne. Życzliwie zbadać zło, stwierdzić, że istnieje, i uleczyć je — oto, do czego zachęcamy społeczeństwo.

Cokolwiek powiemy, nawet pokonani — zwłaszcza pokonani — ludzie ci są pełni dostojeństwa, kiedy we wszystkich stronach świata z okiem utkwionym we Francję walczą o wielką sprawę z nieugiętą logiką ideału; bezinteresownie składają swoje życie w ofierze za postęp; wypełniają wolę Opatrzności; dokonują religijnego obrządku. A kiedy nadejdzie godzina, z równą bezinteresownością co aktor, na którego przyszła kolej wypowiedzieć swoją kwestię, posłuszni boskiemu scenariuszowi, schodzą do grobu. Godzą się na beznadziejną walkę, godzą się na pełne stoicyzmu odejście, aby doprowadzić do powszechnych — wspaniałych i najwyższych — osiągnięć potężny, niepoohamowany ruch ludzki rozpoczęty 4 lipca 1789 roku. Ci żołnierze — to kapłani. Rewolucja Francuska to gest Boga. Zresztą — tu należy dodać tę odmianę do odmian wskazanych już w innym rozdziale — istnieją powstania zaakceptowane, które zwą się rewolucjami, i powstania odrzucone, które zwą



się rozruchami. Powstanie, które wybuchą — to idea, która zdaje egzamin przed ludem. Jeśli lud rzuci czarną gałkę, idea jest jałowa, powstanie jest tylko utarczką.

Rozpoczynanie wojny na każde wezwanie i za każdym razem, kiedy tego pragnie utopia — nie odpowiada ludom. Nie zawsze i nie w każdej dobie narody są skore do bohaterstwa i męczeństwa.

Narody są rzeczowe. *A priori* powstanie budzi w nich niechęć; po pierwsze dlatego, że często kończy się katastrofą; po drugie dlatego, że zawsze wywodzi się, z abstrakcji.

Albowiem — i to jest piękne — ci, którzy się poświęcają, poświęcają się zawsze dla ideału i tylko dla ideału. 'Powstanie jest entuzjazmem. Entuzjazm może wpaść w gniew i dlatego chwyta za broń. Ale każde powstanie, biorąc na cel rząd czy ustrój, mierzy wyżej. Tak na przykład, podkreślmy to, przywódcy powstania z 832 roku, zwłaszcza zaś młodzi zapaleńcy z ulicy Konopnej, zwalczali — ściśle biorąc — nie Ludwika Filipa. Większość z nich, rozmawiając otwarcie, oddawała sprawiedliwość zaletom tego króla stojącego na pograniczu monarchii i rewolucji; nikt go nie nienawidził. Ale w osobie Ludwika Filipa atakowali młodszą linię prawa boskiego, tak jak starszą linię atakowali poprzednio w osobie Karola X. Wyjaśniliśmy też, że obalając monarchię we Francji, chcieli obalić w całym świecie przemoc człowieka nad człowiekiem i przywileju nad prawem. Konsekwencją Paryża bez króla jest świat bez despotów. W ten sposób rozumowali. Zapewne, cel ich był daleki, może niezbyt wyraźny i chwiejny, ale wielki.

Tak to bywa. I człowiek poświęca się dla tych wizji, które dla poświęcających się są prawie zawsze złudą, ale złudą kryjącą w istocie całą pewność ludzkości. Powstanie poetyzuje i upiększa powstanie. Rzuca się w tragiczne wydarzenia, upajając się tym, czego ma dokonać. A może się uda? Kto wie? Jest nas mała garstka; mamy przeciwko sobie całą armię, ale bronimy prawa, prawa naturalnego, samostanowienia człowieka o sobie, którego się wyrzec nie można, bronimy sprawiedliwości, prawdy i jeśli będzie trzeba, zginiemy jak owych trzystu Spartan. Nie myślą o Don Kichocie, lecz o Leonidasie. Idą naprzód i raz zacząwszy, już się nie cofają; rzucają się na oślep, mając w sercu nadzieję, że odniosą niecodzienne zwycięstwo, dokończą dzieła rewolucji, uwolnią postęp, podźwigną ród ludzki i że — w najgorszym razie — czekają ich Termopile.

Te turnieje o postęp często kończą się niepowodzeniem; przed chwilą wyjaśniliśmy dlaczego. Tłum jest oporny wobec porywów błędnych rycerzy. Ta ciężka masa — gromada ludzka — słaba właśnie z powodu swego ogromu lęka się niezwykłych przygód. A ideał kryje w sobie niezwykłe przygody.

Nie należy przy tym zapominać, że istnieją przecież interesy, niezbyt przyjazne ideałom i sentymentom. Niekiedy żołądek paraliżuje serce.

Wielkość i piękno Francji leży w tym, że mniej obrasta w tłuszcz niż inne narody, łatwiej zaciska pasa. Pierwsza się budzi, ostatnia usypia. Idzie naprzód. Szuka.

A to dlatego, że ma duszę artysty.

Ideał jest niczym innym, jak kulminacyjnym punktem logiki, podobnie jak piękno jest szczytem prawdy. Narody artystyczne są zarazem narodami konsekwentnymi. Kochać piękno to pragnąć światła. Dlatego właśnie pochodnię Europy, czyli cywilizacji, dzierżyła najpierw Grecja, która przekazała ją Włochom, które przekazały ją Francji. Boskie ludy niosące światło. *Vitai lampada tradunt.*

Rzecz godna podziwu, poezja narodu jest czynnikiem jego postępu. Bogactwo cywilizacji mierzy się bogactwem wyobraźni. Jednakże naród pełniący rolę cywilizatora musi pozostać narodem męskim. To Korynt, nie Sybaris. Kto niewieścieje, staje się nikczemny. Nie należy być ani dyletantem, ani wirtuozem; ale trzeba być artystą. W dziedzinie cywilizacji trzeba nie wyrafinowania, lecz sublimacji. Pod tym warunkiem daje się ludzkości wzór ideału.

Ideał nowoczesny ma swój wzór w sztuce, a środki działania w wiedzy. Dzięki wiedzy zostanie urzeczywistnione wzniosłe marzenie poetów: piękno społeczne. Wskrzеси się Eden przez A + B. Na tym poziomie, który osiągnęła cywilizacja, ścisłość jest nieodzownym składnikiem wspaniałości i myśl naukowa nie tylko służy poczuciu piękna, ale i dopełnia je; marzenie musi obliczać Sztuka, która jest urodzonym zdobywcą, musi mieć punkt oparcia w nauce, która jest .. stworzona do marszu, ogromnie wiele zależy od mocy i konstrukcji zaprzęgu.

Nowoczesny umysł to geniusz Grecji, któremu za wehikuł służy geniusz Indii; Aleksander na słońcu.

Ludy zasklepione w dogmacie lub zdemoralizowane chęcią zysku nie nadają się na przywódców cywilizacji. Od trwania na klęczkach przed bóstwem lub pieniądzem wiotczeją mięśnie i wola niezbędne do marszu naprzód. Pograżając się w kulcie czy handlu naród przestaje promieniować, jego horyzonty zacieśniają się wraz z obniżeniem jego poziomu, zanika ludzkie i bo skie zarazem zrozumienie powszechnego celu, które czyni narody — misjonarzami. Babilon nie ma ideału; Kartagina nie ma ideału. Ateny i Rzym nawet poprzez gęstą noc wieków zachowują aureolę cywilizacji.

Francja należy do tego samego gatunku narodów co Grecja i Włochy. Przez swoje piękno jest ateńska, a przez wielkość — rzymska. A ponadto jest dobra. Daje z siebie wszystko. Częściej niż inne narody bywa skłonna do poświęceń i ofiary. Tylko że czasami traci tę skłonność. I w tym właśnie tkwi wielkie niebezpieczeństwo, które zagraża tym, co biegną, kiedy ona chce iść wolnym krokiem, lub idą, kiedy ona chce przystanąć. Francja miewa nawroty materializmu i w pewnych chwilach idee przyćmiewające ten potężny mózg w niczym nie przypominają wielkości francuskiej i są na poziomie jakiegoś stanu Missouri czy Południowej Karoliny. Cóż na to poradzić? Olbrzymka bawi się w karliczkę. Wielka Francja miewa swe kaprysy; chce być małą. To wszystko.

Nie ma rady na to. Narody, podobnie jak gwiazdy, podlegają prawu zaćmienia. I wszystko jest w porządku, byle tylko światło powróciło i zaćmienie nie wyrodziło się w noc. Jutrzenka i zmartwychwstanie — to synonimy. Odradzanie się światła jest jednoznaczne z niezniszczalnością naszego „ja”.

Stwierdźmy te fakty ze spokojem. Śmierć na barykadzie czy grób na obcej ziemi — poświęcenie na to się godzi. Prawdziwe imię poświęcenia — to bezinteresowność. Niech opuszczeni pogodzą się z opuszczeniem, niech wygnańcy pogodzą się z wygnaniem; błagajmy tylko wielkie narody, aby — jeśli się cofa ją — nie cofały się zbyt daleko. Pod pretekstem powrotu do rozsądku nie trzeba schodzić zbyt nisko.

Istnieje materia, istnieje bieżąca chwila, istnieją interesy, istnieje żołądek; ale żołądek nie może stać się jedyną mądrością. Zgadza się z tym, że życie krótkotrwałe ma swoje prawa, ale życie wiecznotrwałe ma je również. Niestety, wejść wysoko nie znaczy zabezpieczyć się przed upadkiem. Zdarza się to w historii częściej, niżby się chciało. Jakiś naród okryty chwałą zasmakował w ideale, potem próbuje błota i uważa, że jest dobre; a jeśli go zapytamy, jak się to dzieje, że porzucił Sokratesa dla Falstaffa, odpowiada: „Bo lubię mężów stanu!”

Jeszcze jedno słówko, nim powrócimy w zawieruchę bitwy.

Walka taka jak ta, o której opowiadamy w tej chwili, to konwulsyjne dążenie do ideału. Spętany postęp jest chorowity i miewa ataki tragicznej epilepsji. Musieliśmy spotkać na swej drodze tę chorobę postępu — wojnę domową. Ten akt i antrakt zarazem jest jednym z tragicznych stadiów dramatu, którego osią jest człowiek, potępieniec społeczeństwa, a prawdziwym tytułem: Postęp.

Postęp!

To wołanie, tak często powtarzane, jest naszą myślą przewodnią; doszedłszy do tego miejsca dramatu, wolno nam może — ponieważ zawarta w nim idea

będzie poddana jeszcze niejednej próbie — jeśli nie zerwać z niej zasłonę, to przynajmniej ukazać wyraźnie jej blask.

Książka, którą czytelnik ma w tej chwili przed oczyma, jest od początku do końca, w całości i w szczegółach — bez względu na przerwy, wyjątki, czy potknięcia — marszem zła ku dobru, niesprawiedliwości ku sprawiedliwości, fałszu ku prawdzie, nocy ku światłu, żądzy ku sumieniu, zgnilizny ku życiu, bestialstwa ku obowiązkowi, piekła ku niebu, nicości ku Bogu. Punkt wyjścia: materia; punkt końcowy: dusza. Na początku . hydra, na końcu — anioł.

# ROZDZIAŁ XXI

## BOHATEROWIE

Nagle bębny zagrały do szturm. Atak był huraganem. Poprzedniego wieczoru w ciemnościach natarcie podsunęło się cichaczem pod barykadę, jak wąż boa. Teraz, w dzień, na tej odsłoniętej ulicy, zaskoczenie było niemożliwe, zresztą przemoc zrzuciła maskę, zaryczały działa, wojsko runęło na barykadę. Furia zajęła miejsce zręczności. Silna kolumna piechoty liniowej, przedzielona w równych od- ' stępach oddziałami gwardii narodowej i pieszej gwardii miejskiej, mając w odwodzie niezliczone masy, które się słyszało, choć 'były niewidoczne, wpadła biegiem w ulicę, z warkotem bębnow, graniem trąbek, z bagnetami złożonymi do ataku, z saperami na czele i— nie zważając na strzały — uderzyła w barykadę niby spiżowa belka w mur. Mur wytrzymał.

Powstańcy otworzyli gwałtowny ogień. Szturmowana barykada zjeżyła się grzywą błyskawic. Natarcie było tak wściekłe, że przez moment barykada znikła w powodzi oblegających; strząsnęła jednak z siebie żołnierzy, tak jak lew strząsa psy, i tylko pokryła się atakującymi, jak nadbrzeżna skała pianą, aby po chwili wyłonić się znowu, stroma, czarna, złowroga.

Kolumna, zmuszona do cofnięcia się, zgrupowała się na ulicy, odsłonięta, lecz groźna, i odpowiedziała reducie wściekłą strzelaniną. Kto widział sztuczne ognie, ten przypomina sobie snop krzyżujących się piorunów, zwany bukietem. Wyobraźcie sobie taki bukiet, nie pionowy, lecz poziomy, a u każdego końca tego pióropusza płomieni pocisk, siekańce czy kulę z gałacza, grona piorunów siejące śmierć.

Z obu stron ta sama determinacja; odwaga była tu nieledwie barbarzyńska i łączyła się z jakimś bohaterskim okrucieństwem, które zaczynało się od poświęcenia samego siebie. Były to czasy, kiedy gwardzista narodowy bił się jak żuaw. Wojsko chciało jak najprędzej z tym skończyć; powstańcy chcieli walczyć. Zgoda na śmierć w pełni młodości, w pełni sił przemienia męstwo w furję. Wśród tej zawieruchy każdy urósł duchem, jak to zawsze bywa w ostatniej godzinie. Ulica była usłana trupami.

Enjolras stał na jednym końcu barykady, Mariusz na drugim. Enjolras, który musiał myśleć o całej barykadzie, oszczędzał się i chronił. Trzech żołnierzy padło kolejno pod jego strzelnicą, nie widząc go wcale. Mariusz walczył odsłonięty. Wystawiał się na pociski. Szczyt szańca zasłaniał go zaledwie do pasa. Nie masz większego rozrzutnika nad skąpca, który weźmie na kieł; nie masz straszniejszego człowieka w akcji nad marzyciela. Mariusz był groźny i

zadumany. Poruszał się w bitwie jak we śnie. Rzekłbyś, widmo, które strzela z karabinu.

Amunicja obłązonych była na wyczerpaniu; ale nie ich sarkazmy. W tym grobowym wirze, który ich ogarnął, śmiali się.

Courfeyrac walczył z gołą głową.

— Gdzie podziąłeś kapelusz? — zapytał go Bossuet.

Courfeyrac odpowiedział:

— Wreszcie udało się im zestrzelić mi go kulą armatnią!

Albo też przemawiali wyniośle.,

— Kto zrozumie tych ludzi — wołał z goryczą Feuilly (i wymieniał nazwiska, nazwiska znane, a nawet sławne, niektóre z dawnej Wielkiej Armii) — którzy przyrzekli przyłączyć się do nas, przysięgali, że nam pomogą, ręczyli za to swoim honorem i będąc naszymi dowódcami opuszczają nas!

Combeferre z poważnym uśmiechem odpowiedział tylko:

— Niektórzy ludzie obserwują przepisy honoru jak gwiazdy: z bardzo daleką.

Wnętrze barykady było tak zasypane strzęgami papieru z ładunków, iż można było pomyśleć, że spadł śnieg.

Napastnicy mieli za sobą przewagę liczebną, powstańcy — pozycję. Stali na szczycie muru i razili z bliska żołnierzy, którzy, potykając się o ciała zabitych i rannych, z trudem wdzierali się na stromą ścianę. Ta barykada, znakomicie zbudowana i świetnie umieszczona, mogła z garstką ludzi trzymać w szachu cały legion. Jednakże kolumna szturmowa, ciągle zasilana przybywającymi żołnierzami i pęczniejąca pod gradem kul, zbliżała się nieubłaganie i. teraz krok za krokiem, powoli, ale pewnie, wojsko ścisnęło barykadę jak śruba prasę. Ataki następowały jeden po drugim. Groza rosła.

Wówczas na tym stosie kamieni na uliczce Konopnej rozgorzała walka godna murów Troi. Ci ludzie, wynędzniali, obdarci, wyczerpani, którzy nie jedli od dwudziestu czterech godzin, nie spali, mieli tylko po kilka naboju i na próżno szukali jeszcze po pustych kieszeniach, prawie wszyscy ranni, z głową lub ręką owiązaną zrudziałymi i posmolonymi szmatami, z dziurami w odzieniu, przez które płynęła krew, ledwo uzbrojeni w kiepskie karabiny i wyszczerbione szable, stali się tytanami. Wojsko dziesięć razy atakowało, uderzało, wdzierało się na barykadę i nie mogło jej zdobyć.

Aby mieć pojęcie o tej walce, trzeba sobie wyobrazić ogień podłożony pod stos straszliwej odwagi i patrzeć na tę pożogę. Nie była to bitwa, lecz wewnątrz ' rozżarzonego paleniska; usta dyszały tu płomieniem, . twarze były niesamowite, kształt ludzki wydawał się czymś niemożliwym, walczący płonęli; straszliwy był widok tych salamander bitewnej zawieruchy, poruszających się w czerwonym dymie. Rezygnujemy z odmalowania kolejnych i jednoczesnych scen tej gigantycznej rzezi. Tylko epopea ma prawo poświęcić jednej bitwie dwanaście tysięcy wierszy.

Rzekłbyś, to piekło bramanizmu, najstraszliwsza z siedemnastu otchłani, którą Weda nazywa. Lasem Mieczy.

Przeciwnicy walczyli wręcz, zwarci ze sobą, na pistolety, na szable, na pięści, z daleka,-z bliska, z góry, z dołu, zewsząd, z dachów domu, z okien gospody, z otworów piwnicy, gdzie kilku się wśliznęło. Na każdego z powstańców wypadało sześćdziesięciu żołnierzy. Na wpół zburzona fasada „Koryntu” wyglądała ohydnie. Okno, poryte przez kartacze, straciło szyby i ramy i było już tylko bezkształtną dziurą, zastawioną naprędce kamieniami. Poległ Bossuet, poległ Feuilly, poległ Courfeyrac, poległ Joly; Combeferre, pchnięty trzykrotnie w pierś bagnetem podczas gdy podnosił rannego żołnierza, spojrzął tylko w niebo i skonał.

Mariusz ciągle walczył; był tak pokryty ranami, zwłaszcza w głowę, że twarz zalewała mu krew, jak gdyby mu ją ktoś zakrył czerwoną chustką.

Jeden Enjolras nie odniósł żadnej rany. Kiedy *nie* miał już broni, wyciągał rękę w prawo lub lewo, a powstańcy podawali mu, co kto miał. Zostały mu w ręku cztery złamane szpady; o jedną więcej niż Franciszkowi I pod Marignan .

Homer powiada: „Dyomedes morduje Aksyla, syna Teutrasa, co mieszkał w Arysbie wspaniałej; Eurial, syn Meczysei, zabija Dreza i Ofelta, potem Ajsepa i owego Pedaza, których nimfa Abarbara poczęła z przyczyny szlachetnego Bukoliona; Odyszej obala Pidyta z Perkozy; Antyloch — Ableta, Polipojtes — Astyala, Polydamas — Otosa z Cyleny, a Teacer — Aretaona. Megantios umiera rażony włócznią Euryfila. Agamemnon, król bohaterów, miażdży Elatosa, urodzonego w skalistym grodzie, który obmywa dźwięczna rzeka Satnois.” W naszych starych poematach rycerskich Esplandian z płonąca cieślą atakuje margrabiego Swantybora, olbrzyma, który się broni, wyrrywając z ziemi wieże i ciskając nimi w rycerza. Stare freski pokazują nam księcia Bretanii i księcia Burbon w zbrojach z rodowymi i rycerskimi godłami, którzy nacierają na siebie konno, z berdyszami w dłoni, w hełmach z żelaza, w butach z żelaza, w rękawicach z żelaza, jeden przyodziany w gronostaje, drugi udrapowany w błękit; księżę Bretanii z herbowym lwem w koronie, Burbon w szyszaku w kształcie olbrzymiego kwiatu lillii. Ale aby być wspaniałym, nie trzeba mieć ani

książęcego szyszaka na głowie jak Iwon, ani żywego ognia w garści jak Esplandian, ani jak Files, ojciec Polydamasa, przywozić z Efiru znacznej zbroi, daru króla mężów, Eufetesa. Wystarczy oddać życie za swoje przekonania lub za wierność przysiędze. Oto prostoduszny żołnierz, wczoraj wieśniak w Beauce czy Limousin, który z bagnietem u pasa zaleca się do nianiek w Ogrodzie Luksemburskim; oto młody, blady-student, schylony nad preparatem anatomicznym czy książką, jasnowłosy wyrostek, który się goli nożyczkami - tchnijcie w nich ducha obowiązku, postawcie naprzeciw siebie na ulicy Boucherat czy w zaułku Planche-Miforay, niech jeden bije się za swój sztandar, a drugi za swój ideał i niech myślą obaj, że biją się za ojczyznę, a walka będzie wspaniała. I cień, który ten żołnierz i ten studencina walczący ze sobą rzucają ma wielkie, epickie pole, gdzie toczą się boje ludzkości, dorówna ceniom, jakie rzucają, biorąc się za bary, Megarion, król Licji, krainy tygrysów, i olbrzymi Ajaks, równy bogom.



## ROZDZIAŁ XXII

### PIĘDZI PO PIĘDZI

Kiedy z dowódców pozostali przy życiu już tylko Enjolras i Mariusz na dwóch krańcach barykady, środek. — tak długo broniony przez Courfeyraca, Joly'ego, Bossueta, Feuilly i Combeferre'a — załamał się. Armata, nie robiąc wyłomu, wyszczerbiła pośrodku redutę na dość szerokiej przestrzeni; szczyt szanca zniesiony przez kulę rozkruszył się i szczątki jego zwały się na zewnątrz i do wewnątrz tworząc dwa usypiska po obu stronach barykady, jedno od ulicy, drugie od środka. Usypisko zewnętrzne tworzyło równię pochyłą, prowadzącą na grzbiet szanca.

Tam przypuszczono ostatnie natarcie i to natarcie powiodło się. Masa żołnierska najeżona bagnietami posuwała się sprężystym krokiem naprzód — nieodparta — i szerokie czoło kolumny szturmowej wyłoniło się z dymu na szczycie barykady. Tymrazem był to koniec. Garstka powstańców broniących środka cofnęła się w nieładzie.

Wówczas w niektórych zbudziło się rozpaczliwe umiłowanie życia. Widząc wycelowany w siebie las karabinów nie chcieli umierać. To chwila, w której instynkt samozachowawczy zaczyna wyć, a w człowieku budzi się zwierzę. Byli przyparci do wysokiego, sześciopiętrowego domu, który zamykał redutę od tyłu. Dom ten mógł być dla nich ocaleniem. Był zabarykadowany i jakby zamurowany od góry do dołu. Zanim piechota liniowa znajdzie się wewnątrz reduty, jakieś drzwi zdążyłyby się otworzyć i zaniknąć, wystarczyłby ułamek sekundy, brama nagle uchylona i natychmiast zamknięta oznaczałaby dla tych straceńców życie. Za tym domem były ulice, możliwość ucieczki, przestrzeń. Zaczęli walić w bramę kolbami, obcasami, wołając, krzycząc, błagając, składając ręce. Nikt . nie otworzył. Z okienka na trzecim piętrze patrzyła na nich martwa głowa.

Ale Enjolras i Mariusz oraz siedmiu czy ośmiu powstańców zebranych dokoła nich rzucili się naprzód i osłonili tamtych. Enjolras krzyknął do żołnierzy: „Stać!”, a kiedy jakiś oficer nie usłuchał, Enjolras zabił oficera. Stał teraz na wewnętrznym placu reduty, oparty o ścianę „Koryntu”, z szablą w jednej ręce, z karabinem w drugiej i przytrzymał otwarte drzwi gospody, zagradzając drogę napastnikom. Krzyknął do zrozpaczonych:

— Jest tylko jedna brama otwarta. Ta! I zasłaniając ich własnym ciałem, sam jeden stawiając czoło całemu batalionowi, przepuścił ich za sobą. Wszyscy wpadli do środka; wykonując teraz karabinem, którym posługiwał się jak laską,

ruch, zwany przez szermierzy „młyńcem”, Enjolras odbił bagnety dokoła siebie i przed sobą i wszedł ostatni; nadeszła straszliwa chwila: żołnierze chcieli wedrzeć się do środka, powstańcy chcieli zamknąć drzwi. Zatrzaśnięto je tak gwałtownie, że kiedy się zamknęły, ujrano pięć palców odciętych i przyklejonych do futryny, były to palce żołnierza, który uczeplił się drzwi.

Mariusz pozostał na zewnątrz. Kula strzaskała mu obojczyk; poczuł, że mdleje i pada, W chwili kiedy oczy miał już zamknięte, pochwyciła go jakaś silna ręka i omdlenie, w które zapadał, dało mu zaledwie czas na tę myśl uwikłaną w ostatnie wspomnienie o Kozecie: „Dostałem się do niewoli. Będę rozstrzelany.”

Enjolras, nie widząc Mariusza między powstańcami, którzy schronili się w gospodzie, pomyślał to samo.

Ale przeżywali chwile, kiedy każdy ma czas myśleć tylko o własnej śmierci. Enjolras umocował sztabę, zaryglował drzwi, dwa razy przekręcił klucz w zamku

kłódce; tymczasem z zewnątrz walono w nie zajadle: żołnierze kolbami, a saperzy siekierami. Na te drzwi skierowano teraz główne natarcie. Rozpoczęła się oblężenie gospody.

Żołnierze — powiedzmy to — wrzeli gniewem.

Śmierć sierżanta artylerii oburzyła ich, a potem, co gorsze, podczas godzin poprzedzających atak rozeszła się wśród nich pogłoska, że powstańcy kaleczą rannych i że w gospodzie znajdują się zwłoki żołnierza bez głowy. Tego rodzaju potworne pogłoski towarzyszą zwykle wojnie domowej i taka właśnie fałszywa plotka stała się później przyczyną nieszczęścia przy ulicy Transnonain .

Kiedy zabarykadowano drzwi, Enjolras powiedział do towarzyszy:

— Sprzedajmy drogo nasze życie.

Po czym podszedł do stołu, na którym leżały zwłoki pana Mabeuf i Gavroche'a. Pod czarnym sukniem rysowały się dwa wyprostowane, sztywne kształty, jeden duży, drugi mały, poprzez zimne fałdy kiru przebijał niewyraźny zarys dwóch twarzy. Spod całuna wystawała ręka i zwisała ku ziemi. Była to ręka starca.

Enjolras schylił się i ucałował tę czcigodną dłoń, jak poprzedniego dnia ucałował czoło.

Te dwa pocałunki były jedynymi, jakie złożył w swoim życiu.

Streszczajmy się. Barykada broniła się jak brama Teb, gospoda broniła się jak

dom w Saragossie. Taki opór bywa bezwzględny. Bez pardonu. Bez parlamentarzy. Niech przyjdzie śmierć, byleby tylko jeszcze zabijać. Na słowa Sucheta: „Poddajcie się”, Palafox odpowiada: „Po wojnie na armaty, wojna na noże.” Niczego nie zbrakło przy zdobywaniu szturmem gospody Hucheloup: ani gradu kamieni, które leciały z okien i z dachu na oblegających i doprowadzały do szału żołnierzy miażdżąc ich straszliwie, ani strzałów z piwnic czy ze strychu, ani furii ataku, ani wściekłości obrony, ani wreszcie — kiedy drzwi ustąpiły — zażartości rozszalałej rzezi. Kiedy napastnicy wdarli się do izby, potykając się o deski wyważonych drzwi, które leżały na ziemi, nie znaleźli nikogo. Kręcone schody, odrąbane siekierami, leżały na środku parterowej izby, kilku rannych konało, kto żyw — schronił się na pierwsze piętro; stamtąd przez otwór w suficie, który był kiedyś wejściem na schody, zagrzmiały gwałtowne strzały. Były to ostatnie naboje. Kiedy je wystrzelono, kiedy ci konający bohaterowie nie mieli już ani prochu, ani kul, każdy wziął po dwie butelki zarezerwowane przez Enjolrasa — jak wspominaliśmy — i stawili czoło natarciu, uzbrojeni w te przeraźliwie kruche maczugi. Były to butelki z kwasem azotowym. Opowiadamy wiernie ponure szczegóły tej rzezi. Niestety, oblężony chwyta się każdej broni. Ogień grecki nie zhańbił Archimedesesa; wrząca smoła nie zhańbiła Bayarda. Każda wojna jest przerażającą okropnością i nie ma w czym wybierać. Strzelanina oblegających, choć utrudniona, bo kierowana od dołu do góry, była mordercza. Otwór w suficie otoczyły wkrótce martwe głowy, broczące długimi, czerwonymi i dymiącymi strugami. Huk panował nieopisany; zduszony, żrący dym okrywał walkę jakby nocą. Brak słów, aby wypowiedzieć, do jakiego stopnia doszła tu okropność masakry. Nie było już ludzi w tej walce, która teraz stała się piekielna. To nie giganci walczyli z olbrzymami. Bardziej przypominało to Milтона niż Danta czy Homera. Demony nacierały, widma broniły się. Było to bohaterstwo nie na miarę człowieka.

## ROZDZIAŁ XXIII

### ORESTES GŁODNY I PYLADES PIJANY

Wreszcie, pomagając sobie wzajemnie, wdrapując się po szczątkach schodów, wspinając się po ścianach, czepiając się sufitu, rąbiąc ostatnich, którzy stawiali opór w otworze schodów, dwudziestu napastników, żołnierzy, gwardzistów narodowych i miejskich — prawie wszyscy oszpeчени ranami na twarzy, otrzymanymi podczas tej groźnej wspinaczki, oślepieni krwią, wściekli, rozjuszeni — wpadło do sali izby na pierwszym piętrze. Tylko jeden człowiek trzymał się tam na nogach, Enjolras. Stał bez naboju, bez szabli, w ręku miał lufę karabinu, którego kolbę strzaskał na głowach wchodzących. Zastawił się bilardem od napastników, cofnął się w sam róg izby i tu, z dumnym spojrzeniem i podniesioną głową, z ułamkiem broni w ręku, był jeszcze na tyle groźny, że dokoła niego zrobiła się pustka. Jakiś głos zawołał:

— To dowódca! To on zabił artylerzystę. Niech zostanie tam, gdzie stoi. Rozstrzelajmy go na miejscu.

— Rozstrzelajcie! — rzekł Enjolras.

I odrzuciwszy ułamaną lufę karabinu, skrzyżował ramiona i nadstawił pierś.

Odwaga wobec śmierci zawsze wzrusza ludzi. Kiedy Enjolras skrzyżował ramiona, godząc się na śmierć, zgiełk walki ucichł w izbie, chaos uśmierzył się nagle i zmienił w jakieś grobowe skupienie. Zdawało się, że groźny majestat bijący z postaci rozbrojonego i nieruchomego Enjolrasa opanował tę wrzawę i że samą władczą mocą spokojnego spojrzenia ten młodzieniec — jedyny z powstańców, którego nie tknęła kula — wyniosły, zbroczony krwią, piękny, obojętny, jakby go się kule nie miały, zmusił tę ponurą ciżbę, żeby go zabiła z szacunkiem. Jego piękność, teraz jeszcze powiększona dumą, jaśniała pełnym blaskiem, i — jak gdyby równie odporny na zmęczenie, jak na kule — był świeży i różowy mimo tych przerażających dwudziestu czterech godzin. O nim to może mówił pewien świadek, który później zeznawał przed sądem wojskowym; „Słyszałem, że jednego powstańca nazywali Apollinem. Gwardzista narodowy, który wycelował w Enjolrasa, opuścił broń, mówiąc: „Wydaje mi się, że mam strzelać do kwiatu.” Dwunastu ludzi uformowało się w pluton w przeciwległym rogu i w milczeniu nabiło karabiny.

Sierżant zakomenderował:

— Cel! Wtem wtrącił się oficer:

— Zaczekajcie!

I zwrócił się do Enjolrasa:

— Czy zawiązać panu oczy?

— Nie.

— Czy to pan zabił sierżanta artylerii?

— Tak.

Przed chwilą obudził się Grantaire.

Grantaire, jak pamiętamy, spał od poprzedniego dnia w górnej izbie szynku, siedząc na krześle, oparty o stół. Był on — w całym dosadnym znaczeniu tego wyrażenia — pijany jak bela. Ohydna mieszanina absyntu, piwa angielskiego i wódki Wtrąciła go w letarg. Stolik jego był mały i nieprzydatny dla barykady, toteż zostawiono go w spokoju. Leżał wciąż w tej samej pozycji, piersią na stole, z głową opartą na ramionach, otoczony . szklankami, kuflami i butelkami. Spał kamiennym snem ociężałego niedźwiedzia czy opitej pijawki. Nie obudziło go nic, ani strzelanina, ani pociski armatnie, ani kartacze, które wpadały przez okno do izby, ani straszliwa wrzawa ataku. Czasami odpowiadał na strzał armatni chrapaniem. Wydawało się, że czeka, aby jakaś kula oszczędziła mu trudu przebudzenia. Kilka trupów leżało koło niego i na pierwszy rzut oka Grantaire niczym nie różnił się od tych, co spali głębokim snem śmierci.

Hałas nie budzi pijaka, budzi go cisza. Nieraz już zauważono tę osobliwość. Walenie się wszystkiego dokoła pogłębiało jeszcze unicestwienie Grantaire'a; rozsypywanie się w gruzy kołysało go do snu. Ale kiedy zgiełk jak gdyby wstrzymał się przed Enjolrasem, Grantaire, śpiący kamiennym snem, doznał wstrząsu. Taki skutek wywołuje nagłe zatrzymanie się galopującego pojazdu. Drzemiący podróżni budzą się. Grantaire zerwał się na równe nogi, wyciągnął ramiona, przetarł oczy, spojrzął, ziewnął i zrozumiał.

Otrzeźwienie pijanego przypomina rozdzierającą się zasłonę. Ogarnia on od razu jednym rzutem oka wszystko, co przed nim dotychczas kryła. Wszystko odżywa nagle w jego pamięci; pijak, nie mający pojęcia o wydarzeniach ostatniej doby, ledwo otworzy powieki, już wie wszystko. Jasność umysłu wraca w mgnieniu oka i oszołomienie pijaństwa, które jak mgła zaciemniało umysł, rozprasza się i ustępuje miejsca jasnemu i dokładnemu obrazowi narzucającej się rzeczywistości.

Żołnierze, którzy nie spuszczaali oczu z Enjolrasa, nie zauważyli nawet Grantaire'a, wciśniętego w kąt i jakby schowanego za bilardem; sierżant

zamierzał już powtórzyć komendę: „Cel!”, kiedy nagle usłyszeli za sobą silny głos-wołający:

— Niech żyje Republika! Jestem z nimi. Grantaire wstał.

Potężny blask całej walki, którą przespał i w której nie brał udziału, bił z płonącego spojrzenia tego przeistoczonego pijaka.

Powtórzył: „Niech żyje Republika!”, przeszedł pewnym krokiem przez izbę i stanął obok Enjolrasa, na wprost wycelowanych karabinów.

— Zabijcie obu za jednym zamachem! — rzekł.

I z czułością zwracając się do Enjolrasa zapytał:

— Pozwolisz?

Enjolras uścisnął mu dłoń z uśmiechem.

Uśmiech nie zamarł jeszcze na jego ustach, kiedy gruchnęła salwa. Enjolras, przeszyty ośmioma kulami, pozostał oparty o ścianę, jakby go strzały do niej przygwoździły. Tylko pochylił głowę. Grantaire, martwy, runął do jego stóp. .

W parę chwil potem żołnierze wypierali ostatnich powstańców, którzy schronili się na poddasze. Strzelano przez drewniane kraty na strychu. Walczono na poddaszu. Wyrzucano przez okna ciała, czasami jeszcze żywe. Dwóch wołyżerów, którzy usiłowali podnieść strzaskany omnibus, zostało zabitych strzałami z mansardy. Mężczyzna w bluzie, ugodzony bagnetem w brzuch i wypchnięty przez okienko, leżał, rżęząc, na ziemi. Jakiś żołnierz i powstaniec staczali się po po chyłości dachu; nie chcieli się puścić i spadli razem, spleceni w okrutnym uścisku. Podobna walka wrzała w piwnicy. Krzyki, strzały, straszliwy tupot. Potem cisza. Barykada została wzięta.

Żołnierze zaczęli przeszukiwać okoliczne domy, ścigając zbiegów.

## ROZDZIAŁ XXIV

### JENIEC

Mariusz był rzeczywiście jeńcem. Jeńcem Jana Valjean.

Ręka, która pochwyciła go z tyłu, kiedy padał, i której uścisk poczuł tracąc przytomność, była ręką Jana Valjean. Jan Valjean nie brał udziału w walce, poza tym, że się narażał. Gdyby nie on, podczas ostatniej fazy agonii barykady nikt nie pomyślałby o rannych. To on, wszędzie obecny podczas rzezi, jak Opatrzność, podnosił tych, co padali, zanosił ich do izby na parterze i opatrywał. W przerwach naprawiał barykadę. Ale ani razu nie podniósł ręki do strzału, do ciosu, czy choćby do obrony własnej. Milczał i niósł pomoc innym. Zresztą otrzymał zaledwie kilka nieznaczących zadraśnień. Kule go omijały. Jeżeli wchodząc do tego grobowca myślał o samobójstwie, to nie udało mu się urzeczywistnić tego pragnienia. Wątpimy jednak, żeby myślał o samobójstwie, postępku niezgodnym z religią. W gęstej chmurze walki Jan Valjean zdawał się nie widzieć Mariusza; w rzeczywistości nie spuszczał zeń oczu. Kiedy Mariusz upadł trafiony kulą, Jan Valjean skoczył ku niemu ze zwinnością tygrysa, rzucił się na niego jak na łup i uniósł go.

Atak był w tej chwili tak gwałtownie skoncentrowany na osobie Enjolrasa i drzwiach do szynku, że nikt nie widział, jak Jan Valjean, trzymając w ramionach omdlałego Mariusza, przeszedł przez ogołocony z bruku teren barykady i znikł za węglem „Koryntu”.

Czytelnik przypomina sobie ten węgiel domu, który jak półwysep wrzynał się w ulicę; zasłaniał on od kul i od kartaczy, a także i od ludzkich spojrzeń kilka stóp kwadratowych ziemi. Tak niekiedy w czasie pożaru bywa izba, której ogień nie ogarnia, a podczas najgwałtowniejszej burzy morskiej, za jakimś przyładkiem czy ścianą raf — spokojny zakątek. W tym to właśnie wewnętrznym zagłębieniu trapezu barykady skonała Eponina.

Jan Valjean zatrzymał się tutaj, ostrożnie złożył na ziemi Mariusza, oparł się o mur i powiódł dokoła wzrokiem.

Sytuacja była groźna. Na razie, na przeciąg dwóch czy trzech minut, ten mur dawał schronienie; ale jak wydostać się z tej rzezi? Przypomniawszy sobie, w jak śmiertelnej trwodze znalazł się przed ośmiu laty na ulicy Polonceau i w jaki sposób udało mu się umknąć; wtedy ucieczka była trudna, dziś — niemożliwa. Miał przed sobą nieubłagany, głuchy, sześciopiętrowy dom, zda się, zamieszkały jedynie przez tego trupa, który wychylał się z okna; po prawej

stronie niewysoką barykadę zamykającą ulicę Małą Żebraczą; przeskoczenie przez tę przeszkodę byłoby fraszką, ale ponad wierzchołkiem wału sterczał rząd bagnatów. To oddział piechoty liniowej stał na czatach za barykadą. Przejść przez barykadę znaczyło narazić się niechybnie na ogień plutonu, a każda głowa, która odważyłaby się wysunąć ponad mur z kamienia, posłużyłaby za cel sześćdziesięciu karabinom. Po lewej stronie miał pole bitwy. Śmierć była za węglem. Co robić?

Tylko ptak mógłby się stąd wydobyć.

A decyzję należało powziąć natychmiast, znaleźć jakiś sposób, coś postanowić. O kilka kroków od niego toczyła się walka; na szczęście wszyscy z zaciekłością skupili się w jednym punkcie: koło drzwi do gospody; gdyby jednak jakiemuś żołnierzowi — bodaj jednemu — przyszło do głowy obejść dom czy zaatakować go z flanki, wszystko byłoby stracone.

Jan Valjean spojrzął na dom naprzeciwko, spojrzął na barykadę stojącą z boku, a potem z gwałtownością krańcowej rozpaczki, nieprzytomny z trwogi, spojrzął na ziemię, jak gdyby chciał oczyma wywiercić w niej dziurę.

Kiedy się tak wpatrywał, coś, co ledwo potrafił dostrzec w tej śmiertelnej chwili, zamajaczyło i zarysowało się u jego stóp, jak gdyby potęgą wzroku wyczarował to, czego pragnął. O parę kroków, u podstawy niskiego wału, tak nieubłaganie strzeżonego z zewnątrz, pod usypiskiem kamieni ujrzał na wpół ukrytą kratę żelazną, leżącą płasko, równo z brukiem. Ta krata, z mocnych, poprzecznych prętów, miała około dwóch stóp kwadratowych. Kamienie, które ją obrzeżały i umacniały, zostały wyrwane, tak że była niejako wyjęta z oprawy. Poprzez pręty widać było ciemny otwór, podobny do przewodu komina lub walca studni. Jan Valjean skoczył ku niej. Jego dawna wiedza o sposobach ucieczki jak błyskawica rozjaśniła mu umysł. Odrzucił kamienie, dźwignął kratę, wziął na plecy bezwładnego jak trup Mariusza i pomagając sobie łokciami i kolanami spuścił się z tym brzemieniem w dół, w rodzaj studni, na szczęście niezbyt głębokiej, potem zamknął za sobą ciężką żelazną kratę, na którą znowu posypały się leżące luźno kamienie, i stanął na dnie wyłożonym kamiennymi płytami, trzy metry pod ziemią; wszystkiego tego dokonał jak w malignie, z siłą olbrzyma i szybkością orła; trwało to zaledwie parę minut.

Jan Valjean znalazł się z zemdlnym ciągle Mariuszem w jakimś długim podziemnym korytarzu.

Panował tu głęboki spokój, absolutna cisza, noc.

Powróciło mu wrażenie, którego niegdyś doświadczył, kiedy z ulicy przedostał się do klasztoru. Tylko że dziś niósł nie Kozetę, lecz Mariusza.



Gdzieś z góry za ledwie dochodził go ściszony w niewyraźny szmer, straszliwy  
zgiełk zdobywanej szturmem gospody.

# KSIĘGA DRUGA

## TRZEWIA LEWIATANA

### ROZDZIAŁ I

#### ZIEMIA ZUBOŻONA PRZEZ MORZE

Paryż wyrzuca do wody dwadzieścia pięć milionów rocznie. I to nie w przerośni. Jak to, w jaki sposób? W dzień i w nocy. W jakim celu? Bez żadnego celu. Z jaką myślą? Bez żadnej myśli. Dlaczego? Tak sobie, Za pomocą jakiego to organu? Za pomocą swych trzewi. Cóż to za trzewia? To jego kanały.

Dwadzieścia pięć milionów to najbardziej umiarkowana z cyfr, jaką podaje w przybliżeniu specjalna wiedza.

Nauka, po długim poszukiwaniu po omacku, wie dzisiaj, że najżyźniejszym i najskuteczniejszym nawozem jest kał ludzki. Chińczycy — powiedzmy to sobie ze wstydem — wiedzieli o tym przed nami. „Każdy wieśniak chiński — powiada Eckeberg — wracając z miasta przynosi na obu końcach swego kija bambusowego dwa kubły pełne tego, co my nazywamy nieczystościami." Dzięki nawozowi ludzkiemu ziemia w Chinach jest dotychczas tak młoda jak za czasów Abrahama. Pszenica chińska wydaje plon studwudziestokrotnie większy od zasiewu. Nie ma równie żyznego guana jak odpadki stolicy. Wielkie miasto to olbrzymie szambo. Wykorzystanie miasta do nawożenia pól to czysty interes. Jeżeli nasze złoto jest nieczystością, to odwrotnie — nasze nieczystości są złotem. Co się robi z tym złotem-nawozem? Wyrzuca się je w otchłań.

Wysyła się z wielkim nakładem kosztów całe flotylle okrętów, żeby zbierać na biegunie południowym łajno petreli i pingwinów, a mając pod ręką nieograniczone źródło bogactwa, odprowadza się je do morza. Cały nawóz ludzki i zwierzęcy, który świat marnotrawi, nie wrzucony do wody, lecz zwrócony ziemi, wystarczyłby, alby wyżywić cały świat.

Te stosy śmieci w śmietnikach, wozy z nieczystościami trzęsące się nocą po ulicach, te ohydne beczki zarządu miejskiego, cuchnące podziemne kanały błota ukryte pod brukiem, czy wiecie, co to jest? To łąki w kwieciu, to zielona trawa,, to macierzanka, tymianek i szałwia, to zwierzyna i bydło, to wieczorny ryk sytych, wielkich wołów, to pachnące siano, to złociste zboże, to chleb na waszym stole, gorąca krew w waszych żyłach, to zdrowie, radość, życie. Tak chce tajemniczy akt tworzenia, który jest przeobrażaniem się. na ziemi i przeistoczeniem w niebie.

Wrzućcie to do wielkiego tygla, wyjdzie stamtąd wasz dostatek. Odżywienie ziemi stwarza pożywienie dla ludzi.

- Jesteście mistrzami w marnotrawieniu tego bogactwa i uważacie w dodatku, że jestem śmieszny. To właśnie ukoronowanie waszej ignorancji

Statystyka wykazała, że sama Francja poprzez ujścia swych rzek dokonuje na rzecz Atlantyku przelewu w wysokości pół miliarda. Zanotujcie to sobie: tymi pięciuset milionami można byłoby pokryć jedną czwartą wydatków budżetowych. Zręczność człowieka jest tak wielka, że woli wrzucić tych pięćset milionów do rynsztoka. Ten majątek narodowy nasze nędzne kanały wyrzucają kropla po kropli do rzek, a rzeki oddają go gigantycznymi haustami oceanowi. Każde rzygnię0 cie naszych kloak kosztuje nas tysiące franków. Stąd; dwojaki skutek: ziemia zubożona, a woda zarażona.

Głód, który wypełza z bruzdy, i zaraza, która wypełza z rzeki.

Rzecz to powszechnie znana na przykład, że Tamiza zatruwa obecnie Londyn. Jeśli chodzi o Paryż, to w ostatnich latach musiano przenieść większość ujść kanałów w dół rzeki, poniżej ostatniego mostu. Podwójne urządzenia rurociągowy, ssąco-tłoczące, zaopatrzone w zawory i ruchome śluzy, elementarny system dren, prosty jak ludzkie płuca i w pełni zastosowany już w wielu gminach Anglii, wystarczyłby, aby zaopatrzyć nasze miasta w czystą wodę z pól i odprowadzić na nasze pola bogatą wodę miast. Ta najprostsza w świecie, łatwa wymiana zachowałaby nam te pięćset milionów wyrzuconych przez okno. Ale o tym się nie myśli.

Obecne postępowanie, mając na celu dobro, czyni zło. Intencja jest dobra, skutki opłakane. Sądząc, że oczyszcza się miasta, powoduje się karłowacenie ludności. Ścieki są nieporozumieniem. Kiedy system drenów ze swoją podwójną funkcją zwracania tego, co bierze, zastąpi ścieki — to prymitywne, zubożające splukiwanie, wówczas w połączeniu ze zdobyczami nowej ekonomii społecznej wydajność ziemi zostanie dziesięciokrotnie pomnożona, a problem nędzy wydatnie złagodzony. Zlikwidujcie jeszcze pasożytnictwo, a problemu zarazy nie będzie wcale.

Tymczasem dobro społeczne spływa do rzeki, jest marnotrawione. Marnotrawstwo — to właściwe słowo. Europa rujnuje się w ten sposób przez wyjąłowanie.

Jeśli chodzi o Francję, to podaliśmy cyfry. Otóż ludność Paryża wynosi jedną dwudziestą piątą całej ludności Francji i guano paryskie jest najbogatsze; jeśli więc ocenimy udział Paryża w stratach na dwadzieścia pięć milionów w stosunku do pół miliarda, który Francja rocznie wyrzuca, to nasz rachunek jest

ogłębny. Te dwadzieścia pięć milionów obrócone, na pomoc społeczną i uprzyjemnienie życia podwoiłoby świetność Paryża. Miasto wyrzuca je do kloaki. Słowem, można powiedzieć, że wielka rozrzutność Paryża, jego cudowne zabawy, park rozrywkowy Beaujon, orgie, złoto sypane pełnymi garściami, przepych, zbytek, wspaniałość — to jego kanały.

W ten to sposób ślepotą złej ekonomii politycznej pozwala, żeby dobrobyt ogółu topił się, uchodził z wodą i gubił się w otchłani. Do ochrony majątku społecznego winna istnieć krata podobna do kraty z Saint-Cloud.

Ekonomicznie, istniejący stan rzeczy można tak streścić: Paryż to dziurawy worek.

Paryż, to miasto-wzór, które naśladowują najpiękniejsze stolice, którego kopię stara się posiadać każdy naród, ta metropolia ideału, dostojna ojczyzna wszelkich poczynań, bodźców i usiłowań, ten ośrodek myśli, to miasto-naród, to mrowisko przyszłości, to wspaniałe połączenie Babilonu i Koryntu, wywołały u wieśniaka z Fo-Kian — z nakreślonego przez nas punktu widzenia — wzruszenie ramion.

Naśladowajcie Paryż, a zrujnujecie się.

Zresztą, szczególnie w tej niespotykanej i bezsensownej rozrzutności Paryż sam jest naśladowcą.

Te zadziwiające niedorzeczności nie są nowe; to nie jest świeże głupstwo. Starożytni postępowali tak samo jak współcześni. „Kloaki Rzymu — powiada Liebig — pochłonęły cały dobrobyt wieśniaka rzymskiego.” Kiedy ścieki Rzymu zrujnowały wieś rzymską, Rzym wysłał siły. z Italii, a po wrzuceniu Italii do swej kloaki wrzucił do niej Sycylię, następnie Sardynię, wreszcie Afrykę. Kanały Rzymu pochłonęły świat. Kloaka otworzyła "swoje czeluście miastu i światu. *Urbi et orbi*. Miasto wieczne, kanały niezgłębione.

W tych sprawach, podobnie zresztą jak w innych,

Rzym daje przykład. Paryż idzie za tym przykładem z całą głupotą właściwą miastom intelektu. Dla celów, o których wypowiedzieliśmy się przed chwilą, pod Paryżem znajduje się drugi Paryż: Paryż kanałów; ma on swoje ulice, skrzyżowania, place, zaułki, arterie i ruch, który jest błotem, wszystko — tyle że bez ludzkiej postaci.

Nie trzeba bowiem nikomu schlebiać, nawet wielkiemu narodowi; tam, gdzie jest wszystko, jest i sromota obok wzniosłości; a jeśli Paryż zawiera w sobie Ateny — miasto światłości, Tyr — miasto potęgi, Spartę — miasto cnoty, Niniwę — miasto cudów, to zawiera w sobie również i Lutecję — miasto błota. Zresztą

w tym również jest znamię jego potęgi — tytaniczne męty Paryża stanowią wśród pomników kultury ten dziwny ideał, który ludzkość wcieliła w kilku takich ludzi, jak Makiawel, Bacon i Mirabeau: monumentalna ohyda.

Gdyby oko mogło przeniknąć powierzchnię, podziemia Paryża wyglądałyby niczym olbrzymi polip. Gąbka nie ma więcej otworów i korytarzy niż ta gruda ziemi o sześciu milach obwodu, na której spoczywa starodawne wielkie miasto. Nie mówiąc o katakumbach, które stanowią oddzielne jaskinie, ani o przewodach gazowych, stanowiących sieć nie do rozwikłania, ani o rozgałęzionym systemie wodociągów wraz z jego studzienkami, same kanały tworzą pod obu brzegami Sekwany olbrzymią mroczną sieć; labirynt, którego nicią przewodnią jest spadek: Tam zjawia się w wilgotnej mgle szczur -ten płód Paryża.

## ROZDZIAŁ II

### HISTORIA STAROŻYTNA KANAŁÓW

Gdyby wyobrazić sobie, że zdjęto Paryż jak pokrywę, podziemna sieć kanałów widziana z lotu ptaka zarysuje się po obu brzegach Sekwany jak coś w rodzaju wielkiej gałęzi zaszczepionej na rzece. Na prawym brzegu kanał obwodowy będzie głównym konarem, kanały doprowadzające — gałęziami, a ślepe odnogi końcowe — gałązkami. Jest to jednak obraz ogólny, który częściowo tylko odpowiada rzeczywistości, gdyż kąt prosty, który jest powszechnie przyjęty w urządzeniach podziemnych tego rodzaju, w świecie roślinnym występuje bardzo rzadko.

Dokładniejszy obraz tej niezwykłej figury geometrycznej można uzyskać wyobrażając sobie, że widzimy ułożony na tle ciemności jakiś dziwaczny alfabet wschodni, niezmiernie zagmatwany, którego niekształtne litery zostały połączone pozornie na chybił trafił, czasem wierzchołkami, czasem krawędziami.

W wiekach średnich ścieki i kanały odgrywały wielką rolę w kulturze Bizancjum i starożytnego Wschodu. Tu rodziła się zaraza, tu umierali despoci. Rzesze z religijną trwogą niemal patrzyły na te łoża zgnilizny, potworne kolebki śmierci. Dół z gadami w Benares tak samo przyprawia o zawrót głowy, jak dół ze lwami w Babilonie.

Według ksiąg rabinackich Teglat-Falazar zaklinał się na ścieki Niniwy. Z kanałów w Munster wywiódł Jan z Lejdy swój fałszywy księżyc, a jego wschodni sobowtór Mokanna, tajemniczy prorok Khorossanu, wywiódł z klaocznego dołu w Kekhscheb swoje fałszywe słońce.

Dzieje ludzkie odzwierciedlają się w dziejach kanałów. Gemonie opowiadały o Rzymie. Ścieki Paryża, były stare i niezwykłe. Bywały grobem, bywały też schronieniem. Zbrodnia, intelekt, protest społeczny, wolność sumienia, myśl, kradzież, wszystko, co jest lub było ścigane przez ludzkie prawo, znajdowało kryjówkę w tej norze; w czternastym wieku — Młotnicy, w piętnastym — rzezimieszki, w szesnastym — hugo-noci, w siedemnastym — iluminaci Morina, w osiemnastym — podpalacze. Sto lat temu stamtąd wychodził nocny cios sztyletu, tam wślizgiwał się ścigany łotrzyk; las miał swoje pieczary. Paryż miał swoje kanały. Żebractwo, ta *picareria* galijska, traktowało kanały jak filię Dziedzińca Cudów i wieczorem, kpiące, a okrutne, wracało pod Vomitorium Maubuee jak do alkowy.

Nic w tym dziwnego, że ci, dla (których miejscem codziennych zajęć był zaułek Wyrwij-Mieszek czy ulica Poderżnij-Gardło, obrali sobie za nocne mieszkanie mostek na Chemin-Vert czy norę Hurepoix. Dlatego roi się tam od wspomnień. Najróżniejsze upiory straszą w tych długich, pustych korytarzach. Wszędzie zgnilizna i miazmaty; tu i ówdzie okienko, z którego mieszkaniac kanału Villon wychyla się, by pogawędzić z przechodzącym Rabelais'em. W dawnym Paryżu kanał to miejsce schadzki wszelkiego wyczerpania i wszelkich wysiłków. Ekonomia polityczna uważa go za pozostałość, filozofia społeczna za osad.

Ścieki to sumienie miasta. Wszystko się w nich zbiega i konfrontuje. W tym sinym przybytku panują ciemności, ale nie ma już żadnych tajemnic. Każda rzecz przybiera tam prawdziwą postać albo przynajmniej postać ostateczną. Kupa śmieci ma tę zaletę, że nie kłamie. Tam schroniła się naiwność. Leży tu maska don Bazylia, ale widać jej fakturę i sznurki, widać ją z zewnątrz i z wewnątrz, uszmiokowaną uczciwym błotem. Sąsiaduje z nią przyprawny nos Skapena.

Wszystkie niezdatne do użytku brudy cywilizacji wpadają w ten dół prawdy, gdzie znajduje kres gigantyczne osuwanie się gruntu społecznego; giną tam, ale i ukazują całą swą okazałość. Ten chaos jest spowiedzią. Tu kończą się wszelkie fałszywe pozory, tu nie ma mowy o żadnej szmince, plugastwo zdejmuje koszulę, obnażenie absolutne, rozwiane miraż i złudzenia, nic więcej ponad to, co jest i co przybiera ponurą postać tego, co się kończy.

Rzeczywistość i nicość. Tu odtłuczone dno butelki przyznaje się. do pijaństwa, pałak koszyka opowiada o tajemnicach koszykowego; ogryzek jabłka, który miał swoje poglądy na literaturę, z powrotem staje się tylko ogryzkiem jabłka; podobizna na groszaku otwarcie pokrywa się jadowitym grynszpanem; plwociny Kajfasza mieszają się z wymiotami Falstaffa, luidor z szulerni uderza o gwóźdź, z którego zwisa kawałek sznura samobójcy, siny płód toczy się zawinięty w cekiny, które tańczyły w operze w ostatnie. zapusty; biret, który sądził ludzi, tarza się obok zbutwiałego łachmana, który był spódnicą dziewczyny ulicznej; to już nie zbratanie — to spoufalenie. Wszystko, co się szminkowało, teraz nurza twarz w błocie. Ostatnia zasłona została zerwana. Ściek jest cynikiem. Mówi wszystko.

Ta szczerość nieczystości podoba się nam i działa kojąco na duszę. Kiedy przez całe życie człowiek musi oglądać wielkopańskie miny, jakie stroją racje stanu, świętość przysięgi, mądrość polityczna, sprawiedliwość ludzka, uczciwość zawodowa, koniunkturalna niezłomność zasad, nieprzekupne togi — doznaje ulgi wchodząc do kanału i widząc błoto, które jest na swoim miejscu.

To jest zarazem pouczające. Powiedzieliśmy już przed chwilą, że przez ścieki przechodzi historia. Noce Św. Bartłomieja sączą się tam kropla po kropli, między kamieniami. Wielkie morderstwa, rzezie polityczne i religijne

przechodzą przez te podziemia cywilizacji i spychają w nie swoje trupy. Oko myśliciela odnajdzie w ich ohydnych półmroku wszystkich historycznych morderców, na klęczkach, przepasanych zamiast fartucha strzępkiem śmiertelnego całunu i obmywających posępnie swoją przeszłość. Jest tu Ludwik XI z Trystanem, Franciszek I z Dupratem, Karol IX ze swoją matką, Richelieu z Ludwikiem XIII, jest tu Louvois, jest Le Tellier, jest Hebert i Maillard; zeskrobuja kamienie i starają się zatrzeć ślady swoich czynów. Pod sklepieniem rozlega się szelest mioteł tych upiorów. Oddycha się tu potwornie cuchnącymi wyziewami katastrof społecznych. Po kątach migocą czerwone błyski. Płyną strugi okrutnej wody, w której obmywały się splamione krwią ręce. Obserwator społeczny "powinien zstąpić w te mroki. Stanowią część jego laboratorium. Filozofia jest mikroskopem myśli. Wszystko chce przed nią uciec, ale nic nie zdoła się jej wymknąć. Na nic nie zdadzą się wykręty. Od jakiejż bowiem strony ukazuje się człowiek uciekający się do wykrętów? Od strony wstydu. Filozofia ściga zło swoim prawym spojrzeniem i nie pozwala mu pierzchnąć w nicość. Z zatartych konturów rzeczy, które znikają, ze szczątków rzeczy, które giną, filozofia poznaje wszystko. Z łachmanu odtwarza purpurę, ze szmat — kobietę. Z kloaki odtwarza miasto; z błota odtwarza obyczaje. Na podstawie skorupy wnioskuje, czy była amforą, czy dzbanem. Z odcisku paznokcia na pergaminie poznaje różnice między żydostwem z Judengasse a żydostwem z Ghetta. W tym, co pozostało, odnajduje to, co było, dobro, zło, fałsz, prawdę, plamę krwi z pałacu, kleks z kryjówki złoczyńców, kroplę łju z lupanaru, przeżyte próby, miłe sercu pokusy, wyrzygane orgie, rysy zepsucia w spodłałych charakterach, ślady prostytutki w duszach, które prostactwa uczyniła podatnymi na zło i na kurcie rzymskiego tragarza znak kuksańca Messaliny.



## ROZDZIAŁ III

### BRUNESAU

W średniowieczu kanały paryskie były legendarne. W szesnastym wieku Henryk II usiłował je zbadać, ale próba ta nie powiodła się. Zaledwie sto lat temu — według świadectwa Merciera — ścieki pozostawione własnemu losowi były tym, czym w takim stanie rzeczy być musiały.

Taki był dawny Paryż, zdany na zatargi, brak decyzji i błądzenie po omacku. Przez długie lata był dosyć głupi. Później rok 89 pokazał, jak miasta nabierają rozumu. Ale w dawnych, dobrych czasach stolica miała niezbyt tęgą głowę; nie umiała się rządzić ani pod względem moralnym, ani materialnym, i równie nieudolnie wymiatała śmieci jak bezprawia. Wszystko stanowiło przeszkodę, wszystko stawało się zagadnieniem. Ścieki na przykład nie miały żadnego planu. Równie trudna była orientacja w kanałach jak zgoda w mieście; na górze — brak zrozumienia, w dole gmatwanina; pod pomieszaniem języków — pomieszanie lochów; Dedal pod wieżą Babel.

Czasami kanały paryskie wylewały, jak gdyby nagle ten ukryty Nil uniósł się gniewem. Zdarzały się — cóż za ohyda! - powodzie z kanałów. Niekiedy ten żołądek cywilizacji źle trawił, kloaka podpływała miastu pod gardło i Paryż poznawał smak własnego błota. To podobieństwo kanału do wyrzutów sumienia miało swoje dobre strony: było ostrzeżeniem, bardzo źle przyjmowanym zresztą; miasto oburzało się na zuchwalstwo błota i nie godziło się na powrót nieczystości. Usuwajcie je lepiej. Powódź z 802 roku żyje jeszcze w pamięci paryżan, liczących dziś 80 lat. Nieczystości rozlały się gwiaździście na placu Zwycięstw, tam gdzie stoi pomnik Ludwika XIV; wlały się w ulicę Św. Honoriusza przez dwa wyloty kanałów na Polach Elizejskich, w ulicę Św. Florentyna przez kanał Św. Florentyna, w ulicę Pierre-a-Poisson przez kanał Somnerie, w ulicę Popincourt przez kanał Chemin-Vert i w ulicę Roquette przez kanał przy ulicy Lappe; wypełniły rynsztok na Polach Elizejskich do wysokości trzydziestu pięciu centymetrów. Na południu, przez wylot na Sekwanę, pełniący swoje czynności w odwrotnym kierunku, dostały się na ulicę Mazarine, ulicę l'Echaude i ulicę Bagno, gdzie, rozlawszy się na długości stu dziewięciu metrów, zatrzymały się dokładnie w odległości kilku kroków od domu, w którym niegdyś mieszkał Radne, szanując siedemnasty wiek bardziej w poecie niż w królu.

Największą głębokość osiągnęły na ulicy Św. Piotra, gdzie się wzniosły o trzy stopy ponad ocembrowanie rynien, a najszerszej rozlały się na ulicy Św. Sabina, gdzie pokryły powierzchnię dwustu trzydziestu ośmiu metrów.

Na początku tego wieku kanały paryskie były jeszcze miejscem tajemniczym. Błoto nie może nigdy cieszyć się dobrą reputacją, ale w tym wypadku zła sława graniczyła z lękiem. Paryż wiedział, że ma pod sobą straszliwy loch. Mówiono o nim, jak o tej potwornej kałuży tebańskiej, w której roiły się skolopendry długości piętnastu stóp i która mogłaby służyć za wannę dla Behemota. Wielkie buty czyszciciele kanałów nigdy nie zapuszczają się poza kilka znanych punktów. Niedawno były czasy, kiedy te beczki z nieczystościami, z wysokości których Sainte-Foix bratał się z markizem de Crequi, wylewały po prostu swoją zawartość do kanału. Szlamowanie ścieków powierzano ulewom, które raczej je zamulały, niż oczyszczały. Rzym obdarzył przynajmniej swoje kanały szczyptą poezji, nadając im Cuchnącą Dziurę. Nauka i przesady zgodnie się nimi brzydzą. Cuchnąca Dziura była równie odrażająca dla higieny, jak i dla legendy. Straszdyła wylęgły się pod smrodliwym sklepieniem ścieku Mouffetard; trupy Marmousetów wrzucone zostały do kanału Barillierie; Fagon przypisywał złośliwą . gorączkę, grasującą w 685 roku, wielkiemu rozziwowi kanału z Bagna, który pozostał otwarty aż do 833 roku na ulicy Św. Ludwika, prawie naprzeciw „Messenger galant”. Otwór kanału na ulicy Mortellerie był znany z zaraźliwych wyziewów, które się z niego dobywały; zamknięty kratą ze spiczasto zakończonych prętów żelaznych, podobnych do szeregu zębów, wyglądał na tej nieszczęsnej ulicy jak paszcza smoka ziejąca piekłem na ludzi. Wyobraźnia ludowa używała ponuremu zlewowi Paryża jakichś ohydnych cech nieskończoności.

Ściek nie miał dna; ściek to barathrum. Nawet policji nie przychodziło na myśl zbadać te odrażające dziedziny. Któż by odważył zapuścić się w to nieznanne, zagłębić sondę w te ciemności, robić odkrycia w tej przepaści? To było straszne. A jednak znalazł się ktoś taki. Kloaka miała swego Krzysztofa Kolumba.

Pewnego dnia 805 roku, podczas jednej z rzadkich wizyt, które cesarz składał Paryżowi, minister spraw wewnętrznych, jakiś Deores czy inny Cretet, asystował przy porannej tualecie monarchy. Na placu Carrousel słychać było szcęk szabel tych niezwykłych żołnierzy wielkiej republiki i wielkiego cesarstwa; u drzwi Napoleona stały tłumy bohaterów: mężowie znanego Renu, Skaldy, Adygi i Nilu ; towarzysze Jouberta, Desaix, Marceau, Hoche'a i Klebera ; obserwatorzy spod Fleurus, grenadierzy spod Moguncji , pontonierzy spod Genui , huzarzy, na których patrzyły piramidy, artylerzyści, na których leciały odpryski kul Junoty , kirasjerzy, którzy wzięli szturmem flotę zakotwiczoną w Zuydersee; jedni z nich szli za Bonapartem na most Lodi , inni towarzyszyli Muratowi w okopach pod Mantuą , jeszcze inni wyprzedzali marszałka Lannes w wąwozie koło Montebello. Cała ówczesna armia była tam, na dziedzińcu Tuileriów, (reprezentowana przez szwadron czy pluton i strzegła spoczynku Napoleona. A była to owa świetna epoka, kiedy Wielka Armia miała za sobą Marengo, a przed sobą Austerlitz .

— Najjaśniejszy panie — powiedział minister spraw wewnętrznych — widziałem wczoraj najodważniejszego człowieka w Cesarstwie.

— Któż to taki? — zapytał porywczo cesarz. — Co on zrobił?

— Dopiero chce coś zrobić, najjaśniejszy panie.

— Co takiego?

— Zwiedzić kanały paryskie.

Człowiek ten istniał rzeczywiście i nazywał się Bruneseau.

## ROZDZIAŁ IV

### NIEZNANE SZCZEGÓŁY

I zwiedził je. Była to niebezpieczna wyprawa, walka nocna wydana zarazie i duszącym wyziewom. Jednocześnie podróż odkrywczą. Jeden z uczestników tej wyprawy, inteligentny robotnik, bardzo wówczas młody, jeszcze przed kilku laty opowiadał ciekawe szczegóły, które Bruneseau uznał za stosowne pominąć w raporcie złożonym prefektowi policji, jako nie dość godne stylu urzędowego. Metody dezynfekcyjne były w owych czasach bardzo prymitywne. Za ledwie Bruneseau przebrnął przez pierwsze rozgałęzienia podziemnej sieci, a ośmiu robotników na dwudziestu odmówiło pójścia dalej. Zadanie było skomplikowane. Zbadanie kanałów pociągało" za sobą konieczność szlamowania; trzeba więc było szlamować, a równocześnie robić pomiary: zapisywać punkty wodne, liczyć kraty i otwory kanałów, ustalać rozgałęzienia, wskazywać 'kierunek prądów, rozpoznawać wzajemny stosunek zasięgu poszczególnych basenów, badać głębokość małych ścieków odchodzących od głównego kanału, mierzyć względną wysokość i szerokość każdego korytarza, zarówno u szczytu sklepienia, jak i na dole, przy chodniku; wreszcie oznaczać współrzędne różnicy spadku każdego spływu wody czy to w stosunku do poziomu chodnika korytarza, czy to w stosunku do poziomu ulicy. Mozolnie posuwano się naprzód. Drabinki złazów grzęzły częstokroć w mule na trzy stopy. Latarnie ledwo tliły się w smrodliwych wyziewach. Co pewien czas wynoszono zemdlonego robotnika. Niekiedy napotymano na przepaść. Grunt obsunął się, bruk rozpadł i kanał zmieniał się w studnię bez dna; żadnego oparcia; jakiś człowiek zapadł się tam w mgnieniu oka; z wielkim trudem udało się go wyciągnąć.

Za radą Fourcroya , w pewnych odstępach, w miejscach dostatecznie przewiewnych, ustawiono kosze, z płonącymi pakułami przesyconymi żywicą. Miejscami mury były pokryte rozlanymi plamami pleśni, podobnymi do wrzodów; nawet kamień zdawał się chorzeć w tej zatrutej atmosferze.

W czasie swojej badawczej wyprawy .Bruneseau obrał kierunek z góry w dół. W punkcie działu wodnego dwóch rozlewisk wód koło Grand-Hurleur, na kamieniu wystającym ze ściany odcyfrował datę: 550 rok; kamień ten oznaczał najdalsze miejsce, dokąd dotarł Filibert Delorme , któremu Henryk II polecił zwiedzić podziemny śmietnik Paryża. Kamień ten był śladem zostawionym w kanale przez wiek szesnasty. Bruneseau odnalazł roboty siedemnastowieczne w przewodzie Ponceau i w przewodzie ulicy Vieille-du-Temple, których sklepienia datują się z lat 600 i 650, oraz roboty osiemnastowieczne na odcinku zachodnim kanału zbiorczego, którego obmurowania i sklepienia pochodzą z

740 roku. Oba sklepienia, szczególnie to najnowsze z 740 roku, były bardziej porysowane i nadwerżone niż mury kanału okrężnego z 1412 roku, z czasów kiedy strumień Menilmontant został podniesiony do godności głównego kanału Paryża; awans podobny do awansu wieśniaka, który by został pierwszym pokojowcem króla; coś jakby głupi Jasiek przedzierzgnął się w Lebela.

Tu i ówdzie, głównie pod Pałacem Sprawiedliwości, rozpoznawano wnęki pozostałe po komórkach dawnych więzień, umieszczonych tu właśnie, w kanałach. Ohydne *in pace*. W jednej z tych cel wisiała jeszcze żelazna obręcz. Wszystkie zostały zamurowane. Niekiedy znajdowano rzeczy bardzo niezwykłe. Między innymi odkryto szkielet orangutana, który zniknął z Ogrodu Zoologicznego w 1800 roku. Zniknięcie to pozostawało prawdopodobnie w ścisłym związku ze słynnym i bezspornym faktem pojawienia się diabła na ulicy Bernardyńskiej w ostatnim roku osiemnastego stulecia. Biedny diabeł skończył marnie, topiąc się w kanale.

W długim sklepionym korytarzu, dochodzącym do Arche-Marion, znakomicie zachowany kosz gałganiarza wzbudził zachwyty znawców. Muł, w którym robotnicy nauczyli się w końcu grzebać *bez lęku*, pełen był wszędzie cennych przedmiotów: klejnotów ze złota i srebra, drogich kamieni i monet. Olbrzym, który by przefiltrował tę kloakę, znalazłby w swoim sicie skarby stuleci. W miejscu rozgałęzienia ulic Tempie i Sainte-Avoye znaleziono osobliwy medal hugonocki z miedzi, z wizerunkiem wieprza w kardynalskim kapeluszu po jednej stronie i wilka, z tiarą na głowie po drugiej.

Najdziwniejsze odkrycie zrobiono przy wejściu do Wielkiego Kanału. Wejście to zamykała niegdyś krata, z której pozostały zaledwie zawiasy. Na jednym z nich wisiał jakiś kawał brudnej, poplamionej płachty, która, widać, zahaczywszy się tutaj powiewała w ciemnościach i rozpadała się w strzępy. Bruneseau przybliżył latarnię i obejrzał tę szmatę. Była z cienkiego batystu, w jednym jej rogu, mniej podartym od reszty, rozpoznano szlachecką koronę wyhaftowaną nad siedmioma literami: „LAUBESP”. Korona była margrabiowska, a litery oznaczały nazwisko Laubespine. Bruneseau zrozumiał, że mają przed oczyma kawałek śmiertelnego całunu Marata. W młodości Marat miał wiele przygód miłosnych. Było to wówczas, kiedy należał do dworu księcia d'Artois jako koniuszy. Z romansów ze szlachetnie urodzoną damą, udowodnionych historycznie, zostało mu to prześcieradło na łóżko. Szczątek albo pamiątka. Po jego śmierci, ponieważ była to najlepsza sztuka bielizny, jaką miał w domu, w niej właśnie go pochowano. Stare kobiety spowiły tragicznego Przyjaciela Ludu w to gieżło przesycone wspomnieniem rozkoszy.

Bruneseau poszedł dalej. Pozostawiono ten strzęp na swoim miejscu; nie zniszczono go. Czy był to objaw pogardy, czy szacunku? Marat zasługiwał i na jedno, i na drugie. *Zresztą* na tym strzępie los wycisnął tak wyraźne piętno, że

lękano się go tknąć. Pozostawmy rzeczom umarłych prawo wyboru miejsca spoczynku. W istocie osobliwy to był szczątek. Markiza spała na nim; w nim gnił Marat; był w Panteonie, aby w końcu stać się pastwą szczurów w kanale. Ta szmatka z alkowy, której wszystkie fałdki malowałiby niegdyś z rozkoszą Watteau, stała się w końcu godna posepnego spojrzenia Danta.

Zwiedzanie wszystkich podziemnych kanałów Paryża trwała siedem lat, od roku 1805 do 1812. W czasie tych wędrówek Bruneseau projektował poważne roboty, kierował nimi i doprowadził je do końca; w 1808 roku obniżył poziom chodnika w kanale Ponceau i budując wszędzie nowe przewody przedłużył w roku 1809 kanały pod ulicą Św. Dionizego aż do fontanny Młodzianków; w 1810 roku pod ulicą Froidmanteau i pod Salpetriere, w 1811 roku pod ulicą Neuvedes-Petits-Peres, pod ulicą Mai, pod ulicą l'Echarpe, pod placem Królewskim, w 1812 roku pod ulicą Pokoju i pod Chaussee d'Antin. Równocześnie dezynfekował i oczyszczał całą sieć. W drugim roku tej pracy dobrał sobie do pomocy swego zięcia, Nargaud.

Tak więc na początku naszego stulecia stara społeczność wyszlamowała swoje dno i uprzątnęła swoje kanały. Coś przecie w sobie oczyściła.

Kręte, pełne zapadlin i wyrw w bruku, usiane trzęsawiskami, powyginane w dziwaczne załomy, wznoszące się lub opadające bez żadnej logiki, cuchnące, dzikie, groźne zatopione w mrokach, ze szramami na chodnikach i bliznami na ścianach, przerażające — takie były przed laty starożytne ścieki paryskie. Rozgałęzienia na wszystkie strony, krzyżujące się przejścia, odnogi, rozwidlenia, podziemne przekopy rozchodzące się gwiazdźście, ślepe zaułki, zakamarki, sklepienia przeżarte saletrą, ziejące zarazą doły, liszaje nacieków na ścianach, krople kapiące ze stropów, ciemności; nic nie mogło dorównać okropności tej starej, ropiejącej krypty, tego organu trawiennego Babilonu, jaskini, nory, pieczary, przez którą przewiercono ulice, tytanicznego kretowiska, w którym myśl, zda się, dostrzega, jak w mroku, w nieczystościach, które niegdyś były świetnością, błędzi olbrzymi, ślepy kret — przeszłość. Tak, powtarzamy, wyglądały kanały niegdyś.

# ROZDZIAŁ V

## POSTĘP DZISIEJSZY

Dziś ściek paryski jest czysty, chłodny, prosty, poprawny. Stanowi niemal ideał tego, co określa się w Anglii słowem: *respectable*. Jest godny i szarawy, wyciągnięty pod sznurek; można by nieledwie powiedzieć: wymuskany; przypomina dostawcę przedzierzgniętego w radcę stanu. Jest w nim niemal widno. Nieczystości zachowują się tu przyzwoicie. Na pierwszy rzut oka można by go wziąć za jeden z tych podziemnych korytarzy, tak niegdyś rozpowszechnionych i tak przydatnych w razie ucieczek monarchów i książąt w owych dawnych, dobrych czasach, kiedy to „lud miłował swoich królów”. Dzisiejszy ściek jest pięknym ściekiem; panuje w nim czystość stylu; klasyczny, prosty aleksandryn, wygnany z poezji, znalazł schronienie w architekturze i — zda się, połączył się z kamieniami tego długiego mrocznego sklepienia, bielejącego w cieniu; każdy wylot jest arkadą. Ulica Rivoli jest wzorem nawet dla kloaki. Zresztą, gdzie jak gdzie, ale w tym szambo wielkiego miasta linia prosta jest właśnie na miejscu. Wszystko musi się tu podporządkować najkrótszej drodze. Dziś kanały nabrały charakteru nieledwie oficjalnego. Nawet raporty policji, w których figurują niekiedy, wyrażają się o nich z szacunkiem. Urzędowy język mówi o nich słowami wzniosłymi i godnymi. Co dawniej nazywano „kiszką” dziś zwie się galerią; co dawniej nazywano dziurą — dziś zwie się otworem kanalizacyjnym. Villon nie poznałby swego dawnego, przygodnego mieszkania. Gnieźdzący się tam od niepamiętnych czasów ród gryzoni nadal zamieszkuje tę sieć lochów, liczniejszy niż kiedykolwiek; czasami szczur, stary wiarus, wystawia łeb przez otwór kanału i bacznie przygląda się paryżanom; ale nawet i to plugastwo staje się bardziej oswojone, bo zadowolone ze swojego podziemnego pałacu. Kloaka straciła swoje pierwotne okrucieństwo. Deszcz, który niegdyś zanieczyszczał kanały, dzisiaj je obmywa. Ale nie dajcie się zwieść pozorom. Ściek jest zawsze siedliskiem cuchnących miazmatów. Jest raczej obłudny niż nieposzlakowany. Daremne są wysiłki prefektury policji i komisji zdrowia. Mimo stosowania wszelkich środków dezynfekcji, kanały wydzielają jakąś podejrzaną woń, jak Tartufe po spowiedzi.

Przyznajemy jednak, że skoro oczyszczenie jest hołdem składanym przez kanały — cywilizacji i skoro z tego punktu widzenia sumienie Tartufa jest krokiem naprzód w stosunku do stajni Augiasza, to nie ulega wątpliwości, że kanały paryskie ulepszyły się.

To jest więcej niż postępek to jest przemiana. Dawne kanały od kanałów dzisiejszych dzieli dokonany przewrót.

Któż dokonał tego przewrotu?

Człowiek, o którym wszyscy zapomnieli, a którego my wymieniliśmy przed chwilą: Bruneseau.



# ROZDZIAŁ VI

## POSTĘP W PRZYSZŁOŚCI

Wykopanie kanałów paryskich było niemałą pracą. Dziesięć ostatnich wieków mozoliło się nad tym zadaniem, nie mogąc go skończyć, tak jak nie mogło ukończyć budowy Paryża. Wzrost Paryża znajduje odbicie w kanałach. Ten mroczny polip o tysięcznych mackach rośnie pod ziemią równomiernie z miastem rosnącym nad nim. Ilekroć miastu przybywa nowa ulica, kanałowi wyrasta nowe ramię. Dawna monarchia wybudowała zaledwie dwadzieścia trzy tysiące trzysta metrów kanałów, tyle posiadał ich Paryż stycznia 1806 roku. Od tego czasu, o czym pomówimy za chwilę, prace zostały podjęte na nowo i prowadzone energicznie i skutecznie. Podajemy te ciekawe cyfry: Napoleon zbudował cztery tysiące osiemset cztery metry; Ludwik XVIII — pięć tysięcy siedemset dziewięć metrów; Karol X — dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści sześć; Ludwik Filip — osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dwadzieścia; republika 848 roku — dwadzieścia trzy tysiące trzysta osiemdziesiąt jeden; obecny rząd — siedemdziesiąt tysięcy pięćset; w sumie, w obecnej chwili jest dwieście dwadzieścia sześć tysięcy sześćset dziesięć metrów, czyli sześćdziesiąt mil kanałów; olbrzymie - trzewia Paryża. Ukryty las rozgałęzień wiecznie w ruchu; budowla nieznaną i ogromną.

Jak widać, podziemny labirynt Paryża jest dzisiaj przeszło dziesięciokrotnie większy niż na początku naszego stulecia. Trudno sobie wyobrazić, ile trzeba było wytrwałości i wysiłków, aby doprowadzić tę Kloakę do obecnego stanu względnej doskonałości. Z największym trudem udało się dawnym władzom rewolucyjnej monarchii — a w ostatnich dziesiątkach lat osiemnastego wieku rewolucyjnemu merostwu — zbudować te pięć mil ścieków, które istniały przed 1806 rokiem.

Wszelkiego rodzaju przeszkody hamowały prace, jedne wynikające z właściwości gruntów, inne tkwiące głęboko w przesądach pracującej ludności Paryża. Paryż zbudowany jest na gruncie dziwnie opornym motyce, rydlowi, sondzie, wszelkiej działalności ludzkiej. Nie ma nic trudniejszego nad przebicie i zagłębienie się w tę formację geologiczną, na której nałożyła się cudowna formacja historyczna, zwana Paryżem; skoro tylko w jakikolwiek bądź sposób prace odważą się zapędzić w te pokłady aluwialne, natychmiast mnożą się podziemne przeszkody: złoża płynnej gliny, źródła podskórne, twarde skały, ily miękkie i głębokie, które wiedza nazywa kurzawką. Kilof z trudem zagłębia się w złoża wapnia, poprzerzynane cienkimi warstwami glin i warstwami łupku, na którego płytkach odcisnęły się muszle ostrzyg z przedpotopowych oceanów. Czasem strumień przedziera się nagle przez rozpoczęte sklepienie i zalewa

robotników; albo też rzeka marglu przebija się i pędzi z wściekłością wodospadu, krusząc jak szkło najgrubsze belki podstemplowania. Niedawno, w Villette, kiedy trzeba było przeprowadzić kolektor pod kanałem Świętomarcińskim nie przerywając komunikacji wodnej i nie opróżniając ścieków, w dnie kanału zrobiła się szczelina, woda zalała gwałtownie prace podziemne, tak że pompy odprowadzające nie mogły nic zdziałać; trzeba było z pomocą nurka odnaleźć szczelinę, która znajdowała się w wąskim otworze wielkiego basenu, i zatkać ją z największym trudem. Gdzie indziej, w pobliżu Sekwany, a nawet w dość znacznej odległości od rzeki, jak na przykład w Belleville, pod ulicą Wielką czy pod pasażem Luniere, napotyka się bezdenne piachy, w których człowiek może utonąć w mgnieniu oka. Dodajcie do tego zatrucie wyziewami, zasypanie przez osuwającą się ziemię, nagłe zapadanie się gruntu. Dodajcie tyfus, którym robotnicy przesiąkają powoli. Za naszych czasów umarł kierownik robót Mannot — po wykopaniu galerii Clichy z podmurowaniem dla głównego rurociągu, prowadzącego wodę z Ourcq, pracy dokonanej odcinkami, na głębokości dziesięciu metrów; po zbudowaniu — mimo częstych obsunięć ziemi — sklepienia kanału la Bievre od bulwaru Szpitalnego aż po Sekwanę, gdzie drążono teren grząski, często zmuszający do starannego stemplowania stropów; po uwolnieniu Paryża od potoków wód spływających z Montmartre'u i dostarczeniu odpływu rozlewiskom, pokrywającym obszar dziewięciu hektarów koło rogatki Męczenników; po zbudowaniu przekopów kanału od rogatki Białej do traktu do Aub'ervilliers, po czterech miesiącach pracy dniem i nocą, na głębokości jedenastu metrów; oraz — rzecz dotąd nie spotykana — po wykopaniu podziemnego przewodu pod ulicą Barre-duBec jednym ciągiem na głębokości sześciu metrów pod ziemią. Zbudowawszy trzy tysiące metrów kanałów we wszystkich punktach miasta od ulicy TraversiereSaint-Antoine aż po ulicę Lourcine; uwolniwszy poprzez odnogę ścieku Arbalete placyk Censier-Mouffetard od zalewów spowodowanych obfitymi deszczami; zbudowawszy w lotnych piaskach kanał Św. Jerzego na podwalinach kamiennych i betonowych; przeprowadziwszy roboty przy niebezpiecznym obsunięciu się; korytarza w odnodze kanału pod ulicą Marii Panny z Nazaret — umarł inżynier Duleau. Żadne biuletyny nie mówią o tych czynach bohaterskich, a bardziej przecież pożytecznych niż bezsensowne rzezie na polach bitwy.

W 832 roku ścieki paryskie dalekie były od tego stanu, w jakim są dzisiaj. Bruneseau dał inicjatywę, ale dopiero epidemia cholery spowodowała późniejszą, zakrojoną na szeroką skalę przebudowę. Dziwne jest powiedzieć, że na przykład w 1821 roku część kanału okrężnego, zwanego — jak w Wenecji — Wielkim Kanałem, stała otworem na ulicy Gourdes. Dopiero w 1823 roku miasto Paryż znalazło w swej szkatule dwieście sześćdziesiąt sześć tysięcy osiemdziesiąt franków i sześć centymów koniecznych na zakrycie tej ohydy. Trzy studnie chłonne na Cómbat, la Cunette i Saint-Mande, ze swymi ściekami,

urządzeniami i odgałęzieniami oczyszczającymi pochodzą dopiero z 1836 roku. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza przewody trawienne Paryża odnowiono i, jak powiedzieliśmy, powiększono dziesięciokrotnie. Trzydzieści lat temu, w dobie powstania z piątego i szóstego czerwca, kanały paryskie były w wielu miejscach dawnymi kanałami. Wiele ulic, dziś mających wypukłą nawierzchnię, było naówczas wklęsłymi traktami. Często w najniższym miejscu ulicy lub placu znajdowały się szerokie, kwadratowe kraty z grubych, żelaznych prętów, wypolerowane nogami przechodzącego tłumu, na których ślizgały się pojazdy i przewracały konie. Urzędowy język inżynierii dróg i mostów nadawał im wiele mówiącą nazwę: cassis. W 1832 roku na wielu ulicach: na ulicy Gwiazdy, Św. Ludwika, Tempie, ulicy Weille-duTemple, Marii Panny z Nazaret, Folie-Mericourt, na Rynku Kwiatowym, na ulicy Petit-Musc, Normandzkiej, Pont-aux-Biches, Bagno, na przedmieściu Św. Marcina, na ulicy Panny Marii Zwycięskiej na Montmartrze, na ulicy Grange-Bateliere, na Polach Elizejskich, na ulicy Jakuba, na ulicy Tournon, stara gotycka kloaka wysuwała jeszcze cynicznie swoją paszczę. Kamienna czeluść, niekiedy otoczona słupkami, otwierała się w ogromnym rozziwie z jakąś posagową bezczelnością. W 1806 roku Paryż liczył niewiele więcej kanałów ponad to, co zostało stwierdzone w maju 1663 roku: pięć tysięcy trzysta dwadzieścia osiem sążni. Po inspekcji Bruneseau 1 stycznia 1832 roku długość sieci wynosiła czterdzieści tysięcy trzysta metrów. W latach od 1806 do 1831 budowano w ciągu roku średnio po siedemset pięćdziesiąt metrów; później budowano rocznie osiem, a nawet dziesięć tysięcy metrów korytarzy z materiałów budowlanych w zaprawie z hydraulicznego wapna, na fundamentach z betonu. Oceniając koszt jednego metra na dwieście franków, sześćdziesiąt mil kanałów obecnego Paryża przedstawia sumę czterdziestu ośmiu milionów. Poza kwestią postępu ekonomicznego, o której mówiliśmy na początku, poważne problemy higieny społecznej wiążą się z tym ogromnym zagadnieniem: kanałami Paryża.

Paryż leży między dwiema warstwami: warstwą wody i warstwą powietrza. Warstwa wodna, znajdująca się na dość znacznej głębokości, ale zbadana już przez dwukrotne wiercenie, spoczywa na pokładach zielonego piaskowca, między kredą a wapieniem jurajskim; pokłady te można sobie wyobrazić jako okrągłą płytę o promieniu dwudziestu pięciu mil; ścieka na nią mnóstwo rzek i strumieni; w szklance wody ze studni Grenelle pije się Sekwanę, Marnę, Jonnę, Oisę, Aisne, Cher, Wienne i Loarę. Warstwa wody jest zdrowa, ma swe źródła w niebie, a potem w ziemi; warstwa powietrza jest niezdrowa — ma swe źródła w ścieku. Wszystkie wyziewy kloaki przenikają do płuc miasta, które ma dlatego tak nieświeży oddech. Stwierdzono naukowo, że powietrze nad gnojówką jest czystsze niż powietrze nad Paryżem. Ale kiedyś z pomocą postępu, wraz z ulepszeniem maszyn i rozjaśnieniem mroków, warstwa wody zostanie zużyta na odkażanie warstwy powietrza. To znaczy do spłukania kanałów. Wiadomo, że przez spłukanie kanałów rozumiemy: zwrócenie nieczystości ziemi, oddanie

nawozu — glebie, mierzwy — polom. Ten prosty sposób pozwoli całej wspólnocie ludzkiej zmniejszyć nędzę i poprawić zdrowie. W chwili obecnej chorobotwórcze promieniowanie Paryża sięga na pięćdziesiąt mil od Luwru, który przyjęliśmy za środek tego. koła zarazy. Można (by powiedzieć, że od dziesięciu wieków kloaka jest chorobą Paryża. Ściek to zaraza, która krąży w krwi miasta. Instynkt ludu zawsze był nieomylny.

Zawód uprzątacza kanałów był niegdyś prawie równie niebezpieczny i równie wstrętny dla ludu, jak zawód raka, tak długo budzący grozę i pozostawiany katom. Trzeba 'było. wysokiej płacy, by skłonić murarza do spuszczenia się w te cuchnące podkopy; studniarz z wahaniem spuszczał w nie swą drabinę; powtarzano przysłowie: „Zejsć do kanału to wejść do grobu.” Jak wspominaliśmy już, wszelkiego rodzaju okropne legendy osnuwały grozą ten olbrzymi zlew, to przerażające zbiorowisko plugastwa, noszące ślady rewolucji globu i rewolucji ludzi, w którym znaleźć . można szczątki wszystkich kataklizmów, począwszy od muszli z czasów potopu, a skończywszy na łachmanie Marata.

# KSIĘGA TRZECIA

## BŁOTO, ALE I DUSZA

### ROZDZIAŁ I

#### KLOAKA I JEJ NIESPODZIANKI

Jan Valjean znajdował się w kanałach Paryża.

Jeszcze jedno podobieństwo Paryża do morza: nurek może w nim zniknąć jak w oceanie.

Był to zwykły przeskok. W samym środku miasta Jan Valjean znalazł się poza miastem; w mgnieniu oka, w ciągu jednej chwili, potrzebnej na otwarcie i zamknięcie pokrywy, przeszedł z białego 'dnia w nieprzeniknioną ciemność, z południa w północ, z wrzawy w ciszę, z zawieruchy gromów w grobowy bezruch i — zbiegiem okoliczności jeszcze cudowniejszym niż niegdyś na ulicy Polonceau — od skrajnego niebezpieczeństwa do absolutnego spokoju.

Gwałtowny upadek do lochu, zniknięcie w podziemiach Paryża, zejście z powierzchni ziemi, gdzie śmierć czyhała dokoła do tego grobu, w którym było życie; dziwna to chwila. Stał parę minut jak ogłuszony, nadśłuchiwał w osłupieniu. U stóp jego otworzyła się nagle zbawcza pułapka. Dobroć nieba objawiła mu się niejako podstępem. Cudowne zasadzki Opatrzności!

Ranny nie ruszał się wcale i Jan Valjean nie wiedział, czy człowiek, którego uniósł do tego grobu, jest żywy czy umarły.

Pierwszym wrażeniem, jakiego doznał, było oślepienie. Nagle zaniewidział. Wydawało mu się też, że w jednej chwili ogłuchł. Nic nie słyszał. Dzięki grubej warstwie ziemi, która go dzieliła od ulicy, odgłosy krwawej burzy szalejącej o parę stóp nad nim dochodziły do niego , jak to powiedzieliśmy, głuche i przytłumione, jak szum głębiny. Czuł stały granit pod stopami, nic więcej; ale to wystarczało. Wyciągnął jedną rękę, potem drugą, dotknął ściany z obu stron i stwierdził, że korytarz jest wąski; pośliznął się i stwierdził, że płyty są wilgotne. Ostrożnie wysunął nogę, lękając się jakiejś dziury, studni lub topieli; przekonał się, że chodnik idzie dalej. Cuchnący zaduch objaśnił go, w jakim znalazł się miejscu.

Po upływie paru minut przestał być ślepy. Nieco światła padało przez otwór, którym się wśliznął, i wzrok jego przystosował się do piwnicznego mroku.

Zaczął coś rozróżniać. Za jego plecami korytarz, w który się zapadł — żadne inne słowo nie oddaje lepiej położenia — kończył się ścianą. Był to jeden z tych ślepych zaułków, zwanych w języku fachowców odgałęzieniem. Przed nim wznosiła się inna ściana. Ściana ciemności. Światło otworu ginęło w odległości dziesięciu czy dwunastu kroków od miejsca, w którym znajdował się Jan Valjean; szarawy blask rozjaśniał .zaledwie parę metrów wilgotnych murów korytarza. Dalej ciemność gęstniała: strach było zagłębić się w nią, wejść znaczyło zapaść się.

A jednak można było zagłębić się w tę ścianę z. mgły; to było nawet konieczne. I trzeba było się śpieszyć. Jan Valjean pomyślał, że tę kratę, którą on spostrzegł pod kamieniami, mogli również spostrzec żołnierze i że wszystko zależało od tego przypadku. Oni także mogli zejść do tej studni i zacząć poszukiwania. Nie miał chwili do stracenia. Wchodząc złożył Mariusza na bruku, teraz pozbiierał go — to również jest właściwe określenie — zarzucił sobie na barki i ruszył naprzód. Z determinacją wkroczył w ciemność. W rzeczywistości nie byli tam tak bezpieczni, jak myślał. Czekwały ich, być może, niebezpieczeństwa innego rodzaju, choć niemniej groźne. Po gwałtownym wirze .walki — czeluść pełna miazmatów i pułapek; po chaosie — kloaka.

Kiedy uszedł z pięćdziesiąt kroków, musiał przystanąć. Nasuwało się pytanie. Korytarz kończył się u innego przewodu, który przecinał go poprzecznie. Otwierały się dwie drogi. Którą wybrać? Czy skręcić w lewo, czy w prawo? Jak zorientować się w tym czarnym labiryncie? Powiedzieliśmy już, że labirynt ten ma swoją nić przewodnią: spadek. Iść w kierunku spadku to znaczy iść w kierunku rzeki.

Jan Valjean zrozumiał to natychmiast. Pomyślał sobie, że znajduje się prawdopodobnie pod Halami; jeśli zatem wybierze kierunek na lewo i pójdzie w dół, za niecały kwadrans dotrze do jakiegoś wylotu na brzegu Sekwany pomiędzy Mostem Wymiany a Nowym Mostem, czyli w biały dzień zjawi się w najruchliwszym punkcie Paryża. Może na jakimś placu. Przechodnie ośłupieją, widząc u swoich stóp dwóch zakrwawionych ludzi, wyrastających spod ziemi; nadbiegną policjanci, posterunki chwycą za broń. Zanim wyszliby na powierzchnię, już byliby ujęci. Lepiej było zagłębić się w ten labirynt, zaufać ciemnościom i w sprawie wyjścia zdać się na Opatrzność.

Poszedł pod górę na prawo.

Kiedy skręcił w nową galerię, oddalone światło otworu znikło, znowu spadła na niego zasłona ciemności i oślepnął powtórnie. Jednakże posuwał się naprzód najprędzej, jak mógł. Ramiona Mariusza zarzucił sobie na szyję, nogi jego zwisały mu na plecach. Jedną ręką przytrzymywał obie ręce rannego, drugą macał wzdłuż ściany.. Policzek Mariusza dotykał jego twarzy i kleił się do niej,

gdyż był zakrwawiony. Czuł, jak spływa po nim i przesiąka mu przez ubranie ciepły strumień krwi rannego. Jednakże wilgotne ciepło koło ucha, którego dotykały usta Mariusza, oznaczało oddech, a więc życie. Korytarz, którym szedł teraz Jan. Valjean, był szerszy od poprzedniego. Posuwał się nim. z trudem. Wody deszczowe z poprzedniego dnia jeszcze nie spłynęły i tworzyły mały strumyk płynący dnem korytarza, musiał więc przylgnąć do muru, aby nie iść w wodzie. Tak posuwał się w ciemnościach. Przypominał nocne stwory poruszające się po omacku w niewidzialnym i zagubione w podziemnych arteriach mroku.

Jednakże powoli — czy to dlatego, że oddalone okienka przepuszczały nieco rozproszonego światła w głąb tej nieprzeniknionej mgły, czy też, że oczy jego przyzwyczyły się do ciemności — zaczął rozpoznawać jakieś niewyraźne zarysy i chwilami jak gdyby dostrzegał to ścianę, której dotykał, to sklepienie, pod którym szedł. Żrenica powiększa się w nocy i w końcu odnajduje w niej światło, podobnie jak dusza powiększa się w nieszczęściu i w końcu odnajduje w nim Boga.

Znaleźć kierunek nie było łatwo.

Rozgałęzienie ścieków jest — rzecz można — odbiciem rozgałęzienia ulic, które znajdują się nad nim. Paryż miał wówczas dwa tysiące dwieście ulic. Wyobraźcie sobie pod nimi las mrocznych gałęzi, zwany kanałami. Cały ówczesny system ścieków w linii prostej miałby jedenaście mil. Mówiliśmy poprzednio, że obecna sieć — dzięki wzmożonej aktywności w ciągu ostatnich trzydziestu lat — ma co najmniej sześćdziesiąt mil.

Jan Valjean od razu popełnił omyłkę. Zdawało mu się, że znajduje się pod ulicą Św. Dionizego, a niestety tam nie był. Pod ulicą Św. Dionizego (biegnie stary kamienny kanał z czasów Ludwika XIII, który wpada wprost do kanału zbiorczego, zwanego Głównym Kanałem, i ma jedno tylko załamanie, w prawo, na wysokości dawnego Dziedzińca Cudów i jedno rozgałęzienie, kanał Świętomarciński, którego cztery ramiona przecinają się na krzyż. Ale odnoga pod ulicą Małą Żebraczą, której wejście znajdowało się koło „Koryntu” nigdy nie miała połączenia z podziemną ulicą Św. Dionizego; dochodziła do kanału Montmartre i tam właśnie znajdował się Jan Valjean. Tutaj nie brakło okazji do zabłądzenia. Kanał Montmartre jest jednym z najbardziej zagmatwanych labiryntów starej sieci. Na szczęście Jan Valjean zostawił za sobą kanały Hal, których plan geometryczny wygląda jak las splątanych masztów, ale czekało go jeszcze niejedno kłopotliwe spotkanie, niejedno rozwidlenie ulic — są to bowiem ulice wyłaniające się z ciemności jak znak zapytania: przede wszystkim na lewo szeroki kanał Platriere, rodzaj chińskiej łamigłówki, powiększający i gmatwający jeszcze swój chaos odnogami w kształcie liter T i Z pod gmachem poczty i rotundą Hali zbożowej aż po brzeg Sekwany, gdzie kończy się w

kształcie litery Y; następnie w prawo — ukośny korytarz ulicy Cadran, z trzema zębami ślepych zaułków; po trzecie, na lewo, rozgałęzienie Mail, tworzące prawie przy samym wejściu coś w rodzaju wideł i biegnące różnymi zygzakami do wielkiego lochu Luwru, posiekane i rozgałęziona na wszystkie strony; wreszcie na prawo, nie biorąc pod uwagę mniejszych odnóg przed dojściem do kanału obwodowego. — ślepy korytarz ulicy Jeuneurs, jedyny, który *mógł* doprowadzić do wyjścia dość oddalonego, aby było bezpieczne.

Gdyby Jan Valjean wiedział cośkolwiek o tym wszystkim, co tu podajemy, spostrzegłby szybko, po prostu macając tylko ściany, że nie jest w podziemnej galerii ulicy Św. Dionizego. Zamiast starych, ciosanych kamieni, zamiast dawnej architektury wyniosłej i króć lewskiej nawet w kanale, zamiast chodnika i obmurowania z granitu i zaprawy murarskiej z tłustego wapna, którego sążeń kubiczny kosztował osiemset funtów, wyczułby ręką współczesną taniznę, wybieg ekonomiczny — mielony kamień w zaprawie hydraulicznej na podkładzie z betonu, który kosztuje dwieście franków za metr, mieszcząską murarkę „z tanich materiałów”. Ale on nic o tym nie wiedział.

Szedł przed siebie, nękany obawą, ale spokojny, nic nie widząc, nic nie wiedząc, zdany na przypadek, to znaczy prowadzony przez Opatrzność. Trzeba przyznać, że stopniowo zaczął go ogarniać strach. Mrok, który go otaczał, przenikał mu do mózgu. Poruszał się w niewiadomym. Ten kloaczny akwedukt jest groźny: gmatwa się zawrotnie. Rzecz to straszna znaleźć się w Paryżu ciemności. Jan Valjean musiał odnajdywać, a nawet prawie wymyślać sobie drogę, nie widząc jej. W tym niewiadomym każdy krok, na który się odważał, mógł być krokiem ostatnim. Jak się stąd wydostanie? Czy znajdzie wyjście? Czy znajdzie je w porę? Czy ta olbrzymia gąbka podziemna, złożona z kamiennych komórek, pozwoli się przeniknąć i przebić? Czy napotka na jakiś nieprzewidziany węzeł ciemności? Czy dojdzie do tego, co nierozwiązywalne i nieprzebyte? Czy Mariusz umrze z upływu krwi, a on sam z głodu? Czy skończy się, tak, że zginą tu obaj i zmienią się w dwa kościotrupy w jakimś zakamarku tej nocy? Nie wiedział. Stawiał sobie te pytania i na żadne nie znajdował odpowiedzi.

Trzewia Paryża to przepaść. Jan Valjean znalazł się, jak prorok, w brzuchu potwora.

Wtem. niespodzianka. W najmniej oczekiwanej chwili spostrzegł, że nie idzie pod górę, chociaż nadal szedł prosto; woda spływająca ściekiem *bila go teraz* w pięty, a nie, jak poprzednio, w czubek buta. A zatem kanał szedł w dół. Dlaczego? Czyżby miał nagle dojść do Sekwany? Stanowiła to wielkie niebezpieczeństwo, ale jeszcze ryzykowniej było cofnąć się. Szedł więc dalej przed siebie.



Nie szedł bynajmniej w kierunku Sekwany. Teren Paryża tworzy na prawym brzegu wał, z którego wody spływają zarówno do Sekwany, jak i do Głównego Kanału. Wał ten, stanowiący linię rozdziału wód, biegnie bardzo kapryśną linią.

Najwyższy punkt grzbietu, owa linia podziału, przypada w kanale Sainte-Avoye pod ulicą Michel-leComte, w kanale Luwru — opodal bulwarów, a w kanale Montmartre — w pobliżu Hal. Do tego właśnie najwyższego- miejsca dotarł Jan Valjean. Szedł w kierunku kanału okrężnego, był na dobrej drodze. Ale o tym nie wiedział.

Za każdym razem, kiedy korytarz rozwidłał się, obmacywał narożniki i jeśli spostrzegł, że napotkany otwór jest węższy od korytarza, w którym się znajdował, nie skręcał, lecz szedł prosto, rozumując słusznie, że każda węższa droga może go zaprowadzić w ślepy korytarz i jedynie oddalić od celu, to znaczy od wyjścia. W ten sposób uniknął poczwórnych sideł, jakie zastawiły na niego w ciemności cztery labirynty, które wymieniliśmy.

W pewnej chwili poznał, że wyszedł spod Paryża, stężałego w powstaniu, w którym barykady zahamowały wszelki ruch i wracał pod Paryż żywy i normalny. Usłyszał nagle nad głową jakiś grzmot, odległy, lecz nieprzerwany. Był to turkot pojazdów.

Szedł tak mniej więcej pół godziny, tak to sobie przynajmniej obliczał, ale nie pomyślał jeszcze o odpoczynku; jedynie zmienił rękę, którą przytrzymał

Mariusza. Ciemność była gęstsza niż kiedykolwiek, ale to właśnie dodawało mu otuchy.

Nagle zobaczył przed sobą swój cień. Rysował się na tle ledwo dostrzegalnej czerwonej poświaty, która zabarwiała słabą purpurą chodnik pod jego nogami i sklepienie nad jego głową i pełzała po lewej i prawej stronie po oślizgłych murach korytarza. Odwrócił się zdumiony.

Za nim, w tej części korytarza, którą już przeszedł, w odległości, jak sądził, ogromnej, płonęła — przebijając swym światłem gęsty mrok — jakaś straszliwa gwiazda, która zdawała się patrzeć na niego .

Posępna gwiazda policji wschodziła w kanale.

Za tą gwiazdą poruszało się osiem czy dziesięć ciemnych postaci, wyprostowanych, niewyraźnych, groźnych.

## ROZDZIAŁ II

### WYJAŚNIENIE

6 czerwca został wydany rozkaz przeszukania kanałów. Obawiano się, aby zwyciężeni nie szukali w nich schronienia, i prefekt Gisquet miał przetrząsnąć Paryż ukryty, w tym samym czasie, kiedy generał Bugeaud wymiatał Paryż jawny; ta zbieżna, podwójna operacja wymagała podwójnej strategii od siły państwowej, reprezentowanej na ziemi przez armię — a pod ziemią przez policję. Trzy plutony policjantów i uprzątaczy kanałów przeglądały podziemny śmietnik Paryża: pierwszy — prawy brzeg, drugi — lewy brzeg, trzeci — wyspę Cite.

Policjanci byli uzbrojeni w karabiny, pałki, szable i sztylety.

Światło skierowane w tej chwili na Jana Valjean było latarnią prawobrzeżnego patrolu.

Patrol ten przeszukał już ukośną galerię i trzy ślepe korytarze pod ulicą Cadran. Kiedy obnosił swój kaganek po tych zakamarkach, Jan Valjean napotkał na swej drodze wejście do galerii, zorientował się, że jest węższe od głównego korytarza i nie wszedł w nie.

Poszedł dalej. Wychodzącym z galerii pod ulicą Cadran policjantom wydawało się, że słyszą jakieś kroki w kierunku kanału określonego. Były to rzeczywiście kroki Jana Valjean. Sierżant dowodzący patrolem podniósł w górę latarnię i jego ludzie zaczęli wpatrywać się w mgłę, skąd doszedł ich szmer.

Jan Valjean przeżył chwilę, której nie podobna opisać.

Na szczęście on widział dobrze latarnię, ale latarnia widziała go źle. Była światłem, a on cieniem. Był daleko i zlewał się z mrokiem, który go otaczał. Przyłgnął do ściany i stanął.

Zresztą nie zdawał sobie sprawy z tego, co się za nim poruszało. Bezsensowność, brak pożywienia, wzruszenia wprowadziły go również w stan graniczący z maligną. Widział jakieś światło i wokół tego światła — larwy. Co to było? Nie miał pojęcia.

Kiedy Jan Valjean zatrzymał się, hałas ucichł. Ludzie należący do patrolu nad słuchiwali i nic nie słyszeli, patrzyli i nic nie widzieli. Zaczęli się naradzać.

W owych czasach w tym właśnie punkcie kanału Montmartre znajdował się

rodzaj placyku, zwanego służbowym, który zniesiono później, gdyż po silnych ulewach potoki wody deszczowej tworzyły tu rodzaj małego, wewnętrznego jeziora. Patrol zgromadził się na tym placyku.

Jan Valjean zobaczył, że owe widma skupiły się tworząc koło. Głowy brytanów zbliżyły się do siebie -i zaczęły szeptać.

Podczas narady te psy gończe doszły do wniosku, że się pomyliły, że żadnego szmeru nie było, że dalej nie ma nikogo, nie warto zatem zapuszczać się w kanał obwodowy, bo byłoby to tylko stratą czasu, natomiast należy jak najszybciej iść w kierunku SaintMerry, bo jeżeli gdzieś może być coś do roboty i jeżeli gdzie da się wytropić jakiegoś *bousingot*, to właśnie tam, w tamtej dzielnicy.

Od czasu do czasu stronnictwa dają nowe zelówki starym wyzwiskom. W roku 1832 słowo: *bousingot* stanowiło pośrednie ogniwo między słowem „jakobin”, już przestarzałym, a słowem „demagog”, wówczas prawie nie używanym, które później zrobiło taką karierę.

Sierżant dał rozkaz, by skręcić w lewo, w dół ku Sekwanie. Gdyby policjantom przyszło do głowy rozdzielić się na dwie grupy i pójść w dwóch kierunkach, Jan Valjean zostałby schwytany. Wszystko wisi na włosku. Prawdopodobnie jednak instrukcje prefektury, przewidując możliwość starcia i spotkania z większą liczbą powstańców, zabraniały patrolom rozdzielać się. Patrol odszedł zostawiając za sobą Jana Valjeana. Jan Valjean . dostrzegł tylko, że latarnia odwróciła się nagle znikła.

Przed odejściem sierżant, chcąc uspokoić swoje policyjne sumienie, wypalił z karabinu, w stronę, którą opuszczali, w kierunku Jana Valjeana. Huk potoczył się wzdłuż krypty, budząc przeciągłe echo , niby burczenie w tym tytanicznym brzuchu. Odłamek tynku, który upadł z pluskiem w wodę ścieku o parę kroków od Jana Valjeana, dał mu do zrozumienia, że kula trafiła w sklepienie ponad jego głową.

Miarowe, powolne kroki dudniły jeszcze przez kilka chwil po chodnikach kanału, cichnąc coraz bardziej, w miarę jak się oddalały; grupa czarnych postaci zanurzyła się w mrok, migotliwe i rozkołysane światło rzucało na sklepienie czerwony krąg, który zmniejszał się , aż znikł zupełnie; powróciła głęboka cisza, powróciła całkowita ciemność; ślepotą i głuszą objęły znów ciemności w posiadanie; Jan Valjean, nie śmiać poruszyć się, długo stał jeszcze, oparty o mur, z nadstawionym uchem, z rozszerzoną źrenicą, patrząc, jak rozwiewa się ten patrol widm.

## ROZDZIAŁ III

### CZŁOWIEK TROPIONY

Trzeba oddać ówczesnej policji miejskiej tę sprawiedliwość, że nawet podczas najpoważniejszych niepokojów politycznych niewzruszenie pełniła swoje obowiązki czuwając nad porządkiem ulicznym. Zamieszki nie były w jej oczach pretekstem, aby popuszczać cugli złoczyńcom i zaniedbywać społeczeństwo dlatego, że rząd jest zagrożony. Zwykłe obowiązki służbowe wykonywano należycie obok obowiązków wyjątkowych i nic nie zakłócało ich biegu. Wśród wydarzeń politycznych, nieobliczalnych w skutkach, w obliczu zagrażającej rewolucji, agent policyjny, nie bacząc na rewolucję i barykady, „tropił” złodzieja.

Właśnie coś w tym rodzaju działo się 6 czerwca po południu na grobli prawego wybrzeża Sekwany, nieco poniżej mostu Inwalidów.

Dziś grobla ta już nie istnieje. Wygląd tych miejsc zmienił się.

Na tym wybrzeżu dwaj mężczyźni, których dzieliła pewna odległość, zdawali się obserwować wzajemnie, unikając się jednakże. Ten, co szedł przodem, starał się oddalić, ten, co szedł z tyłu, starał się przybliżyć.

Była to jak gdyby partia szachów, rozgrywana w milczeniu i z daleka. Ani jeden, ani drugi nie zdradzał pośpiechu. Szli wolno, jakby każdy z nich bał się, że jego zbyt ni pośpiech może się udzielić partnerowi.

Rzekłbyś, namiętność myśliwska w pogoni za łupem namiętność kryjąca się ze swoim zamiarem. Łup był jednak przebiegły i miał się na baczności.

Między tropioną kuną i tropiącym ją ogarem zachowane były właściwe proporcje. Ten, który starał się wymknąć, miał cherlawą postać i nędzny wygląd, ten, który starał się go pochwycić — chłop jak dąb — wyglądał groźnie i musiał być groźny przy spotkaniu.

Pierwszy, czując się słabszy, unikał drugiego; ale unikając go zdradzał niekłamana wściekłość; gdyby ktoś mógł go obserwować, zobaczyłby w jego oczach ponurą nienawiść ucieczki i całą skalę pogroźek, które strach zawiera.

Wybrzeże świeciło pustką, nie było na nim przechodniów; nie było nawet przewoźników ani tragarzy portowych na barkach przycumowanych do brzegu.

Tych dwóch ludzi można było dostrzec tylko z przeciwległego brzegu, i temu,

kto by ich oglądał z takiej odległości, człowiek idący przodem wydałby się istotą nastroszoną, obdartą, podejrzaną, niespokojną, drżącą pod łachmanem bluzy, drugi zaś — osobą klasyczną i urzędową, w surducie władzy, zapiętym na wszystkie guziki. Czytelnik poznałby może tych dwóch ludzi, gdyby ich zobaczył z bliska. Jakie były zamiary tego drugiego człowieka?

Zapewne pragnął odziać pierwszego nieco cieplej. Kiedy człowiek ubrany przez państwo ściga człowieka w łachmanach, postępuje tak po to, aby zrobić z niego także człowieka ubranego przez państwo. Cała różnica polega na kolorze. Być odzianym w błękit — to rzecz chlubna; być odzianym w czerwień — to rzecz niezbyt przyjemna. Istnieje purpura poniżenia.

Pierwszy człowiek pragnął zapewne uniknąć jakichś nieprzyjemności, jakiejś purpury tego rodzaju.

Jeżeli drugi pozwalał mu iść przodem i nie schwytał go jeszcze, to według wszelkiego prawdopodobieństwa dlatego, że spodziewał się przyłapać go na jakimś interesującym spotkaniu i liczył, że cała kompania wpadnie mu w ręce. Tego rodzaju delikatna operacja nazywa się śledzeniem.

Przypuszczenie to jest tym prawdopodobniejsze, że człowiek zapięty pod szyję, zobaczywszy z grobli przejeżdżającą bulwarem pustą dorożkę, skinął na dorożkarza; dorożkarz zrozumiał, poznał zapewne, z kim ma do czynienia, zawrócił i zaczął jechać stępą ulicą za dwoma mężczyznami. Nędzna i obdarta postać, idąca przodem, nie spostrzegła tego wcale.

Dorożka toczyła się wzdłuż rzędu drzew na Polach Elizejskich. Sponad balustrady widać było głowę i ramiona dorożkarza oraz bat, który trzymał w ręku.

Jedna z tajnych instrukcji policji na użytek agentów zawiera następujący artykuł: „Mieć zawsze pod ręką pojazd miejski, na wszelki wypadek.”

Tak manewrując, każdy po swojemu, z nienaganną strategią, obaj mężczyźni zbliżyli się do zjazdu prowadzącego z bulwaru na brzeg, którym dorożkarze jadący od Passy zjeżdżali do rzeki, aby napoić konie. *Zjazd* ten został później usunięty ze względu na symetrię; konie zdychają z pragnienia, ale za to oko jest zadowolone. Człowiek w bluzie zamierzał prawdopodobnie pójść tym zjazdem, żeby spróbować zniknąć na Polach Elizejskich, które wprawdzie są obsadzone drzewami, lecz za to gęsto obstawione agentami policji, tak że ścigający znalazłby tam łatwo posiłki.

Ten punkt bulwaru leży niedaleko domu przeniesionego z Moret do Paryża przez pułkownika Bracka w 1824 roku i zwanego domem Franciszka I.

Posterunek policji znajdował się o parę kroków stąd.

Ku wielkiemu zdziwieniu obserwatora, człowiek tropiony nie skręcił wcale na zjazd do wodopoju. Szedł nadal brzegiem rzeki wzdłuż ulicy. Sytuacja jego stawała się krytyczna.

Jeżeli nie zamierzał rzucić się do Sekwany, cóż innego mógł zrobić?

Teraz nie mógł już dostać się na bulwar; nie było tu ani zjazdu, ani schodów, a poza tym niedaleko tego miejsca, tam właśnie, gdzie Sekwana zakręca w kierunku mostu Jeny, zwężająca się coraz bardziej grobla staje się wąskim językiem i ginie pod wodą. Tam więc nieuchronnie znajdzie się w, potrzasku: z prawej strony — prostopadły mur, z lewej i z przodu — rzeka, z tyłu — władza deptająca mu po piętach.

Co prawda ten kraniec wybrzeża zasłaniało usypisko gruzu, liczące sześć lub siedem stóp wysokości i pochodzące z jakiejś rozbiórki. Czyżby człowiek uciekający mógł mieć nadzieję, że się ukryje bezpiecznie za rumowiskiem, które wystarczyło obejść? Byłby to dziecinny pomysł. Z pewnością na to nie liczył. Naiwność złodziei nie jest aż tak wielka.

Stos gruzu tworzył na brzegu rzeki rodzaj pagórka wydłużonego w cypel i sięgającego aż do muru, nad którym biegł bulwar.

Ścigany człowiek doszedł do tego wzniesienia i okrążył je, tak że znikł z oczu ścigającego .

Ten zaś, nie widząc go, sam również nie był przez niego widziany; skorzystał z tego, by zaniechać ostrożności, i ruszył bardzo szybkim krokiem. Po paru chwilach znalazł się przy stosie gruzu, obszedł go i stanął zdumiony. Człowieka, na którego polował, nie było. Rozpłynął się w powietrzu.

Za rumowiskiem skarpa ciągnęła się tylko przez jakie trzydzieści kroków, a później ginęła pod wodą, która uderzała o mur wybrzeża. Zbieg nie mógł się rzucić do Sekwany ani wdrapać na mur, nie będąc widzianym przez tego, kto go śledził. Cóż się więc z nim stało?

Mężczyzna w surducie zapiętym pod brodę doszedł do końca grobli i stał przez chwilę zamyślony, z zaciśniętymi pięściami, bystro rozglądając się wokół. Nagle uderzył się w czoło. Tam, gdzie ziemia graniczyła z wodą, spostrzegł żelazną kratę, szeroką i niską, sklepioną, opatrzoną w potężny zamek i trzy masywne zawiasy. Ta kratka, rodzaj drzwi wybitych w murze nadbrzeża, wychodziła równocześnie na rzekę i na groblę. Wypływał spod niej brunatny strumyk. Strumyk ten wpadał do Sekwany.

Przez grube, zardzewiałe pręty widać było rodzaj sklepionego, ciemnego korytarza. Mężczyzna skrzyżował ramiona i spojrzał na kratę z wyrzutem.

Ponieważ spojrzenie nie wystarczało, spróbował popchnąć ją; potrząsnął mocno, ale krata nie drgnęła. Prawdopodobnie została przed chwilą otwarta, choć nie słyhać było żadnego skrzypnięcia, rzecz dziwna przy kracie tak zardzewiałej; nie ulegało natomiast wątpliwości, że została zamknięta z powrotem. Z tego wniosek, że osobnik, przed którym te drzwi się otworzyły, miał nie wytrych, ale klucz.

Tę oczywistość zrozumiał od razu człowiek usiłujący poruszyć kratę i z ust jego padły pełne oburzenia i patosu słowa;

— Ładna historia! Rządowym kluczem!

Po czym uspokajając się natychmiast, zamknął cały świat myśli w kilku wykrzyknikach wymówionych prawie ironicznym tonem:

— No! No! No! No!

Powiedziawszy to i spodziewając się nie wiadomo czego — czy że tamten człowiek stamtąd wyjdzie, czy że inni tam wejdą — stanął na czatach, ukryty za rumowiskiem, z cierpliwą zaciekłością psa wystawiającego zwierzynę.

Dorożka, która stosowała się do jego kroków, stanęła teraz nad nim, na skraju bulwaru. Woźnica, przewidując dłuższy postój, założył koniom na pyski worki z obrokiem, wilgotne od spodu, tak dobrze znane paryżanom, którym — nawiasem mówiąc — bywają też czasem zakładane przez rząd. Nieliczni przechodnie mijający most Jeny przystawali, odwracali głowy, aby popatrzeć przez chwilę na te dwa nieruchome szczegóły krajobrazu: człowieka na grobli i dorożkę na nadbrzeżnej ulicy.

## ROZDZIAŁ IV

### ON RÓWNIEŻ NIESIE SWÓJ KRZYŻ

Jan Valjean ruszył dalej i szedł już nie zatrzymując się. Posuwanie się naprzód stawało się coraz uciążliwsze. Poziom sklepień jest różny; średnia wysokość wynosi mniej więcej pięć stóp i sześć cali i została obliczona na wzrost człowieka; Jan Valjean musiał iść zgięty, aby nie obijać Mariusza o sklepienie. Co chwila trzeba się było schylać, prostować, trzeba było bezustannie macać wzdłuż muru. Wilgotne ściany i śliski chodnik nie dawały oparcia ani dla ręki, ani dla stopy. Chwiejnie brnął w tej ohydnej gnojówce miasta. Światło padające przez otwory ukazywało się z rzadka i było tak blade, że jasne słońce wydawało się poświatą księżyca; poza tym: mgła, wzywy, nieprzenikniona ciemność. Jan Valjean odczuwał głód i pragnienie szczególnie pragnienie, te miejsca bowiem — podobnie jak morze — pełne są wody, której nie można pić. Jego niezwykła, jak wiemy, siła — tylko nieznacznie osłabiona przez wiek dzięki czystemu i wstrzemięźliwemu życiu — zaczynała jednak wyczerpywać się. Czuł się zmęczony, a wraz z ubytkiem sił brzemie jego ciążyło mu coraz bardziej. Mariusz, może nieżywy, ciążył, jak ciężką bezwładną ciążą. Jan Valjean niósł go w ten sposób, aby mu nie ścisnąć piersi, żeby ranny mógł jak najswobodniej oddychać. Czuł, jak szczury przemykają mu się między nogami. Jeden z nich był tak wystraszony, że go ugryzł. Od czasu do czasu przez otwory ściekowe dochodziło doń tchnienie świeżego powietrza i orzeźwiało go nieco. Było chyba koło trzeciej po południu, kiedy doszedł do kanału obwodowego.

Zdziwiło go przede wszystkim nagłe rozszerzenie się korytarza. Niespodziewanie znalazł się w galerii, której ścian nie mógł dosięgnąć wyciągniętymi w bok rękami, i pod sklepieniem, którego nie dotykał głową. Istotnie, Kanał Główny ma osiem stóp szerokości i siedem stóp wysokości.

W punkcie, w którym kanał Montmartre łączy się z Kanałem Głównym, krzyżują się również dwie inne podziemne galerie, galeria pod ulicą Prowansji i galeria pod rzeźnią. Człowiek mniej roztropny zawahałby się, mając do wyboru jedną z tych czterech dróg. Jan Valjean wybrał najszerszą, to jest kanał obwodowy. Ale tu znowu powstawało pytanie: iść pod górę czy w dół? Pomyślał, że sytuacja nagli i że za wszelką cenę musi jak najprędzej dojść do Sekwany. Innymi słowy, iść ze spadkiem. Skręcił w lewo. Dobrze na tym wyszedł. Błędem byłoby mniemać, iż kanał obwodowy ma dwa wyjścia, jedno koło Bercy, a drugie koło Passy, i że — zgodnie ze swoją nazwą — okrąża pod ziemią prawobrzeżny Paryż. Trzeba pamiętać, że Kanał Główny jest po prostu dawnym strumieniem Menilmontant, kanał ten — jeśli iść nim pod górę — kończy się ślepym zaułkiem u stóp wzgórza Menilmontant, w miejscu gdzie niegdyś strumień ten miał



swoje źródło. Nie ma on bezpośredniego połączenia z odnogą, która zbiera wody Paryża począwszy od dzielnicy Po-pincourt i uchodzi do Sekwany kanałem Amelot powyżej dawnej wyspy Louviers. Odnogę tę, uzupełniającą kanał zbiorczy, dzieli od niego wał znajdujący się właśnie pod ulicą Menilmontant i stanowiący dział wodny. Gdyby Jan Valjean poszedł pod górę, po tysiącnych wysiłkach, wyzuty z sił, konający w ciemnościach dotarłby do ślepej ściany. Byłby zgubiony. Wprawdzie nawet stamtąd, gdyby cofnął się nieco i skręcił w korytarz pod ulicą Panien Kalwaryjskich, mógłby dotrzeć kanałem Amelot do wyjścia nad Sekwaną w pobliżu Arsenалу, pod warunkiem, że nie zawaha się przed rozwidleniem na podziemnym placyku Boucherat, wejdzie w korytarz Św. Ludwika, skręci potem na lewo, w krótką odnogę galerii Saint-Gilles, potem skręci na, prawo, omijając galerię Św. Sebastiana i nie zabłądzi w labiryncie w kształcie litery F, znajdującym się pod Bastylią. Ale na to trzeba było znać dokładnie wszystkie rozgałęzienia i przejścia olbrzymiego polipa kanałów. A — powiedzmy raz jeszcze — Jan Valjean nic nie wiedział o tej przerażającej drodze, którą szedł; gdyby go się ktoś spytał, gdzie się znajduje, odpowiedziałby: „W głębiach nocy.”

Instynkt pokierował nim szczęśliwie. Pójście ze spadkiem było rzeczywiście jedyną możliwością ocalenia.

Minął biegnące na prawo dwa korytarze, które pod ulicą Laffitte i ulicą Św. Jerzego rozgałęziają się na kształt szponów, i długi, rozwidlający się korytarz, biegnący pod Chaussee d'Antin.

Tuż za odnogą, która była zapewne kanałem Św. Magdaleny, zatrzymał się. Był bardzo zmęczony. Przez spore okienko, wychodzące prawdopodobnie na ulicę Andegaweńską, padało sporo światła. Z delikatnością, jaką miałby brat dla rannego brata, Jan Valjean złożył Mariusza na występie muru. Zakrwawiona twarz zamajaczyła w bladym świetle okienka, jak z głębi grobu. Mariusz miał zamknięte oczy, włosy przylepione do skroni, jak pędzle zaschnięte w czerwonej farbie, ręce bezwładnie zwieszane, zimne, członki, krew zakrzepła w kącikach warg. Grudka krwi zebrała się na węźle krawata; koszula przywarła do ran, sukno ubrania ocierało się o głębokie do samej kości rozcięcia. Odsunawszy końcami palców odzież Mariusza, Jan Valjean położył mu rękę na piersi; serce jeszcze biło. Jan Valjean podał swoją koszulę, przewiązał, jak mógł, rany i zatamował krew; a potem, nachyliwszy się w tym półcieniu nad Mariuszem, wciąż leżącym bez zmysłów i prawie bez oddechu — popatrzył na niego z nie dającą się wyrazić nienawiścią.

Poprawiając odzież Mariusza, *znalazł* w kieszeni dwie rzeczy: zapomniany poprzedniego dnia kawałek chleba i pugilares. Zjadł chleb i otworzył pugilares. Znalazł tam kartkę z czterema linijkami napisanymi ręką Mariusza. Pamiętamy je:

Nazywam się Mariusz Pontmercy. Proszę zanieść moje, ciało do mojego dziadka, pana Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich numer 6, dzielnica Bagno .

Jan Valjean odczytał przy świetle okienka te trzy linijki i stał przez chwilę jakby zatopiony w samym sobie, powtarzając półgłosem: „Ulica Panien Kalwaryjskich, numer sześć, pan Gillenormand.” Włożył z powrotem pugilares do kieszeni Mariusza. Po zjedzeniu chleba odzyskał siły; wziął znowu Mariusza na plecy, troskliwie ułożył mu głowę na swoim prawym ramieniu i poszedł dalej w dół kanału.

Kanał Główny, idący łożyskiem doliny Menilmontant, ciągnie się prawie dwie mile. Na znacznej części swej długości jest wybrukowany. Jan Valjean nie miał tej pochodni nazw paryskich ulic, którą oświetlamy czytelnikowi jego podziemną wędrówkę. Nic mu nie wskazywało, pod jaką dzielnicą miasta przechodzi ani jaką odbył już drogę. Tylko coraz bledsze kałuże światła, napotykanne od czasu do czasu, mówiły mu, że słońce znika z ulicy i że dzień niebawem zgaśnie; z turkotu powozów, który rozlegał się nad jego głową najpierw nieustannie, potem z przerwami, aż wreszcie ustał prawie zupełnie, wnioskowało, że wyszedł już z centrum Paryża i zbliża się do jakiejś bezludnej dzielnicy, może do bulwarów zewnętrznych albo odległych ulic pobrzeża. Gdzie jest mniej domów i mniej ulic, tam mniej jest okienek kanałowych. Ciemność gęstniała dokoła Jana Valjean coraz bardziej. Posuwał się w niej ciągle po omacku. Nagle ta ciemność stała się straszna.

## ROZDZIAŁ V

### PIASEK, JAK KOBIEȚA, BYWA CZASEM ZDRADZIECKI W SWEJ DELIKATNOŚCI

Jan Valjean poczuł, że wchodzi w wodę: pod stopami nie miał już bruku, lecz muł. Na niektórych wybrzeżach morskich Bretanii czy w Szkocji zdarza się niekiedy, że jakiś człowiek, podróżny czy rybak, wędrując po piasku podczas odpływu, daleko od brzegu, spostrzega nagle, że od kilku chwil idzie z pewnym trudem. Grunt pod jego nogami jest jakby ze smoły, podszwa Ignie do niego; to nie piasek, to lep. Piach nadbrzeżny jest zupełnie suchy, ale za każdym krokiem, jak tylko stopa się podnosi, odcisk jej wypełnia się wodą. Oko nie dostrzega zresztą żadnej zmiany; ogromna plaża jest równa i spokojna, piasek wygląda wszędzie tak samo, nic nie odróżnia twardego gruntu od gruntu, który już nie jest twardy; wesoła chmara morskich pchełek skacze wokół nóg wędrowca. Człowiek idzie dalej, idzie przed siebie, skręca w kierunku lądu, chce się oddalić od morza. Nie niepokoi się. Czymże miałby się niepokoić? Czuje tylko, że za każdym krokiem nogi stają się jak gdyby coraz cięższe. Nagle zapada się. Zapada się na dwa czy trzy cale. Bez wątpienia zmylił drogę; przystaje, aby się zorientować. Nagle spogląda na swoje nogi. Nogi zniknęły. Przykrywa je piasek. Wyciąga nogi z piasku, chce się cofnąć, zawraca; zapada się głębiej. Piasek sięga mu do kostek, wyrywa się z niego, rzuca się w lewo, piasek sięga mu do pół łydek, rzuca się w prawo, piasek sięga mu pod kolana. Wówczas z nieopisaną zgrozą, pojmuje, że wszedł w ruchome piaski, że ma pod stopą przerażający żywioł, w którym człowiek nie może tu chodzić, a ryba nie może pływać. Jeśli niesie jakiś ciężar, odrzuca go, pozbywa się balastu jak okręt w niebezpieczeństwie; za późno: piach sięga mu już powyżej kolan.

Woła, daje znaki kapeluszem czy chustką; piasek wciąga go coraz głębiej; jeżeli brzeg jest pusty, ziemia daleko, jeżeli ławica piasku ma złą sławę, jeżeli w pobliżu nie znajdzie się jakiś bohater — to koniec; skazany jest na to, że piasek go wessie. Skazany jest na przerażające pogrzebanie żywcem, powolne, nieubłagane, pewne, którego nic nie zdoła przyśpieszyć ani opóźnić, które trwa godziny, trwa bez końca, zaskakuje cię znienacka, wolnego, w pełni sił, chwytą za nogi, przy każdej próbie wysiłku, przy każdym krzyku wciąga coraz głębiej, jak gdyby wzmacnianiem uścisku karało za opór, które powoli wtłacza człowieka w ziemię, pozwalając mu patrzeć do woli na drzewa, na zielone pola, na dymy wiosek, na równiny, na żagle okrętów, na morze, na latające i śpiewające ptaki, na słońce, na niebo. Śmierć w ruchomych piaskach to grobowiec pod postacią przyptływu, który wzbiera z głębin ziemi i pochłania żywą istotę. Każda minuta jest bezlitosnym grabarzem. Nieszczęśnik próbuje usiąść, położyć się, czołgać, każdy ruch, który czyni, grzebie go coraz głębiej; zrywa się na nogi i grzęźnie, czuje, że go coś wciąga, pochłania. Wyje, błaga,

wzywa chmury, łamie ręce, rozpacza. I oto już po pas zapadł się w piasek; piasek sięga mu do piersi; jest już tylko popiersiem. Wznosi w górę ręce, wydaje przeraźliwe jęki, zatapia w piasku paznokcie, chce się uchwycić tego pyłu, opiera się na łokciach, aby wydobyć się z miękkiego spowicia, łka rozdzierająco; piasek podchodzi coraz wyżej. Piasek sięga ramion, piasek sięga szyi; teraz widać tylko samą twarz, usta krzyczą; piasek je wypełnia; milczenie. Jeszcze oczy patrzą; piasek je zamyka; noc. Potem niknie czoło, pasmo włosów powiewa nad piaskiem; wydobywa się ręka, przebija powierzchnię piachu, porusza się, daje znaki i znika. Straszliwa zatrata człowieka.

Czasem jeździec grzęźnie tak wraz z koniem, czasem woźnica *grzęźnie* tak wraz z wozem. Piach wszystko pochłania. To jest też zatonięcie, chociaż nie w wodzie. To ziemia topi człowieka. Ziemia, przeniknięta oceanem, staje się zasadzką. Ściele się pod nogi jak równina i rozwiera jak topiel. Otchłań miewa takie zdrady.

Ta posępna przygoda, możliwa na tym czy owym morskim wybrzeżu, była również możliwa trzydzieści lat temu w kanałach paryskich. Przed rozpoczęciem poważnych prac w 1833 roku w podziemnym śmietniku Paryża zdarzały się nagłe zapadnięcia. Woda przesiąkała do niektórych spodnich, specjalnie sypkich terenów; chodnik korytarza — czy był brukowany, jak w dawnych kanałach, czy z hydraulicznego wapna na betonie, jak w nowych galeriach — załamywał się pozbawiony nagle oparcia. Rysa na tego rodzaju podłodze to szczelina; szczelina zaś — to zawalenie. Chodnik zapadał się na pewnej długości. Ta szczelina, otwarta czeluść błotna, nazywała się w języku fachowców — zapadliną. Cóż to takiego zapadlina? To ruchome piaski brzegu morskiego napotkane niespodzianie pod ziemią. To piaski nadbrzeżne góry Saint-Michel w kanale. Rozmiękły grunt jest jak gdyby zawieszoną; wszystkie jego cząstki unoszą się w pół płynnym żywiole; nie jest to ziemia i nie jest to woda. Głębokość zapadlin bywa niekiedy bardzo wielka. Cóż może być straszniejszego nad napotkanie takiego miejsca? Jeśli przeważa woda, śmierć jest szybka, przez zatopienie, jeśli przeważa ziemia, śmierć jest powolna, przez ugrzęźnięcie w piasku.

Czy wyobrażacie sobie taką śmierć? Jeśli pochłonięcie przez piasek jest przerażające na brzegu morza, czymże jest w kloace? Zamiast czystego powietrza, jasnego dnia, promiennego horyzontu, różnych, szmerów, swobodnych obłoków, z których pada deszcz życia, zamiast łodzi widocznych w oddali, zamiast tej nadziei pod wszelką postacią, ewentualnych przechodniów, możliwości ratunku do ostatniej chwili, zamiast tego wszystkiego — głusza, ślepotą, czarne sklepienie, wewnątrz grobu przygotowane zawczasu, śmierć w błocie i pod pokrywą, powolne dławienie się nieczystościami, pudło kamienne, gdzie śmierć przez zaccadzenie wyciąga w kałuży plugastwa swoje szpony i chwyta za gardło; smród zmieszany z rżeniem, muł zamiast piasku,

siarkowodór zamiast huraganu, kał zamiast oceanu! Na cóż zda się wołać i zgrzytać zębami, wić się, szarpać i konać mając nad głową to miasto ogromne, które o niczym nie wie! Potworność takiej śmierci nie da się wyrazić! Śmierć okupuje czasem swoje okrucieństwo pewnym groźnym dostojeństwem. Na stosie czy na tonącym okręcie można nie stracić wielkości; w płomieniach czy w bryzgach piany można zachować wspaniałą postawę. Tam w zatraceniu jest przeistoczenie. Ale nie tutaj. Tutaj śmierć jest nieczysta. Wyzionąć ducha tutaj — to poniżenie. Ostatnie przesuwanie się przed oczyma wizje są plugawe. Błoto to synonim hańby. Jest niskie, szpetne, nikczemne. Umrzeć, jak Clarence, w beczce małmazji, zgoda! Ale w dole kloacznym jak d'Escoubleau — to straszne! Szamotać się tam — to ohyda! Człowiek kona, a równocześnie babrze się. Tyle tam ciemności, że to jest piekło, i tyle nieczystości, że to tylko śmietnik; konający nie wie, czy przemieni się w widmo, czy w ropuchę.

Wszelki grób jest przerażający, ten jest ohydny.

Głębokość zapadlin, ich długość i gęstość była rozmaita, w zależności od gorszego, lub lepszego podglebia. Czasem zapadlina miała trzy lub cztery stopy głębokości, czasem osiem lub dziesięć, czasami wcale nie miała dna. Tu muł gęsty, ówdzie prawie płynny. Zapadlina Luniere wciągałaby człowieka przez cały dzień, natomiast błotne grzędawisko Phelippeaux pożarłoby go w pięć minut. Muł zależnie od swej gęstości jest mniej lub bardziej nośny. Tam, gdzie dorosły człowiek zginie, dziecko się uratuje. Pierwszy warunek ocalenia to pozbyć się wszelkich ciężarów. Odrzucić torbę z narzędziami, kosz czy cebrzyk — to pierwsza czynność każdego uprzątacza kanałów, który czuje, że grunt mu się zapada pod nogami.

Przyczyny powstawania zapadlin były różne: sypkość podłoża, jakieś obsunięcie się na głębokości niedostępnej dla człowieka, gwałtowne ulewy letnie, nieustanne śloty zimowe, uporczywe, drobne deszcze.

Czasami ciężar okolicznych domów, napierając na teren iłowaty lub piaszczysty, rozsadzał sklepienia podziemnych galerii i przesuwał je; zdarzało się też, że pod tym miażdżącym naporem chodnik załamywał się i pękał. W ten sposób proces osiadania Panteonu rozsadził część lochów pod Wzgórzem Św. Genowefy. Kiedy ściek zapadał się pod ciężarem domów, w niektórych wypadkach uwidaczniało się to na powierzchni ulicy przez zygzakowate rozstępy, powstające w bruku; szczelina biegła krętą linią na całej długości zarysowanego sklepienia, zło było widoczne i szybko można mu było zaradzić. Zdarzało się jednak, że uszkodzenie wewnętrzne nie ujawniało się na zewnątrz żadną rysą. W takim wypadku biada uprzątacjom ścieków. Wchodząc nieostrożnie do uszkodzonego kanału, mogli w nim zginąć. Dawne spisy wspominają o kilku studniarzach pogrzebanych w ten sposób w zapadlinie. Wymieniają wiele nazwisk; między innymi nazwisko uprzątacza kanałów,

niejakiego Błażeja Poutrain, który znalazł śmierć w podmytym lochu pod ulicą Careme-Prenant; ów Błażej Poutrain był bratem Mikołaja Poutrain, ostatniego grabarza na cmentarzu, zwanym kostnicą Młodzianków, w roku 1785, to jest w czasie, kiedy cmentarz został zniesiony.

Był również młody i uroczy wicehrabia d'Escoubleau, o którym wspomnieliśmy przed chwilą, jeden z bohaterów oblężenia Leridy, do której armia przypuszczała szturm, ubraną w jedwabne pończochy i z kapelą skrzypków na czele. D'Escoubleau zaskoczony w nocy u swojej kuzynki, księżnej de Sourdis, utonął w trzęsawisku kanału Beautreillis, do którego schronił się uciekając przed księciem. Kiedy pani de Sourdis opowiadano o tej śmierci, zażądała swojego flakonika i tak gwałtownie wachała sole trzeźwiące, że zapomniała o łzach. Takiej próby nie wytrzyma żadna miłość; kloaka ją zgasi. Hero nie chce obmyć zwłok Leandra ; Tysbe zatyka nos na widok Pynama i mówi:"Pfe!"

# ROZDZIAŁ VI

## TOPIEL

Jan Valjean trafił na grząską topiel.

Takie osiadanie ziemi *zdarzało* się wówczas często pod Polami Elizejskimi, gdzie nie nadający się do robót hydraulicznych grunt źle utrzymywał podziemne budowle ze względu na swoją nadmierną sypkość. Grunt ten jest bardziej nawet sypki od miążkich piasków w dzielnicy Św. Jerzego, które zdołano opanować dopiero przez zastosowanie betonowej podwaliny, i od przepojonych gazem gliniastych złóż dzielnicy Męczenników, tak 'ciekłych, że przekop pod galerią Męczenników musiano robić przy pomocy żeliwnej rury. Kiedy w 1836 roku pod przedmieściem Św. Honoriusza burzono, aby go na nowo odbudować, stary, kamienny kanał, w którym widzimy teraz Jana Valjean, ruchome piaski, stanowiące podglebie Pól Elizejskich aż po Sekwanę, tak utrudniały pracę, że trwała ona blisko sześć miesięcy, ku wielkiemu niezadowoleniu mieszkańców wybrzeży Sekwany, zwłaszcza tych, co posiadali pałace i karety. Prace były nie tylko uciążliwe; były niebezpieczne. Co prawda było wówczas cztery i pół miesiąca słyty i trzy wylewy Sekwany.

Topiel, napotkana, przez Jana Valjean, powstała z ulewy, która spadła poprzedniego dnia. Bruk, nie mający dość mocnego oparcia w pokładach piasku, zapadł się i stworzył rodzaj wgłębienia, które wypełniała woda deszczowa. Przeciekająca woda podmyła chodnik. Chodnik rozpadł się i zapadł w muł. Na jakiej długości? Trudno powiedzieć. Ciemność panowała tu gęstsza niż gdzie indziej. Była to czeluść błota w pieczarze nocy.

Jan Valjean poczuł, że kamienie usuwają mu się spod nóg. Wszedł w to błoto. Na wierzchu była woda — na dnie muł. Ale musiał go przejść. Nie mógł zawrócić. Mariusz był konający, a Jan Valjean wyczerpany. Dokąd zresztą miał iść? Ruszył naprzód, grzęzawisko wydawało się na razie niezbyt głębokie. W miarę jednak jak się zapuszczał dalej, nogi zapadały mu coraz głębiej. Niebawem muł sięgał mu do kostek, a woda powyżej kolan. Szedł unosząc oburącz Mariusza, jak mógł najwyżej nad wodą. Muł sięgał mu teraz: pod kolana, woda do pasa. Cofnąć się już nie mógł. Zanurzał się coraz głębiej. Ten muł, dość gęsty, aby utrzymać ciężar jednego człowieka, widocznie nie wytrzymał ciężaru dwóch ludzi. Mariusz i Jan Valjean wydostaliby się zapewne, każdy z osobna. Jan Valjean szedł dalej, niosąc tego umierającego, który był już może trupem.

Woda sięgała mu pod pachy, czuł, że grzęźnie; ledwo mógł poruszać nogami w

gęstym błocie. Gęstość błota, która go podtrzymywała, była zarazem przeszkodą. Unosząc w górę Mariusza, ostatkiem sił szedł ciągle naprzód; ale zanurzał się coraz głębiej. Teraz ponad wodą wystawała tylko jego głowa i oba ramiona podtrzymujące Mariusza. Na starych malowidłach przedstawiających potop matka niesie tak swoje dziecko.

Zapał jeszcze głębiej, odchylił twarz do tyłu, aby móc oddychać, nie wciągając wody. Kto by go ujrzał w tych ciemnościach, pomyślałby, że to maska pływająca na powierzchni mroku; jak przez mgłę dostrzegał nad sobą bezwładnie zwieszoną głowę i bladą twarz Mariusza. Zdobył się na rozpaczliwy wysięk i wysunął naprzód nogę; uderzył o coś twardego. Jakiś punkt oparcia. Czas był już najwyższy.

Wyprostował się, napiął mięśnie i z rozpaczliwą mocą wczepił się w ten punkt oparcia. Zdawało mu się, że wstąpił na pierwszy stopień schodów wiodących do życia.

Ten punkt oparcia napotkany w ostatniej chwili był początkiem drugiego końca chodnika, który nie złamał się, ale zapał, ugiął jak deska i leżał pod wodą w całości. Dobrze zbudowane bruki wyginają się w ten sposób i są tak wytrzymałe. Ten odcinek zatopionego częściowo chodnika tworzył naprawdę solidny pomost, wystarczyło stanąć na nim, aby ująć niebezpieczeństwo. Jan Valjean wszedł po tej pochyłości i dotarł na drugi brzeg trzęsawiska.

Wychodząc z wody, potknął się o kamień i upadł na kolana. Pomyślał, że właśnie tak być powinno, i przez kilka chwil pozostał na klęczkach z duszą zatopioną, w jakiejś milczącej rozmowie z Bogiem.

Wstał trzęsąc się z zimna, skostniały, cuchnący, zgarbiony pod na wpół martwym brzemieniem, które dźwigał; ociekał błotem, ale duszę miał pełną przedziwnej jasności.



## ROZDZIAŁ VII

### CZASEM CZŁOWIEK OSIADA NA MIELIŻNIE, MYŚLĄC, ŻE DOBIJA DO PORTU

Jeszcze raz ruszył w drogę.

Ale jeśli nie zostawił życia w topieli, to zostawił w niej siły. Nadludzki wysiłek wyczerpał go. Był teraz tak zmęczony, że co parę kroków musiał przystawać, żeby zaczerpnąć tchu i oprzeć się o ścianę. A kiedy usiadł na przymurku, aby zmienić pozycję Mariusza, zdawało mu się, że już nie ruszy się z miejsca. Jeśli jednak obumarła jego siła, nie obumarła energia. Wstał,

Szedł z rozpaczą dość szybko i zrobił tak ze sto kroków, nie podnosząc głowy, prawie nie oddychając, kiedy nagle uderzył o mur. Doszedł do zakrętu kanału i — mając głowę schyloną — natknął się na ścianę. Podniósł oczy i na końcu podziemia, gdzieś daleko przed sobą spostrzegł światło. Tym razem nie było to światło straszne, ale dobre i jasne. Światło dnia.

Jan Valjean widział wyjście.

Dusza potępiona, która wśród ogni piekielnych, ujrzałaby nagle wyjście z gehenny, uczułaby to samo co on. Na opalonych skrzydłach poleciałaby nieprzytomnie ku promiennym wrotom. Jan Valjean nie czuł już znużenia, nie czuł ciężaru Mariusza, odzyskał stalowe mięśnie w nogach i raczej biegł niż szedł. W miarę jak się zbliżał, wyjście rysowało się coraz wyraźniej. Był to łuk niższy od sklepienia, które obniżało się stopniowo, i węższy od galerii, która zwężała się w miarę, jak sklepienie się opuszczało. Tunel kończył się jak wewnątrz leja; to niewłaściwe zwężenie, któremu posłużyła za wzór furtka więzienna, logiczne dla więzienia, a nielogiczne dla kanału, zostało później zniesione.

Jan Valjean doszedł do wyjścia. Doszedłszy, przystanął.

Istotnie stał przed wyjściem, ale wyjść nie mógł.

Łuk zamknięty był solidną kratą, a krata, według wszelkiego prawdopodobieństwa rzadko obracająca się na zardzewiałych zawiasach, była przymocowana do swej kamiennej futryny potężnym zamkiem, pokrytym czerwoną rdzą, który wyglądał jak ogromna cegła. Widać było dziurkę od klucza i mocny rygiel zagłębiony w skoblu. Widocznie zamek zamknięty był na dwa spusty. Był to jeden z owych więziennych zamków, stosowanych często w

dawnym Paryżu.

Tam, za kratą — świeże powietrze, rzeka, jasny dzień, grobla wąska, którą jednak można było odejść, dalej bulwary, Paryż, ta otchłań, w której tak łatwo się ukryć, rozległy widnokrąg, wolność. Na prawo, w dół rzeki, widać było most Jeny, na lewo, w górę rzeki, most Inwalidów; w miejscu tym można byłoby przeczekać do nocy i umknąć. Skarpa naprzeciw GrosCaillou była jednym z najmniej uczęszczanych punktów Paryża. Między prętami kraty wlatywały i wylatywały muchy.

Było już pewnie koło pół do dziewiątej. Zapadał zmrok.

Jan Valjean położył Mariusza pod murem na suchym skrawku chodnika, zbliżył się do kraty i pochwycił pręty w obie ręce; wstrząs był potężny, skutek żaden; krata ani drgnęła. Chwytał każdy pręt po kolei, spodziewając się, że uda mu się wyłamać najłabszy i zrobić z niego lewar, którym podważy drzwi lub wyłamaie zamek. Żaden pręt nie poruszył się. Zęby tygrysa nie są mocniej osadzone. Bez lewara nie mógł wyważyć kraty. Przeszkoda była nie do przewyciężenia. Nie miał sposobu otwarcia kraty.

Miał więc skonać tutaj? Co robić? Co począć? Zawrócić? Zacząć od nowa straszną wędrówkę podziemną? Brakło mu sił. A zresztą, jak przejść po raz drugi przez to trzęsawisko, z którego wydobył się cudem? A za trzęsawiskiem, czyż nie grozi patrol policji, któremu pewno nie umknąłby powtórnie? I dokąd iść? Jaki obrać kierunek? Zejście w dół po pochyłości nie prowadziło do celu. Choćby doszedł do innego wyjścia, zapewne znalazłby je również zabite na głucho lub zamknięte kratą. Wszystkie wyjścia zostały niewątpliwie zabezpieczone w ten sposób. Tylko przypadek oderwał 'kratę, przez którą wszedł, ale inne wyloty kanałów były zamknięte. Udało mu się uciec, ale uciekł do więzienia.

Wszystko przepadło! Cały wysiłek Jana Valjean okazał się daremny. Bóg odmawiał pomocy.

Obydwaj zostali schwytani w olbrzymią, ponurą pajęczą sieć śmierci. Jan Valjean czuł, jak po jej niciach, drgających w mroku, sunie straszliwy pająk.

Odwrócił się plecami do kraty i usiadł, a raczej padł na bruk koło leżącego nieruchomo Mariusza; głowa opadła mu na kolana. Nie ma wyjścia. To już była ostatnia kropla udręczenia.

O kim myślał Jan Valjean w tym ostatecznym przygnębieniu? Nie o sobie i nie o Mariuszu. Myślał o Kozecie.

## ROZDZIAŁ VIII

### ODDARTA POŁA SURDUTA

Kiedy tak trwał zupełnie unieczniony, jakaś ręka dotknęła jego ramienia i odezwał się cichy głos:

— Dzielimy się pół na pół.

Człowiek wśród tych mroków? Nic bardziej nie przypomina snu niż rozpacz. Janowi Valjean wydało się, że śni. Nie słyszał niczych kroków. Czyż to było możliwe? Podniósł oczy.

Ktoś stał przed nim.

Człowiek ten miał na sobie bluzę i był boso; trzewiki trzymał w lewej ręce. Najwidoczniej zdjął je, aby podejść niepostrzeżenie.

Jan Valjean zorientował się w mgnieniu oka. Spotkanie było niespodziewane, ale człowieka tego poznał od razu. Był to Thenardier.

Jakkolwiek — że tak powiemy — zniecka wyrwany ze snu, Jan Valjean, nawykły do nagłych alarmów i zahartowany wobec niespodziewanych ciosów, które trzeba w lot parować, natychmiast odzyskał całą przytomność umysłu. Zresztą nic już nie mogło pogorszyć jego położenia; rozpaczliwość pewnych sytuacji nie może iść *crescendo* i nawet Thenardier nie zdołał pogłębić czarności tej nocy.

Nastąpiła chwila wyczekiwania.

Thenardier podniósł prawą rękę do czoła, robiąc z niej daszek, zmarszczył brwi, zmrużył oczy i z lekka zacisnął wargi, w sposób charakterystyczny dla człowieka, który z natężoną uwagą stara się rozpoznać, kogo ma przed sobą. Nie udało mu się to jednak. Jak powiedzieliśmy, Jan Valjean stał tyłem do światła, a w dodatku był tak zmieniony, zakrwawiony, zabłocony, że nawet w biały dzień nikt by go nie poznał. Thenardier natomiast, któremu prosto w twarz padało przedostające się zza kraty światło, co prawda piwniczne i blade, ale dokładne w swojej bladości, od razu — jak powiada wymowna, choć banalna metafora — rzucił się w oczy Janowi Valjean. Ta nierówność warunków wystarczyła, by zapewnić Janowi Valjean przewagę w tajemniczym pojedynku, który miały stoczyć ze sobą dwie sytuacje i dwaj ludzie. Spotkanie odbywało się między Janem Valjean bez twarzy i Thenardierem bez maski.

Jan Valjean spostrzegł w lot, że Thenardier go nie poznaje. Przez chwilę patrzyli na siebie w półmroku, jak gdyby mierząc się nawzajem. Thenardier pierwszy przerwał milczenie. — Jak chcesz się stąd wydostać? .

Jan Valjean nie odpowiedział.

Thenardier ciągnął:

— Wytrychem tych drzwi nie otworzysz. A przecież musisz stąd wyjść.

— To prawda — rzekł Jan Valjean.

— Ano, to podzielmy się pół na pół.

— Co to znaczy?

— Ty zabiłeś człowieka. W porządku. A ja mam klucz.

Thenardier wskazywał przy tym palcem Mariusza.

— Nie znam cię — ciągnął dalej — ale chcę ci pomóc. Musisz być jednym z naszych.

Jan Valjean zaczynał rozumieć. Thenardier uważał go za mordercę.

— Słuchaj no, kolego — rzekł Thenardier. — Nie zabiłeś przecie tego człowieka, nie zajrzawszy mu do kieszeni. Daj mi połowę, a ja otworzę ci drzwi.

Po czym, wyciągnąwszy do połowy gruby klucz spod dziurawej bluzy, dodał:

— Chcesz zobaczyć, jak wygląda klucz od wolności? Popatrz.

Jan Valjean stał „jak ogłupiały”, według wyrażenia starego Corneille'a, tak dalece, że nie wierzył własnym oczom. Opatrzność objawiła mu się w tej ohydnej postaci, anioł wyszedł spod ziemi w osobie Thenardiera.

Thenardier wsadził rękę w głęboką kieszeń ukrytą pod bluzą, wyciągnął z niej kawał sznura i podał go Janowi Valjean.

— Masz — rzekł — Daję ci ten sznur na dodatek.

— Po co mi sznur?

— Potrzebny ci jeszcze i kamień, ale kamień znajdziesz na zewnątrz. Tam leży kupa gruzu.

— Ale po co mi kamień? — Durniu! Przecież, jak masz wrzucić tego frajera do rzeki, to musisz mieć kamień i sznur, bo inaczej będzie pływał po wierzchu.

Jan Valjean zwinął sznur. Każdy miewa takie chwile, że machinalnie bierze to, co mu dają.

Thenardier strzelił palcami, jakby mu przyszła nagle pewna myśl do głowy:

— Powiedz no mi, kolego jak wydostałeś się z tego trzęsawiska? Nie miałem odwagi tam wleźć. Tfu!

Pachniesz niepięknie!

Po chwili dodał: — Nie odpowiadasz mi na pytania, i masz rację. Dobrze się przygotowujesz do tego cholernego kwadransa sam na sam z sędzią śledczym. A przy tym, kto wcale się nie odzywa, nie odezwie się też za głośno. Ale chociaż nie widzę twojej twarzy i nie znam nazwiska, nie wyobrażaj sobie, żebym nie wiedział, kim jesteś i czego chcesz. Wiem. Poturbowałeś trochę tego jegomościa, a teraz chciałbyś go gdzieś upchnąć. Potrzebujesz rzeki, bo ona ukryje każde głupstwo. Wydobędę cię z kłopotu. Pomóc zacnemu chłopcu w tarapatach to dla mnie wielka frajda.

Mimo że pochwalił Jana Valjean za milczenie, wyraźnie chciał go wyciągnąć na słówka. Trącił go w ramię, aby mu się przyjrzeć z profilu, i zawołał nie podnosząc jednak ściszonego głosu:

— Ale, skoro mówimy o trzęsawisku, jesteś skończony głupiec. Czemuś tam nie wrzucił tego człowieka?

Jan Valjean uparcie milczał.

Thenardier mówił dalej, podciągając aż pod grdykę szmatę zastępującą mu krawat, gestem, który u ludzi pełnych powagi wyraża najwyższy stopień zarozumiałstwa:

— W gruncie rzeczy może i postąpiłeś rozsądnie. Robotnicy, którzy jutro przyjdą łątać dziurę, znaleźliby ani chybi zgubionego faceta i po nitce do kłębka, pomalutku, można by wtedy odnaleźć twój ślad, trafić na ciebie. Ktoś przechodził kanałem! Kto? Którędy wyszedł? Czy kto widział, jak przechodził? Policja jest bardzo sprytna! Kanał jest zdradliwy, denuncjuje człowieka. Takie odkrycie to dla policji nie byle jaka gratka, zwraca uwagę, bo mało kto załatwia swoje interesy w kanałach. Rzeka, przeciwnie, jest dla wszystkich. Rzeka to prawdziwy grób. Po miesiącu wyłowią twojego frajera przy kracie w Saint-Cloud. Ale gwizdź sobie na to. To już tylko kawał ścierwa. Kto zabił tego człowieka? Paryż! I policja, nawet nie zaczyna śledztwa. Dobrześ zrobił.

Im Thenardier był wymowniejszy, tym Jan Valjean był bardziej milczący. Thenardier znów go potrząsnął za ramię.

— No, ubijmy interes, podzielmy się. Widziałeś mój klucz, teraz pokaż mi swoje pieniądze.

Thenardier był dziki, drapieżny, przebiegły, nieco groźny, ale mimo wszystko przyjacielski.

Jedno było dziwne, Thenardier nie zachowywał się całkiem naturalnie, jakby był czymś skrępowany; chociaż nie usiłował stworzyć tajemniczego nastroju, mówił cicho; od czasu do czasu kładł palec na ustach i szeptał: „Pst!” Trudno było odgadnąć dlaczego. Wszak byli sami. Jan Valjean pomyślał, że może niedaleko w jakimś zakamarku kryją się inni bandyci i Thenardier nie ma najmniejszej chęci dzielić się z nimi łupem.

Thenardier odezwał się znowu: — Kończmy. Ile ten frajer miał w chawirze? Jan Valjean poszukał w kieszeniach.

Jak pamiętamy, miał zwyczaj zawsze nosić przy sobie pieniądze. Pełne ponurych niespodzianek życie, na które był skazany, narzucało mu tę zasadę. Tym razem został jednak zaskoczony: kiedy ubiegłego wieczora wkładał mundur gwardii narodowej, był tak zatopiony w ponurych rozmyślaniach, że zapomniał pugilaresu. Miał tylko trochę drobnych w kieszonce od kamizelki. Było tego około trzydziestu franków. Wywrócił przesiąkniętą błotem kieszonkę i położył na murze luidora, dwie pięciofrankówki i pięć czy sześć monet dwudziestopięciocentymowych.

Thenardier wysunął dolną wargę i znacząco pokręcił szyją.

— Zabiłeś go za marny grosz! — rzekł.

Zaczął poufale obmacywać kieszenie Janowi Valjean i Mariuszowi. Jan Valjean nie protestował, uważając tylko na to, żeby stać tyłem do światła. Przetrzęsając Mariuszowi surduty Thenardier z kuglarską zręcznością oderwał niepostrzeżenie kawałek poły, który ukrył pod bluzą, myśląc zapewne, że ten kawałek materiału może mu się przydać później w rozpoznaniu mordercy i ofiary. Nie znalazł zresztą nic więcej ponad trzydzieści franków.

— Rzeczywiście — rzekł. — Ty goniesz, ale obaj razem wynosicie tyle co figa.

I zapominając, że mówił o równym podziale, zabrał wszystko. Zawahał się tylko, czy wziąć drobne pieniądze. Ale po namyśle zagarnął je również, mrużąc:

— Niech tam! Nie zarzyna się ludzi za tak niską cenę.

Po czym znów wyjął klucz spod bluzy.

— Teraz kochasiu, trzeba ci otworzyć. Tu, jak na jarmarku, płaci się przy wyjściu. Zapłaciłeś — wychodź!

I wybuchnął śmiechem.

Czy wyświadczając tym kluczem przysługę nieznanemu i wypuszczając za tę kratę kogoś innego, a nie siebie, miał szczerzy i bezinteresowny zamiar ocalenia mordercy? Śmiemy w to wątpić.

Thenardier pomógł Janowi Valjean zarzucić Mariusza na plecy, potem — wciąż boso, skierował się na palcach do kraty, dając ręką znak, aby szedł za nim, wyrzwał na dwór, położył palec na ustach i przez parę sekund stał jakby niezdecydowany; dokonawszy inspekcji, włożył klucz w zamek. Zasuwa ustąpiła, a drzwi obróciły się w zawiasach bez zgrzytu ani trzasku, bezszelestnie. Najwidoczniej krata i zawiasy, starannie naoliwione, otwierały się częściej, niż można było przypuszczać. Ta bezszelestność była złowroga; wyczuwało się w niej zdążające ukradkiem kroki, milczące wyprawy i powroty nocnych ludzi, skradanie się zbrodni. Ściek był z pewnością współnikiem jakiejś tajemniczej bandy. Ta milcząca krata była paserką. Thenardier uchylił drzwi na tyle tylko, aby Jan Valjean mógł się przedostać, zamknął kratę i dwa razy przekręcił klucz, po czym znikł w ciemnościach, bez szmeru, jak tchnienie. Zdawało się, że chodzi na aksamitnych łapach tygrysa. W chwilę potem ohydna Opatrzność wróciła w niewidzialne. Jan Valjean wyszedł z kanału.

## ROZDZIAŁ IX

### MARIUSZ WYDAJE SIĘ MARTWY KOMUŚ, KTO DOBRZE SIĘ ZNA NA TYCH RZECZACH

Ostrożnie położył Mariusza na skarpie.

Wydostali się! Cuchnące wyziewy, ciemność, groza zostały za nim. Zalała go fala zdrowego, czystego, świeżego, radosnego powietrza, którym można było odetchnąć pełną piersią. Wszędzie dokoła cisza, ale urocza cisza chwili, w której słońce zaszło właśnie na pogodnym niebie. Zmierzch zapadał, nadchodziła noc, wielka wybawicielka, przyjaciółka tych wszystkich, którym potrzebny jest płaszcz ciemności, aby wydobyć się z udręki. Gdziekolwiek spojrzeć, roztaczało się niebo, jak obraz bezgranicznego spokoju. Rzeka podpływała pod stopy Jana Valjean ze szmerem pocałunku. Z wiązków przy

Polach Elizejskich dolatywał powietrzny dialog gniazd mówiących sobie dobranoc. Parę gwiazd, które przebiły blady błękit zenitu, widocznych jedynie dla marzenia, połyskiwało niedostrzegalnie w bezkresnych przestworzach. Nad głową Jana Valjean wieczór roztaczał wszystkie powaby nieskończoności.

Była to pora nieokreślona i pełna czaru, która nie mówi ani tak, ani nie. Dość mroczna, żeby nie być dostrzeżonym z pewnej odległości, dość jasna, żeby poznać się z bliska.

Jan Valjean stał przez chwilę urzeczony tą dostojną i pieszczotliwą pogodą. Zdarzają się takie minuty zapomnienia; cierpienie przestaje gnębić nieszczęśliwego; wszystko zaciera się w myśli, spokój spowija marzyciela, jak noc; wśród światła zmierzchu, a podobieństwo zapalającego się nieba, dusza się rozgwieżdża. Jan Valjean mimo woli zapatrzył się na ten ogrom jasnego' mroku, który miał nad sobą; majestatyczna cisza odwiecznego nieba była dla tego zadumanego człowieka orzeźwiającą kąpielą w zachwycie i modlitwie. Potem, jakby nagle wróciło mu poczucie obowiązku, nachylił się nad Mariuszem i zaczerpnąwszy w dłoń wody, lekko opryskał mu twarz. Powieki Mariusza nie drgnęły, ale rozchylone usta oddychały.

Jan Valjean miał już powtórnie zanurzyć rękę w rzece, kiedy nagle doznał przykrego uczucia, że za nim stoi ktoś, kogo on nie widzi. Wspomnieliśmy już na innym miejscu o tym wrażeniu, które zna każdy z nas.

Odwrócił się.



Rzeczywiście, ktoś stał za nim, podobnie jak przed chwilą w kanale.

Wysoki mężczyzna, ubrany w długi surdut, z rękami założonymi na piersi, trzymając w prawej ręce laskę z ołowianą gałką, stał w odległości paru kroków za Janem Valjean pochylonym nad Mariuszem.

W wieczornym mroku wydawał się zjawą. Prostak, przeraziłby się go z powodu ciemności, człowiek myślący — z powodu laski.

Jan Valjean poznał Javerta.

Czytelnik odgadł zapewne, że człowiekiem tropiącym Thenardiera był właśnie Javert. Javert po nieoczekiwanym wydostaniu się z barykady poszedł do prefektury policji, tam na krótkiej audiencji złożył ustny meldunek samemu prefektowi i niezwłocznie objął na nowo służbę; polegała ona — jak wiemy ze znalezionej przy nim kartki — na obserwowaniu grobli na prawym brzegu rzeki, w okolicy Pól Elizejskich, która od pewnego czasu przyciągała uwagę policji. Tu spostrzegł Thenardiera i zaczął go tropić. Resztę wiemy.

Czytelnik zrozumiał też niewątpliwie, że usłużne otwarcie kraty przed Janem Valjean było zręcznym podstępem Thenardiera. Czuł, że Javert nadal czeka; człowiek ścigany ma węch niezawodny; trzeba było rzucić jakąś kość temu ogarowi. Morderca — co za gratka! Nie marnuje się takiej sposobności. Wypuszczając Jana Valjean z kanału, jako swego zastępcę, Thenardier dawał policji łup, naprowadzał ją na inny ślad, kazał jej zapomnieć o sobie dla innej, większej sprawy, wynagradzał Javerta za czekanie, co zawsze pochlebia wywiadowcy, zarabiał trzydzieści franków i liczył, że dzięki tej dywersji zdoła umknąć.

Jan Valjean wpadł z jednej opresji w drugą.

Takie dwa spotkania, jedno po drugim, po Thenardierze — Javert, to ciężka próba.

Javert nie poznał Jana Valjean, który — jak powiedzieliśmy — był ogromnie zmieniony. Nie rozplótł rąk, niedostrzegalnym ruchem ścisnął tylko mocniej laskę i zapytał spokojnie i lakonicznie:

— Kto pan jest?

— Ja.

— Jaki ja?

— Jan Valjean.

Javert włożył laskę w zęby, zgiął kolana, pochylił tułów, położył naramionach Jana Valjean potężne ręce, które wpiły się w nie jak kleszcze, przyjrzał . mu się uważnie i poznał go. Twarze ich stykały się prawie ze sobą. Spojrzenie Javerta było straszne.

Jan Valjean nie próbował się uwolnić z uścisku Javerta, jak lew, który nie broniłby się przed pazurami rysia.

— Inspektorze Javert — rzekł — jestem w pana mocy. Zresztą już od rana uważam się za pańskiego więźnia. Nie po to dałem panu mój adres, żeby uciekać. Niech mnie pan bierze! Ale proszę mi zrobić jedną łaskę.

Javert zdawał się nie słyszeć. Utkwił w Janie Valjean nieruchome źrenice. Zmarszczył brodę i wysunął wargi w kierunku nosa, znak groźnej zadumy. Wreszcie puścił Jana Valjean, wyprostował się jednym ruchem, ujął pełną garścią gałkę laski i jak we śnie wyszeptał raczej, niż wymówił pytanie:

— Co pan tu robi? I kim jest ten drugi człowiek? Mówił nadal do Jana Valjean „pan”.

Jan Valjean odpowiedział i dopiero dźwięk jego głosu jakby obudził Javerta:

— O nim właśnie chciałem mówić. Mną może pan rozporządzać do woli, ale wpierw proszę pomóc mi odnieść go do domu. O to jedno proszę.

Twarz Javerta skurczyła się, jak mu się to zdarzało, ilekroć ktoś próbował prosić go o jakieś ustępstwa. Ale nie odpowiedział odmownie.

Schylił się znowu, wyciągnął z kieszeni chustkę, umoczył ją w wodzie i otarł zakrwawione czoło Mariusza:

— Ten człowiek był na barykadzie — rzekł półgłosem, jakby do siebie. — To jego nazywano Mariuszem.

Javert — szpicel pierwszorzędnej jakości — wszystko wypatrzył, podsłuchał, wymyszkował i zakarbował w pamięci, choć sądził, że umrze, szpiegował nawet bliski już agonii, i na pierwszym stopniu, wiodącym do grobu, jeszcze zbierał informacje.

Wziął Mariusza za rękę, szukając pulsu.

— On jest ranny — rzekł Jan Valjean.

— On umarł — odparł Javert. Jan Valjean odpowiedział:

— Nie, jeszcze nie.

— Więc pan go przyniósł tutaj z barykady? — zapytał Javert.

Musiał być niezwykle pochłonięty swoimi myślami, skoro nie wypytywał o tę dziwną drogę ocalenia przez kanały i nie spostrzegł nawet, że Jan Valjean na pytanie odpowiedział mu milczeniem.

Jan Valjean zaś zdawał się być owładnięty jedną myślą. Odezwał się znowu:

— Mieszka na Bagnie, na ulicy Panien Kalwaryjskich, u dziadka... Zapomniałem nazwiska.

Sięgnął do surduta Mariusza, wydobył pugilares, otworzył go i podał Javertowi wraz z zapisaną przez Mariusza kartką.

Tyle jeszcze światła drgało w powietrzu, że można było czytać. Zresztą Javert miał kocie, fosforyzujące oczy nocnych ptaków. Odcyfrował parę słów skreślonych przez Mariusza i mruknął:

— Gillenormand, ulica Panien Kalwaryjskich, sześć. Po czym zawołał:

— Dorożka!

Pamiętamy, że na wszelki wypadek czekała dorożka na niego.

Javert zatrzymał portfel Mariusza.

Po chwili dorożka, skręciwszy na zjazd do Wodopoju, stanęła na skarpie, Mariusza ułożono na tylnym siedzeniu, a Javert usiadł obok Jana Valjean na przedniej ławeczce.

Zatrzaśnięto drzwiczki i dorożka potoczyła się szybko, zmierzając nadrzecznymi bulwarami w kierunku placu Bastylli.

Oddalili się od Sekwany i wjechali do miasta. Dorożkarz, czarna sylwetka na koźle, okładał batem chude konie. W dorożce panowała lodowata cisza. Nieruchomy Mariusz, oparty plecami o poduszki w głębi powozu, z głową opadłą na piersi, ze zwieszonymi rękami i sztywnymi nogami, zdawał się już tylko czekać na trumnę; Jan Valjean wyglądał jak cień, a Javert jak głąz, i w tej wypełnionej mrokiem dorożce, której wewnątrz, ilekroć przejeżdżali koło latarni, ukazywało się w niebieskawym świetle, jak w blasku błyskawicy, przypadek połączył w jakiejś złowrogiej konfrontacji trzy tragiczne odmiany spokoju: trupa, widmo i posąg.



## ROZDZIAŁ X

### POWRÓT SYNA MARNOTRAWNEGO, KTÓRY STRWONIŁ SWOJE ŻYCIE

Za każdym wstrząsem dorożki kropla krwi spadała z włosów Mariusza. Była już ciemna noc, kiedy dorożka zajechała przed dom pod numerem szóstym na ulicy Panien Kalwaryjskich.

Javert wysiadł pierwszy, jednym spojrzeniem sprawdził numer nad bramą i podniósłszy ciężki młotek z kutego żelaza, przyozdobiony staroświecką modą kozłem bodącym satyra, gwałtownie zastukał. Drzwi uchyliły się, Javert popchnął je. Wyjrzał zza nich dozorca, zaspany, ziewający, ze świecą w ręku.

W domu wszyscy spali. W dzielnicy Bagno ludzie wcześniej chodzą spać, zwłaszcza w czasie rozruchów. Ta zacna, stara dzielnica, przerażona rewolucją, szuka ucieczki we śnie, jak dzieci, które spodziewając się przyjścia Baby Jagi, czym prędzej chowają głowę pod kołdrę.

Tymczasem Jan Valjean i woźnica wynosili Mariusza z dorożki; Jan Valjean ujął go pod pachy, a woźnica pod kolana.

Niosąc Mariusza Jan Valjean wsunął mu rękę pod podarte ubranie, przyłożył ją do piersi i upewnił się, że serce jeszcze bije. Biło nawet nieco mocniej, jakby wstrząsy dorożki pobudziły je trochę do życia.

Javert zapytał stróża tonem, jaki przystoi rządowi, przemawiającemu do dozorczy w domu rebelianta:

— Mieszka tu niejaki Gillenormand?

— Tak. Czego pan sobie życzy?

— Odnoszę mu syna. — Syna? — powtórzył ogłupiały dozorca.

— Nie żyje.

Jan Valjean, który stał za Javertem obdarty i brudny i na którego dozorca patrzył z przerażeniem, przecząco pokręcił głową.

Dozorca patrzył i zdawał się nie rozumieć ani słów Javerta, ani znaków Jana Valjean.

Javert mówił dalej:

— Poszedł na barykadę, a teraz macie go z powrotem.

— Na barykadę! — zawołał dozorca. — Zginął. Idźcie obudzić ojca. Dozorca ani drgnął.

— Prędeż! — krzyknął Javert. I dodał:

— Jutro będzie tu pogrzeb.

Dla Javerta wszystkie wydarzenia uliczne były nieodwołalnie posegregowane, co jest podstawą dozoru i czujności; każde miało swoją przegródkę; wszystkie możliwe wypadki miały swoje szufladki, z których wychodziły, stosownie do okoliczności, w rozmaitych dozach; na ulicy mogły mieć miejsce burdy, rozruchy, karnawał i pogrzeb.

Dozorca obudził tylko Baskijczyka; Baskijczyk obudził Nikoletę; Nikoleta obudziła ciotkę Gillenormand. Dziadka zostawiono w spokoju, uważając, że zawsze dość wcześnie dowie się o nieszczęściu.

Mariusz został wniesiony na pierwsze piętro, tak że nikt tego nie słyszał w innych częściach domu, i ułożony na starej kanapie w przedpokoju. Kiedy Baskijczyk pobiegł po lekarza, a Nikoleta otwierała szafę z bielizną, Jan Valjean poczuł, że Javert dotyka jego ramienia. Zrozumiał i zszedł na dół, Javert szedł za nim. Dozorca patrzył na ich odejście tak jak na ich przybycie — z zaspianym przerażeniem.

Wsiedli do dorożki, dorożkarz wskoczył na kozioł.

— Inspektorze Javert — rzekł Jan Valjean — niech mi pan wyświadczy jeszcze jedną łaskę.

— Jaką? — spytał szorstko Javert.

— Proszę pozwolić, żebym wstąpił na chwilę do domu. Potem zrobi pan ze mną, co chce.

Javert milczał chwilę z brodą wsuniętą w kołnierz surduta, po czym spuścił szybę powozu i rzekł do dorożkarza:

— Jedźcie na ulicę Człowieka Zbrojnego, siedem.

# ROZDZIAŁ XI

## ZACHWIANY ABSOLUT

Przez całą drogę nie otworzyli ust.

Czego chciał Jan Valjean? Dokończyć tego, co rozpoczął; zawiadomić Kozetę, powiedzieć jej, gdzie jest Mariusz, udzielić jej może jakichś innych użytecznych wskazówek i — o ile możliwości — wydać ostatnie dyspozycje. Jeśli idzie o niego samego, o jego osobę, to wszystko się skończyło; był schwytany przez Javerta i nie stawiał oporu. Może komu innemu na jego miejscu przyszyłaby do głowy mglista myśl o sznurze otrzymanym od Thenardiera i o kracie pierwszego więzienia, które go czekało; ale od czasu spotkania z biskupem Jan Valjean żywił — podkreślamy to — głęboki, religijny wstręt do targnięcia się na życie ludzkie, choćby na swoje własne.

Samobójstwo, ten tajemniczy gwałt wobec niewiadomego, które w pewnej mierze spowodować może śmierć duszy, było dla Jana Valjean postępkem niemożliwym.

Przy wylocie ulicy Człowieka Zbrojnego dorożka stanęła; uliczka była za wąska dla pojazdów. Javert i Jan Valjean wysiedli.

Dorożkarz pokornie zwrócił uwagę „szanownego pana inspektora”, że utrechcki aksamit dorożki jest cały poplamiony krwią zamodowanego i błotem mordercy. Tyle zrozumiał z całej historii. Dodał, że należy mu się odszkodowanie. Równocześnie wyciągnął z kieszeni książeczkę, prosząc, żeby pan inspektor był łaskaw napisać mu „malutkie zaświadczenie względem tego”.

Javert odepchnął książeczkę podsuwaną mu przez dorożkarza i zapytał:

— Ile wam się należy razem z czekaniem i kursem?

— Teraz jest kwadrans po siódmej — odpowiedział dorożkarz. — A obicie było całkiem nowe. Osiemdziesiąt franków, panie inspektorze.

Javert wyjął z kieszeni cztery napoleony i odprawił dorożkarza. Jan Valjean pomyślał, że Javert ma zamiar doprowadzić go pieszo na posterunek przy ulicy Białych Płaszczy albo na posterunek koło Archiwum, które znajdują się bardzo blisko.

Weszli w ulicę. Jak zwykle, była pusta. Javert szedł za Janem Valjean. Doszli do numeru siódmego. Jan Valjean zastukał. Brama otwarła się.

— Dobrze — rzekł Javert. — Idź pan na górę.

I dodał dziwnym tonem, jakby zadawał sobie gwałt mówiąc te słowa:

— Zaczekam tutaj.

Jan Valjean spojrział na Javerta. Taki sposób postępowania nie leżał w zwyczajach inspektora. Jednakże nie zdziwił się, że Javert okazuje mu pewne wyniosłe zaufanie, zaufanie kota, który pozwala myszy poruszać się swobodnie w zasięgu swoich pazurów, tym bardziej że sam był całkowicie zdecydowany oddać się w jego ręce i skończyć raz ze wszystkim. Pchnął drzwi, wszedł do domu, krzyknął dozorczy, który leżąc w łóżku pociągnął za sznurek : „To ja”, i wszedł na schody.

Znalazłszy się na pierwszym piętrze, przystanął na chwilę. Każda droga męki ma swoje stacje. Okno nad podestem było otwarte. Jak w wielu starych domach, okno oświetlające klatkę schodową wychodziło na ulicę. Stojąca naprzeciwko latarnia rzucała nieco światła na stopnie, co pozwalało oszczędzać na oświetleniu.

Jan Valjean wychylił głowę przez okno, może chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza, a może po prostu machinalnie. Wyrzął na ulicę. Jest krótka i latarnia oświetlała ją od jednego końca do drugiego. Jana Valjean poraziło zdumienie; na ulicy nie było nikogo.

Javert odszedł.



## ROZDZIAŁ XII

### DZIADEK

Baskijczyk i dozorca wnieśli do salonu Mariusza leżącego ciągle nieruchomo na tej samej kanapie, na której położono go po przyjeździe. Nadbiegł wezwany lekarz. Ciotka Gillenormand wstała z łóżka.

Ciotka Gillenormand kręciła się zalękniona po pokoju, łamała ręce i wzdychała: „O Boże! Czy to możliwe?!”, i dodawała od czasu do czasu: „Wszystko będzie poplamione krwią!” Do niczego innego nie była zdolna. Ale gdy minęło pierwsze przerażenie, nawet i ona zdobyła się na filozoficzną ocenę sytuacji, która wyraziła się w okrzyku: „To musiało się tak skończyć!” Nie dodała jednak: „A nie mówiłam!”, jak zazwyczaj mówi się w takich razach.

Na polecenie lekarza ustawiono koło kanapy połowe łóżko. Lekarz zbadał Mariusza i stwierdziwszy, że puls bije, że rana na piersi nie jest głęboka i krew w kącikach ust pochodzi z nozdrzy, kazał położyć ранego płasko, bez poduszki, głowę równo z ciałem, a nawet nieco niżej, i obnażyć pierś, aby ułatwić oddychanie. Panna Gillenormand, widząc, że rozbierają Mariusza, przeszła do swego pokoju. Zabrała się do odmawiania różańca.

Mariusz nie miał żadnych wewnętrznych obrażeń. Kula, odbiwszy się od pugilaesu, zboczyła i obsunęła się po żebrach, powodując rozdarcie szpetne, ale niegłębokie, a więc i niegroźne. W długiej podziemnej wędrówce kości złamanego obojczyka uległy przemieszczeniu i to rzeczywiście było poważne. Na ramionach były wyraźne cięcia szablą. Żadna szrama nie szpeciła twarzy; cała głowa natomiast była posiekana. Jak groźne okażą się te rany? Czy przecięły tylko skórę? Czy naruszyły czaszkę? Tego na razie nie można było orzec. Poważny symptomat stanowiło spowodowane przez te rany omdlenie; z takiego omdlenia człowiek nie zawsze się budzi. Ponadto upływ krwi wycieńczył ранego. Barykada ochroniła Mariusza przed razami poniżej pasa.

Baskijczyk i Nikoleta darli płótno i przygotowywali bandaże. Nikoleta zszywała je, Baskijczyk zwijał. Ponieważ nie było szarpi, lekarz zatamował prowizorycznie krew tamponami z waty. Obok łóżka, na stole, gdzie leżały narzędzia chirurgiczne, paliły się trzy świece. Lekarz obmył twarz i włosy Mariusza zimną wodą. W jednej chwili całe wiadro wody zabarwiło się na czerwono. Odźwierny ze świecą w ręku przyświecał lekarzowi.

Lekarz zamyślił się smutnie. Od czasu do czasu przecząco kręcił głową, jakby odpowiadał na jakieś pytanie, które sobie stawiał w duchu. Zły to znak dla

chorego takie tajemnicze rozmowy lekarza z samym sobą.

Kiedy lekarz ocierał twarz Mariusza i lekko dotykał palcem powiek, ciągle zamkniętych, drzwi z głębi salonu otwały się i pojawiła się w nich blada, wysoka postać.

Był to dziadek.

Od dwóch dni pan Gillenormand był podniecony, oburzony i niespokojny z powodu rozruchów. Ubiegłej nocy nie mógł spać i przez cały dzień był rozgorączkowany. Położył się bardzo wcześnie, polecając zaryglować wszystkie drzwi, i zmęczony zmęczeniem zdrzemnął się.

Starcy mają lekki sen; pokój pana Gillenormand przylegał do salonu i mimo wszelkich ostrożności hałas obudził go. Zdziwiony smugą światła pod drzwiami, wstał z łóżka i po omacku wszedł do salonu.

Zdumiony stał w progu, z ręką opartą na klamce uchylonych drzwi, z głową trzęsącą się i nieco pochyloną naprzód, owinięty w szlafrok biały, prosty i gładki niczym całun; wyglądał jak widmo zagląające do grobu.

Zobaczył łóżko, a na nim młodzieńca we krwi, białego białością wosku, jego zamknięte oczy, rozchylone usta, sine wargi, nagie aż do pasa ciało, całe w szkarłatnych ranach, nieruchome, jaskrawo oświetlone.

Dziadek zadrżał od stóp do głów tak silnie, jak zeszywniałe ciało zadrzeć może; oczy o pożółkłych ze starości białkach zasnuła szklista powłoka, całą twarz w jednej chwili poryły ziemiste bruzdy upodobniając ją do trupiej czaszki, ramiona zwisły, jakby pękła w nich jakaś sprężyna, i osłupienie wyraziło się w rozwarciu starych, drżących dłoni, kolana ugięły się do przodu, ukazując przez otwarte poły szlafrocka wychudłe, gołe nogi z najeżonymi, siwymi włosami.

— Mariusz — wyszeptał.

— Proszę pana — rzekł Baskijczyk —: właśnie przynieśli panicza. Poszedł na barykadę i...

— Nie żyje! — krzyknął starzec straszliwym głosem. — A! Zbój!

Naraz jakaś upiorna przemiana zaszła w tym stuletnim starcu, który wyprostował się jak młody chłopak.

— Panie — rzekł — pan jest lekarzem. Zechciej jedno mi powiedzieć. On nie żyje, prawda?

Lekarz milczał, pełen niepokoju. Pan Gillenormand załamał ręce i wybuchnął przeraźliwym śmiechem:

— Nie żyje! Nie żyje! Zginął na barykadzie! Z nienawiści do mnie! Mnie na złość! Ach, ty krwiożerco! To tak do mnie wracasz! Dolo moja nieszczęsna! On nie żyje!

Podszedł do okna, otworzył je na roścież, jakby się dusił, i zwrócony twarzą do ciemności, zaczął mówić do nocy spowijającej ulicę:

— Pocięty, pokrajany, zarżnięty, zamordowany, posiekany, porąbany na kawałki! Widzicie go, tego łotra!

Wiedział dobrze, że czekam na niego, że kazałem sprzątnąć jego pokój, że powiesiłem sobie nad łóżkiem jego portret z czasów, kiedy był jeszcze dzieckiem. Wiedział dobrze, że mógł wrócić, że wzywałem go od dawna, że całymi wieczorami siedzę przy kominku z rękoma założonymi na kolanach, nie wiedząc, co robić, że zgłupiałem z tego wszystkiego. Wiedziałeś dobrze, że wystarczyłoby ci wrócić i powiedzieć: „To ja”, a byłbyś panem domu, a ja słuchałbym się ciebie i mógłbyś robić, co zechcesz, z tym starym safandulą twoim dziadkiem. Wiedziałeś to, ale powiedziałeś: „Nie! Nie pójdę! To rojalista!” I poszedłeś na barykady po śmierć, mnie na złość! Żeby się zemścić za to, co ci kiedyś powiedziałem, o jego wysokości księciu de Benry! To haniebne! Kładźcie się do łóżka i śpijcie spokojnie! On nie żyje. Oto moje przebudzenie.

Lekarz, który teraz miał drugi powód do niepokoju, zostawił na chwilę Mariusza, podszedł do pana Gillenormand i ujął go za rękę. Starzec odwrócił się, spojrzał na niego nabiegłymi krwią oczyma o rozszerzonych źrenicach i rzekł spokojnie:

— Dziękuję, nie trzeba mi pańskiej pomocy. Jestem spokojny, jestem mężczyzną, widziałem śmierć Ludwika XVI, umiem znosić doświadczenia losu. Straszna jest tylko myśl, że te wasze gazety są wszystkiemu winne! Będziecie mieć swoich pismaków, gadułów, adwokatów, mówców, trybuny, dyskusje, postęp, nauczanie, prawa człowieka, wolność prasy — ale patrzcie, w jakim stanie przyniosą wam do domu wasze dzieci! O Mariuszu! To okropne! Zabity! Umarł przede mną! Barykada! A! rozbójnik! Doktorze, pan mieszka, zdaje mi się, w naszej dzielnicy. Znam pana doskonale! Widuję czasem przez okno pański kabriolet. Powiem panu, że byłby pan w błędzie, sądząc, że się gniewam. Nie, nie można się przecież gniewać na nieboszczyka. To byłaby głupota. Ale, widzi pan, ja go wychowałem od dziecka, byłem już stary, kiedy on był jeszcze malutki. Bawił się w Tuileriach, chodził tam ze swoją łopatką i krzeselkiem, a dołki, które on kopał, ja wyrównywałem laską, żeby go dozorczy nie łajali. Aż pewnego dnia on zawołał: „Precz z Ludwikiem XVIII”, i poszedł

sobie. To nie moja wina. Był różowy i jasnowłosy. Nie miał matki. Czy pan zauważył, że wszystkie małe dzieci mają jasne włosy? Ciekawym dlaczego? Jest synem jednego z tych zbójów znad Loary . Ale dzieci nie są odpowiedzialne za zbrodnie swoich ojców. Pamiętam go, jak był, ot — taki. Nie umiał wymówić „d”. Szczebiotał słodko i niewyraźnie, jak ptaszek. Pamiętam, że raz przed Herkulesem Farnezyjskim ludzie otoczyli go i nie mogli się na niego napatrzeć, takie to było śliczne dziecko! Jak z obrazka! Krzychałem na niego, wygrażałem mu laską, ale on -wiedział, że to żarty. Z rana, kiedy wchodził do mojego pokoju, zrzędziłem, ale miałem wrażenie, że to wchodzi promień słoneczny. Człowiek nie może się oprzeć tym szkrabom. Jak raz chwycą za serce, to już nie puszczą! Ale też i prawda, że drugiego tak rozkosznego dziecka nie było na świecie. A teraz, co mi pan powiesz o waszych Lafayette'ach, Benjaminach Constant i innych Tircuy de Corcelles , którzy mi go zabili?! Tego nie można puścić płazem!

Zbliżył się do bladego i nieruchomego Mariusza, nad którym pochylał się lekarz, i znowu załamał dłonie. Blade wargi starca poruszały się machinalnie; wydobywały się z nich, niby rżący oddech, niewyraźnie, ledwo dosłyszalne słowa:

— A potwór bez serca! A! Klubista! Zbrodniarz! Septembrzysta !"

Konający robił trupowi ciche wymówki.

Powoli jednak, jako że wybuchy wewnętrzne zawsze muszą znaleźć sobie ujście , słowa zaczęły się znowu układać w pełne zdania; ale starzec nie miał już siły ich wymawiać: głos miał tak głuchy i przygaszony, jakby dochodził z drugiego brzegu otchłani:

— Wszystko mi jedno, i ja też umrę niedługo. I powiedzieć, że każda dzierlatka w Paryżu czułaby się szczęśliwa, uszczęśliwiając tego łotra! A to łajdak! Zamiast się bawić i używać życia, poszedł się bić i dał się podziurawić jak ostatni dureń! Po co? Za co? Za Republikę! Zamiast pójść na tańce „Pod Strzechę” , jak przystoi młodemu chłopcom! Marnują swoje młode lata. Republika! Śliczna mi bzdura! Nieszczęsne matki, rodziców teraz ładnych chłopców! Ano., umarł! Będą dwa pogrzeby na raz. Więc takeś się urządził dla pięknych oczu generała Lamarque! Co ci dobrego zrobił ten generał Lamarque! Rębało! Gaduła! Stracić życie dla trupa! Nie, można oszaleć! Kto to zrozumie? W dwudziestym roku życia! I nawet nie odwrócił głowy, żeby spojrzeć, czy nie zostawia kogoś za sobą. Tak, teraz biedni starcy muszą umierać samotnie. Zdychaj w swojej dziurze, puchaczu! Ha, pięknie, tym lepiej, po prawdzie spodziewałem się tego, to mnie od razu zabije. Jestem za stary, mam sto lat, mam sto tysięcy lat, już od dawna mam prawo umrzeć. Taki cios to koniec, stało się, co za szczęście! Po co mu podtykać pod nos amoniak, te wszystkie

mikstury? Tracisz tylko czas, głupi lekarzu. Popatrz, on już umarł, umarł naprawdę! Ja się na tym znam, bo też jestem umarły. Nie zrobił tego połowicznie! Tak, czasy są łajdackie, łajdackie, łajdackie! Oto, co myślę o was, o waszych ideach, o waszych systemach, o waszych mistrzach, o waszych wyroczniach, o waszych uczonych, o waszych łotrach pisarzach, o waszych gałganach filozofach i wszystkich rewolucjach, które od sześćdziesięciu lat płoszą stada kruków w Tuileriach! A że nie miałeś nade mną litości, dając się zabić w taki sposób, nie będą czuły ani krzty żalu z powodu twojej śmierci, słyszysz, morderco?

W tej chwili Mariusz powoli uniół powieki i wzrok jego, przymglony jeszcze zadziwieniem letargicznym, spoczął na panu Gillenormand.

— Mariuszu! — krzyknął starzec. — Mariuszu! Najdroższy Mariuszu! Moje dziecko! Synu mój ukochany! Otwierasz oczy, patrzysz na mnie! Żyjesz, dzięki ci!

I padł zemdłony.

# KSIEGA CZWARTA

## JAVERT WYKOLEJONY

Javert oddalił się wolnym krokiem od ulicy Człowieka Zbrojnego. Po raz pierwszy w życiu szedł ze spuszczoną głową i po raz pierwszy również założył ręce w tył.

Aż do tego dnia z dwóch gestów Napoleona Javert przyjął tylko ten, który wyrażał niezłomną decyzję — ręce skrzyżowane na piersi; ten, który wyraża niepewność — ręce założone w tył — był mu nie znany. Teraz zaszła w nim jakaś przemiana: powolne ruchy i cała ponura postać wyrażały głęboką rozterkę.

Zagłębił się w ciche ulice.

Szedł jednak w określonym kierunku.

Obrał najkrótszą drogę do Sekwany, dotarł do Wybrzeża Wiązów, przeszedł nim wzdłuż rzeki, minął plac Greve i zatrzymał się w pewnej odległości od komisariatu na placu Chatelet, koło mostu Marii Panny. Między tym mostem i mostem Wymiany z jednej strony a Wybrzeżem Megisserie i Wybrzeżem Kwiatowym z drugiej Sekwana tworzy rodzaj kwadratowego jeziora, przez które przepływa wartki prąd.

To miejsce jest postrachem wszystkich żeglujących po rzece.

Nie ma nic niebezpieczniejszego nad ten prąd wzburzony, ściśnięty w owej epoce słupami młyna dziś już rozebranego. Dwa mosty, tak bliskie sobie, zwiększają jeszcze niebezpieczeństwo; woda pędzi jak oszalała pod ich arkadami. Toczy swoje szerokie, groźne fale, tłoczy się i spiętrza; nurt napiera na filary, jakby je chciał wyrwać płynnymi powrozami. Kto tam wpadnie, nie wypływa już na powierzchnię: toną tutaj najlepsi pływacy.

Javert oparł się łokciami o parapet, brodę ujął w dłonie i machinalnie zanurzwszy palce w gęste faworyty zamyślił się. Przeżył coś nowego, jakąś rewolucję, jakąś katastrofę; miał się nad czym zastanawiać.

Cierpiał bardzo.

Od kilku godzin przestał być człowiekiem nieskomplikowanym. Był głęboko poruszony; ten umysł, tak jasny w swojej ślepotcie, zatracił swoją przejrzystość; ten kryształ został zmacony. Javert czuł, że poczucie obowiązku rozdwa się w

jego świadomości, i nie mógł tego zataić przed sobą. Kiedy tak niespodzianie spotkał Jana Valjean na grobli nad Sekwaną, doznał uczucia wilka odzyskującego swoją, zdobycz i psa odnajdującego swojego pana.

Widział przed sobą dwie drogi, obie jednak proste, ale było ich dwie i to go przerażało, jego, który w całym swym życiu znał tylko jedną prostą drogę. Bolesną udrękę powiększał fakt, że te drogi były rozbieżne. Jedna wykluczała drugą. Która była słuszna?

Znajdował się w sytuacji nie do opisania.

Zawdzięczać życie złoczyńcy, przyjąć ten dług i spłacić go, wbrew samemu sobie stanąć na równi z przestępcą i odpłacić mu przysługą za przysługę; dopuścić do tego, aby mu ktoś powiedział: „Możesz iść”, i z kolei powiedzieć mu: „Jesteś wolny!”, poświęcić dla pobudek osobistych obowiązek, tę powinność każdego człowieka, i czuć, że w tych pobudkach osobistych kryje się coś, co jest także powinnością każdego człowieka, i to może powinnością wyższego rzędu; zdradzić społeczeństwo, żeby pozostać wiernym sumieniu; widzieć, że wszystkie te absurdy stały się rzeczywistością i zwały na niego — oto czym był zdruzgotany. Jedno go zdumiało — że Jan Valjean darował mu życie, i jedno wprowadziło go w stan osłupienia, że on, Ja-vert, darował życie Janowi Valjean.

Co się z nim działo? Szukał samego siebie i nie mógł odnaleźć. Co teraz zrobić? Oddać Jana Valjean w ręce policji — źle; zostawić go na wolności — źle. W pierwszym wypadku człowiek reprezentujący władzę stoczyłby się niżej od człowieka z galer; w drugim — przestępca stawał się wyższy nad prawo i deptał je. W obu wypadkach Javert ścigał na siebie hańbę. Czy tak, czy owak, czekał go tylko upadek. Los stawia czasem człowieka na samej krawędzi niemożliwości, poza którą życie jest już tylko przepaścią. Javert stał na takiej krawędzi.

Dręczyło go także to, że musiał myśleć. Zmuszała go do tego sama gwałtowność sprzecznych wzruszeń. Myślenie — rzecz zupełnie dlań obca — sprawiało mu dotkliwy ból.

W każdej myśli tkwi pewna doza wewnętrznego buntu i Javerta gniewało, że czuje u siebie podobne objawy.

Myślenie na każdy inny temat poza ciasnym kręgiem czynności urzędowych uważał zawsze za rzecz bezcelową i męczącą, a rozmyślanie o wydarzeniach ostatniego dnia było prawdziwą torturą. Należało jednak wejrzeć w swoje sumienie po tak wstrząsających przeżyciach i zdać sobie sprawę z samego siebie.

Myśl o tym, co uczynił, przejmowała go dreszczem. Wbrew przepisom policyjnym, wbrew organizacji społecznej i sądowej, wbrew całemu kodeksowi on, Javert, własnowolnie wypuścił przestępcę na wolność, bo tak mu się podobało; postawił swoje osobiste sprawy w miejsce spraw publicznych; czyż to nie była rzecz niesłychana? Ilekroć pomyślał o tym postępku, wykraczającym poza wszelkie określenia, drżał od stóp do głów. Co robić? Pozostawało mu tylko jedno: wrócić co prędzej na ulicę Człowieka Zbrojonego i aresztować Jana Valjean. Było jasne, że tak właśnie powinien postąpić. Ale nie mógł.

Coś zagrażało mu drogę.

Coś? Ale co? Czyż istnieje na świecie coś poza trybunałami, wyrokami wykonawczymi, policją i władzą? Javert był wstrząśnięty do głębi. Galernik nietykalny! Przestępca bezkarny — i to z winy Javerta!

Czyż to nie straszne, że Javert i Jan Valjean, człowiek powołany do nakładania kary i człowiek powołany do odcierpienia kary, że ci dwaj ludzie, obaj niewolnicy prawa, doszli do tego, że stanęli ponad prawem?

Jak to? Zaszły tak niezwykle wydarzenia i nikt nie zostanie ukarany? Jan Valjean, silniejszy od porządku społecznego, pozostanie na wolności, a Javert będzie nadal jadł chleb rządowy?

W jego zadumę zaczęła się sączyć groza.

W tych rozmyślaniach mógłby również uczynić sobie pewne wyrzuty z powodu powstańca, którego odwiózł na ulicę Panien Kalwaryjskich, ale nawet mu to nie przyszło do głowy. Mniejsza przewina ginęła w większej. Zresztą ten powstaniec to już trup, a według przepisów śmierć uwalnia od odpowiedzialności sądowej.

Ciężarem, który przytłaczał jego duszę, był Jan Valjean.

Jan Valjean zbijał go z tropu. Wszystkie pewniki, na których opierał całe swoje życie, runęły wobec tego człowieka. Gnębiła go wspaniałomyślność Jana Valjean wobec niego, Javerta. Inne fakty, które sobie przypomniał i które dawniej uważał za kłamstwa i brednie, teraz odżyły jako prawdziwe. Pan Madeleine ukazał się za Janem Valjean i obie postacie, nakładając się na siebie, utworzyły jedną całość, nakazującą szacunek. Javert czuł, że coś okropnego przenika do jego duszy: podziw dla galernika. Szacunek dla galernika? Czy to możliwe? Drżał na samą myśl o tym i nie mógł się jej oprzeć. Daremnie się szamotał, musiał *uznać* w głębi duszy szlachetność tego nędznika. To było dla niego wstrętne.

Dobroczynny złoczyńca, przestępca pełen współczucia, łagodny i zawsze



gotowy wyciągnąć pomocną dłoń, Wielkoduszny galernik, który płacił dobrem za zło, przebaczeniem za nienawiść, który przekładał litość nad zemstę, własną zgubę nad zgubę swojego wroga i klęczał na szczytach cnoty, bliższy aniołom niż ludziom! Javert był zmuszony wyznać sobie, że taki potwór istnieje.

Nie mogło to trwać dłużej.

Nie bez sprzeciwu — podkreślamy to z naciskiem — poddał się temu potworowi, temu nikczemnemu aniołowi, temu ohydnemu bohaterowi, który go w równym stopniu oburzał, co zdumiewał. Ze dwadzieścia razy, , kiedy siedział w dorożce twarzą w twarz z Janem Valjean, zaryczał w nim tygrys praworządności. Ze dwadzieścia razy brała go chęć rzucić się na Jana Valjean, pochwycić go i pożreć, to znaczy aresztować. Cóż łatwiejszego bowiem jak zaalarmować pierwszy lepszy posterunek, koło którego przejeżdżali: „Oto zbiegły kryminalista!”, zawołać żandarmów i powiedzieć im: „Bierzcie go” — a potem pójść sobie, zostawić im tego przeklętego człowieka, nie troszczyć się o resztę i nie mieszać się do niczego. Nad tym człowiekiem ciąży nieodwołalnie wyrok prawa: niech prawo robi z nim, co zechce. Byłoby to najzupełniej słuszne. Javert mówił to sobie, chciał przełamać się, chciał działać, zatrzymać tego człowieka, a jednak — wtedy tak samo, jak teraz, nie mógł. Ilekroć konwulsyjnym ruchem wyciągał rękę, by chwycić Jana Valjean za kołnierz, ręka opadała, jakby ją przygniatał ogromny ciężar, a w głębi sumienia odzywał się głos, dziwny głos, który mówił: „Dobrze! wydaj swojego zbawcę, a potem każ przynieść miskę Poncjusza Piłata i umyj sobie szpony.”

A potem zwracał myśl ku sobie i obok wywyższonego Jana Valjean widział siebie, poniżonego.

Galernik był jego dobroczyńcą!

Dlaczego dopuścił do tego, aby ten człowiek darował mu życie? Miał prawo być zabitym na barykadzie. Powinien był skorzystać z tego prawa. Byłoby lepiej, gdyby zawołał innych powstańców na pomoc przeciw Janowi Valjean i kazał się rozstrzelać.

Najboleśniejszą udrękę sprawiało mu to, że nie był już niczego pewny. Czuł, że stracił grunt pod nogami. Kodeks stał się w jego ręku tylko odłamkiem strzaskanego oręża. Miał do czynienia ze skrupułami nie znanej mu natury. To , co objawiało mu uczucie, było najzupełniej sprzeczne z literą prawa, jedynym dlań drogowskazem dotychczas. Dawna uczciwość już nie wystarczała. Wyłonił się przed nim szereg nowych, nieoczekiwanych faktów i obezwładnił go. Nowy świat ukazał się jego duszy obowiązek odpłaty za doznane dobrodziejstwo, poświęcenie, miłosierdzie, współczucie, wyrozumiałość, litość zwyciężająca surowość, zrozumienie innego człowieka, niemożność wydania ostatecznego

wyroku potępienia, prawo zdolne do łez wzruszenia, jakaś sprawiedliwość kierująca przykazaniami boskimi, sprzeczna ze sprawiedliwością ludzką. Widział, jak wschodzi w mroku słońce nieznannej moralności, budząc w nim grozę i olśnienie. Był jak sowa, która musi patrzeć wzrokiem orła.

A więc mówił sobie, to prawda; wyjątki istnieją; władza może się mylić, przepis może się okazać bezsilny wobec faktu, nie wszystko da się wtłoczyć w kodeks, można dać posłuch nieprzewidzianemu; uczciwość galernika może się stać zasadzką dla uczciwości urzędnika, to, co wydawało się ohydne, może okazać się boskie, los zastawia takie pułapki; i myślał z rozpaczą, że nie uchronił się sam. od tej niespodzianki.

Musiał uznać, że dobroć istnieje. Ten galernik był dobry. I on sam — rzecz niesłychana! — też postąpił dziś, jak człowiek dobry. A więc uległ demoralizacji.

Uważał, że stchórzył. Myślał o sobie ze wstrętem.

Być ludzkim, wielkim, szlachetnym, nie, nie taki był ideał Javerta; ideał jego — to być bez zarzutu.

A oto teraz zbłądził.

Jak do tego doszedł? Jak się to stało? Nie umiałby na to odpowiedzieć. Na próżno ścisnął obiema rękami głowę, nie mógł sobie tego wytłumaczyć.

Zapewne miał zamiar oddać Jana Valjean w ręce sprawiedliwości, której Jan Valjean był jeńcem, a której on, Javert, był niewolnikiem. Kiedy miał go w swej mocy, nawet na chwilę nie przyznał się do myśli, żeby mu pozwolić odejść. Fakt, że otworzył dłoń i puścił wolno pojmanego, dokonał się jakby bez udziału jego woli.

Przeróżne nieznanne, zagadkowe rzeczy jawiły mu się przed oczyma. Zadawał sobie pytania, odpowiadał na nie i własne odpowiedzi przerażały "go". Pytał się siebie: „Co uczynił ten przestępca, ten straceniec, którego tak ścigałem, a nawet prześladowałem, kiedy miał mnie w swej mocy i mógł się zemścić, kiedy powinien się być zemścić dla zaspokojenia swej nienawiści i zapewnienia sobie bezpieczeństwa, a zamiast tego darował mi życie? Spełnił swój obowiązek. Nie. Coś więcej. A kiedy ja go ułaskawiłem, co uczyniłem? Spełniłem swój obowiązek. Nie. Coś więcej. A więc istnieje coś większego nad obowiązek?" Tu Javerta ogarniał lęk: jego waga psuła się. Jedna szala spadała w przepaść, druga wlatywała w niebo; obie jednakowo przerażały Javerta — i ta, która była w górze, i ta, która była w dole. Me zasługując w najmniejszej nawet mierze na miano wolterianina, filozofa czy niedowiarka, przeciwnie, żywiąc instynktowny szacunek dlaokościota panującego, znał go jedynie jako dostojny fragment

pewnej jedności społecznej; dogmatem jego był ład i to mu wystarczało. Odkąd stał się dojrzałym człowiekiem i urzędnikiem, uosobieniem całej jego religii stała się policja, i Javert był — mówimy tu bez cienia ironii, w najpoważniejszym znaczeniu tego słowa — był — jak powiedzieliśmy — szpiclem tak, jak się jest kapłanem. Miał jednego przełożonego: pana Gisquet; i aż do tej chwili nie myślał wcale o innym przełożonym, o Bogu.

A teraz poczuł niespodzianie tego nowego zwierzchnika, Boga, i to nim wstrząsnęło.

Ta nieoczekiwana obecność zbijała go z tropu; nie wiedział, co począć z tym przełożonym, a wiedział dobrze, że podwładny musi być zawsze uległy, nie może pozwolić sobie na nieposłuszeństwo, niezadowolenie ani krytykę, a jeśli zwierzchnik jest dla niego zbyt niezrozumiały, podwładny może zrobić tylko jedno — podać się do dymisji.

Ale jakże podać się do dymisji wobec Boga?

Jakkolwiek rzeczy się miały, jeden fakt górował nad wszystkim i do niego stale powracał Javert: popełnił straszliwe uchybienie. Zamknął oczy na to, że przestępca-recydywista przebywa na wolności. Uwolnił galernika. Ukradł sprawiedliwości człowieka, który był jej własnością. Zrobił to. Sam siebie nie rozumiał. Nie był pewien, czy to jest rzeczywiście on. Me pojmował nawet pobudek swego postępu i tylko na myśl o nim doznawał zawrotu głowy. Dotychczas żył ślepa wiara, którą rodzi ślepa uczciwość. Ta wiara opuszczała go, zawodziła go ta uczciwość. Rozwiewało się wszystko, w co wierzył, a prawdy, których nie chciał uznać, oblegały go nieubłaganie. Musiałby stać się innym człowiekiem. Odczuwał dziwny ból, jakby mu z sumienia nagle zdjęto kataraktę. Widział rzeczy, które budziły w nim wstręt. Czuł się pusty, niepotrzebny, oderwany od dawnego życia, zdegradowany, wypędzony. Władza umarła w nim. Nie miał już po co żyć.

Był wzruszony — to straszne!

Być z granitu i zwątpić! Być posągiem z jednej bryły odlanym w formie prawa i uczyć nagle, że w piersi z brązu kryje się coś głupiego i nieposłusznego, coś, co jest podobne do serca! Dojść do tego, aby dobrem odpłacać za dobro, chociaż do tej chwili było się zdania, że takie dobro to zło! Być psem łańcuchowym — i łaścić się! Być lodem i stopnieć! Być potrzaskiem, a stać się ręką, uczyć nagle, że palce się otwierają i wypuszczają zdobycz — to okropne!

Człowiek-pocisk nie zna już swojej drogi i cofa się!

Być zmuszonym wyznać sobie, że nieomyślność nie jest nieomyślna, że w

dogmacie może tkwić błąd, że nie zawsze kodeks ma ostatnie słowo, że społeczeństwo nie jest doskonałe, że autorytet może się zachwiać, że niezmiennie może się zarysować, że sędziowie są ludźmi, prawo może się mylić, trybunały popełnić błąd! Zobaczyć, że pęka olbrzymia, błękitna tafla firmamentu! To, co przeżywał Javert, można by nazwać katastrofą prostoliniowego sumienia, wykolejeniem duszy, zdruzgotaniem, uczciwości, która w swym niepohamowanym biegu po linii prostej rozbiła się o Boga. To było bardzo dziwne. A więc palacza porządku, maszynistę władzy, dosiadającego ślepego, *żelaznego* konia idącego prostym torem, może wysadzić z siodła błysk światła? A więc i to, co bezsporne, proste, poprawne, geometryczne i doskonałe, może się zachwiać? Więc i parowóz może mieć swą drogę do Damaszku?

Czy Javert rozumiał, że Bóg jest zawsze obecny w człowieku i walczy, On — prawdziwy głos sumienia — z głosem fałszywym? Czy rozumiał, że iskra nie może zgasnąć, że promień musi pamiętać o słońcu, a dusza musi rozpoznać prawdziwy absolut, konfrontując go z absolutem fikcyjnym? Czy rozumiał zwycięską ludzkość i wiecznotrwałość ludzkiego serca, to wspaniałe zjawisko, najpiękniejsze może spośród cudów naszego ducha? Czy zgłębił to? Czy zdawał sobie z tego sprawę? Rzecz jasna, nie. Tylko pod naporem tak oczywistej niepojętności czuł, że mu czaszka pęka.

Nie tyle został przeistoczony przez cud, ile padł jego ofiarą. Uległ mu z rozpaczą w sercu. Widział w tym wszystkim tylko niezmierną trudność istnienia. Zdawało mu się, że od tej chwili nie będzie mógł oddychać swobodnie.

Nie był przyzwyczajony do tego, aby mu ciążyło niewiadome.

Dotychczas wszystko, co, znajdowało się nad nim, miało w jego oczach powierzchnię gładką, prostą i przejrzystą; nie było tam nic nieznanego ani ciemnego; wszystko określone, uporządkowane, powiązane, wyraźne, dokładne, oznaczone, rozgraniczone, zamknięte, z góry przewidziane; władza była gładką płaszczyzną, nie groził na niej upadek, przed nią nie było nic, co by mogło powodować zawrót głowy. Javert widział nieznanie tylko w dołach społecznych. Wykroczenia, niespodzianki, rozwarcie chaosu, możliwość stoczenia się w przepaść były to zdarzenia możliwe w sferach najniższych, buntowniczych, złych, nędznych.

Teraz Javert spojrział w górę i został nagle porażony nieprawdopodobnym zjawiskiem: tam też była otchłań!

Jak to? Więc wszystko od góry do dołu jest zburzone? Nigdzie nic pewnego. Czemu więc ma zaufać, skoro wszystko w co wierzył, wali się w gruzy!

Jak to, czyż to możliwe, by jakiś wielkoduszny nędznik odkrył pęknięcie w pancerzu ochraniającym społeczeństwo? Jak to? Czy możliwe, aby uczciwy sługa prawa znalazł się nagle między dwiema zbrodniami — zbrodnią wypuszczenia człowieka na wolność i zbrodnią aresztowania go? Nie wszystko jest zatem pewne w poleceniach, jakie państwo wydaje urzędnikom? Bywają więc bezdroża obowiązku? I to. wszystko jest rzeczywiste? Więc to prawda, że dawny bandyta, uginający się pod brzemieniem wyroków prawa, wyprostował się i w końcu ma słuszość? To nie do wiary! A więc istnieją wypadki, w których prawo powinno się cofać przed przeistoczonym zbrodniarzem i prosić go o przebaczenie?

Tak! Tak było! Javert widział to, dotykał tego i nie tylko że nie mógł temu zaprzeczyć, ale sam brał w tym udział. To była rzeczywistość! To okropne, by rzeczywiste fakty mogły być do tego stopnia potworne.

Gdyby fakty spełniały swój obowiązek, stanowiłyby jedynie dowody prawne; fakty zsyła sam Bóg. Czyżby teraz anarchia miała zejść z nieba?

A zatem — wyolbrzymiająca wszystko udręka i złudzenie wzrokowe, spowodowane przerażeniem, zacierały to, co mogłoby ograniczyć i sprostować jego wrażenia, i w oczach Javerta społeczeństwo, ludzkość, wszechświat miały jeden prosty i ohydny kontur — a zatem prawo karne, prawomocny wyrok, sankcja prawna, orzeczenia najwyższych instancji, sądownictwo, rząd, ściganie i karanie przestępstw, urzędowa mądrość, nieomylność prawa, zasada władzy, wszystkie dogmaty, na których opiera się polityka i ład wewnętrzny, suwerenność, sprawiedliwość; logika kodeksu, idea społeczna, oficjalne prawdy, wszystko to — ruiny, gruzy, chaos, a on sam, Javert, stróż porządku, nieprzedajność na usługach policji, opatrność i pies podwórzowy społeczeństwa, jest pognębiony i zmiażdżony; a na tych gruzach stoi człowiek w zielonej czapce na głowie i w aureoli. Oto do jakiego zamętu doprowadziło go to wszystko; oto jak straszliwa wizja ukazała mu się w duszy.

To było nie do zniesienia.

Nie można sobie wyobrazić stanu gwałtowniejszego wzburzenia.

Były tylko dwie drogi wyjścia: jedna, ruszyć zdecydowanym krokiem po Jana Valjean i wtrącić do więzienia człowieka, którego miejsce było na galerach.

Druga...

Javert oderwał się od parapetu i tym razem z podniesioną głową i pewnym krokiem skierował się w stronę komisariatu, który wskazywała latarnia na jednym z rogów placu Chatelet.

Doszedłszy tam zobaczył przez szybę policjanta i wszedł do środka. Ludzie należący do policji rozpoznają się wzajemnie z samego sposobu, w jaki otwierają drzwi komisariatu. Javert wymienił swoje nazwisko, pokazał policjantowi legitymację i usiadł przy stole, na którym paliła się świeca. Stał tam również ołowiany kałamarz i leżało pióro oraz papier do spisywania ewentualnych protokołów i sprawozdań nocnych patroli. Stół taki wraz z wyplatany krzesłem stanowi urzędową instytucję i znajduje się w każdym komisariacie; zaopatrzony jest niezmiennie w bukszpanową miseczkę z trocinami, kartonowe pudełko pełne lasek czerwonego laku i jest najniższym szczeblem urzędowego stylu. Tutaj ma swój początek literatura państwowa.

Javert wziął pióro, arkusz' papieru i zaczął pisać Oto, co napisał:

### KILKA UWAG DLA DOBRA SŁUŻBY

PO PIERWSZE: proszę pana prefekta, aby sam zechciał rzucić na to okiem.

PO DRUGIE: aresztanci doprowadzeni na śledztwo zdejmują trzewiki i stoją boso przez cały czas trwania rewizji osobistej. Wielu wraca do więzienia z kaszlem. To pociąga za sobą wydatki na szpital.

PO TRZECIE: system śledzenia podejrzanych osobników za pomocą agentów, rozstawionych w pewnej odległości od siebie, jest dobry, jednakże w poważniejszych wypadkach przynajmniej dwaj agenci powinni mieć się wzajemnie na oku, gdyż jeśli dla jakiegokolwiek przyczyny jeden z nich nie wypełni swego obowiązku, drugi ma możliwość dopilnować *go* i zastąpić w potrzebie.

PO CZWARTE: nie można pojąć, dlaczego specjalny regulamin więzienia Magdalenek zabrania więźniowi mieć krzesło, nawet za opłatą.

PO PIĄTE: kantyna u Magdalenek jest odgrodzona tylko dwoma prętami, co pozwala więźniom dotykać ręki osoby sprzedającej.

PO SZÓSTE: więźniowie zwani szczekaczami, którzy wywołują innych więźniów do rozmównicy, każą sobie płacić dwa su za wyraźne wymówienie nazwiska. To kradzież.

PO SIÓDME: w warsztatach tkackich potraça się więźniom po dziesięć su od sztuki; jest to nadużycie ze strony przedsiębiorcy, gdyż płótno, tkane przez więźniów, wcale nie jest gorsze.

PO ÓSME: jest rzeczą niewłaściwą, że przychodzący na widzenie do więzienia La Force, do rozmównicy Św. Marii Egipcjanki, muszą przechodzić przez oddział kobiety. PO DZIEWIĄTE: jest rzeczą pewną, że żandarmi co dzień opowiadają

sobie na podwórzu prefektury szczegóły z przesłuchań aresztantów; policjant obowiązany jest *do* zachowywania tajemnicy; opowiadając, co słyszał w gabinecie sędziego śledczego, dopuszcza się poważnego uchybienia.

*PO DZIESIĄTE:* Pani Henry jest uczciwą kobietą; w jej kantynie panuje wzorowa czystość, ale miejsce kobiety nie jest przy drzwiach więzienia. To uchybia powadze więziennictwa w kraju wielkiej kultury.

Javert napisał to pismem najzupełniej opanowanym i starannym, nie opuszczając żadnego przecinka i głośno skrzypiąc piórem po papierze. Pod ostatnim wierszem napisał:

*Javert* Inspektor I klasy

Komisariat na placu Chatelet

7 czerwca 832 r., około pierwszej nad ranem

Wysuszył atrament, złożył arkusz jak list, zalakował, napisał na wierzchu: „Notatka dla administracji”, zostawił to pismo na stole i wyszedł z komisariatu. Zakratowane oszklone drzwi zamknęły się za nim.

Znowu przeciął na ukos plac Chatelet, wszedł na . bulwar nadbrzeżny i z precyzją automatu wrócił na miejsce, które opuścił przed kwadransem; oparł się łokciami o parapet i stanął w tym samym punkcie i w tej samej postawie, jakby się wcale nie *ruszał*.

Panowała nieprzenikniona ciemność. Była to owa grobowa pora, która następuje po północy. Gruba warstwa chmur zasłaniała gwiazdy. Niebo było jakimś zagęszczeniem grozy. W domach na wyspie Cite — żadnego światła; nigdzie żadnego przechodnia; jak okiem sięgnąć, ulice i bulwary były puste; katedra i wieże Pałacu Sprawiedliwości wydawały się konturem nocy. Na parapecie bulwaru latarnia kładła czerwoną plamę. Sylwetki mostów, jedna za drugą, roztopiały się we mgle. Rzeka przybrała po ostatnich deszczach.

Miejsce, gdzie stał Javert,, znajdowało się, jak pamiętamy, nad samym głównym nurtem, spadając pionowo na groźną spiralę wirów, która się skręca i rozkręca jak śruba bez końca.

Javert pochylił głowę i spojrział. Wszystko było czarne. Nie można było nic dojrzeć. Dochodził tylko szum spienionej fali, ale rzeki nie było widać. Czasem w tej zawrotnej głębinie pojawiał się jakiś pełzający błysk, gdyż woda ma tę właściwość, że nawet w najciemniejsze noce nie wiadomo, skąd chwyta światło i przemienia je w węże. Błyski te gasły i znów wszystko stawało się ciemnością. Zdawało się, że otwiera się tu jakiś bezmiar. W dole nie płynęła woda, lecz ziała

otchłań. Mur nadbrzeża, stromy, niewyraźnie majaczący we mgle, uciekał oczom i podobny był do krawędzi nieskończoności.

Nie widać było nic, tylko od wody ciągnął wrogi chłód i mdły zapach mokrych kamieni. Jakieś groźne tchnienie wzbijało się w górę z tej przepaści. Wezbrane wody rzeki, nie tyle dające się dostrzec, co raczej odgadnąć, tragiczny szept fal, posępny ogrom łuków mostu, myśl o możliwości upadku w tę czarną próżnię, wszystkie te mroki były pełne grozy.

Javert stał przez chwilę bez ruchu, patrząc w ten otwór ciemności; wpatrywał się w niewidzialne z natężeniem, jak gdyby ze skupioną uwagą. Woda szumiała. Nagle zdjął kapelusz i położył go na parapecie. Po chwili wysoka i czarna postać, którą spóźniony przechodzień mógłby wziąć z daleka za upiora, stanęła na parapecie, pochyliła się ku Sekwanie, znowu wyprostowała się i wyprężona spadła w ciemności; rozległ się głuchy plusk i tylko mrok był świadkiem konwulsji tej czarnej postaci, która znikła pod wodą.



# KSIEGA PIATA

## WNUK I DZIADEK

### ROZDZIAŁ I

#### W KTÓRYM, SPOTYKAMY ZNOWU DRZEWO OBITE CYNKOWĄ BLACHĄ

W jakiś czas po wypadkach, które opowiedzieliśmy, imć Boulatruelle przeżył gwałtowne wzruszenie.

Imć Boulatruelle to ów dróżnik z Montfermeil, którego spotkaliśmy już w mrocznych kartach tej książki.

Czytelnik przypomina sobie może, że ów Boulatruelle uprawiał różne i podejrzane procedery. Tłukł kamienie i napastował podróżnych na gościńcu. Ten robotnik drogowy i złodziej zarazem miał jedno marzenie: wierzył w skarby ukryte w lasach Montfermeil. Miał nadzieję, że pewnego pięknego dnia znajdzie pieniądze zakopane pod jakimś drzewem, a na razie chętnie szukał ich w kieszeniach podróżnych.

Ostatnio jednak zachowywał się ostrożnie. Cudem wy dostał się z opałów. Jak wiemy, został aresztowany na poddaszu Jondrette'a wraz z innymi bandytami. Nałóg może czasem okazać się pożyteczny: pijaństwo uratowało go. Nie zdołano nigdy wyjaśnić, czy znalazł się tam jako rabuś, czy jako obrabowany. Sprawa jego została umorzona na podstawie niezbitcie stwierdzonego faktu, że w czasie zasadzki był kompletnie pijany; wyszedł więc na wolność. Umknął na wieś. Wrócił na swój gościniec z Gagny do Lagny i pod nadzorem administracyjnym, na koszt państwa, wziął się do jego naprawy, z nosem spuszczonego na kwintę i bardzo markotny; ochłócił nieco w zapałach do kradzieży, która omal nie stała się przyczyną jego zguby, ale za to tym tkliwszym uczuciem obdarzał swego wybawcę — wino.

A oto, co poruszyło go do żywego wkrótce po powrocie pod strzechę z darni dróżniczej budki. Pewnego ranka, nieco przed wschodem słońca, Boulatruelle idąc, jak zwykle, do pracy — a może i na jakąś zasadzkę — dostrzegł przez gałęzie człowieka, którego sylwetka wydała mu się znajoma, chociaż widział ją tylko od tyłu, i to z daleka w porannej mgle. Mimo że pijak, Boulatruelle miał dobrą i wierną pamięć, tę nieodzowną broń każdego, kto pozostaje w pewnej niezgodzie z prawem.

„Gdzie, u diabła, widziałem coś podobnego do tego osobnika?” — zastanawiał

się.

Ale potrafił odpowiedzieć sobie tylko tyle, że ten człowiek przypominał kogoś, po kim pozostał mu w pamięci zaledwie niewyraźny ślad.

Poza nieudanymi usiłowaniami, żeby sobie przypomnieć, kto to może być, Boulatruelle poczynił w myśli różne skojarzenia i obliczenia. Człowiek ów nie mieszkał w tych stronach. Przyszedł tu skądś, i to, oczywiście, piechotą, bo żaden dyliżans nie przejeżdża o tej porze przez Montfermeil. Musiał iść przez całą noc. Skąd? Z niedaleka, bo nie miał ani plecaka, ani zawiniątka. Na pewno z Paryża. Po co się zjawił w tym lesie, i to o takiej porze? Co tu robił?

Boulatruelle pomyślał o skarbie. Dopóty łamał sobie głowę, aż wreszcie przypomniał sobie, że już raz przed kilku laty obudził jego podejrzenia pewien człowiek, którym, jak mu się wydawało, mógł być właśnie ten osobnik.

Tak medytując pochylił głowę pod ciężarem myśli; naturalny to odruch, ale niezbyt fortunny. Kiedy ją podniósł, nic już nie było widać. Człowiek znikł w lesie i w mroku.

„A, do pioruna! — rzekł Boulatruelle — już ja go znajdę. Odkryję, co to za ptaszek! Ten podejrzany wólczyga łązi tu nie bez kozery, ale dowiem się, czego szuka. W moim lesie nikt nie może mieć tajemnic, w które ja bym nie wsadził nosa.”

Wziął swoją motykę, która była bardzo ostra.

„Ano — mruknął — jest czym poszperać w ziemi i w człowieku.”

I tak jak związuje się jedną nić z drugą, ruszył pospiesznie w kierunku, w którym najprawdopodobniej poszedł tamten człowiek, i zapuścił się w zarośla.

Gdy przebiegł ze sto kroków, przyszedł mu z pomocą świt, który właśnie się budził. Siady stóp rozrzucone na piasku, zdeptana trawa, złamane wrzosy, przygięte gałązki krzaków, prostujące się z powolnym wdziękiem, jak ramiona pięknej kobiety, która przeciąga się po obudzeniu — naprowadzały go na trop. Przez pewien czas szedł za nim, potem go zgubił. Czas upływał. Zapuścił się głębiej w las i doszedł do niewielkiego wzniesienia. Jakiś myśliwy, który o poranku przechodził w oddali leśną ścieżyną, gwizdząc piosenkę *Kum Guilleri*, nasunął mu myśl wdrapania się na drzewo. Boulatruelle, chociaż stary, był zwinny. O parę kroków stał wysoki buk, godny Tityra i Boulatruelle. Wdrapał się na niego, jak mógł najwyżej.

Pomysł był dobry. Badając okolicę w stronie, gdzie las jest szczególnie gęsty i dziki, Boulatruelle zobaczył nagle swojego człowieka.

Ledwo spostrzegł, już stracił go z oczu.

Człowiek wszedł, a raczej wśliznął się na dość odległą i zasłoniętą wysokimi drzewami polankę; ale Boulatruelle znał ją doskonale i wiedział, że przy kupie kamieni rośnie tam chory kasztan, obandażowany przybitą do kory blachą. Tę polankę nazywano niegdyś porębą Blaru. Kupa kamieni, przeznaczonych na niewiadomy użytek, która leżała tam przed trzydziestu laty, leży zapewne po dziś dzień. Nic nie da się porównać z długotrwałością kupy kamieni, oprócz może ogrodzenia z desek. I jedno, i drugie jest prowizoryczne. Najlepszy powód, aby trwało bez końca.

Boulatruelle ze zwinnością radości raczej zeskoczył, niż zszedł z drzewa. Legowisko już odkryte, teraz trzeba złowić zwierza. Zapewne tam znajdował się ów słynny, wymarzony skarb.

Niełatwo było dojść do polany. Wydeptane ścieżki, wijące się jak na złość w tysiące zygzaków, doprowadziłyby go tam w ciągu dobrego kwadransa. Idąc na przełaj przez gęstwinę, która jest tutaj szczególnie zbita, kolczasta i czepliwa, trzeba było zmitrężyć więcej niż pół godziny. Boulatruelle popełnił błąd nie biorąc tego pod uwagę. Zawierzył prostej drodze; szacowne złudzenie wzrokowe, które bywa przyczyną zguby wielu ludzi. Najeżony gąszcz wydał mu się dobrą drogą.

„Pójdźmy tą wilczą ścieżką” — powiedział.

Boulatruelle, przywykły chodzić krętymi drogami, tym razem idąc prosto popełnił błąd.

Skoczył odważnie w plątaninę krzewów.

Musiał walczyć z ostrokrzewami, pokrzywami, tarniną, głógami, ostami i kolczastymi cierniami. Podrapał się bardzo.

Na dnie wąwozu natrafił na potok, który musiał przebyć.

Wreszcie po czterdziestu minutach wędrówki doszedł do polany Blaru, spocony, przemoczony, zadyszany, podrapany, wściekły.

Na polanie nie było nikogo.

Boulatruelle podbiegł do kupy kamieni. Leżały na swoim miejscu. Nikt ich nie zabrał.

Człowiek zaś znikł w lesie. Wymknął się. Gdzie? Którędy? W jaką wszedł gęstwinę? Nie podobna odgadnąć.

A co najgorsze, za kamieniami, u stóp drzewa opasanego blachą Boulatruelle zobaczył świeże wzruszoną ziemię, zapomnianą czy porzuconą motykę i dół.

Dół był pusty.

„A, złodzieju!” — zawołał Boulatruelle wygrażając komuś w oddali obiema pięściami.

## ROZDZIAŁ II

### PO WYJŚCIU Z JEDNEJ WOJNY DOMOWEJ MARIUSZ GOTUJE SIĘ DO DRUGIEJ

Długi czas Mariusz był między życiem a śmiercią. Przez kilka tygodni majaczył, miał gorączkę i dość poważne objawy zaburzeń mózgowych spowodowanych nie samymi ranami, ale raczej wstrząsami, których doznał odnosząc te rany głowy.

Przez całe noce z ponurą gadatliwością gorączki i złowieszczym uporem agonii powtarzał imię Kozety. Wielkość niektórych ran stanowiła poważne niebezpieczeństwo, gdyż ropa takich ran — przy pewnych wpływach atmosferycznych — może zostać wchłonięta przez organizm i, co za tym idzie, zabić chorego; lekarz niepokoił się przy każdej zmianie pogody, przy lada burzy. „Przed wszystkim trzeba choremu oszczędzać wzruszeń” — powtarzał. Opatrunki były skomplikowane i trudne, w owych czasach bowiem umocowanie łubek i bandaży przy pomocy plastra angielskiego nie było jeszcze znane. Nikoleta zeskubała na szarpie prześcieradło „wielkie niczym sufit” — jak mówiła. Obmywania roztworem chlorku i lapisowanie z trudem zdołały zapobiec gangrenie. Dopóki istniało niebezpieczeństwo, pan Gillenormand siedział nieprzytomny z przerażenia przy łóżku wnuka i, jak on był między życiem a śmiercią.

Codziennie, a czasem dwa razy dziennie, jakiś siwy pan, bardzo przyzwoicie ubrany (taka była relacja dozorczy) dowiadywał się o zdrowie rannego i zostawiał dużą paczkę szarpi na opatrunki.

Wreszcie 7 września, dokładnie w cztery miesiące po tragicznej nocy, w której przyniesiono umierającego Mariusza do domu dziadka, doktor oświadczył, że ręczy za jego życie. Zaczęła się rekonwalescencja. Ale z powodu złamanego obojczyka Mariusz musiał jeszcze przeszło dwa miesiące leżeć na szeszlunku. Zwykle tak bywa, że jakaś ostatnia rana nie chce się zabić i przeciąga w nieskończoność opatrunki — ku wielkiemu utrapieniu chorego.

Zresztą długa choroba i powolny powrót do zdrowia uchroniły Mariusza przed poszukiwaniami władz. We Francji żaden gniew, nawet publiczny, nie trwa dłużej niż pół roku. W obecnym stanie społeczeństwa zamieszki są tak dalece winą wszystkich, że po nich następuje konieczność przymknięcia oczu na wiele spraw. Dodajmy, że niesłychane zarządzenie Gisqueta, które nakazywało lekarzom denuncjowanie rannych, oburzyło opinię publiczną, i nie tylko opinię, lecz przede wszystkim króla; oburzenie to kryło i osłaniało rannych; z

wyjątkiem tych, którzy zostali ujęci z bronią w ręku, sądy wojenne nie ośmieliły się niepokoić nikogo.

Zostawiono więc Mariusza w spokoju.

Pan Gillenormand przeżył najpierw wszystkie udręki rozpacz, a potem wszystkie uniesienia radości. Z trudem zdołano go odwieść od zamiaru czuwania nocami przy rannym; kazał ustawić swój wielki fotel przy łóżku Mariusza; zażądał, by córka brała na bandażę i kompresy najpiękniejszą bieliznę, jaka była w domu. Panna Gillenormand, jako osoba niemłoda i roztropna, znalazła sposób, aby ocalić piękną bieliznę, utwierdzając ojca w przekonaniu, że usłuchano jego rozkazów. Pan Gillenormand nie dawał się przekonać, że na szarpie lepsze jest grube płótno niż batyst i stare płótna niż nowe. Był obecny przy wszystkich opatrunkach, podczas których panna Gillenormand wstydliwie wychodziła z pokoju. Kiedy Mariuszowi odcinano zgangrenowane kawałki ciała, starzec krzyczał: „Aj! aj!” Wzruszający był widok, kiedy drżącymi, starymi rękami podawał rannemu ziółka w filiżance. Zasypywał lekarza pytaniami i nie spostrzegając nawet, że ciągle pyta o to samo.

Owego dnia, kiedy lekarz mu oznajmił, że Mariusz jest poza niebezpieczeństwem, staruszek oszalał z radości. Dał trzy ludwiki odźwiernemu. Wieczorem, wróciwszy do swego pokoju, zatańczył gawota, trzaskając palcami jak kastanietami, i zaśpiewał taką piosenkę:

Jeanne, jak pasterka miła, W Fougere się urodziła, Ja kocham tą dziewczynką — Szelmeczką.

Choć moja miłość wierna, Ona, niemiłosierna, Śle z oczu nie pieśczoły, A groty.

Ach, wielbię, ukochana, Piękniejsza niżli Diana, Bretońskie tve cycuszka — Jabłuszka.

Po czym ukląkł na krześle i Baskijczyk, który go podglądał przez uchylone drzwi, zawyrokował, że starzec modli się.

Dotychczas nie wierzył w Boga.

Wraz z każdą nową fazą polepszenia, które stawało się coraz wyraźniejsze, dziadek popełniał nowe dziwactwa. „Robił machinalnie tysiące rzeczy, w których znajdowała ujście jego radość; bez żadnego powodu biegał tam i z powrotem po schodach. Sąsiadka, wcale zresztą ładna, zdumiała się ogromnie, otrzymawszy pewnego ranka olbrzymi bukiet; przysłał go pan Gillenormand. Mąż zrobił jej scenę zazdrości. Pan Gillenormand próbował wziąć Nikoletę na kolana. Tytułował Mariusza panem baronem i wołał: „Mech żyje Republika!”

Co chwila pytał lekarza: „Nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo, prawda?” Wpatrywał się w Mariusza wzrokiem czulej babci. Kiedy Mariusz jadł, nie spuszczał z niego oczu. Tracił głowę ze szczęścia, uważał się za nic, Mariusz był panem domu, dziadek z radości abdykował i stał się wnukiem swego wnuka.

Wśród tej radości pan Giillenormand stawał się czcigodnym, starym dzieckiem. Nie chcąc zmęczyć rekonwalescenta ani mu się naprzykrzać, stawał za nim i uśmiechał się *do niego*. Był zadowolony, wesoły, zachwycony, czarujący, młody. Siwe włosy nadawany łagodnego majestatu jasnej radości rozlanej na jego twarzy. Wdzięk połączony ze zmarszczkami jest godny uwielbienia. W szczęściu starości jest jakiś blask jutrzeńki.

A Mariusz, pozwalając się opatrywać i pielęgnować, myślał wyłącznie o jednym o Kozecie.

Odkąd gorączka i maligna opuściły go, nie wymawiał już jej imienia i można było sądzić, że o niej nie myśli. Ale on milczał, właśnie dlatego że całą duszą był przy niej.

Nie wiedział, co się stało z Kozetą, wszystkie wydarzenia z ulicy Konopnej majaczyły mu się w pamięci jak mglisty obłok; niewyraźne cienie snuły się w jego umyśle, Eponina, Gavroche, pan Mabeuf, Thenardierowie, tragiczne postacie przyjaciół spowite dymami barykady. Dziwne zjawienie się pana Fauchelevent w tej krwawej przygodzie było dla niego zagadką wśród nawałnicy. Nie rozumiał, dlaczego żyje, nie wiedział, kto go ocalił ani w jaki sposób, i nikt z domowników też tego nie wiedział; mogli mu powiedzieć tylko tyle, że został przywieziony dorożką w nocy na ulicę Panien Kalwaryjskich. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość stały się dla niego mglistymi pojęciami, ale w tej mgle jeden punkt trwał nieruchomo, jedna droga rysowała się wyraźnie i jasno, jedna rzecz pozostawała niewzruszona jak granit, jedno postanowienie, jedno pragnienie: odnaleźć Kozetę. Dla niego myśl o życiu łączyła się nierozzerwalnie z myślą o Kozecie; postanowił w głębi serca, że nie zgodzi się żyć bez niej, i powziął niezłomną decyzję, że będzie żądać od każdego, kto go zmusi do życia — od dziadka, od losu, od piekła — aby mu przywrócił raj utracony.

Nie ukrywał przed sobą czekających go trudności.

Podkreślamy tu jeden szczegół: wszystkie starania dziadka, cała jego wielka tkliwość nie podbiły i nie rozczuliły Mariusza. Po pierwsze nie o wszystkim wiedział; po drugie w rozmyślaniach w czasie choroby, może jeszcze rozgorączkowanych, doszedł do wniosku, że nie należy ufać tym tak dziwnym i nieoczekiwanym czułościom, które zapewne zmierzały do ujarzżenia go. Przyjmował je chłodno. Biedny dziadek trwoniał na marne swój stary uśmiech.

Mariusz mówił sobie, że wszystko jest dobrze, póki on, Mariusz, nie odzywa się i niczemu nie sprzeciwia; ale gdy wspomni o Kozecie, dziadek pokaże mu inną twarz i prawdziwy jego stosunek do wnuka wówczas wyjdzie na jaw. To będzie ciężka przeprawa. Znowu zaczną się wypytywania o rodzinę, porównywanie pozycji towarzyskiej, wszystkie złośliwe przycinki i zastrzeżenia na raz, Fauchelevant, Coupelevant, gadanie o majątku, ubóstwie, nędzy, kamieniu u szyi, przyszłości. Gwałtowny sprzeciw; a w rezultacie — odmowa. Mariusz zawczasu gotował się do walki.

A poza tym, w miarę jak wracał do życia, odzywały się dawne urazy, otwierały się stare rany pamięci; wspominał przeszłość, pułkownik Pontmercy znowu stawał między nim a dziadkiem i Mariusz mówił sobie, że nie może się spodziewać prawdziwej dobroci po kimś, kto był tak niesprawiedliwy i twardy dla jego ojca. Tak więc razem ze zdrowiem wracała cierpka niechęć do dziadka. Pan Gillenormand cierpiał w milczeniu.

Pan Gillenormand, choć tego nie okazywał, zauważył jednak, że Mariusz, od chwili kiedy go tu przyniesiono i odkąd odzyskał przytomność, ani razu nie powiedział mu: „Dziadku.” Nie mówił mu co prawda: „Proszę pana”, ale zawsze tak budował zdania, żeby uniknąć jednego i drugiego.

Nie ulegało wątpliwości, że zbliża się przełomowa chwila.

Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, przed przystąpieniem do walnej bitwy Mariusz rozpoczął z dziadkiem próbną utarczkę, czyli jak to się mówi, zbadał grunt. Pewnego poranka pan Gillenormand z powodu jakiegoś artykułu w gazecie, która mu wpadła w ręce, wyraził się lekceważąco o Konwencie i rzucił jakąś rojalistyczną sentencję na temat Dantona, SaintJusta i Robespiera'a.

— Ludzie dziewięćdziesiątego trzeciego roku byli olbrzymami! — odparł surowo Mariusz.

Starzec umilkł i przez cały dzień nie odezwał się słowem.

Mariusz, który miał zawsze w pamięci nieugięty charakter dziadka znany mu od najmłodszych lat, dopatrzył się w tym milczeniu tłumionego, wielkiego gniewu; wysnuł z tego wniosek, że walka będzie zacięta, i skrycie zaczął mnożyć w myśli przygotowania do boju.

Postanowił, że w razie odmowy poszarpie bandażę, rozerwie zestawiony obojczyk, rozjątrzy niezabliźnione rany i odmówi przyjmowania wszelkiego pokarmu. Rany były jego orężem. Dostanie Kozetę lub umrze.

Czekał na sprzyjającą chwilę z podstępną cierpliwością chorego. Chwila ta nadeszła.





## ROZDZIAŁ III

### MARIUSZ ATAKUJE

Pewnego dnia, kiedy panna Gillenormand porządkowała buteleczki i filiżanki na marmurowym blacie komody, pan Gillenormand nachylił się nad Mariu szem i odezwał się do niego najczulszym głosem:

— Wiesz co, Mariuszkule, na twoim miejscu jadłbym teraz raczej mięso niż ryby. Smażona sola jest doskonała na początku rekonwalescencji, ale nic tak nie stawia chorego na nogi, jak dobry kotlet.

Mariusz, który odzyskał już prawie wszystkie siły, zebrał je teraz, usiadł na łóżku, położył zaciśnięte dłonie na kołdrze, zmarszczył groźnie twarz i rzekł:

— To mnie zmusza do oświadczenia pewnej rzeczy.

— Co takiego?

— Chcę się ożenić.

— Przewidziane! — rzekł dziadek i roześmiał się.

— Jak ta, przewidziane?

— A tak, przewidziane. Dostaniesz swoją dziewczynkę.

Mariusz, osłupiały i olśniony, zadrżał na całym ciele.

Pan Gillenormand mówił dalej:

— Tak, dostaniesz tę śliczną, tę uroczą dziewczyną. Przychodzi tu codziennie w postaci starego jegomościa, żeby się dowiedzieć o twoje zdrowie. Odkąd jesteś ranny, po całych dniach tylko płacze i skubie szarpie. Zasięgnąłem o niej informacji. Mieszka na ulicy Człowieka Zbrojnego, pod Sumerem siódmym. A, więc to o to chodzi. Chcesz ją? Doskonale, dostaniesz ją. Zaskoczyło cię to, co? Uknułeś sobie spisek i pomyślałeś: „Powiem bez ogródek, czego chcę, dziadkowi, tej mumii z czasów Regencji i Dyrektoriatu, temu staremu Adonisowi, Dorantowi, który się przemienił w Geronta ; on miał też swoje awanturki, swoje miłostki, swoje gryzетки i swoje Kozetki; on miał też pstro w głowie, latał za spódniczkami, fruwał w obłokach i upijał się nektarem wiosny; musi sobie to przypomnieć. Zobaczymy. Wypowiadam mu wojnę." Trzeba przyznać, że chwytasz byka za rogi. To dobrze. Ja. cię częstuję kotletem, a ty

odpowiadasz: „A propos, chcę się żenić.”

Nie ma co, ładne skojarzenie! Liczyłeś na sprzeczkę, co? nie wiedziałeś, że jestem stary tchórz. I co na to powiesz? Dąsasz się? Nie myślałeś, że dziadek jest jeszcze głupszy od ciebie; zmarnowała się mówka, którą miałeś mnie uraczyć, panie adwokacie! To irytujące. Ano, trudno, złość się. Zatkąło cię, głuptasie,- że robię to, co ty chcesz. Posłuchaj. Dowiedziałem się wszystkiego, bo ja też jestem chytry; ona jest urocza, jest cnotliwa, ta historia z lansjerem to blaga; naskubała ci całe stopy szarpi; to prawdziwy klejnot, ubóstwia cię. Gdybyś umarł, pogrzebaliby nas troje; jej trumna towarzyszyłaby mojej. Kiedy ci się polepszyło, przyszło mi nawet do głowy, żeby ją po prostu usadzić przy twoim łóżku, ale tylko w powieściach zjawiają się dziewczęta tak obcesowo u wezgłowa przystojnych chorych, do których żywią sentyment. W życiu tak nie bywa. Co by powiedziała na to twoja ciotka? Prawie cały czas leżałeś nagi, mój chłopcze. Zapytaj Nikolety, która nie odstępowała cię na krok, czy można było wprowadzić tutaj kobietę. A poza tym, co by na to powiedział doktor? Ładna dziewczyna nie uśmierza gorączki. Ale co tam, nie mówimy już o tym, powiedziane, skończone, przypieczętowane — bierz ją. Taki jestem okrutny. Wiedziałem, uważasz, że minie nie kochasz, więc pomyślałem sobie: „Co by tu zrobić, żeby ta bestia mnie pokochała? Aha! mam pod ręką tę małą Kozetę, dam mu ją, a wtedy musi mnie trochę pokochać albo powiedzieć, czemu nie kocha” A tyś się spodziewał, że stary zacznie się wściekać, wrzeszczeć, krzyczeć: „nie pozwolę!”, i wygrażać laską nad całą tą jutrzenką. Nic podobnego. Kozeta? Proszę bardzo. Miłość? Proszę bardzo. Niczego więcej nie pragnę. Proszę, niech pan raczy się ożenić. Bądź szczęśliwy, moje dziecko' kochane. Powiedziawszy to, starzec rozszlochał się. Objął głowę Mariusza, przycisnął ją oburącz do starej piersi i płakali tak obaj; jest to jedna z form najwyższego szczęścia. — Dziadku! — zawołał Mariusz. — Ach, więc jednak kochasz mnie! — powiedział starzec. Nadeszła chwila niewysłowiona. Łkanie dusiło ich, nie mogli mówić.

Wreszcie starzec wyjąkał:

— No, nareszcie odkorkował się. Powiedział mi: „Dziadku!”

Mariusz oswobodził głowę z objęć dziadka i zapytał łagodnie:

— Dziadku, teraz kiedy jestem zdrów, sądzę, że mógłbym ją zobaczyć. — I to zostało przewidziane, zobaczysz ją jutro.

— Dziadku!

— Co?

— Dlaczego nie dziś?

— Zgoda, dziś. Niech będzie dziś. Nazwałeś mnie trzy razy dziadkiem, więc ci się to należy. Zajmę się tym i przyprowadzę tu ją do ciebie. To było przewidziane, powiadam ci, a nawet już dawno, opisane wierszem. Tak kończy się elegia *Chory chłopiec* Andrzeja Chenier, tego Andrzeja Chenier, którego zarżnęli ci zbrodniarze z roku dziewięćdziesiątego trzeciego.

Panu Gillenormand zdawało się, że dostrzegł lekkie zmarszczenie brwi u Mariusza, który — musimy to po wiedzieć — nie słyszał nawet słów dziadka, tonąc w zachwycie i myśląc o Kozecie, a nie o roku 1793. Dziadek, przerażony swoją niefortuną uwagą o Andrzeju Chenier, zaczął mówić z pośpiechem:

— „Zarżnęli” to nie jest właściwe słowo. Rzecz w tym, że ci wielcy geniusze rewolucji, którzy wcale nie byli złymi ludźmi, nie! nie! bynajmniej, którzy byli, słowo daję, bohaterami, uważali, że Andrzej Chenier trochę im zawadza, i zgiloty... to jest chciałem powiedzieć, że w interesie ocalenia publicznego ci wielcy mężowie siódmego Thermidora poprosili Andrzeja Chenier, żeby zechciał łaskawie wejść na...

Rozpoczęte zdanie utkwilo panu Gillenormand w gardle; nie mógł go dokończyć, a że było już za późno, aby cofnąć wypowiedziane słowa, więc, podczas gdy jego córka poprawiała Mariuszowi poduszki, starzec, wzburzony tyłoma wzruszeniami, wybiegł z pokoju tak szybko, jak mu na to wiek pozwalał, zatrzaskał drzwi za sobą i czerwony, zasapany, zapieniony, a wytrzeszczonymi oczami wpadł na pocziwego Baskijczyka, który w przedpokoju czyścił buty. Chwycił go za kołnierz i wrzasnął mu z wściekłością prosto w nos:

— Do stu tysięcy fur beczek diabłów, ci zbrodniarze go zamordowali!

— Kogo, proszę pana?

— Andrzeja Chenier!

— Tak jest, proszę pana — odpowiedział przerażony Baskijczyk.

## ROZDZIAŁ IV

### PANNA GILLENORMAND PRZESTAJE MIEĆ ZA ZŁE PANU FAUCHELEVENT, ŻE PRZYSZEDŁ NIOSĄC COŚ POD PACHĄ

Kozeta i Mariusz ujrzeli się znowu.

Rezygnujemy z opisu tego spotkania. Są rzeczy, których nie podobna odmalować; do ich liczby należy słońce.

Cała rodzina, nie wyłączając Baskijczyka i Nikolety, była zebrana w pokoju Mariusza, kiedy Kozeta weszła.

Staneła na progu; zdawało się, że otacza ją promienista gloria.

W tej właśnie chwili dziadek miał wytrzeć nos; znieruchomiał na jej widok i trzymając chustkę przy nosie, spojrzał na Kozetę.

— Czarująca! — zawołał.

I wytarł z hałasem nos. Kozeta była wniebowzięta, upojona, zachwycona, zalękniona. Czuła również pewien niepokój, o ile szczęście może niepokoić. Jąkała jakieś słowa, bladła i płonila się na przemian, chciała rzucić się Mariuszowi w ramiona i nie śmiała tego uczynić. Wstydzila się, że tyle osób patrzy na jej miłość. Ludzie nie mają litości dla szczęśliwych kochanków; zostają przy nich, gdy oni najbardziej pragnęliby samotności. A przecież ludzie są im zupełnie niepotrzebni.

Za Kozetą wszedł towarzyszący jej mężczyzna, siwowłosy, poważny, choć uśmiechnięty jakimś bladym, boleśnym uśmiechem. Był to „pan Fauchelevant”; był to Jan Valjean.

Był bardzo przyzwoicie ubrany, jak mówił dozorca; miał czarne nowe ubranie i biały krawat.

Dozorca był o tysiiąc mil od tego, by w tym czcigodnym mieszczaninie o wyglądzie notariusza poznać przerażającego nosiciela trupów, który stanął przed jego bramą w nocy 7 czerwca, obdarty, zabłocony, ohydny, w półprzytomny, z twarzą pokrytą skorupą krwi i błota, niosąc zemdlonego Mariusza — jednakże stróżowski węch działał. Kiedy pan Fauchelevant przyszedł z Kozetą, dozorca zwierzył się po cichu żonie: „Nie wiem dlaczego, ale ciągle mi się wydaje, że gdzieś tę twarz już widziałem.”

W pokoju Mariusza pan Fauchelevant stanął przy drzwiach, jakby na uboczu. Trzymał pod pachą niewielką paczkę, podobną do książki formatu in octavo owiniętą w papier. Papier był zielonkawy i jakby zapleśniały.

— Czy ten pan zawsze nosi książki pod pachą? — szeptem zapytała Nikoletę panna Gillenormand, która bardzo nie lubiła książek.

— Cóż, to jakiś uczonec — również szeptem odpowiedział pan Gillenormand, dosłyszawszy jej słowa. — Cóż z tego, czy to jego wina? Mój znajomy, pan Boulard, też nigdy nie wychodził bez książki i też zawsze ścisnął pod pachą jakieś stare tornisko.

Po czym skłonił się i rzekł głośno:

— Panie Tranchelevant...

Dziadek Gillenormand nie zrobił tego umyślnie; przekręcanie nazwisk należało do jego arystokratycznych manier.

— Panie Tranchelevant, mam zaszczyt prosić pana o rękę panny Tranchelevant dla mojego wnuka, pana barona Mariusza Pontmercy.

„Pan Tranchelevant” skłonił się.

— Jesteśmy po słowie! — rzekł dziadek.

I zwracając się do Mariusza i Kozety, wyciągnął ręce gestem błogosławieństwa, wołając:

— Możecie się ubóstwiać!

Nie kazali sobie tego powtarzać dwa razy. Zaczęły się szczebioty. Rozmawiali po cichu, Mariusz pół siedząc na szeszlunku, Kozeta stojąc przy nim.

— O mój Boże — szeptała Kozeta — więc znowu pana widzę. To ty! To pan! Po co było chodzić na barykady? To okropność! Przez cztery miesiące byłam jak nieżywa. O, to bardzo brzydko z pana strony, że pan poszedł bić się. Co ja panu takiego zrobiłam? Przebaczam, ale już niech pan nigdy tego nie robi! Kiedy teraz przysłano po nas, myślałam, że umrę, ale tym razem z radości. Tak mi było smutno. Nawet się nie przebrałam, muszę wyglądać jak strach na wróble. Mam taki pomięty kołnierzyk, co pana rodzina powie na to? No niechże pan się odezwie! Cały czas tylko ja mówię i mówię. Mieszkamy przy ulicy Człowieka Zbrojnego. Podobno pan miał taką straszną ranę w ramieniu; słyszałam, że pięść mogłaby się w niej zmieścić. I podobno obcinali panu ciało nożyczkami. To okropne! Oczy sobie wyplakałam. Aż dziwne, że można tak bardzo cierpieć.

Pana dziadek wygląda na bardzo miłego staruszka. Proszę się nie ruszać, proszę się nie opierać na łokciu, bo będzie bolało. Ach, jakaż ja jestem szczęśliwa! Skończyły się nasze niedole. Zupełnie tracę głowę. Miałam panu tyle do powiedzenia, a teraz sama nie wiem, co mówię. Czy pan mnie jeszcze kocha? Mieszkamy na ulicy Człowieka Zbrojnego. Nie ma tam ogrodu. Przez cały czas skubałam szarpie; o proszę, niech pan spojrzy, mam odciski na palcach! To pana wina, mój panie.

— Aniele! — odpowiedział Mariusz.

Anioł — to najbardziej wytrzymałe słowo w mowie ludzkiej; każde inne nie zniosłoby tak niemiłosiernego nadużywania go przez kochanków.

Potem, ze względu na obecność tylu osób, umilkli; nie mówili nic, tylko delikatnie ściskali się za ręce. .

Pan Gillenormand odwrócił się do wszystkich obecnych i zawołał: — Rozmawiajcie głośno, gadajcie między sobą, krzyczcie. Nuże, róbcie trochę hałasu, do diabła, żeby te dzieci mogły sobie swobodnie pogwarzyć.

I zbliżywszy się do Mariusza i Kozety, rzekł im po cichu:

— Mówcie sobie po imieniu, nie krępujcie się. Ciotka Gillenormand z osłupieniem patrzyła na to wtargnięcie światła w jej starczy dom. Osłupienie to nie miało w sobie nic nieprzyjaznego; nie było to zgorszone i zazdrosne spojrzenie sowy na dwie turkawki, lecz raczej bezmyślny wzrok biednego, pięćdziesięciosiedmioletniego niewiniątka; zmarnowane życie patrzyło na triumf miłości.

— Panno Gillenormand starsza — rzekł do niej ojciec — a mówiłem, że i ciebie to spotka.

I po chwili milczenia dodał:

— Przypatrz się szczęściu innych. Po czym zwrócił się do Kozety:

— Jakaż ona jest ładna! Jaka ładna. Prawdziwy Greuze . I ty będziesz miał te wszystkie skarby dla siebie, ty wisusie! Udało ci się, hultaju, dziękuj Bogu, że nie jestem p jakieś piętnaście lat młodszy, bo pojedynkowalibyśmy się o nią. Tak, zakochałem się w pani, panno Kozeto. Nic dziwnego. To pani prawo. Ach, jakie piękne wesele urządzamy sobie! Należymy do parafii Św. Dionizego, ale postaram się o dispensę, żebyście mogli wziąć ślub w kościele Św. Pawła. Ten kościół jest o wiele wytworniejszy, zbudowali go jezuici. Milutki kościółek. Stoi naprzeciwko fontanny kardynała Birague. Prawdziwe arcydzieło jezuickiego budownictwa znajduje się w Namur, to kościół SaintLoup. Jak się pobierzecie,

powinniście tam. pojechać, bo naprawdę warto. Panno Kozeto, podzielana w zupełności pani zapatrywanie, uważam, że młode dziewczęta powinny wychodzić za męża, bo na to są stworzone. Zostać dziewicą może to rzecz bardzo piękna, ale bardzo chłodna. Pismo święte powiada: „Rozmnażajcie się!” Żeby ocalić naród, potrzebna jest Joanna d'Arc; ale żeby stworzyć naród, potrzebna jest matka Gigogne . A więc wychodźcie za męża, ślicznotki! Dalibóg nie rozumiem, po co zostawać starą panną. Wiem oczywiście, że cieszą się one specjalną czcią i z braku laku należą do sodalicji mariańskiej. Ale, do licha, przystojny mąż, zuch chłopak, a po roku tłusty, jasnowłosy brzdąc, który się ostro zabiera do ssania, ma fałdki tłuszczu na nogach i bije matkę po piersi różowymi łapkami, roześmiany jak jutrzienka, to doprawdy więcej warte niż trzymanie gromnicy w czasie nieszporów i śpiewanie *Turris eburnea!*

Dziadek okręcił się jak fryga na swoich dziewięćdziesięcioletnich nogach i mówił dalej jak nakręcona sprężyna:

Ach, więc wreszcie sny rzucisz i bieg marzeń zmienisz, Alcypcie, i już wkrótce chyba się ożenisz.

— Ale! Ale! Mariuszu!

— Go, dziadku?

— Wszak miałeś jakiegoś serdecznego przyjaciela?

— Tak, Courfeyraca.

— Co się z nim stało?

— Zginął.

— To doskonale!

Usiadł przy nich, posadził Kozetę i ujął ich ręce w swoje stare, pomarszczone dłonie.

— Ta pieszczotka jest czarująca. Ta Kozeta to arcydzieło. Mała dziewczynka i wielka dama. Szkoda, że będzie tylko baronową, jest stworzona na markizę. Popatrzcie, co za rzęsy. Moje dzieci, wbijcie sobie dobrze w łepetyny, że macie świętą rację; kochajcie się! Zgłupiejcie z miłości! Miłość to głupota ludzi i mądrość Boga. Uwielbiajcie się. Tylko — dodał, zasępiwszy się nagle — co za nieszczęście. Przypomniałem sobie właśnie, że przeszło połowa tego, co posiadam, to dożywocie; póki będę żył, pół biedy, ale po mojej śmierci, za jakieś, dwadzieścia lat, O moje biedne dzieci, zostaniecie bez grosza. Piękne białe rączki pani baronowej będą klepać biedę.



Tu odezwał się poważny, spokojny głos.

— Panna Eufrazja Fauchelevant ma sześćset tysięcy franków posagu.

Był to głos Jana Valjean.

Dotychczas nie wyrzekł ani słowa; wszyscy zapomnieli o jego obecności, a on stał nieruchomy za tymi szczęśliwymi ludźmi.

— Któż to taki, ta panna Eufrazja — zapytał zdumiony dziadek.

— To ja! — odrzekła Kozeta.

— Sześćset tysięcy franków — powtórzył pan Gillenormand.

— Bez czternastu czy może piętnastu tysięcy — dodał Jan Valjean.

I położył na stole paczkę, którą ciotka Gillenormand wzięła za książkę.

Jan Valjean sam ją rozwinął; był to plik banknotów. Przeliczono je. Było pięćset banknotów tysiąc frankowych i sto sześćdziesiąt osiem pięćset frankowych. W sumie pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące.

— A, to rzeczywiście dobra książka! — rzekł pan Gillenormand.

— Pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków — szepnęła ciotka.

— To znakomicie poprawia sytuację, nie uważasz, panno Gillenormand starsza? — mówił dziadek. — Mariusz to diabeł wcielony! Wyszukał sobie na drzewie marzeń milionową gryzetskę. I ufaj tu miłośnikom młokosów! Student znajduje sobie studentkę z sześciuset tysiącami posagu. Cherubin spisuje się lepiej niż Rotszyld.

— Pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków — powtórzyła półgłosem panna Gillenormand — pięćset osiemdziesiąt cztery to jakby sześćset tysięcy, co?

A Mariusz i Kozeta wpatrywali się tymczasem w siebie i prawie nie zwrócili uwagi na ten drobiazg.

## ROZDZIAŁ V

### LEPIEJ JEST ZŁOŻYĆ PIENIĄDZE W LESIE NIŻ U NOTARIUSZA

Czytelnik zapewne sam się domyślił, nie potrzebujemy więc opowiadać szczegółowo o tym, że po sprawie Champmathieu Jan Valjean w czasie swojej pierwszej, parodniowej ucieczki zdołał dotrzeć do Paryża i zdążył podjąć u Laffitte'a pieniądze, które zarobił w Montreuil-sur-Mer pod nazwiskiem pana Madeleine, i obawiając się powtórnego aresztowania, które rzeczywiście niebawem nastąpiło, schował i zakopał pieniądze w lesie Montfermeil w miejscu zwanym polaną Blaru. Suma sześciuset trzydziestu tysięcy franków, cała w banknotach, zajmowała niewiele miejsca i zmieściła się w pudełku; ale żeby uchronić pudełko od wilgoci, Jan Valjean włożył je w dębowy kuferek pełen wiórów z drzewa kasztanowego. Do tego kufereka włożył również i drugi swój skarb, świeczniki biskupa. Pamiętamy, że zabrał je z sobą uciekając z Montreuil-sur-Mer. Człowiek, którego Boulatruelle pierwszy raz zobaczył pewnego wieczora, był Janem Valjean. Później, ilekroć Jan Valjean potrzebował pieniędzy, chodził po nie na porębę Blaru. Stąd owe wyjazdy, o których mówiliśmy poprzednio. Miał motykę schowaną gdzieś we wrzosowisku, w sobie tylko znanej kryjówce. Widząc, że Mariusz powraca do zdrowia, zrozumiał, że zbliża się chwila, kiedy pieniądze mogą być potrzebne, i poje chał po nie; jego to właśnie zobaczył Boulatruelle, ale tym razem nie wieczorem, lecz rano. Odziedziczył po nim motykę.

W rzeczywistości cała suma wynosiła pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące pięćset franków. Jan Valjean zachował pięćset franków dla siebie.

„A co będzie dalej, zobaczymy” — pomyślał.

Różnicę między tą sumą a sześciuset trzydziestoma tysiącami podjętymi u Laffitte'a stanowiły wydatki ostatnich dziesięciu lat od 823 do 833 roku. Pięcioletni pobyt w klasztorze kosztował zaledwie pięć tysięcy franków.

Jan Valjean ustawił oba srebrne świeczniki na kominku, gdzie błyszcząły wspaniale ku wielkiemu podziwowi Toussainit.

Jan Valjean wiedział, że ze strony Javerta nic mu już nie grozi. Opowiadano przy nim i sam to sprawdził w „Monitorze”, który ten fakt ogłosił, że zwłoki inspektora policji, nazwiskiem Javert, zostały znalezione pod galarami praczek pomiędzy Mostem Wymiany a Nowym Mostem i że pismo, które pozostawił ten człowiek, nieskazitelny zresztą i wysoko ceniony przez zwierzchników, nasuwa przypuszczenie, iż w przystępie obłędu popełnił samobójstwo. „Rzeczywiście —

pomyślał Jan Valjean — skoro miał mnie w ręku i puścił wolno, to niezbity dowód, że nie był już wtedy przy zdrowych zmysłach."

## ROZDZIAŁ VI

### OBAJ STARCY, KAŻDY NA SWÓJ SPOSÓB, ROBIĄ, CO MOGĄ, ABY KOZETA BYŁA SZCZĘŚLIWA

Rozpoczęły się przygotowania do wesela. Zapytany o zdanie lekarz oznajmił, że może się ono odbyć w lutym. Był grudzień. Kilka czarownych tygodni doskonałego szczęścia upłynęło niepostrzeżenie.

Dziadek był nie mniej szczęśliwy niż narzeczeni. Zdarzało się, że całymi godzinami wpatrywał się w Kozetę.

— Prześliczna dziewczyna! — wołał. — I jaką ma słodką i dobrą twarzyczkę. Na honor, nie widziałem ładniejszej, jak żyję. Później będzie to miało cnoty z zapachem fiołków. Prawdziwa gracia! Mając taką żonę, musisz postawić dom na wysokiej stopie. Mariuszu, chłopcze drogi, jesteś baronem, jesteś bogatym człowiekiem, rzuć w kąć ten swój adwokacki proceder, błagam cię.

Kozeta i Mariusz zostali nagle przeniesieni z grobu do raju. Przejście było tak raptowne, że poraziłoby ich, gdyby ich nie było olśniło.

— Czy rozumiesz coś z tego wszystkiego? — pytał Mariusz.

— Nie — odpowiadała Kozeta — ale wydaje mi się, że Pan Bóg na nas patrzy.

Jan Valjean działał, usuwał trudności, zabiegał o wszystko, wszystko ułatwiał. Dążył do szczęścia Kozety tak skwapliwie i z taką na pozór radością, jak ona sama.

Jako dawny mer, potrafił rozwiązać drażliwy problem, którego tajemnicę on jeden posiadał, problem pochodzenia Kozety. Wyjawienie szczerzej prawdy mogłoby — kto wie? — przeszkodzić małżeństwu. Przewyciężył trudności. Sprokurował Kozecie rodzinę złożoną z ludzi już nie żyjących, co dawało gwarancję, że nikt się nigdy o nic nie upomni. Kozeta była jedynym pozostałym przy życiu potomkiem rodziny, która już wygasła. Nie była jego córką, lecz córką innego Fauchelevanta. Obaj bracia Fauchelevant pracowali niegdyś jako ogrodnicy w klasztorze Petit-Picpus. Udano się po informacje do tego klasztoru; klasztor wydał o nich świadectwo równie pochlebne, jak zasługujące na wiarę; zacne zakonnice, niezbyt zdolne i niezbyt skłonne do roztrząsania kwestii ojcostwa, i nie mając powodów do żadnych podejrzeń, nigdy dobrze nie wiedziały, który z dwóch Fauchelevantów jest ojcem Kozety. Potwierdziły więc z zapałem wszystko, o co chodziło. Na podstawie zeznań świadków spisano akt

tożsamości. Kozeta stała się w obliczu prawa panną Eulfracją Fauchelevant, sierotą, którą obumarli oboje rodzice. Jan Valjean ułożył sprawy w ten sposób, że pod nazwiskiem Fauchelevanta został wyznaczony opiekunem Kozety, opiekunem zastępczym zaś został ustanowiony pan Gillenormand.

Co do pięciuset osiemdziesięciu czterech tysięcy franków, to był to zapis uczyniony na rzecz Kozety przez osobę już nie żyjącą, która chciała pozostać nieznaną. Pierwotny zapis wynosił pięćset dziewięćdziesiąt cztery tysiące franków, ale dziesięć tysięcy kosztowała edukacja panny Eufrazji, z czego pięć tysięcy otrzymał klasztor Petit-Picpus. Zapis ten, zdeponowany u osoby trzeciej, miał być oddany Kozecie z chwilą jej dojścia do pełnoletności lub wyjścia za mąż. Jak widzimy, cała ta historia była zupełnie do przyjęcia, zwłaszcza z dodatkiem pół miliona. Niektóre szczegóły mogły się wprawdzie wydawać trochę dziwne, ale ich nie zauważono. Jednemu z, zainteresowanych oczy przysłała miłość, innym — sześćset tysięcy franków.

Kozeta dowiedziała się, że nie jest córką tego starca, którego przez tyle lat nazywała swoim ojcem. Był to tylko jej krewny; inny Fauchelevant był jej prawdziwym ojcem. W każdej innej chwili zraniłoby ją to boleśnie. Ale przeżywała teraz godziny tak niewysłowionego szczęścia, że ta wiadomość rzuciła na nie tylko przelotny cień; chmurka roziała się szybko w powodzi radości. Miała Mariusza. Zjawił się młody, stary musiał ustąpić — takie jest życie.

A ponadto Kozeta od wielu lat przywykła widzieć wokół siebie zagadki; każda istota, której dziecinne lata otacza tajemnica, skora jest do pewnych wyrzeczeń.

Jednakże nadal nazywała Jana Valjean „ojcem”.

Kozeta, wniebowzięta, oczarowana była dziadkiem Gillenormand. Co prawda zasypywał ją komplementami i podarunkami. I kiedy Jan Valjean starał się zapewnić Kozecie normalną sytuację i stworzyć jej bezpieczną pozycję w społeczeństwie, pan Gillenormand czuwał nad jej wyprawą. Bawiła go własna szczodrość. Ofiarował Kozecie suknię z gipiury z Binche, która należała niegdyś do jego babki. „Moda się powtarza — mówił — dzisiaj ta staroświecczyzna robi furorę i teraz, kiedy jestem stary, młode kobietki ubierają się tak, jak ubierały się stare kobiety, kiedy byłem dzieckiem. Opróżniał swoje szacowne, bombiaste, od lat nieotwierane komody z koromandelskiej laki.

„Wyspowiadajmy te stare damy — mówił — zobaczymy, co tam chowają w zanadrzu.” Plądrował z hałasem w brzuchatych szufladach, wypełnionych po brzegi strojami wszystkich jego żon, kochanek i babek. Obsypywał Kozetę mieniącymi się jedwabiami w paski, adamaszkami, wytłaczanymi chińskimi jedwabiami, barwnymi morami, czerwonymi sukniami grodeturowymi,

chustami indyjskimi haftowanymi złotą nicią, nie niszczącą się w praniu, dwustronnymi drogetami, koronkami genueńskimi i alansońskimi, staroświeckimi klejnotami, puzderkami z kości słoniowej, na których wyrzeźbione były mikroskopijne bitwy, gałgankami i wstążeczkami.

Kozeta, zachwycona, rozkochana w Mariuszu i przejęta wdzięcznością dla pana Gillenormand, śniła o szczęściu bez granic, przystrojonym w atłasy i aksamity. Zdawało się jej, że nad jej wyprawą unoszą się serafiny. Dusza jej wzlatywała w błękity na skrzydłach z brabanckich koronek.

Z upojeniem zakochanych mógł się mierzyć jedynie ekstatyczny zachwyty dziadka. Rzekłbyś, że ulica Panien Kalwaryjskich rozbrzmiewała fanfarą radości.

Co rano Kozeta dostawała nowy prezent, wyszukany przez dziadka w jego rupieciarni. Wszystkie możliwe fatałaszki przy niej odzyskiwały swą świetność.

Pewnego razu Mariusz, który, pomimo szczęścia, chętnie rozmawiał na poważne tematy, rzekł z powodu jakiegoś wydarzenia:

— Ludzie rewolucji są tak wielcy, że tak samo, jak Katon czy Fokjon zyskali już szacunek potomności, i każdy z nich, zda się, wciela starożytne czasy.

— Starożytne atłasy! — zawołał staruszek. — Dziękuję ci, Mariuszu. Właśnie ten pomysł chodził mi po głowie. I nazajutrz wspaniała suknia ze „starożytnego atłasu" w herbacianym kolorze wzbogaciła wyprawę Kozety.

Dziadek wysnuwał z tych fatałaszków swoistą filozofię:

— Miłość, doskonale. Ale to nie wszystko. Do szczęścia trzeba dodać czar rzeczy nieużytecznych! Szczęście — to zaledwie to co konieczne. Przyprawcie mi je suto zbytkiem. Pałac i jej serce. Jej serce i Luwr. Jej serce i wodotryski Wersalu. Dajcie mi moją pasterkę i sprawcie, aby się stała księżniczką. Przyprawcie mi Filis w wianuszkach z bławatków i dorzućcie jej sto tysięcy franków renty. Niech, jak okiem sięgnę, otwiera się przede mną sielanka w ramach marmurowej kolumnady. Godzę się na sielankę, godzę się również nabajkę z marmuru i złota. Suche szczęście podobne jest do suchego chleba. To zaspokojenie głodu, ale nie uczta. A ja chcę tego, co zbyteczne, niepotrzebne, niedorzeczne, chcę nadmiaru i rzeczy, które do niczego nie służą. Pamiętam, że oglądałem w katedrze sztrasburskiej zegar, wielkości trzypiętrowej kamienicy, który pokazywał godziny, który raczył pokazywać godziny, ale zdawał się nie do tego przeznaczony; kiedy wydzwaniał południe czy północ, południe — godzinę słoneczną, północ — godzinę miłości, czy każdą inną godzinę, pokazywał wam księżyc i gwiazdy, ziemię i morze, ptaki i ryby, Feba i Febe i cały korowód różnych rzeczy, które wychodziły z wnętrza, dwunastu apostołów, cesarza Karola

V, Eponinę i Sabinusa, a na dodatek tłum małych, złożonych człowieczków, którzy grali na trąbkach. Nie mówię już o tym, że co chwila i bez najmniejszego powodu wygrywał uroczę *carillons*. Co warta jest w porównaniu z nim brzydka, goła tarcza zegara, która tylko wskazuje godziny? Jestem tego samego zdania, co zegar sztrasburski, i wolę go od zegara z kukułką z Czarnego Lasu,

Pan Gillenormand plótł ze szczególnym zapałem na temat wesela i wszystkie osiemnastowieczne wspominki przesuwają się bezładnie w jego dytyrambach.

— Nie znacie się na sztuce zabawy. W dzisiejszych czasach nie umiecie spędzić jednego dnia na radości — wołał. — Wasz dziewiętnasty wiek to cherlak. Nie wie, co to zbytek. Nie wie, co bogactwo ani co wytworność. We wszystkim brak mu polotu. Wasz trzeci stan jest ckliwy, bezbarwny, bezwonny, bezkształtny. Szczyt marzeń waszych mieszczek, kiedy „urządzają dom” — jak mówią, to milutki, świeżo obity salonik, palisandry i perkaliki. Z drogi z drogi! Pan Łapigrosz poślubia pannę Liczykrupę. Przepych i wspaniałość za całego luidora! Oto czasy! Mam ochotę drapnąć aż do antypodów. Ach, już w 1787 roku przepowiedziałem, że wszystko przepadło, kiedym zobaczył pewnego dnia diuka Rohan, księcia de Leon, księcia de Chabot, diuka de Montbazon, markiza de Soubize, wicehrabiego de Thouars, para Francji jadącego na Longchamp podłą bryczuszką! Wydało to swoje owoce. W dzisiejszych czasach ludzie robią pieniądze, grają na giełdzie, prowadzą interesy i kutwią. Pielęgnują i lakierują swoją powierzchowność; są wymuskani, wymyści, wyszorowani, wypucowani, wygoleni, wyczesani, wylizani, wyszczotkowani i wyglansowani po wierzchu, bez zarzutu, gładcy jak kamyczek, skromniutki, czyściutki, a równocześnie — na honor! — w głębi sumienia kryją takie gnojówki i kloaki, że uciekłyby od ich fetoru świniarka, która nos obciera w palce. Nadaję dzisiejszym czasom taką dewizę: „Bрудna czystość.” Mariuszu, nie gniewaj się, pozwól mi się wygadać, nie mówię nic złego o ludzkości, widzisz przecie, że mam ciągle na języku ten twój lud, ale nie miej mi za złe, że spuszczę małe lanie mieszczaństwu. Należę do niego. Kto mocno kocha, ten mocno bije. I tu powiem bez ogródek, że dziś ludzie się żenią, ale nie umieją się już żenić. O, dalibóg, żałuję galanterii dawnych, pięknych obyczajów, żałuję wszystkiego. Tej elegancji, rycerskości, manier wytwornych i pełnych galanterii, przepychu, którym każdy błyszczał, muzyki towarzyszącej biesiadzie weselnej — symfonie dla wykwiintnego towarzystwa, huczna kapela dla gminu — tańców, wesołych twarzy za stołem, subtelnych komplementów, śpiewów, sztucznych ogni, szczerego śmiechu, swawoli na całego, sutych pęków wstążek. Żałuję podwiązki panny młodej. Podwiązka panny młodej — to krewniaczka przepaski Wenery. O co się toczy wojna trojańska? O podwiązkę Heleny, do kroćset! Dlaczego się biją, dlaczego boski Diomedes rozwala na głowie Merioneja wielki kask z dziesięcioma kolcami, dlaczego Achilles i Hektor dźgają się dzidami? Bo Helena pozwoliła Parysowi wziąć swoją podwiązkę. Na temat podwiązki Kozety Homer ułożyłby

Iliadę. Umieściłby w tym poemacie takiego starego gadułę jak ja i nazwałby go Nestorem. Moi drodzy, w dawnych latach, w tych miłych dawnych latach ludzie żenili się umiejętnie: najpierw spisywali dobry kontrakt ślubny, a potem zasiadali do dobrej wyżerki. Cujas za drzwi, Kamacz we drzwi ! Bo, do pioruna, żołądek to miłe zwierzę, też upomina się o swoje prawa i też chce mieć swoje wesele. Człek ucztował znakomicie i miał przy stole wydekoltowaną sąsiadkę, z piersią bardzo skąpo osłoniętą. O, te rozchylone, roześmiane usta! Jakże ludzie byli weseli w owych czasach. Młodzież wyglądała jak bukiet kwiatów: każdy młodzieniec kończył się kiścią bzu lub pękiem róż; nawet rycerz stawał się pasterzem; a jeśli przypadkiem był kapitanem dragonów, znajdował sposób, żeby zwać się Florianem. Każdy chciał być ładny. Strojono się w hafty i szkarłaty. Mieszczanin wyglądał jak kwiat markiz wyglądał jak klejnot. Nie noszono strzemiączek ani trzewików. Każdy był strojny, błyszczący, aksamitny, lśniący, płochy, uroczy, zalotny, co nie przeszkadzało mu nosić szpady u boku. Koliber z dziobem i pazurami. A grano wtedy *Indie zakochanych* . Jedną cechą tamtego stulecia była subtelność, drugą — wspaniałość. I — do pioruna! Ludzie bawili się. A dziś są poważali. Mieszczuch jest sknerą, mieszcza — świętoszką. Niestety, piękność ukrywa się, jakby była brzydota. Od rewolucji wszystko nosi pantalone, nawet tancerki. Komediantka musi być poważna; wasze tańce są doktrynalne. Należy być dostojnym. Nie wypada wysuwać brody z halsztuka. Ideałem dwudziestoletniego młokosa, który się żeni, jest upodobnić się do pana Royer-Collard . A wiecie, do czego prowadzi ta cała dostojność? Do małości! Bo wiecie, że wesołość jest nie tylko wesoła; jest wielka. A więc, kochajcie się radośnie, do diabła, a kiedy się żenicie, żeńcie się z szalem, upojeniem, harmidrem i wrzawą szczęścia! W kościele powaga, zgoda. *Ale* kiedy msza już się skończy, to —na mą duszę! — wokół oblubienicy musi wirować rój marzeń. Ślub powinien być królewski i fantastyczny. Ceremonia powinna zaczynać się w katedrze w Reims, a kończyć w pagodzie Chanteloup. Nędzne wesele mierzi mnie! Do stu tysięcy diabłów! Przynajmniej ten jeden dzień spędźcie na Olimpie. Bądźcie bogami. Ach! człowiek mógłby być sylfem, bóstwem wesela, uosobieniem świetności, a jest safandulą. Każdy oblubieniec, moi mili, powinien być księciem Aldobrandinim . Korzystajcie z tej chwili jedynej i ulećcie wraz z łabędziami i orłami do empireum, choćbyście mieli nazajutrz znów spaść z powrotem w żabi, mieszczański żywot. Nie oszczędzajcie na weselu, nie ujmujcie mu wspaniałości, nie skąpcie sobie w dniu tryskającym radością. Wesele nie jest życiem małżeńskim. O, gdybym je urządził wedle mej fantazji, byłoby wspaniałe. Drzewa rozbrzmiewałyby tonami skrzypiec. Błękit i srebro — oto mój program. Sprosiłbym na tę uroczystość wszystkie boginki leśne, driady i nereidy. Zaślubiny Amfitryty, różany obłok, utrefione, nagie nimfy, akademik recytujący wiersze bogini, rydwan ciągnięty przez morskie potwory.

Tryton, w konchę dmuchając, na przedzie cwałuje I czarownicami dźwięki



wszystkich w krąg czaruje;

Oto mój program uroczystości; oto odpowiedni program — do stu tysięcy fur beczek! — albo nie znam się na niczym!

Podczas gdy dziadek u szczytu wylewności lirycznej wsłuchiwał się we własne słowa, Kozeta i Mariusz upajali się tym, że mogą swobodnie wpatrywać się w siebie.

Ciotka Gillenormand patrzyła na to wszystko z właściwym sobie niezmaconym spokojem. Ostatnie pięć czy sześć miesięcy dostarczyło jej sporo wzruszeń: powrót Mariusza, Mariusz zalany krwią przyniesiony do domu, Mariusz przyniesiony z barykady, Mariusz umarły, a potem żywy, Mariusz pojednany z dziadkiem, Mariusz zaręczony, Mariusz żeniący się z nędzarką, Mariusz żeniący się z milionerką. Sześćset tysięcy franków było dla niej ostatnią niespodzianką, potem znów wróciła do swej naiwnej obojętności. Chodziła regularnie na nabożeństwa, przesuwiała paciorki różańca, czytała mszał, szeptała w jednym zakątku domu swoje Ave, podczas gdy w drugim szeptano I love you, patrzyła na Mariusza i Kozetę jak na dwa blade cienie. Ale to ona była cierniem.

Istnieje pewien stan bezwładnego ascetyzmu, w którym dusza zobojętniała przez odrętwienie i obca wszystkiemu, co można by nazwać sprawą życia, nie odczuwa, z wyjątkiem trzęsienia ziemi i wielkich kataklizmów, żadnych ludzkich wrażeń, zarówno przyjemnych, jak i przykrych. „Taka nabożność — mawiał pan Gillenormand do córki — podobna jest do kataru. Nie czujesz życia. Nie czujesz jego brzydkich zapachów, ale nie czujesz także pięknych.

Zresztą, owe sześćset tysięcy franków rozproszyło wątpliwości starej panny. Ojciec przyzwyczał się tak mało liczyć z jej osobą, że nie zapytał jej o zgodę w sprawie małżeństwa Mariusza. Jak zwykle działał porywczo i z despoty stawszy się niewolnikiem, myślał tylko o jednym: zadowolić Mariusza. Nie przyszło mu nawet do głowy, że istnieje ciotka, która może mieć własne zdanie; a ona, mimo swej bezmyślnej nieczułości, uczuła się tym dotknięta. Urażona w głębi duszy, choć na pozór obojętna, powiedziała sobie: „Ojciec rozstrzygnął beze mnie sprawę małżeństwa; ja rozstrzygnę bez niego sprawę spadku.” Istotnie, ona -była bogata, a ojciec nie. Postanowiła więc, że w tej kwestii zadecyduje według swojej woli. Gdyby młoda para była biedna, prawdopodobnie zostawiłaby ją w biedzie. „Tym gorzej dla pana siostrzeńca! Żeni się z dziadówką, niech będzie dziadem.” Ale półmilionowy posag Kozety przypadł do gustu ciotce i zmienił jej wewnętrzny stosunek do zakochanej pary. Do sześciuset tysięcy należy się odnosić z uszanowaniem; ciotka nie mogła oczywiście postąpić inaczej, tylko zapisać swój majątek młodym, bo go już nie potrzebowali.

Ułożono, że młoda para zamieszka u dziadka.

Pan Gillenormand koniecznie chciał ustąpić im swój pokój, najpiękniejszy w całym domu. „To mnie odmłodzi — oświadczył — to stary projekt. Zawsze miałem zamiar wyprawić wesele w moim pokoju. Umeblował ten pokój mnóstwem starych, wytwornych cacek. Kazał zrobić nowy plafon i obić pokój niezwykłą materią, której miał całą sztukę i która, jego zdaniem, pochodziła z Utrechtu: ma atłasowym złotożółtym tle aksamitne krokusy. „Z takiej materii — mówił — była kotara przy łóżku księżny d'Asnville w La RocheGuyon. Na kominku ustawił figurynkę z saskiej porcelany, która mufką osłaniała sobie nagi brzusek.

Biblioteka pana Gillenormand zamieniła się w kancelarię adwokacką, której potrzebował Mariusz, bo, jak pamiętamy, rada adwokacka wymagała posiadania własnej kancelarii.

## ROZDZIAŁ VII

### SENNE MARY WŚRÓD SZCZĘŚCIA

Zakochani widywali się co dzień. Kozeta przychodziła z panem Fauchelevant. „Wszystko dzieje się na opak — mówiła panna Gillenormand — narzeczona przychodzi do domu swojego przyszłego, żeby mu umożliwić konkury.”

Ale rekonwalescencja Mariusza uświęciła ten zwyczaj, a utwierdził go jeszcze fakt, że fotele na ulicy Panien Kalwaryjskich były znacznie przyjemniejsze dla rozmów sam na sam niż wyplatane krzesła na ulicy Człowieka Zbrojnego. Mariusz i pan Fauchelevant widywali się, ale nie rozmawiali ze sobą. Zdawałoby się, że taki stanął między nimi układ.

Każda młoda dziewczyna musi mieć przyzwoitkę. Bez pana Fauchelevant Kozeta nie mogłaby przychodzić. Dla Mariusza pan Fauchelevant był warunkiem widywania Kozety, więc rad nierad godził się z jego obecnością. Poruszając pobieżnie tematy polityczne z punktu widzenia ogólnej poprawy losów ludzkich, doszli do tego, że powiedzieli sobie nieco więcej niż „tak” i „nie”.

Pewnego razu w kwestii nauczania, które — zdaniem Mariusza — powinno być bezpłatne, obowiązkowe i pod wszystkimi postaciami nie szczędzone nikomu, jak powietrze czy słońce, słowem, dostępne dla całego narodu, byli tak zgodni, że prawie wdali się ze sobą w rozmowę. Przy tej sposobności Mariusz zauważył, że pan Fauchelevant mówi dobrze, a nawet z pewnym połotem. Wszelako czegoś mu brakowało. Pan Fauchelevant był czymś mniej i czymś więcej niż człowiekiem z towarzystwa.

Mariusz zadawał w skrytości ducha najrozmaitsze nieme pytania temu panu Fauchelevant, który nie okazywał mu nic poza chłodną życzliwością. Czasami powątpiewał o prawdziwości własnych wspomnień. Miał w pamięci lukę, ciemne miejsce, przepaść wydrążoną, przez cztery miesiące agonii. Wiele spraw w niej utonęło. Był niepewny do tego stopnia, że zapytywał siebie, czy rzeczywiście widział na barykadzie pana Fauchelevant, tego człowieka tak poważnego i spokojnego.

Zresztą, było to jedno spośród wielu zadziwiających wrażeń, które zostawiła mu w myśli pojawiająca się i znikająca przeszłość. Nie należy mniemać, że uwolnił się od tej natrętnej obsesji wspomnień, która nawet w szczęściu i zadowoleniu zmusza nas do melancholijnego oglądania się wstecz. Głowa, która nigdy nie zwraca się ku mknącym horyzontom, pozbawiona jest i myśli, i miłości.

Chwilami Mariusz ujmował twarz w ręce i zgiełkliwe, mgliste mury przeszłości jawiły się w mroku spowijającym jego wspomnienia. Widział, jak pada ojciec Mabeuf, słyszał wśród świstu kul śpiew Gavroche'a, czuł na ustach chłód czoła Eponiny; Enjolras, Courfeyrac, Jan Prouvaire, Combeferre, Bossuet, Grantaire, postacie jego przyjaciół stawały przed nim, a potem się rozwiewały. Czy te drogie, żałosne, mężne, urocze albo tragiczne istoty były snem? Czy istniały naprawdę? Powstanie spowiło wszystko swoim dymem. Te wielkie gorączki wywołują wielkie sny. Mariusz zadawał sobie pytania, badał siebie i w głowie mu się kręciło, gdy myślał o tej rzeczywistości, która tak pierzchła. Gdzie podzieli się oni wszyscy? Czyżby doprawdy wszystko umarło? Upadek w ciemności pociągnął za sobą wszystko z wyjątkiem jego jednego. Mariuszowi zdawało się, że wszystko to znikło mu sprzed oczu jak za spuszczonej kurtyną w teatrze. Zdarza się w życiu, że taką zasłona opada; Bóg rozpoczyna następny akt.

A on sam czy był tym samym człowiekiem? On, biedak, stał się bogaty; on, sierota, miał teraz rodzinę; on, desperat, poślubił Kozetę. Zdawało mu się, że przeszedł przez grób; wstąpił weń ciemny, a wyszedł jasny. A inni pozostali w tym grobie. Bywały chwile, kiedy wszystkie te mury przeszłości powracały, ożywały, otaczały go kołem i posępną chmurą zawisały nad nim; wówczas zaczynał myśleć o Kozecie i odzyskiwał pogodę. Ale tylko takie szczęście zdolne było zatrzeć wspomnienie takiej katastrofy.

Pan Fauchelevant był niemal również jedną z tych istot, które rozwiały się. Mariusz nie mógł uwierzyć, żeby Fauchelevant z barykady był tą samą osobą co pan Fauchelevant z krwi i kości, który z tak stateczną miną siedział przy Kozecie. Pierwszy był zapewne majakiem, który pojawia się w malignie i wraz z nią znika. Zresztą natury ich były zamknięte, tak że Mariusz nie mógł zadać panu Fauchelevant żadnego pytania. Podobna myśl nawet nie przyszła mu do głowy. Już poprzednio podkreśliliśmy ten charakterystyczny szczegół. Dwaj ludzie, którzy mają wspólną tajemnicę i na mocy milczącej umowy nie wspominają o niej ani słowa, to zdarzenie częstsze, niżby kto przypuszczał.

Raz jednak Mariusz zaryzykował próbę. Naprowadził rozmowę na ulicę Konopną i zwracając się do pana Fauchelevant zapytał:

— Czy pan zna tę ulicę?

— Jaką ulicę?

— Ulicę Konopną.

— Nigdy nie słyszałem nazwy tej ulicy — odrzekł pan Fauchelevant najnaturalniejszym w świecie tonem.

Odpowiedź, chociaż dotyczyła nazwy, nie zaś samej ulicy, wydała się Mariuszowi bardziej jednoznaczna, niż była w istocie.

„Przywidziało mi się — (pomyślał — miałem halucynację. To był ktoś do niego podobny. Pan Fauchelevant nie był na ulicy Konopnej.

## ROZDZIAŁ VIII

### DWAJ LUDZIE, KTÓRYCH NIESPOSÓB ODNALEŹĆ

Jakkolwiek wielkie było miłosne upojenie Mariusza, nie przekreśliło jednak w jego umyśle innych spraw.

Podczas przygotowań do wesela, w oczekiwaniu wyznaczonego dnia Mariusz badał przeszłość, zarządzając trudne i skrupulatne poszukiwania.

Poczuwał się do różnych długów wdzięczności; winien ją był za ojca, winien ją był za siebie.

Istniał Thenardier, istniał również ów nieznajomy, który go przyniósł do domu pana Gillenormand. Mariuszowi zależało bardzo na odnalezieniu tych ludzi; nie chciał się żenić i być szczęśliwym zapominając o nich. Lękał się, że te niespłacone długi rzucą cień na jego życie, które odtąd miało być tak promienne. Nie mógł zostawić za sobą tych zaległości w zawieszeniu i przed wkroczeniem w radosną przyszłość chciał się rozliczyć z przeszłością.

To, że Thenardier był łotrem, nie zmieniało faktu, że ocalił życie pułkownikowi Pontmercy. Thenardier był bandytą dla wszystkich, ale nie dla Mariusza.

Mariusz, nieświadomy rzeczywistego przebiegu wypadków na polu bitwy pod Waterloo, nie wiedział o osobliwym fakcie, że ojciec jego był wobec Thenardiera w tej dziwnej sytuacji, iż wprawdzie winien mu był życie, ale nie był mu winien wdzięczności.

Ani jeden z licznych agentów, którymi posługiwał się Mariusz, nie zdołał wpaść na trop Thenardiera. Zdawało się, że przepadł bez śladu. Thenardierowa umarła w więzieniu podczas śledztwa. Thenardier i jego córka Anzelma, jedyne osoby, które pozostały z tej nieszczęsnej rodziny, znowu utonęły w mroku. Nad tymi istotami zamknęła się bezszelestnie topiel społeczna Niewiadomego. Na powierzchni nie było widać nic, ani drżenia, ani zmarszczki, ani tych ciemnych, koncentrycznych kręgów, wskazujących, że w tym miejscu coś wpadło i że tu należy zapuścić sondę.

Wobec tego, że Thenardierowa umarła, Boulatruelle został wyłączony ze sprawy, Claquesous zniknął, a główni oskarżeni uciekli z więzienia, proces o zasadzkę w ruderze Gorbeau właściwie spełził na niczym. Sprawa pozostała niewyjaśniona. Sąd przysięgłych musiał zadowolić się dwoma winowajcami o podrzędnym znaczeniu: Panchaudem, zwanym Wiesennym lub Urwipółciem i

Pólszelągiem, zwanym Dwa Miliardy, i skazał obu na dziesięć lat galer. Ich zbiegłych współników skazano wyrokiem zaocznym na dożywotnie, ciężkie roboty, Thenardiera zaś, jako herszta bandy, skazano również zaocznie na karę śmierci. Wyrok skazujący, jedyna rzecz, jaka pozostała po Thenardierze, rzucał na tę zaginioną postać posępny blask, niby świeca paląca się przy trumnie.

Zresztą wyrok ten, którym Thenardier — z obawy przed ponownym aresztowaniem — został wtłoczony w najniższe kręgi głębin, zagęścił ciemności otaczające tego człowieka.

Co do drugiego człowieka, owego nieznanego, który uratował Mariusza, poszukiwania dały z początku pewne rezultaty, lecz później utknęły na martwym punkcie. Udało się odnaleźć dorożkarza, który wieczorem szóstego czerwca przywiózł Mariusza na ulicę Panien Kalwaryjskich. Dorożkarz oświadczył, że szóstego czerwca na rozkaz agenta policji stał od trzeciej po południu aż do wieczora na bulwarze Pól Elizejskich, nad wejściem do Wielkiego Kanału; że około godziny dziewiątej wieczorem otworzyła się krata kanału od strony rzeki i wyszedł z niej człowiek, niosący na plecach innego człowieka, który wydawał się nieżywy; że agent, który stał tam na czatach, zaaresztował żywego człowieka, a zabrał umarłego, że na rozkaz; agenta on, dorożkarz, zabrał „całe towarzystwo” do swojego powozu i pojechał na ulicę Panien Kalwaryjskich, gdzie złożono zmarłego; że tym zmarłym był pan Mariusz, którego dorożkarz poznaje doskonale, choć „tym razem” jest żywy; że następnie znowu wsiedli do powozu, że zaciął konie i o kilka kroków przed wejściem do Archiwów kazali mu się zatrzymać, tam na ulicy zapłacili mu i odprawili; że agent zabrał ze sobą tamtego drugiego człowieka, że więcej nic już nie wie, że noc była bardzo ciemna.

Mariusz, jak powiedzieliśmy, nic sobie nie przypominał. Pamiętał tylko, że pochwyciła go jakaś silna ręka, w chwili kiedy padał na wznak na barykadzie; potem wszystko zatarło się w jego pamięci. Odzyskał przytomność dopiero u pana Gillenormand. Gubił się w domysłach.

Nie mógł wątpić w prawdziwość własnej osoby. Ale jak to mogło się stać, że padł na ulicy Konopnej, a został ujęty przez agenta policji na brzegu Sekwany, koło mostu Inwalidów? Ktoś zaniósł go z dzielnicy Hal na Pola Elizejskie. Którędy? Przez kanały. Niewiarygodne poświęcenie! Ktoś. Ale kto? Tego właśnie człowieka poszukiwał Mariusz.

Ale o tym, który był jego zbawcą, nie wiedział nic; żadnego śladu, żadnej, najmniejszej wskazówki. Aczkolwiek musiał postępować w tym względzie z niezmierną ostrożnością, Mariusz dotarł w swoich poszukiwaniach aż do prefektury policji. Ale i tutaj, jak zresztą wszędzie, otrzymane wyjaśnienia nie wyświetliły sprawy. Prefektura wiedziała mniej niż dorożkarz. Nie wiedziano o

żadnym aresztowaniu dokonany 6 czerwca przy wyjściu z Wielkiego Kanału; nie otrzymano żadnego raportu o tym fakcie, który uważano w prefekturze za bajkę. Zmyślenie tej bajki przypisywano dorożkarzowi. Dorożkarz, kiedy chce dostać napiwek, zdolny jest do wszystkiego, nawet do fantazji. Jednakże fakt pozostał faktem i Mariusz nie mógł o nim wątpić, chyba że — jak już powiedzieliśmy — zwątpiłby w prawdziwość własnej osoby.

Wszystko było niezrozumiałe w tej przedziwnej zagadce.

Co się stało z człowiekiem, owym tajemniczym człowiekiem, którego dorożkarz widział wychodzącego z Wielkiego Kanału i niosącego na plecach zemdlonego Mariusza, a którego agent policji przyłapał na gorącym uczynku ratowania powstańca? I co się stało z tamtym agentem? Dlaczego zamilczał o wypadku? Czy ów człowiek zdołał umknąć? Gzy przekupił agenta? Dlaczego nie dał żadnego znaku życia Mariuszowi, który zawdzięczał mu wszystko? Ten brak zainteresowania był równie niezwykły jak poświęcenie. Dlaczego ten człowiek nie zjawił się? Może obojętna mu była nagroda, ale nikt nie może być obojętny na wdzięczność. Może umarł? Kim był ten człowiek? Jak wyglądał? Nikt na to nie umiał odpowiedzieć. Dorożkarz odpowiadał: „Noc była bardzo ciemna.” Baskijczyk i Nikoleta, przerażeni, nie widzieli nikogo poza paniczem broczącym krwią. Jedynie dozorca, który oświetlał swoją świecą tragiczny powrót Mariusza, zauważył owego człowieka i oto jak go określił: „Ten człowiek był straszny.”

Mariusz starannie schował zakrwawione ubranie, w którym przywieziono go do dziadka, licząc na to, że może ono mu się przydać w poszukiwaniach. Kiedy oglądał surdut zauważył, że jedna poła jest dziwnie rozdarta. Brakowało kawałka materiału.

Pewnego wieczora Mariusz opowiadał Kozecie i Janowi Valjean o tej dziwnej przygodzie, o niezliczonych poszukiwaniach i bezowocnych wysiłkach. Zniecierpliwiony chłodnym wyrazem twarzy „pana Fauchelevant” zawołał z żywością, w której nieledwie brzmiała nuta gniewu:

— Tak, ten człowiek, kimkolwiek jest, był wspaniały!. Czy pan wie, co on uczynił? Zjawił się jak archanioł. Musiał rzucić się w wir walki, porwać mnie, otworzyć kanał, wciągnąć mnie tam, nieść! Schylony, zgięty, musiał przejść przeszło półtorej mili w straszliwych podziemnych galeriach, w ciemnościach, w kloace, przeszło półtorej mili, proszę pana, dźwigając na plecach trupa! A dlaczego? Dlatego tylko, żeby uratować tego trupa. A tym trupem jestem ja. Powiedział sobie: „Może jeszcze tli się w nim iskierka życia. Zaryzykuję swoje życie dla tej słabej iskierki.” I zaryzykował je nie raz, ale dwadzieścia razy! Każdy krok groził niebezpieczeństwem. Najlepszy dowód, że ledwie wyszedł z kanału, został aresztowany. On to wszystko zrobił, rozumie pan? I nie mógł się spodziewać żadnej nagrody. Bo kimże ja byłem? Powstańcem. Kim byłem?



Zwyciężonym. O! gdyby te sześćset tysięcy franków Kozety należało do mnie...

— Należą do pana — przerwał Jan Valjean.

— Więc — dokończył Mariusz — oddałbym je za odnalezienie tego człowieka.

Jan Valjean milczał.

# KSIĘGA SZÓSTA

## BIAŁA NOC

### ROZDZIAŁ I

#### 26 LUTEGO 833 ROKU

Noc z 6 na 7 lutego 1833 była nocą błogosławioną. Nad jej ciemnością otwarło się niebo. Była to noc godowa Mariusza i Kozety.

Dzień był rozkoszny.

Nie była to wprawdzie owa, wymarzona przez dziadka, baśniowa uroczystość, feeria, w której nad głową oblubieńców miały się unosić cherubiny i amorki, ślub godny uwiecznienia na jakimś supraporcie; ale nastrój był miły i wesoły.

W 1833 roku moda ślubów była odmienna od dzisiejszej. Francja nie zapożyczyła jeszcze od Anglii tej najwyższej delikatności, jaką jest porwanie własnej żony, ucieczka po wyjściu z kościoła, wstydlive ukrywanie się ze swoim szczęściem i łączenie manier bankruta z zachwytem pieśni nad pieśniami. Nie rozumiano jeszcze wówczas, ile jest w tym skromności, rozkoszy i wstydlivosti, że człowiek wiezie swój raj w trzęsącej karetce pocztowej, wplata człapanie koni do swojej tajemnicy, bierze za ślubne łoże — łóżka w oberży, pozostawia za sobą w banalnej alkwie, za taką a taką cenę za nocleg, najświętsze wspomnienia, przeplatane rozmowami z woźnicą dyliżansu i służącą z oberży. .

W tej drugiej połowie dziewiętnastego wieku, w której my żyjemy, nie wystarcza już mer przepasany szarfą, kapłan w ornacie, prawo i Bóg; trzeba to uzupełnić forysiem z Longjumeau: niebieska kurta z czerwonymi wyłogami, metalowe guziki, numer na ramieniu, zielone, skórzane spodnie, soczyste przekleństwa rzucające normandzkim koniom z podwiązanymi ogonami, galony z szychu, ceratowy kapelusz, bujne, upudrowane włosy, olbrzymi bat i botforty. Francja nie posuwa jeszcze elegancji tak daleko, aby jak *nobility* angielska obrzucać karete młodą parę gradem wykrzywionych pantofli i starych trzewików na pamiątkę Churchilla, późniejszego Marlborougha lub Malbroucka, na którego w dniu ślubu napadła rozwścieczona ciotka, co mu przyniosło szczęście. Trzewiki i pantofle nie należą jeszcze do naszych uroczystości weselnych; ale cierpliwości! Dobry smak zatacza coraz szersze kręgi, dojdziemy i do tego.

W roku 1833 — od lat stu — nie urządzano wystawnych ślubów. W owych

czasach wyobrażano sobie jeszcze, że — zabawne! — ślub jest uroczystością intymną i społeczną, że patriarchalna biesiada nie narusza wcale powagi domu, że wesołość, nawet i nadmierna, o ile jest obyczajna, nie szkodzi szczęściu i że wreszcie rzecz to szacowna i godziwa, aby połączenie dwóch losów, z których ma powstać rodzina, zaczęło się w domu i aby pożycie małżeńskie miało odtąd za świadka ślubną komnatę. Ludzie posuwali bezwstyd do urządzania wesela we własnym domu.

Zgodnie z tym obyczajem, dziś już przestarzałym, wesele odbyło się u pana Gillenormand.

Chociaż małżeństwo jest rzeczą naturalną i zwykłą, jednakże przy ogłaszaniu zapowiedzi, spisywaniu aktów, załatwianiu formalności na merostwie i w kościele wypłyną zawsze jakieś komplikacje. Zdołano się uporać z tym wszystkim dopiero na 16 lutego.

Otóż — notujemy tutaj ten szczegół tylko z, zamiłowania do ścisłości — tak się złożyło że 16 wypadł Tłusty Wtorek. Stąd wahania i skrupuły, szczególnie u ciotki Gillenormand.

— Tłusty wtorek? — zawołał dziadek — to doskonale! Istnieje nawet przysłowie:

Kto się żeni na ostatki, Będzie miał poczciwe dziatki.

Co tam! Niech będzie szesnasty. A może ty, Mariuszu, chciałbyś odłożyć ślub?

— O! bynajmniej! — odparł zakochany.

— A więc żeńmy się! — zawyrokował dziadek.

Wesele odbyło się zatem szesnastego mimo zabaw ulicznych.

Dnia tego padał deszcz, ale na niebie znajdzie się zawsze skrawek błękitu na usługi szczęścia i zakochani widzą go nawet wtedy, gdy reszta stworzenia chroni się pod parasolem.

W przeddzień ślubu Jan Valjean w obecności pana Gillenormand wręczył Mariuszowi pięćset osiemdziesiąt cztery tysiące franków.

Ponieważ przyjęto formę wspólnoty majątkowej małżonków, akty prawne były nieskomplikowane.

Stara Toussaint, niepotrzebna już Janowi Valjean, dostała się w spadku Kozecie i awansowała na pokojową.

Na Jana Valjean czekał w domu pana Gillenormand umyślnie dla niego urządzony pokój, a Kozeta powiedziała mu tonem tak bardzo wykluczającym odmowę: „Ojcze, proszę cię”, że prawie wymogła na nim obietnicę zamieszkania razem z nimi.

Na parę dni przed ustaloną datą ślubu Jan Valjean miał wypadek; zgniótł sobie palec u prawej ręki. Nie było to nic niebezpiecznego; nie pozwolił nikomu, nawet Kozecie, tym się zajmować, opatrzyć ani nawet obejrzeć rany. Musiał jednak obandażować ręką i nosić ją na temblaku. Nie mógł więc podpisać się pod żadnym aktem. Zastąpił go w tym pan Gillenormand jako drugi opiekun Kozety.

Nie poprowadzimy czytelnika ani do kancelarii mera, ani do kościoła. Nie chodzi się tam w ślad za zakochaną parą i dramat zwykle przestaje interesować, z chwilą kiedy wepnie w butonierkę ślubny mirt.

Poprzestaniemy na zanotowaniu pewnego zdarzenia, które, nie zauważone zresztą przez uczestników wesela, miało miejsce podczas przejazdu z ulicy Panien Kalwaryjskich do kościoła Św. Pawła.

W owym czasie naprawiano bruk na północnym odcinku ulicy Św. Ludwika, którą zamknięto od ulicy Parku Królewskiego. Powozy weselne nie mogły jechać wprost do Św. Pawła i trzeba było zdecydować się na okrężną drogę przez bulwar. Ktoś z gości zauważył, że jest Tłusty Wtorek i bulwar będzie zatłoczony pojazdami.

— Dlaczego? — zapytał pan Gillenormand.

— Z powodu maskarady;

— Doskonale! — rzekł dziadek. — Jedźmy tamtędy. Ci młodzi żenią się, zaczynają poważne życie. Przygotują się do niego oglądając maskaradę.

Pojechano więc bulwarem. W pierwszej karecie jechała Kozeta, ciotka Gillenormand, pan Gillenormand i Jan Valjean; Mariusz, który zgodnie ze zwyczajem nie towarzyszył narzeczonej, jechał w drugiej. Wyjechawszy z ulicy Panien Kalwaryjskich orszak ślubny dostał się w długi szereg powozów, który nie kończącym się sznurem ciągnął się od kościoła Św. Magdaleny do Bastylli i od Bastylli do kościoła Św. Magdaleny.

Na bulwarze rojno było od masek. Przelotne deszcze nie ostudziły zapału pajaców, błaznów i trefnisiów. Paryż, wesóły tej zimy 1833 roku, przebrał się za Wenecję. Nie widuje się już dzisiaj takich zapustów. Ponieważ wszystko stało się karnawalem, karnawał przestał istnieć.

Boczne ulice pełne były przechodniów, a okna — ciekawych. Tarasy, zdobiące perystyle teatrów, wypełnione były rzędami widzów. Patrzone na maski, a także na tę procesję, wszelkiego rodzaju pojazdów, właściwą zapustom i alejom w Longchamp; dorożki, omnibusy miejskie, wozy, kariołki, kabriolety jechały jedne za drugimi w porządku, jak po szynach, stosując się ściśle do przepisów policji. Kto znajduje się w jednym z takich pojazdów, jest zarazem widzem i aktorem. Policjanci po bokach bulwarów trzymali w ryzach te dwa długie równoległe sznury, poruszające się w przeciwnych kierunkach, i czuwali nad tym, aby nic nie zahamowało podwójnego prądu, tych dwóch rzek pojazdów, płynących w górę i w dół, w stronę ulicy Chaussee d'Antin i w stronę przedmieścia Św. Antoniego. Ozdobione herbami powozy parów Francji i ambasadorów jechały swobodnie środkiem ulicy. Niektóre wspaniałe i wesołe korowody, zwłaszcza korowód Tłustego Cielca, korzystały z tego samego przywileju. Wśród powszechnej wesołości Paryża Anglia strzelała z bicza; karetka lorda Seymour przejeżdżała z głośnym turkotem, smagana drwinami gminu. W podwójnym sznurze powozów, wzdłuż którego jak psy owczarskie cwałowali gwardziści miejscy, pocziwe, rodzinne landary, pełne ciotek i babek, ukazywały w drzwiczkach świeże twarzyczki poprzebieranych dzieciaków, siedmioletnich pierotów i sześćioletnich kolombin, czarujących istotek, które czując, że biorą oficjalnie udział w publicznej zabawie, i przejęte ważnością tej maskarady, zachowywały się z powagą urzędników.

Czasami w procesji powstawało jakieś zamieszanie, po lewej lub prawej stronie sznur powozów zatrzymywał się, dopóki nie rozplataną supła; jeden powóz, który utknął w miejscu, paraliżował cały korowód. Potem ruszano dalej.

Karety weselne jechały w szeregu ciągnącym ku placowi Bastylli, po prawej stronie bulwaru. Przy ulicy Pont-aux-Choux korowód zatrzymał się. Niemal w tej samej chwili drugi rząd, jadący w stronę kościoła Św. Magdaleny, stanął także. Znajdował się tam powóz pełen masek.

Paryżanie znają doskonale te powozy, a raczej wozy masek. Gdyby ich zabrakło w zapusty czy w półpoście, dopatrywano by się w tym jakiejś złośliwości i powiedziano: „Coś się pod tym kryje. Pewno rząd się zmieni.” Tłumy Kasandr, arlekinów i kolombin, jadące na trzęsących wozach nad głowami przechodniów, wszelkie możliwe i dziwaczne przebrania, od Turka do dzikusa, Herkules trzymający w objęciach markizy, przekupki wykrzykujące tak sprośne koncepty, że zwiędłyby od nich uszy Rabelais'mu, podobnie jak widok menad kazał spuścić oczy Arystofanesowi, konopne peruki, różowe trykoty, strojne kapelusze, okulary komediantów, trójgraniaste kapelusze Janota, z którymi przekomarzał się motyl, głośne zaczepki rzucone w stronę przechodniów, pięści wsparte na biodrach, zuchwałe postawy, obnażone ramiona, zamaskowane twarze, rozpasany bezwstyd; chaos bezczelności obwożony przez woźnicę uwiecznionego kwiatami; oto, czym był ten obyczaj. Grecji potrzebny był wózek

Tespisa , Francji wystarcza dorożka Vadego.

Wszystko można sparodiować, nawet parodię. Satuirnalie, ten grymas starożytnego piękna, powiększając się stopniowo, przemieniają się w zapusty; bachanalie, niegdyś uwieńczone liśćmi winogrodu, skąpane w słońcu, w boskiej półnagości ukazujące marmurowe piersi, dzisiaj uwiędłe pod mokrym łachmanem północy, otrzymały nazwę — maskarady.

Tradycja korowodów masek sięga najdawniejszych czasów monarchii. W rachunkach Ludwika XI istnieje notatka wyznaczająca staroście „dwadzieścia su turneńskich za wynajęcie trzech wozów na maskaradę w mieście”. Za naszych czasów te hałaśliwe stopy ludzi jadą zwykle jakąś starą landarą, obsiadając kozioł lub oblepiając krzykliwym tłumem miejskie lando z otwartą budą. W powozie na sześć osób jedzie dwadzieścia na siedzeniu, na strapontenach, na budzie, na dyszlu; dosiadają nawet latarni, stoją, leżą, siedzą podkurczywszy albo zwiesiwszy na zewnątrz nogi. Mężczyźni trzymają kobiety na kolanach. Nad mrowiem głów widać z daleka te rozpasane piramidy. W ciżbie ludzkiej tworzą one jakby góry wesołości. Tryskają conceptami Collego, Panarda i Pirona , zaprawionymi żargonem. Plują w twarz tłumom swój nieobyczajny, jarmarczny katechizm. Przeładowana dorożka ma wygląd gigantyczny i zwycięski. Wrzawa na przedzie, zamęt z tyłu. Wrzaski, śpiewy, wycia, wybuchy śmiechu, uniesienie szczęściem; wesołość ryczy, sarkazm bucha płomieniem, radość roztacza się jak purpura; dwie nędzne szkapy ciągną apoteozę farsy; to triumfalny rydwan śmiechu.

Śmiech ten jest zbyt cyniczny, aby był szczery. Istotnie, jest to śmiech podejrzany. Ma do spełnienia pewną misję: ma dowieść paryżanom, że jest karnawał.

Te nieobyczajne wozy, w których wyczuwa się jakieś ciemności, wywołują zadumę filozofa. Jest w nich coś z obrazu rządu, jakiś prawie namacalny, a tajemniczy związek między publicznymi mężczyznami a publicznymi kobietami.

Zaiste, smutny to objaw, że to nagromadzenie sromoty daje w sumie wesołość, że to spiętrzenie wszeteczeństwa i hańby raduje lud, że szpiegostwo, służąc za podporę prostytucji, bawi tłumy, że ciżba lubi patrzeć, jak koła dorożki wiozą ten potworny, żywy stos błyskotek i łachmanów, śmieci i światła, stos, który ujada i śpiewa, że oklaskuje tę aureolę, w którą wplata się wszelki możliwy bezwstyd, i że nie ma dla gawiedzi zabawy, jeśli policja nie prowadzi wśród niej tych wielogłowych hydr radości. Ale cóż na to poradzić? Śmiech publiczny lży i rozgrzesza te ozdobione wstęgami i kwiatami wozy ze śmieciem. Powszechny śmiech jest współnikiem powszechnego poniżenia. Pewne niezdrowe zabawy pomniejszają lud i przemieniają go w motłoch, a motłoch, podobnie jak tyrani, musi mieć swoich błaznów. Król ma Roquelaure'a , lud ma pajaca. Paryż jest

wielkim miastem powagi, o ile nie staje się miastem szaleństwa. Karnawał stanowi część polityki. Paryż, wyznajmy to, chętnie patrzy na komedię graną przez hańbę. Od swoich władców — kiedy ma władców — żąda tylko jednego: „Uszminkujcie mi błoto.” Rzym był taki sam. Kochał Nerona. Neron nosił maskę tragarza-tytana.

Jak już powiedzieliśmy, przypadek zrządził, że jedno z takich bezkształtnych gron zamaskowanych kobiet i mężczyzn, stłoczone w wielkiej karecie, zatrzymało się po lewej stronie bulwaru, podczas gdy orszak ślubny stanął po prawej. Poprzez szerokość jezdni wóz z maskami dostrzegł stojącą naprzeciwko karetę panny młodej.

— Patrzajcie! — rzekła jedna z masek — wesele!

— To na niby — odpowiedziała druga — prawdziwe wesele jest u nas.

Ponieważ orszak ślubny był zbyt daleko, aby ryzykować jakieś zaczepki, a ponadto obawiając się interwencji policjantów, obie maski zaczęły patrzeć gdzie indziej.

Po chwili całe zamaskowane towarzystwo miało huk roboty; zebrana gawiedź obrzuciła je gradem szyderczych okrzyków, co jest pieszczotą tłumu dla maskarady; dwie maski, które rozpoczęły rozmowę, musiały wraz z towarzyszami stawić czoło tłumowi i sięgnąć do repertuaru Hal po wszystkie pociski, aby sprostać wyzwiskom rzucanym przez lud. Między maskami a tłumem wywiązała się straszliwa utarczka na metafory.

Tymczasem dwie inne maski z tego samego powozu : stary Hiszpan z ogromnym nosem i olbrzymimi czarnymi wąsami i chuda przekupka, młoda dziewczyna w czarnej masce, zauważyli też wesele i podczas gdy ich towarzysze i przechodnie obrzucali się nawzajem obelgami, oni zaczęli rozmawiać po cichu. Rozmowa ta ginęła w ogólnej wrzawie. Przelatujące deszcze zmoczyły otwarty powóz; wiatr w lutym nie jest ciepły, toteż wydekoltowana przekupka, odpowiadając Hiszpanowi, dygotała z zimna, śmiała się i kasłała.

Oto ich dialog:

— Słuchaj no!

— Co tata powie? — Widzisz tego starego?

— Jakiego starego?

— Tego w pierwszym ślubnym potoku od naszej strony. — Co ma rękę

zawieszoną na czarnej chustce?

— Właśnie. — No więc co! — Jestem pewny, że go znam.

— O!

— Niech mnie gwizdną w tuza, niech mi poderzną krztyka, jeżeli nie kumam tego pajaca.

— Dziś cały Paryż jest pajacem.

— Wychyl no się, może ci się uda zobaczyć pannę młodą.

— Nie widzę. — A pana młodego?

— Nie siedzi w tej dryndzie.

— Patrzcie!

— Chyba, że jest nim ten drugi stary.

— Wychyl się dobrze i postaraj się zobaczyć pannę. młodą.

— Kiedy nie mogę.

— Mniejsza o to, ale daję głowę, że znam tego starego, któremu coś się stało w łapę.

— I co ci z tego przyjdzie?

— Nigdy nie wiadomo, co się może przydać.

— Ja tam gwizdzę na starych.

— Powiadam ci, że go znam.

— A znaj go sobie.

— Co on, u diabła, robi na tym weselu?

— A my co? Przecież też jesteśmy na weselu.

— Skąd jedzie to wesele?

— A czy ja wiem?

— Słuchaj no!



— Co?

— Musisz coś zrobić.

— Co takiego?

— Złaż z naszej dryndy i poluj za nimi.

— A to po co?

— Żeby się dowiedzieć, dokąd jadą i co to za jedni. Spiesz się, jesteś młoda brzana, leć za nimi.

— Nie mogę zleźć z wozu.

— Dlaczego?

— Bo jestem wynajęta. — A, psiakrew!

— Muszę odrobić moją dniówkę dla prefektury.

— Racja.

— Jak zleżę z woza, pierwszy lepszy inspektor może mnie przytknąć, wiesz przecie.

— Wiem.

— Na dzisiaj kupił mnie rząd.

— Trudno. Ale ten stary mnie drażni.

— Drażnią cię starzy? A przecież nie jesteś młodą dziewczyną.

— Siedzi w pierwszym powozie.

— Co z tego?

— W dryndzie panny młodej.

— No to co?

— Więc jest jej ojcem.

— Co mnie to obchodzi.

— Mówię ci, że jest jej ojcem.

— Gadasz tylko ciągle o tym ojcu.

— Słuchaj no.

— Co takiego?

— Wiesz, że mogę wychodzić na miasto tylko w masce. Teraz jestem ukryty, nikt nie wie, że tu jestem. Ale jutro nie będzie już maskarady. Popielec. Mogą mnie pchnąć do bąka. Muszę zmykać z powrotem do mojej dziury. Ty możesz się swobodnie poruszać,

— Nie bardzo.

— W każdym razie bardziej niż ja.

— Co z tego?

— Musisz mi się wywiedzieć, dokąd jedzie to wesele.

— Dokąd jedzie?

— Tak

— Wiem.

— Dokąd?

— W stronę Cadran Bleu. — Nie, jedzie w inną stronę.

— To w stronę Rapee. — Albo gdzie indziej.

— Wesele jedzie, gdzie mu się podoba.

— Nie o to chodzi. Powiadam ci, musisz mi się dowiedzieć, co to za wesele, z którym jedzie ten stary, i gdzie oni mieszkają.

— Jeszcze czego! Śmieszne rzeczy! Myślisz, że to łatwo znaleźć po tygodniu wesele, które przejeżdżało przez Paryż w Tłusty Wtorek. Szukaj igły w stogu siana. Jak ich znajdę?

— Trudno, musisz spróbować. Rozumiesz, Anzelmo?

Dwa szeregi po obu stronach bulwaru ruszyły w przeciwnych kierunkach i powóz masek stracił z oczu „dryndę” panny młodej.

## ROZDZIAŁ II

### JAN VALJEAN MA WCIĄŻ RĘKĘ NA TEMBLAKU

Wcielić w życie swoje marzenie. Komu z ludzi przypadnie to w udziale? Zapewne w niebie przeprowadzają wybory w tym względzie; my wszyscy, nic o tym nie wiedząc, jesteśmy kandydatami; aniołowie głosują. Kozeta i Mariusz zostali wybrani.

W kancelarii mera i w kościele Kozeta była olśniewająco piękna i wzruszająca. Stara Toussaint z pomocą Nikolety ubrała ją do ślubu.

Miała gipiurową suknię na spodzie z białej tafty, welon z angielskiej koronki, naszyjnik z pereł i wianek z pomarańczowego kwiecia; wszystko było białe, a w tej bieli promieniała Kozeta; jakby czarowna niewinność przemieniła się i przeistoczyła w światłość. Rzekłbyś, przeobrażenie się dziewicy w boginię.

Piękne włosy Mariusza były lśniące i pachnące; pomiędzy bujnymi puklami przeglądały tu i ówdzie białe krechy: blizny wyniesione z barykady.

Dziadek, wspaniały, z głową wysoko podniesioną, swym strojem i manierami bardziej niż kiedykolwiek przywodząc na myśl elegancję z czasów Barrasa, prowadził Kozetę. Zastępował Jana Valjean, który z powodu ręki na temblaku nie mógł służyć swym ramieniem pannie młodej.

Ubrany na czarno, szedł za nimi i uśmiechał się.

— Panie Fauchelevant — mówił do niego dziadek — piękny to dzień! Głosuję za końcem utrapień i zmartwień. Odtąd nigdzie nie powinno być smutku. Do kroćset! Uchwalam panowanie radości! Niech przepadnie zła Doprawdy, to hańba dla błękitnych niebios, że istnieją ludzie nieszczęśliwi. Zło nie pochodzi od człowieka, który w gruncie rzeczy jest dobry. Wszystkie niedole ludzkie mają swoją stolicę i siedzibę rządu w piekle, innymi słowy, w Tuileriach diabła. Patrzcie państwo! Gadam teraz jak demagog! Ale ja już nie mam przekonań politycznych; chciałbym, żeby wszyscy byli bogaci, to znaczy weseli, i na tym poprzestaję!

Po zakończeniu wszystkich ceremonii, kiedy powiedzieli już przed merem i przed księdzem wszystkie możliwe „tak”, kiedy już podpisali się w rejestrach na merostwie i w zakrystii, kiedy w dymie kadzielnicy, klęcząc obok siebie pod baldachimem z białej mory, zamienili obrączki i wracali od ołtarza, trzymając się za ręce, budząc podziw i zazdrość wszystkich, on w czerni, ona w bieli,

poprzedzani przez szwajcara, który miałepolety niczym pułkownik i stuknął halabardą w kamienną posadzkę, kiedy przeszli między dwoma szpalerami zachwyconych widzów i stanęli w otwartych na oścież drzwiach na progu kościoła, kiedy mieli już wsiadać do powozu i wszystko już się skończyło, Kozeta jeszcze nie mogła uwierzyć, że to prawda. Patrzyła na Mariusza, patrzyła na tłum, pa trzymała na niebo, jakby bała się, że zbudzi się ze snu. Ten wyraz zdziwienia i niepokoju nadawał jej jeszcze jakiegoś przedziwnego uroku. Powracając do domu wsiedli razem do karety; Mariusz usiadł obok Kozety, a pan Gillenormand i Jan Valjean usiedli naprzeciw. Ciotka Gillenormand wycofała się na dalszy plan i zajęła miejsce w drugiej karecie.

— Moje dzieci — mówił dziadek — jesteście teraz panem baronem i panią baronową i macie trzydzieści tysięcy funtów renty.

A Kozeta pochylając się do Mariusza pieściła jego ucho tym anielskim szeptem:

— Więc to prawda? Jestem pani Mariuszowa. Jestem twoją panią.

Te dwie istoty promieniały. Przeżywali nieodwołalną i jedyną chwilę, olśniewający moment, punkt skupienia wszystkich promieni młodości i szczęścia. Wcielali w życie poemat Jana Prouvaire'a; oboje razem mieli mniej niż czterdzieści lat. Była to sublimacja małżeństwa; tych dwoje dzieci było niewinnych jak lilie. Nie patrzyli na siebie, ale kontemplowali się. Kozecie zdawało się, że Mariusz ma nad głową aureolę, Mariuszowi zdawało się, że Kozeta stoi na ołtarzu. A za tym ołtarzem, za tą aureolą, za tymi dwiema połączonymi apoteozami, gdzieś w głębi, dla Kozety przysłonięte obłokiem, dla Mariusza rozpalona płomieniami, istniała rzecz idealna, rzecz realna, miejsce spotkania pocałunku i marzenia — ślubne łożo.

Wszystkie męki, które przeżyli, powracały do nich pod postacią upojenia. Zdawało im się, że zmartwienia, bezsenne noce, łzy, udręki, niepokoje i rozpacz, przemienione w pieszczoty i promienie, tym czarowniejszą czyniły czarowną chwilę, która się *zbliżała*; że smutki były niejako służebnymi i przystrajały ich radość. Jakaż to błoga rzecz — minione cierpienia! Przeżyte nieszczęścia otaczały jasnym nimbem ich szczęście. Długotrwała agonია ich miłości kończyła się wniebowzięciem.

Obie te dusze jaśniały jednakim upojeniem, zabarwionym, u Mariusza pożądaniem, u Kozety — wstydlivością. Szeptali do siebie: „Pójdziemy odwiedzić nasz ogródek przy ulicy Plumet.” Fałdy sukni Kozety dotykały Mariusza.

Taki dzień jest niewysłowionym połączeniem marzenia i poczucia pewności. Człowiek już posiada i jeszcze się spodziewa. Ma czas na odgadywanie. Takie

jest niewymowne wzruszenie owego dnia, że w pełnym słońcu marzy o północy. Rozkoszne uniesienie dwojga serc udzielało się tłumom i cieszyło przechodniów.

Ludzie przystawali na ulicy Św. Antoniego przed kościołem Św. Pawła, aby poprzez szyby karety zobaczyć pomarańczowe kwiaty, drżące na głowie Kozety.

Orszak ślubny wrócił na ulicę Panien Kalwaryjskich do domu. Mariusz, promieniejący i zwycięski, prowadził Kozetę po tych samych schodach, po których niegdyś wleczono go konającego. Biedacy, zgromadzeni pod drzwiami, dzielili się sakiewką państwa młodych i rozptywali się w błogostawieństwach. Wszędzie stały kwiaty; dom był równie przepojony wonią jak kościół; po zapachu kadzideł — zapach róż. Państwu młodym wydawało się, że słyszą śpiewy płynące z nieskończoności; mieli Boga w sercach; los ukazywał im się jak strop gwiaździsty; ponad swoimi głowami widzieli blask wschodzącego słońca. Nagle rozległ się dźwięk zegara. Mariusz spojrzął na cudne obnażone ramię Kozety i na różowości przezierające przez koronkę jej staniczka, a Kozeta widząc spojrzenie Mariusza zapłonęła się aż po włosy.

Wielu dawnych znajomych państwa Gillenormand zostało zaproszonych na wesele. Wszyscy skwapliwie cisnęli się do Kozety i jedni przez drugich tytułowali ją panią baronową.

Teodul Gillenormand; obecnie już kapitan, przyjechał z Chartres, gdzie stał jego pułk, na wesele kuzyna Pontmercy. Kozeta nie poznała go wcale.

On zaś, przyzwyczajony do tego, że kobiety uważały go za ładnego chłopca, zapomniał zupełnie o Kozecie.

„Miałem rację, że nie wierzyłem w bajki o tym lansjerze" — powiedział sobie w duchu pan Gillenormand.

Kozeta nie była nigdy równie czuła dla Jana Valjean jak teraz. Zgodna w tym względzie z panem Gillenormand i kiedy tamten dawał upust swojej radości w aforyzmach i maksymach, ona tchnęła miłością i dobrocią. Szczęście chce, aby wszyscy byli szczęśliwi.

Zwracając się do Jana Valjean odnajdywała tkliwy ton głosu, jak wtedy kiedy była małą dziewczynką. Pieściła go uśmiechem.

Stoły biesiadne rozstawiono w sali jadalnej. Oświetlenie *a giorno* jest koniecznym dopełnieniem wielkiej radości.

Szczęśliwi nie lubią mgły i mroków; nie chcą czerni. Noc — zgoda; ale nie ciemności. Jeśli nie ma słońca, trzeba je stworzyć.

Sala jadalna była ogniskiem radości. Pośrodku, nad śnieżnobiałym stołem, wisił wenecki świecznik z płaskich, kryształowych płytek, a na nim różnokolorowe ptaszki, niebieskie, fioletowe, czerwone i zielone, siedziały między świecami; naokoło świecznika — żyrandole, na ścianach trzy- lub pięcioramiennie lustrzane kinkiety; lustra, kryształy, szkło, zastawa, porcelana, fajanse, ceramika, wyroby złotnicze i srebra iskrzyły się i radowały oko. Puste miejsca między kandelabrami wypełniały bukiety, tak, że tam, gdzie nie było światła, były kwiaty. W przedpokoju troje skrzypiec i flet grały cicha kwartety Haydna.

Jan Valjean usiadł w salonie na krześle ukrytym prawie za skrzydłem otwartych drzwi. Nim wszyscy zasiedli do stołu, Kozeta podbiegła do niego swawolnie, złożyła mu głęboki ukłon, rozpościerając obiema rękami ślubną suknię, i zapytała go czule z figlarną minką:

— Ojczy, czy jesteś zadowolony?

— Tak — odrzekł Jan Valjean. — Jestem zadowolony.

— To śmieję się, proszę!

Jan Valjean roześmiał się.

Po chwili Baskijczyk zaanonsował, że podano do stołu.

Pan Gillenormand podał ramię Kozecie i wszedł z nią do pokoju jadalnego, a za nimi reszta biesiadników. Według ustalonego porządku zajęto miejsca za stołem.

Po lewej i po prawej ręce panny młodej stały dwa wielkie fotele, jeden dla pana Gillenormand, drugi dla Jana Valjean. Pan Gillenormand usiadł.

Drugi fotel pozostał pusty.

Zaczęto się rozglądać za „panem Fauchelevant”.

Nigdzie go nie było.

Pan Gillenormand zapytał Baskijczyka:

— Nie wiesz, gdzie jest pan Fauchelevant?

— Jaśnie panie - odrzekł Baskijczyk — właśnie pan Fauchelevant kazał mi powiedzieć jaśnie panu, że rozboleła go chora ręka i nie może się do stołu z panem baronem i panią baronową. Prosił, by mu wybaczyć, i powiedział, że

przyjdzie jutro rano. Tylko co wyszedł. Ten pusty fotel przyćmił na chwilę radość weselnej uczty. Ale choć zabrakło pana Fauchelevant, był pan Gillenormand, a dziadek promieniał wesołością za dwóch. Zapewnił, że pan Fauchelevant dobrze zrobił idąc wcześniej spać, jeśli poczuł się gorzej, ale że jego dolegliwości są drobnostką. To zapewnienie wystarczyło. Czym był zresztą ciemny punkcik w takiej powodzi radości? Kozeta i Mariusz przeżywali jedną z tych egoistycznych i błogich chwil, w których człowiek zdolny jest odczuwać tylko szczęście. A przy tym pan Gillenormand wpadł na doskonały pomysł: — Do licha, ten fotel jest pusty. Przesiądź się tu, Mariuszu. Wprawdzie ciotka ma prawo do twojego towarzystwa, ale ci na to zezwoli. Tutaj jest twoje miejsce. To legalne i przyjemne. Fortunat koło Fortunaty.

Cały stół przyklasnął tym słowom. Mariusz usiadł przy Kozecie na miejscu Jana Valjean i sprawy tak się ułożyły, że Kozeta, zrazu zasmucona nieobecnością Jana Valjean, w końcu była z niej zadowolona. Nie odczuwałaby żalu nawet po Bogu, gdyby jego zastępcą był Mariusz. Oparła na nodze Mariusza swoją małą nóżkę w białym atłasowym pantofelku.

Fotel został zajęty, pan Fauchelevant zapomniany, i niczego już nie brakowało. W pięć minut później wszyscy biesiadnicy, od jednego końca stołu po drugi, niepomni niczego, śmieli się beztrosko.

Przy wetach pan Gillenormand wstał, trzymając kielich szampana napełniony tylko do połowy, aby drżąca dziewięćdziesięciodwuletnia ręka nie rozlała wina, i wzniósł zdrowie młodej pary:

— Nie unikniecie dwóch kazań — zawołał. — Rano wysłuchaliście kazania księdza, wieczorem wysłuchacie kazania dziadka. Słuchajcie. Daję wam jedną radę: Ubóstwiajcie się. Bez długich ceregieli idę prosto do celu: Bądźcie szczęśliwi! Największymi mędrkami spośród wszystkich stworzeń są turkawki. Filozofowie powiadają: Miarkujcie swoje uciechy. A ja wam powiadam: Popuśćcie wodzy swoim uciechom! Bądźcie zakochani jak wszyscy diabli! Szalejcie! Filozofowie plotą bzdury. Chętnie wepchnąłbym im z powrotem do gardzieli tę ich filozofię. Czy może być za dużo woni, za dużo rozkwitłych pączków róż, za dużo śpiewających słowików, za dużo zielonych liści, za dużo jutrzeńki w życiu? Czy można za "bardzo się kochać? Czy można za bardzo podobać się sobie? Uważaj, Estello, jesteś za ładna! Uważaj, Nemorinie, jesteś za piękny. Co za brednie! Czy można nazbyt zachwycać się sobą, nazbyt się pieścić, nazbyt czarować? Czy można być zanadto żywym? Czy można być zanadto szczęśliwym? Miarkujcie wasze uciechy! Akurat! Precz z filozofami! Prawdziwą mądrością jest radość. Radujcie się, radujmy się! Czy jesteśmy szczęśliwi, dlatego że jesteśmy dobrzy, czy jesteśmy dobrzy, dlatego że jesteśmy szczęśliwi? Czy sławny diament Sancy nazywa się tak, dlatego że należał niegdyś do Harleya de Sancy, czy dlatego, że waży sto sześć karatów.

Nie wiem — w życiu pełno jest takich problemów, ważne jest to, aby mieć i diament Sancy, i szczęście. Bądźmy po prostu szczęśliwi. Bądźmy ślepo posłuszni słońcu. A czym jest słońce? Miłością. A mówiąc: miłość, mówimy: kobieta! Ach! kobieta — oto prawdziwa wszechmoc! Zapytajcie tego demagoga Mariusza, czy nie stał się niewolnikiem tej małej tyranki Kozety. I to z własnej a nieprzymuszonej woli, tchórz jeden! Kobieta! Żaden Robespierre nie ostoi się jej mocy. Kobieta króluje! Jestem zagorzałym monarchistą tylko tej monarchii. Czym jest Adam? Poddanym królestwa Ewy. Ewie nie przytrafi się nigdy rok 89. Było berło królewskie uwieńczone kwiatem lilii, było berło cesarskie zakończone jabłkiem, było żelazne berło Karola Wielkiego i złote berło Ludwika — rewolucja zgmiotła je w dwóch palcach, jak dwucalowe źdźbło słomy, koniec z nimi; berła są złamane, rzucone na ziemię, nie ma już berła; ale zróbcie, proszę, rewolucję przeciwko tej małej haftowanej chusteczce, pachnącej paczulą. Chciałbym to widzieć! Spróbujcie! Dlaczego to ma w sobie taką moc? Bo jest gałgankiem. A! powiadacie, że jesteście dziewiętnastym wiekiem. Cóż z tego? A my byliśmy wiekiem osiemnastym i byliśmy równie głupi jak wy. Nie wyobrażajcie sobie, żeście dużo zmienili na świecie, dlatego że nazwaliście wasz mór cholera azjatycką, a waszej owerniackiej *bourree* — daliście hiszpańskie imię kacuczcy. I tak trzeba zawsze kochać kobiety. Nie radzę wam wyłamywać się spod ich władzy. Te diaboliczki — to nasze anioły. Tak, miłość, kobieta, pocałunek to krąg, poza który nie radzę wam wychodzić; co do mnie, to chętnie wszedłbym tam z powrotem. Kto z was widział, jak z otchłani nieba wschodzi Wenus niosąc ukojenie wszystkiemu dokoła i patrząc na fale spojrzeniem kobiety, gwiazda Wenus, ta wielka kokietka niebios, Celimena oceanu? Ocean zaś to opryskliwy Alcest. Ale cóż, na próżno zrzędzi; musi się uśmiechnąć, kiedy Wenus się ukaże. Ta sroga bestia poddaje się! Jesteśmy wszyscy tacy sami. Gniewy, burza, pioruny, bryzgi piany lecące aż pod sufit. Wtem na scenie zjawia się kobieta, gwiazda wschodzi — a my na kolana! Pół roku temu Mariusz bił się; dzisiaj się żeni. Mądrze robi! Tak, Mariuszu, tak, Kozeto, macie słuszność. Śmiało żyjcie dla siebie, umizgajcie się do siebie, a nas niech wściekłość porywa, że już nie możemy pójść w wasze ślady! Ubóstwiajcie się. Chwytajcie w dziobki wszystkie okruszyny szczęścia, jakie znajdziecie na ziemi, i uwijcie sobie z nich gniazdko na całe życie. Do kroćset! Kochać, być kochanym — to najcudowniejsza rzecz dla młodych! Nie wyobrażajcie sobie, że wyście to wymyślili. Ja także marzyłem, śniłem i wzdychałem; ja także bujałem w obłokach. Miłość to dziecko, które ma sześć tysięcy lat; powinno mieć długą, siwą brodę. Matuzalem jest smarkaczem w porównaniu z Kupidynem. Od sześćdziesięciu wieków mężczyzna i kobieta kochają się i w ten sposób sobie radzą na tej ziemi. Diabeł, sprytna bestia, znienawidził mężczyznę, a mężczyzna, jeszcze sprytniejsza bestia, pokochał kobietę. W ten sposób zyskał więcej dobrego, niż mu diabeł zrobił złego. Ten dowcipny fortel został wymyślony jeszcze w raju. Moi drodzy, stary to wynalazek, ale zawsze nowy. Korzystajcie z niego. Bądźcie Dafnisem i Chloe, póki nie zmienicie się w Filemona i Baucis. Niech, gdy będziecie razem, nic



więcej wam do szczęścia nie będzie potrzebne, niech Kozeta będzie słońcem Mariusza, a Mariusz — całym światem Kozety. Kozeto, niech uśmiech twojego męża będzie dla ciebie pogodnym niebem; Mariuszu, niech deszczem będą dla ciebie łzy twojej żony; i oby nigdy deszcz nie padał w waszym stadle..Wygraliście na loterii wielki los: miłość uświęconą sakramentem. Macie ten skarb wygrany od losu, pilnujcie go dobrze, zamknijcie go pod klucz, nie trwońcie go. Kochajcie się, a na resztę nie zwracajcie uwagi. Wierzcie moim słowom. Rozsądek przemawia przeze mnie, a rozsądek nie kłamie. Bądźcie jedno dla drugiego religią. Każdy na swój sposób uwielbia Boga. Do kroćset! Ale najlepszy sposób, w jaki można uwielbiać Boga, to kochać swoją żonę. Kocham cię — oto mój katechizm. Kto kocha, jest prawowierny. W przekleństwie Henryka IV świętość znalazła się między obżarstwem a opilstwem. *Ventresaint-gris!* Bez nabożeństwa odnoszę się do takich przekleństw, zapomniano w nich o kobiecie. Dziwi mnie, że taki król, jak Henryk IV, takie właśnie upodobał sobie przekleństwo. Mili przyjaciele, niech żyje kobieta! Powiadają, że jestem stary; to dziwne, bo ja czuję się ciągle miody. Chętnie poszedłbym do lasu i posłuchał, jak kobzy przygrywają do tańca. Widok tych dzieci, co umieją być tak piękne i zadowolone, uderza mi do głowy jak wino. Gdyby kto chciał, to bym się ożenił jak nic. Nie można sobie wyobrazić, żeby Pan Bóg na co innego nas stworzył, jak na to, żeby się ubóstwiać, gruchać, zalecać, być gołąbkim, kogutem, całować swoją lubą od rana do wieczora przeglądać się w oczach kochanej żoneczki, być dumnym, zwycięskim i puszyć się jak paw! Oto cel życia! Oto, za pozwoleniem, co myśmy uważali, kiedy byliśmy młodzi. O, na moją duszę! Piękne były kobietki w owych czasach i wdzięczne, i młodziutkie! Niemałe spustoszenia poczyniłem w ich sercach. A więc kochajcie się. Gdyby ludzie nie kochali się, nie wiem, doprawdy, po co istniałaby wiosna; poprosiłbym wówczas Boga, żeby te wszystkie piękne rzeczy, którymi nas obdarza, schował i żeby zamknął z powrotem w swoim pudle kwiaty, ptaki i ładne dziewczęta. Moje dzieci, przyjmijcie błogosławieństwo starego dziadka! Wieczór był ożywiony, wesoły i przyjemny. Doskonały humor dziadka nadawał ton całej zabawie i każdy dostosował się do tej, prawie stuletniej, serdeczności. Było trochę tańców, dużo śmiechu; było to zacne wesele. Śmiało można byłoby zaprosić na nie dobre dawne czasy; zresztą były one tutaj obecne w osobie dziadka Gillenormand.

Ogólna wrzawa, a po niej cisza.

Młoda para zniknęła.

Wkrótce po północy dom Gillenormandów przemienił się w świątynię.

Tutaj zatrzymujemy się. Na progu nocy poślubnych stoi uśmiechnięty anioł trzymając palec na ustach.

Wobec tego sanktuarium, w którym odbywa się uroczysty obrzęd miłości, dusza pogrąża się w kontemplacji.

Nad takimi domami muszą unosić się płomyki. Radość, którą mieszczą w sobie, musi się wydostawać poprzez kamienne mury w postaci światła i promieniować w ciemności. Niemożliwe, aby święta i decydująca chwila nie słała swoich blasków w nieskończoność. Miłość to boski tygiel, w którym dokonuje się połączenie mężczyzny i kobiety; istota pojedyncza, istota potrójna, istota ostateczna — trójca ludzka wychodzi z tego tygla. Te narodziny jednej duszy, która powstaje przez zespolenie się dwóch dusz, muszą budzić wzruszenie ciemności. Kochanek jest kapłanem; dziewica drży z zachwytu i lęku. Coś z tej radości dociera do Boga. Tam, gdzie jest prawdziwe małżeństwo, to znaczy, gdzie jest miłość, przenika życie nadziemskie. Ślubne łożo tworzy w ciemnościach punkt świetlisty jak zorza. Gdyby danym było ludzkiej żrenicy oglądać groźne, lecz piękne wizje wyższego życia, zobaczyłaby prawdopodobnie kształty nocy, nieznane, skrzydlate postacie, błękitnych przechodniów niewidzialnego, jak kręgiem ciemnych głów otaczają rozjaśniony dom, pochylają się pełni radości i błogostawiając pokazują sobie dziewczyną małżonkę słodko zalęknioną, a na ich boskich twarzach kładzie się odbłask ludzkiego szczęścia. Gdyby w tej godzinie jedynej małżonkowie olśnieni rozkoszą i myśląc, że są sami, zaczęli nadśłuchiwać, usłyszeliby w swoim pokoju cichy szum skrzydeł. Idealne szczęście jest w porozumieniu z aniołami. Ta mała, . ciemna alkowa ma za powałę całe niebiosa. Kiedy dwoje ust uświęconych miłością zbliża się do siebie w akcie tworzenia, nad tym niewysłowionym pocałunkiem jakieś drzenie musi przenikać tajemniczą głębię gwiazd.

Te chwile szczęścia są prawdziwe. Poza tą radością nie ma innej radości. Miłość to jedyna ekstaza. Wszystko inne — to łzy. Jeśli kochacie lub kochaliście niegdyś, niechaj wam to wystarczy.

O nic więcej nie proście. Nie znajdziecie innej perły w ciemnych tajnikach życia. Miłość — to spełnienie.

## ROZDZIAŁ III

### NIEODŁĄCZNY TOWARZYSZ

Co się działo z Janem Valjean? Kiedy na wdzięczne wezwanie Kozety roześmiał się, zaraz potem skorzystał z okazji, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wstał i niepostrzeżenie wysunął się do przedpokoju. Był to ten sam przedpokój, do którego wszedł osiem miesięcy temu, czarny od błota, krwi i prochu, odnosząc dziadkowi wnuka. Stare boazerie ozdobione były girlandami z liści i kwiatów; muzykanci siedzieli na tej kanapie, na której niegdyś złożono Mariusza. Baskijczyk w czarnym fraku, krótkich spodniach, białych pończochach i białych rękawiczkach układał wieńce z róż wokół półmisków, które miano podać do stołu. Jan Valjean pokazał mu rękę na temblaku, polecił wytłumaczyć swoją nieobecność i wyszedł. Okna jadalni wychodziły na ulicę. Jan Valjean stał przez chwilę bez ruchu w ciemnościach pod tymi jaśniejącymi wesoło oknami. Nasłuchiwał. Przytłumione odgłosy biesiady docierały aż do niego. Słyszał donośny, mentorski głos dziadka, tony skrzypiec, brzęk talerzy i kieliszków, wybuchy śmiechu i wśród całej tej wrzawy rozróżniał słodki radosny głos Kozety.

Opuścił ulicę Panien Kalwaryjskich i skierował się w stronę ulicy Człowieka Zbrojnego.

Wracał do domu przez ulicę Św. Ludwika, Ogrodową — Św. Katarzyny i ulicę Białych Płaszczy; była to nieco dłuższa droga, ale od trzech miesięcy tędy właśnie zwykł był chodzić codziennie z Kozetą z ulicy Człowieka Zbrojnego na ulicę Panien Kalwaryjskich, unikając zatorów i błota na ulicy Vieille-du-Tetmple.

Nie mógł iść inną drogą niż tą, którą chodziła Kozeta.

Wrócił do domu. Zapalił świecę i wszedł na górę. Mieszkanie było puste. Nawet starej Toussaint już nie było. Kroki Jana Valjean rozlegały się po pokojach głośniejsze niż zazwyczaj. Wszystkie szafy były otwarte. Wszedł do pokoju Kozety. Z łóżka zdjęto prześcieradła. Poduszka w drelichowej powłoczce, bez poszewki i koronek *leżała* na złożonych kołdrach w nogach łóżka, na gołym materacu, na którym nikt już nie miał spać. Wszystkie panieńskie drobiazgi, które Kozeta lubiła, zabrała ze sobą. Pozostały tylko ciężkie sprzęty i cztery ściany. Z łóżka Toussaint również zdjęto pościel. Jedno tylko łóżko było posłane i zdawało się czekać na kogoś, łóżko Jana Valjean.

Jan Valjean popatrzył na ściany, pozamykał szafy, przeszedł się po pokojach.

Po czym wrócił do siebie i postawił świecę na stole.

Odwiązał temblak i swobodnie posługiwał się prawą ręką, jakby go wcale nie bolała.

Podszedł do łóżka i — przypadkiem czy umyślnie? — wzrok jego padł na „nieodłącznego towarzysza”, o którego niegdyś Kozeta była zazdrosna, na ów mały kuferek, z którym nigdy się nie rozstawał. Czwartego czerwca, po przybyciu na ulicę Człowieka Zbrojnego, postawił go na okrągłym stoliku przy łóżku. Z jakąś żywością podszedł do stolika, wyjął z kieszeni klucz i otworzył kuferek.

Powoli wyjmował z niego ubranie, w którym przed dziesięciu laty Kozeta opuściła Montfermeil; najpierw czarną sukienkę, potem czarną chustkę, potem grube, dziecinne trzewiki, które Kozeta mogłaby włożyć jeszcze i teraz, tak małą miała nóżkę, potem gruby, barchanowy kaftanik, potem trykotową haleczkę, potem fartuszek z kieszonkami i wełniane pończoszki. Pończoszki te, które zachowały jeszcze wdzięczny kształt drobnej nóżki, były niewiele dłuższe niż dłoń Jana " Valjean. Wszystko to było czarne. To on, Jan Valjean, przyniósł jej to ubranie do Montfermeil. Teraz wyjmował je z kuferka i układał na łóżku. Rozmyślał, wspominał. Była zima, bardzo mroźny grudzień, a ona dygotała półnaga w swoich łachmanach i miała na bosych, czerwonych nóżkach chodaki. Kazał jej zrzucić te łachmany i włożyć żałobną sukienkę. Matka musiała się ucieszyć, widząc, że córka nosi po niej żałobę, a przede wszystkim, że jest ubrana i nie marznie. Myślał o lesie koło Montfermeil; przez ten las szli razem z Kozetą; myślał o tamtej zimie, o drzewach bez liści, lesie bez ptaków, niebie bez słońca; a jednak, mimo wszystko, to było cudowne. Rozłożył małe szatki na łóżku, chustkę koło halki, pończochy koło trzewików, kaftanik koło sukienki i oglądał je po kolei. Była taka malutka, niosła na ręku dużą lalkę, luidora schowała do kieszeni tego fartuszka, śmiała się; szli razem, trzymając się za ręce, tylko jego jednego miała wtedy na świecie.

I wtedy czcigodna siwa głowa opadła na łóżko, stare, stoickie serce pękło; rzekłbyś, że utonął twarzą w ubranku Kozety i gdyby ktoś szedł w tej chwili po schodach, usłyszałby rozzierające łkania.

## ROZDZIAŁ IV

### IMMORTALE JECUR

Dawna, straszliwa walka, którą oglądaliśmy już w kilku jej fazach, rozpoczęła się na nowo.

Jakub walczył z aniołem tylko przez jedną noc. Niestety, ileż to razy widzieliśmy już, jak Jan Valjean zmagał się w ciemnościach ze swoim sumieniem i jak walczył z nim zaciekle.

Przedziwna to walka; raz człowiek się pośliźnie, innym razem ziemia usuwa mu się spod nóg. Ileż razy sumienie uparcie dążące ku dobremu pochwyciło go i gnębiło! Ileż razy nieubłagana prawda przygniotła go swym kolanem do ziemi. Ileż razy, powalony przez światło, błagał je o litość! Ileż razy to nieubłagane światło, rozpalone w nim i nad nim przez biskupa, olśniewało go przemocą, kiedy on wolałby pozostać ślepy! Ileż razy w tej walce zrywał się na nogi, czepiał skały, czepiał sofizmatów, tarzał się w prochu, to biorąc górę nad sumieniem, to znów pokonany przez nie! Ileż razy, kiedy egoizm podsunął mu jakiś wybieg, jakieś zdradzieckie, pozornie prawdziwe rozumowanie, słyszał gniewny głos swego sumienia wołający mu do ucha: „Nieuczciwie walczysz, nędzniku!” Ile razy nieposłuszna myśl rzeziła konwulsyjnie pod brzemieniem oczywistości obowiązku! Zmaganie z Bogiem. Śmiertelny trud. Z iluż ran krwawił potajemnie! Ile bolesnych zadraśnień było w jego żalonym życiu! Ile razy podnosił się zakrwawiony, zbolały, złamany, oświecony, z rozpaczą w sercu i pogodą w duszy i, zwyciężony, czuł się zwycięzcą. A kiedy sumienie już go zgmiotło, poszarpało na sztuki, pokonało, wówczas stawało przed nim groźne, promienne, spokojne i mówiło mu: „A teraz idź w pokoju.”

Niestety, po wyjściu z tak straszliwej walki jakże ponury jest pokój.

Tej nocy Jan Valjean czuł, że stacza swoją ostatnią walkę.

Stawało przed nim bolesne pytanie.

Przeznaczenie nie biegnie prostą drogą, nie ściele się przed oczyma człowieka, jak równa aleja; ma swoje ślepe zaułki, ciemne zakręty, nieznane rozdroża, prowadzące w różne kierunki. Jan Valjean stał w tej chwili na najniebezpieczniejszym rozdrożu.

Doszedł do najwyższego punktu, w którym krzyżuje się dobro i zło. Miał przed oczami te tajemnicze rozstaje. Tym razem znowu, jak mu się już to zdarzało," w

innych, bolesnych przeżyciach, otwierały się przed nim dwie drogi; jedna go kusiła, druga przerażała — którą wybrać?

Tę przerażającą drogę wskazywał mu tajemniczy palec, który widzimy zawsze, ilekroć wpatrzymy się w mrok.

Jeszcze raz Jan Valjean stanął przed wyborem — między straszliwą przystanią a uśmiechniętą zasadzką.

Więc to prawda? Duszę można uleczyć, ale nie uleczy się losu!

Straszna to rzecz — nieuleczalne przeznaczenie!

A oto zagadnienie, które stanęło przed nim:

W jaki sposób ma się zachować wobec szczęścia Kozety i Mariusza? Sam chciał tego szczęścia, sam był jego sprawcą, sam wbił je sobie w trzewia i teraz, patrząc na nie, mógłby odczuwać ten sam rodzaj zadowolenia, co płatnerz, który wyciągając dymiący nóż z serca poznaje na nim swój znak.

Kozeta miała Mariusza, Mariusz posiadał Kozetę. Mieli wszystko, nawet bogactwo. I to było jego dziełem. Ale skoro on, Jan Valjean, istnieje, skoro jest tutaj, jakże ma postąpić z ich szczęściem? Czy ma się narzucać temu szczęściu? Traktować je tak, jakby i jego obejmowało? Zapewne, Kozeta należała do innego, ale czy on zatrzyma z jej uczuć wszystko, co może zatrzymać? Czy pozostanie tym przybranym ojcem, prawie niedostrzegalnym, ale szanowanym, którym był do tej pory? Czy zamieszka spokojnie w domu Kozety? Bez słowa wniesie swą przeszłość do tej przyszłości? Czy zajmie tam miejsce, jakby mu się prawnie należało, i ze swą tajemnicą zasiądzie przy tym promiennym ognisku domowym? Czy z uśmiechem ujmie dłonie tych niewinnych istot w swoje tragiczne ręce? Czy w salonie Gillenormandów oprze o jaśniejący kominek nogi, za którymi wlecze się znieślawiający cień prawą? Czy weźmie udział w szczęściu z Kozetą i Mariuszem? Czy gęstym cieniem otoczy swoje czoło, a ich czoła chmurą? Czy do tego podwójnego szczęścia wprowadzi trzeciego współnika, swoją klęskę? Czy będzie nadal milczał? Słowem, czy obok tych dwojga szczęśliwych istot zasiądzie on, posępny niemowa losu?

Trzeba być oswojonym ze spotkaniami z nieubłaganym przeznaczeniem, aby mieć odwagę spojrzeć w oczy pewnym problemom, które stają przed nami w całej swej okropnej nagości. Za tym okrutnym znakiem zapytania kryje się dobro albo zło. Jak postąpisz? — pyta Sfinks.

Jan Valjean był oswojony z próbami tego rodzaju. Patrzył na Sfinksa bez zmrużenia oczu.

Ze wszystkich stron zbadał bezlitosne zagadnienie.

Kozeta, ta czarująca istota, była tratwą ocalenia dla niego, rozbitka. Co zrobić? Uczepić się jej czy wypuścić ją z rąk?

Jeżeli się jej uczepi, uratuje się od rozbicia, wróci do słońca, osuszy włosy i ubranie ze słonej wody, *będzie* ocalony, *będzie* żył.

A jeśli wypuści ją z rąk?

Wówczas — otchłań.

Tak prowadził bolesne narady z własną myślą. Albo, ściśle mówiąc, walczył; z wściekłością zmagał się w duchu to ze swoimi chęciami, to ze swoimi przekonaniem.

Szczęściem było dla niego, że mógł zapłakać. Może . go to oświeciło. Jednakże początek był okrutny. Rozpętała się w nim burza, jeszcze sroższa od tej, która niegdyś zagnała go do Arras. Przeszłość powracała do niego i stawiała obok teraźniejszości; porównywał je ze sobą i szlochał. Kiedy już otworzyły się upusty łez, nieszczęsny wił się z bólu.

Czuł, że coś go powstrzymuje.

Niestety, w zaciętych zmaganiach egoizmu i obowiązku, kiedy cofamy się krok po kroku przed niewzruszonym ideałem, obłąkani, rozjątrzeni, zropani, że ustępujemy, walcząc o każdą piędź ziemi, nie tracąc nadziei ucieczki i szukając wyjścia — jakże nagły i złowrogi jest opór muru, do którego zostaliśmy przyparci. Czuć za sobą święty cień, który zamyka drogę!

Bezlitosne Niewidzialne — jakież to opętanie!

Z sumieniem nigdy nie można zakończyć sprawy. Zdecyduj coś, Brutusie! Zdecyduj coś, Katonie! Sumienie nie ma dna, bo jest Bogiem. Rzucasz w tę studnię trud całego życia, rzucasz majątek, bogactwo, powodzenie, wolność albo ojczyznę, rzucasz swój dobrobyt, swój spokój, swoją radość. Wciąż mało! mało i mało. Wylej ostatnią kroplę! Przechyl czarę! I trzeba w końcu wrzucić tam swoje serce.

Gdzieś- w ciemnych oparach starych piekieł jest taka beczka bez dna.

Czyż człowiek nie jest rozgrzeszony, jeśli w końcu odmówi?

Czy to, co niewyczerpane, może mieć jakieś prawa? Czy nie kończące się łańcuchy nie są zbyt ciężkie na ludzkie siły? Któż miałby za złe, gdyby Syzyf i

Jan Valjean powiedzieli wreszcie: „Dość!” Posłuszeństwo materii jest ograniczone tarciem; czy nie istnieje granica posłuszeństwa duszy? Jeżeli wieczny ruch jest niemożliwy, czy można wymagać wiecznego poświęcenia?

Pierwszy krok nie jest trudny; trudny jest ostatni. Czym była sprawa Champmathieu w porównaniu z małżeństwem Kozety i jego następstwami? Czym był powrót na galery w porównaniu z wejściem w nicość?

O! jakże ciemny jest pierwszy stopień wiodących w dół schodów! O! jakże czarny jest ich drugi stopień!

Czyż można tym razem nie obejrzeć się za siebie?

Męka jest oczyszczeniem, trawiącym oczyszczeniem, uświęcającą torturą. Przez pierwsze chwile można się z nią pogodzić — siada się na rozpalonym do czerwoności tronie, wkłada się na głowę rozpaloną do czerwoności koronę, przyjmuje się rozpalone do czerwoności jabłko, bierze rozpalone do czerwoności berło, ale trzeba jeszcze okryć się płaszczem z płomieni. Jakże więc w jakiejś chwili nieszczęsne ciało nie ma się zbuntować? Jak nie wyrzec się męki? Jana Valjean ogarnął wreszcie spokój przygnębienia.

Ważył, rozmyślał, badał szale tej tajemniczej wagi światła i cienia.

Albo narzuci tym dwojgu promiennym dzieciom swoją hańbę, albo sam dokona swego nieuchronnego unicestwienia. Albo poświęci Kozetę, albo poświęci samego siebie.

Jakiego dokonał wyboru? Jakie powziął postanowienie? Jaką ostateczną odpowiedź dał w głębi duszy na nieubłagane pytanie losu? Jakie drzwi zdecydował się otworzyć? Jakie drzwi swego życia postanowił zamknąć i zamurować? Którą z otaczających go bezdennych przepaści wybrał w końcu? Którą ostateczność przyjął? Na którą otchłań zgodził się?

Te zawrotne myśli trawiły go przez całą noc.

Przetrwał do rana w tej samej postawie na łóżku, zgięty we dwoje, powalony ogromem losu, a może nawet zdruzgotany, niestety! z zaciśniętymi pięściami i rozrzuconymi ramionami, jak gdyby zdjęty z krzyża i twarzą rzucony na ziemię. Leżał tak dwanaście godzin, dwanaście godzin długiej, zimowej nocy, skostniały, bez ruchu, bez słowa. Był nieruchomy jak trup, podczas gdy jego myśl to tarzała się po ziemi jak hydra, to wzbijała się w niebo jak orzeł. Patrząc na niego, można było sądzić, że umarł; wzdrygał się nagle konwulsyjnie i, przywarłszy ustami do sukienek Kozety, całował je, wówczas było widać, że żyje.



Kto widział, skoro Jan Valjean był sam i nikogo tam nie było?

Ten, Kto jest w ciemnościach.

# KSIEGA SIÓDMA

## OSTATNIE KROPLE Z KIELICHA GORYCZY

### ROZDZIAŁ I

#### SIÓDMY KRĄG PIEKIEŁ I ÓSME NIEBO

Dni, które następują po ślubie, spędza się w odosobnieniu. Ludzie szanują skupienie szczęśliwych. A trochę także i ich przydługi sen. Dopiero później rozpoczyna się rozgwar wizyt i powinszowań. Siedemnastego lutego koło południa, kiedy Baskijczyk, ze ścierką i miotełką z piór w rękę, „robił porządki” w przedpokoju, ktoś lekko zapukał do drzwi. Nie zadzwonił, co w takim dniu było dowodem delikatności. Baskijczyk otworzył drzwi i zobaczył pana Fauchelevant. Wprowadził go do nie sprzątniętego jeszcze salonu, który wyglądał jak pobojuwisko po wczorajszych uciechach.

— Cóż — zauważył Baskijczyk — zaspaliśmy dzisiaj, proszę pana.

— Czy pan już wstał? — zapytał Jan Valjean.

— A jak pana ręka? — odpowiedział Baskijczyk.

— Lepiej. Czy pan już wstał?

— Który? Dawny czy nowy?

— Pan Pontmercy.

— Pan baron — poprawił Baskijczyk prostując się. Baronem jest się w pierwszym rzędzie dla swojej służby. Coś z tego splendoru spływa na nią; filozof nazwałby to odpryskiem tytułu; to jej właśnie pochlebia. Nawiasem mówiąc, Mariusz, zagorzały republikanin — czego dowiódł czynem — teraz stał się ba-

ronem mimo woli. W poglądach na ten tytuł dokonała się w rodzinie mała rewolucja: obecnie pan Gillenormand przywiązywał doń wagę, a Mariusz go unikał. Ale pułkownik Pontmercy napisał: „Mój syn będzie nosił ten tytuł”, więc Mariusz był posłuszny. A poza tym Kozeta, w której zaczynała odzywać się próżność kobieca, była zachwycona tytułem baronowej.

— Pan baron — powtórzył Baskijczyk — zaraz zobaczę. Powiem, że pan Fauchelevant czeka.

— Nie, proszę mu nic nie mówić, że to ja. Proszę powiedzieć nie wymieniając nazwiska, że ktoś chce pomówić z nim na osobności.

— O! — zdziwił się Baskijczyk. — Chcę mu zrobić niespodziankę.

— O! — powtórzył Baskijczyk, jakby sobie samemu tłumacząc tym drugim „O!” pierwszy wykrzyknik.

I wyszedł. .

Jan Valjean został sam.

Powiedzieliśmy już, że w salonie panował nieład. Miało się wrażenie, że nadstawiając ucha można byłoby jeszcze usłyszeć odgłosy wesela. Posadzka była zasypana przeróżnymi kwiatami, które spadły z girland lub kobiecych fryzur. Wypalone do obsady świece utworzyły na kryształach świeczników woskowe stalaktyty. Żaden mebel nie stał na swoim miejscu. W kątach pokoju trzy lub cztery fotele ustawione w ciasny krąg, zdawały się nadal prowadzić rozmowę. Całość miała wygląd roześmiany. Nawet w przebrzmiałej zabawie tkwi pewien czar. Gościło tu szczęście. Wśród tych porozstawianych bezładnie krzesel, wśród więdniętych kwiatów, pod wygaszonymi już światłami myślano o radości. Teraz słońce zastąpiło świeczniki i wesoło zaglądało do salonu. Upłynęło kilka minut. Jan Valjean stał bez ruchu w miejscu, gdzie zostawił go Baskijczyk. Był bardzo blady. Oczy miał przygasłe i tak zapadnięte od bezsenności, że prawie ginęły w oczodołach. Czarne ubranie było pomięte, jakby spędził w nim noc, na łokciach miał nieco białego puszkę, który pozostaje na suknie po zetknięciu z prześcieradłem. Patrzył na rysunek okna, które słońce rzucało na posadzkę u jego stóp.

Na odgłos otwieranych drzwi podniósł głowę.

Wszedł Mariusz, głowę miał podniesioną, uśmiech na ustach, jakiś blask na twarzy, pogodne czoło i triumfujące spojrzenie.

On także nie spał tej nocy.

— To ojciec! — zawołał zobaczywszy Jana Valjean — a ten głupiec Baskijczyk robił takie tajemnicze miny. Ale ojciec przychodzi za wcześnie, jest dopiero wpół do pierwszej, Kozeta jeszcze śpi.

Słowo: „Ojciec”, powiedziane panu Fauchelevant przez Mariusza, oznaczało: „Szczęście niewysłowione”. Jak wiemy, zawsze dzielił ich jakiś przedział, chłód, przymus, jakiś lód, który trzeba było przełamać lub stopić. Mariusz tak był upojony szczęściem, że przedział znikł lub stopniał, i pan Fauchelevant stał się ojcem dla niego jak dla Kozety.

Mówił dalej; słowa płynęły mu z ust wartkim potokiem, jak to zwykle bywa w boskich uniesieniach radości.

— Jakże się cieszę, że ojca widzę! Gdyby ojciec wiedział, jak bardzo nam go wczoraj brakowało. Dzień dobry! Jak ojca ręka? Pewno lepiej, prawda?

I, ucieszony pomyslną wiadomością, którą sam sobie dopowiedział, ciągnął dalej:

— Tyleśmy o ojcu rozmawiali. Kozeta tak ojca kocha! Pamięta ojciec chyba, że ma tutaj swój pokój. Nie chcemy więcej słyszeć o ulicy Człowieka Zbrojnego, nie! nie chcemy! Jak można mieszkać na takiej ulicy? Niezdrowa, smutna, brzydka, zatarasowana na jednym końcu, zimna i tak wąska, że niesposób nawet w nią wjechać. Ojciec zamieszka tutaj, i to od dzisiaj. Albo będzie miał ojciec do czynienia z Kozeta. A uprzedzam, że ona chce nas tu wszystkich wodzić za nos. Widział ojciec swój pokój? Jest tuż obok naszego; wychodzi na ogród. Kazaliśmy naprawić jakiś drobiazg przy zamku, łóżko jest posłane, wszystko gotowe, tylko się wprowadzić! Kozeta postawiła przy łóżku starą, dużą berzerę, obitą utrechckim aksamitem, i powiedziała jej: „Przyjmij go gościnnie.” Co wiosną słowik przylatuje do kępy akacji naprzeciw okna. Zawita tu za dwa miesiące. Będzie ojciec miał jego gniazdko po lewej stronie, a po prawej — nasze. W nocy on będzie śpiewał, w dzień będzie szczebiotać Kozeta. Ojca pokój jest od południa. Kozeta ustawi tam ojca książki, jego ulubione opisy podróży kapitana Cooka i Vancouvera i inne drobiazgi. Podobno istnieje jakiś kuferek, do którego ojciec przywiązuje szczególną wagę, przygotowałem dla niego honorowe miejsce. Zawojował ojciec mojego dziadka, niezmiernie przypadł mu ojciec do gustu. Będziemy mieszkali razem. Czy umie ojciec grać w wista? Jeżeli tak, to dziadek będzie zachwycony. Kiedy będę w sądzie, ojciec będzie chodził z Kozetą na spacer, jak kiedyś do Ogrodu Luksemburskiego. Postanowiliśmy być bardzo szczęśliwi. I ojciec będzie szczęśliwy naszym szczęściem. Ojciec zje z nami obiad, prawda?

— Proszę pana — rzekł Jan Valjean — chcę panu coś powiedzieć. Jestem dawnym galernikiem.

Granica dosłyszalności dźwięków istnieje nie tylko dla ucha, ale i dla umysłu. Słowa: „Jestem dawnym galernikiem”, które wyszły z ust pana Fauchelevent i dotarły do uszu Mariusza, znajdowały się poza tą granicą. Mariusz nie usłyszał ich. Wydawało mu się, że mu coś powiedziano, ale nie wiedział co. Stał ośłupiały. Dopiero teraz zauważył, że człowiek, który do niego mówił, wygląda strasznie. Olśniony swoim szczęściem, nie spostrzegł dotychczas jego okropnej bladości.

Jan Valjean odwiązał czarną chustkę podtrzymującą jego prawą rękę, rozwinął

bandaż i pokazał Mariuszowi obnażony palec.

— Nic mi nie jest w rękę — rzekł. Mariusz spojrział na ten palec.

— I nigdy mi nic nie było — dodał Jan Valjean.

Istotnie, nie było na niej ani śladu skaleczenia. Jan Valjean ciągnął dalej:

— Nie trzeba było, bym brał udział w waszym ślubie. W tym celu zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić. Wymyśliłem to skaleczenie, żeby nie popełnić fałszerstwa, żeby nie podpisywać aktu ślubu, bo byłby nieważny.

Mariusz wyjąkał:

— Co to znaczy?

— To znaczy — odpowiedział Jan Valjean — że byłem na galerach.

— Pan mnie przyprawia o szaleństwo! — zawołał przerażony Mariusz. .

— Panie Pontmercy — rzekł Jan Valjean — byłem przez dziewiętnaście lat na galerach. Za kradzież. Potem zostałem skazany na dożywocie. Za kradzież. Za recydywę. Obecnie jestem zbiegłym więźniem.

Na próżno Mariusz chciał uciec przed rzeczywistością, nie przyjął do wiadomości tego faktu, opierał się oczywistości — musiał się poddać. Zaczynał rozumieć i jak zwykle bywa w takich razach, zrozumiał za wiele. Przeszył go na wskroś blask straszliwej błyskawicy, przez głowę przeleciała mu pewna myśl przejmując go dreszczem. Mgliście zarysowała mu się przyszłość, gotująca i jemu straszny los.

— Niech pan wszystko powie, wszystko! — krzyknął — pan jest ojcem Kozety!

I cofnął się dwa kroki ruchem niewysłowionej zgrozy.

Jan Valjean podniósł głowę z tak majestatyczną godnością, że zdawał się rosnąć aż pod sam sufit. — Trzeba, aby pan mi uwierzył, chociaż przysięgi takich ludzi jak my nie mają mocy wobec prawa... Tu umilkł na chwilę, po czym z dostojną i grobową powagą dodał, mówiąc powoli i z naciskiem:

— ...Pan mi uwierzy. Ja — ojcem Kozety? Nie! Bóg świadkiem, że nie. Panie baronie, ja jestem chłopem z Faverolles. Zarabiałem na życie przycinaniem drzew. Nie nazywam się Fauchelevent, nazywam się Jan Valjean. Nie jestem krewnym Kozety, bądź pan spokojny.

Mariusz wykrztusił:

— Kto mi dowiedzie?...

— Ja. Bo ja to mówię.

Mariusz spojrzał na tego człowieka. Był posępny i spokojny. Ten spokój nie mógł kryć w sobie kłamstwa. Chłód jest szczery. Czuło się prawdę w tym grobowym zimnie.

— Wierzę panu — rzekł Mariusz.

Jan Valjean schylił głowę jakby na znak, że trzyma go za słowo, i mówił dalej.

— Czym jestem dla Kozety? Przechodniem. Dziesięć lat temu nie wiedziałem, że istnieje na świecie. Kocham ją, to prawda. Kiedy człowiek jest już stary i widzi małe dziecko, kocha je. Staremu człowiekowi zdaje się, że jest dziadkiem wszystkich małych dzieci. Chyba pan może uwierzyć, że mam coś na kształt serca. Ona była sierotą. Nie miała ojca ani matki. Byłem jej potrzebny. I dlatego pokochałem ją. Dzieci są tak słabe, że pierwszy lepszy człowiek, nawet taki jak ja, może stać się ich opiekunem. Spełniłem ten obowiązek względem Kozety. Nie sądzę doprawdy, aby taki drobiazg można było nazwać dobrym uczynkiem; ale jeśli to jest dobry uczynek, no to go spełniłem. Niech pan zanotuje tę okoliczność łagodzącą. Dzisiaj Kozeta opuszcza moje życie, nasze drogi rozchodzą się. Odtąd już jestem dla niej niczym. Została panią Pontmercy. Zmieniło się jej życie i Kozeta wygrała na tej zmianie. Wszystko jest w porządku. Co do owych sześciuset tysięcy franków, to chociaż pan o nich nie wspomina, uprzedzę pańskie obawy — to depozyt. W jaki sposób depozyt ten znalazł się w moich rękach? Czy to nie wszystko jedno? Oddaję depozyt. To wszystko, czego można ode mnie żądać. Uzupełniam zwrot wyjawieniem mojego prawdziwego nazwiska. To też jest moja osobista sprawa. Zależy mi na tym, aby pan wiedział, kim jestem.

I Jan Valjean spojrzał Mariuszowi prosto w oczy.

Uczucia, których doznawał Mariusz, były burzliwe i chaotyczne. Niekiedy wichry przeznaczenia wzbijają takie fale w naszej duszy.

Każdy z nas przeżywał chwile rozterki, kiedy rozpierzchają się wszystkie nasze myśli; wypowiadamy wówczas pierwsze lepsze słowa, nie zawsze właśnie te, które należałoby powiedzieć. Pewnych, niespodziewanych rewelacji nie można zmieść, odurzają jak złowrogie wino. Mariusz był tak wytrącony z równowagi sytuacją, która się wytworzyła, że zaczął mówić do tego człowieka, jakby miał do niego urazę za jego wyznanie.

— Ale po co właściwie pan mi to wszystko mówi? — zawołał. — Co pana do tego zmusza? Mógłby pan zachować tę tajemnicę dla siebie. Nikt pana nie

zadenuncjował, nikt pana nie ściga ani nie śledzi. Pan musi mieć jakiś powód, skoro z lekkim sercem wyjawia pan taką tajemnicę. Proszę dokończyć. Tu się coś innego jeszcze kryje. Dlaczego czyni pan to wyznanie? Z jakich pobudek?'

— Z jakich pobudek? — odpowiedział Jan Valjean głosem tak cichym i głuchym, jakby mówił raczej do siebie niż do Mariusza. — Istotnie, z jakich pobudek ten galernik przychodzi i powiada: „Jestem galernikiem”? O tak, pobudka jest bardzo dziwna. Uczciwość. Widzi pan, na nieszczęście, mam w sercu nić, która mnie trzyma na uwięzi. Kiedy człowiek jest stary, te nici są szczególnie mocne. Całe życie rozsypuje się w gruzy, a one trwają nadal. Gdybym mógł wyszarpnąć tę nić, zerwać ją, rozwiązać albo przeciąć węzeł i odejść daleko, byłbym ocalony; wystarczyłoby mi wyjechać dylizansem z ulicy Boulod; wy jesteście szczęśliwi, ja odchodzę. Próbowiałem zerwać tę nić, szarpałem ją, wytrzymała, nie pękła, wydzieriałem z nią własne serce. Wówczas powiedziałem sobie: „Nie mogę żyć gdzie indziej; muszę tu zostać.” Tak, pan ma rację, jestem głupcem; dlaczego nie zostałem tu po prostu? Ofiarowuje mi pań pokój w swoim domu, pani Pontmercy lubi mnie, powiedziała do tego fotela: „Przyjmij go gościnnie!” Pański dziadek także rad mnie widzi, przypadłem mu do gustu, będziemy razem mieszkać, razem jadać, będę prowadzić na spacer Kozetę — panią Pontmercy, przepraszam, to z przyzwyczajenia — będziemy mieli wspólny dach, wspólny stół, wspólne ognisko, wspólny kącik przy kominku w zimie, wspólne przechadzki w lecie, to jest radość, to jest. szczęście, to jest wszystko! Będziemy żyć jak jedna rodzina. Rodzina!

Przy tym słowie Jan Valjean spojrział dziko. Skrzyżował ręce na piersi, wbił wzrok w podłogę, jakby chciał w niej wykopać przepaść, i głos jego nagle nabrał mocy:

— Rodzina! Nie! ja nie należę do żadnej rodziny. Nie należę do waszej. Nie należę do rodziny ludzi. W domu, gdzie każdy jest między swoimi, dla mnie nie ma miejsca. Są rodziny, ale nie dla mnie. Jestem nieszczęśliwy; jestem wszędzie obcy. Czy miałem ojca i matkę? Niemal w to wątpię. W dniu, w którym wydałem za mąż to dziecko, wszystko się skończyło, widziałem ją szczęśliwą z człowiekiem, którego kocha, widziałem, że mają przy sobie zacnego starca, że żyją jak para aniołów, mają wszystkie radości w swoim domu, że wszystko dobrze, i powiedziałem sobie: „A ty nie wchodź tam!” Oczywiście, mogłem skłamać, mogłem was oszukać, pozostać nadal panem Fauchelevent. Dopóki to było dla jej dobra, mogłem kłamać; ale teraz kłamałbym dla swojego dobra, a tego nie powinienem robić. Oczywiście, mógłbym nadal milczeć i wszystko byłoby jak dawniej. Pyta pan, co zmusza mnie do mówienia? Dziwna rzecz — sumienie. Milczeć było przecież tak łatwo. Przez całą noc starałem sobie to wmówić; pan mnie wypytuje jak na spowiedzi; wyjawilem panu tak niezwykłe rzeczy, że ma pan do tego prawo; ano, tak. Przez całą noc przekonywałem sam siebie, wynajdywałem różne racje, robiłem,

co mogłem. Ale dwom rzeczom nie mogłem poradzić: nie mogłem zerwać nici serca, która trzyma mnie tutaj na uwięzi, która wiąże i przykuwa mnie, ani nakazać milczenia komuś, kto cicho szepce we mnie, kiedy jestem sam. Dlatego przyszedłem dzisiaj wyznać panu wszystko. Wszystko albo prawie wszystko. O pewnych rzeczach nie ma co mówić, bo tylko mnie dotyczą, zostawiam je dla siebie. Zasadnicze rzeczy są panu wiadome. Przyniosłem panu moją tajemnicę; spod serca wydarłem mój sekret. Nie łatwo powziąć taką decyzję.

Walczyłem ze sobą przez całą noc. Ach! myśli pan, że nie mówiłem sobie, że teraz to nie była przecież sprawa Champmathieu, że ukrywając swoje nazwisko nie krzywdzę nikogo, że nazwisko Fauchelevent dał mi sam Fauchelevent wywdzięczając się za przysługę, którą mu niegdyś wyświadczyłem; że mógłbym śmiało zachować je, że byłbym szczęśliwy w tym pokoiku, który mi pan ofiarowuje, że nie wadziłbym nikomu, siedział w swoim kącie i kiedy pan miałby Kozetę, ja miałbym świadomość, że mieszkam pod tym samym dachem co ona. Każdy miałby swoją dozę szczęścia. Pozostać panem Fauchelevent — to dogadzałoby wszystkim; wszystkim, ale nie mojej duszy. Radość otaczałaby mnie dokoła, ale w głębi duszy miałbym czarną noc. Nie wystarczy być szczęśliwym, trzeba być zadowolonym z siebie. Miałbym pozostać panem Fauchelevent, przysłonić swoje prawdziwe oblicze, ukrywać się ze swoją tajemnicą wobec was upojonych szczęściem; w waszej pełni światła nosić w duszy ciemności? Miałbym bez ostrzeżenia, po prostu wprowadzić w wasz dom galery i zasiadać przy waszym stole ze świadomością, że wypędzilibyście mnie z domu, gdybyście wiedzieli, kim jestem; pozwolić się obsługiwać służącym, którzy, gdyby wiedzieli, zawołaliby: „Co za okropność!” Dotykać was ręką, czego macie prawo sobie nie życzyć, i wyłudzać wasz uścisk dłoni! W waszym domu równym szacunkiem obdzielano by czcigodną siwiznę i siwiznę napiętnowaną hańbą. W tych godzinach bezgranicznej ufności wtedy kiedy serca bliskich otwierają się sobie wzajemnie, wtedy kiedy bylibyśmy razem — pański dziadek, was dwoje i ja, znajdowałby się wśród nas ktoś obcy; i miałbym żyć tak, tuż obok waszego życia, z tą jedyną troską, aby nie uchylić nigdy pokrywy mojej straszliwej studni? Miałbym narzucać się ja, trup, wam — żywym?

Skazać Kozetę na moją osobę do końca życia? Pan, ona i ja mielibyśmy wszyscy zieloną czapkę. Czy ta myśl nie przejmuje pana dreszczem? Teraz jestem tylko najnieszczęśliwszym z ludzi, wówczas byłbym potworem. I tę zbrodnię popełniałbym co dzień! To kłamstwo popełniałbym co dzień! I tę maskę nocy nosiłbym na twarzy co dzień! I moją hańbą dzieliłbym się z wami co dzień! Co dzień! z wami, niewinnymi, z wami, moimi najukochańszymi dziećmi! Czy myśli pan, że nic nie powiedziec to fraszka? Że zamilczeć to taka prosta sprawa? Nie, to nie jest proste. Niekiedy milczenie kłamie. Swoje kłamstwo,



oszustwo, niegodziwość, podłość, swoją zdradę i zbrodnię piłbym codziennie, kropla po kropli, wypluwał i pił z powrotem, kończyłbym o północy, zaczynał w południe; kłamliwe byłoby moje „dzień dobry”, kłamliwe „dobranoc”, kłamałbym śpiąc, kłamałbym jedząc. Miałbym patrzeć w oczy Kozety, odpowiadać na uśmiech tego anioła uśmiechem potępieńca i być obmierzłym oszustem! Dlaczego? Żeby być szczęśliwym. Szczęśliwym — ja? Czy ja mam prawo do szczęścia? Ja stoję poza obrębem życia, panie! .

Jan Valjean umilkł. Mariusz słuchał. Nie można przerywać takich wybuchów myśli i cierpienia. Jan Valjean znowu zniżył głos, który teraz nie brzmiał już głucho, brzmiał posępnie:

— Pan pyta, dlaczego to wszystko mówię? Powiada pan, że nikt mnie nie zadenuncjował, że nikt mnie nie ściga ani nie śledzi. O, nie! Ktoś mnie zadenuncjował, ktoś mnie ściga, ktoś mnie śledzi. Kto? Ja sam. Ja sam zamykam sobie drogę, sam siebie ścigam, ciągnę, aresztuję i wiodę na stracenie, a kto sam się chwyta, ten mocno trzyma!

Ująwszy w garść swój surdut i pociągając go ku Mariuszowi mówił:

— Niech pan spojrzy na tę rękę. Czy nie uważa pan, że ta garść tak trzyma, że nigdy nie puści? Ach, istnieje jeszcze inna taka ręka — sumienie. Żeby być szczęśliwym, nie trzeba rozumieć, co to obowiązek, bo skoro raz się go zrozumie, staje się nieubłagany; jakby karał za to, że go człowiek rozumie; ale nie, on wynagradza, bo stawia cię w piekle, w którym koło siebie czujesz Boga. Ledwo rozedrzesz sobie serce, czujesz, że jesteś ze sobą w zgodzie.

I przejmująco bolesnym tonem dodał:

— Może się to wydać niedorzeczne, ale ja jestem uczciwym człowiekiem. Poniżając się w oczach pana, podnoszę się w swoich własnych. Już raz mi się to zdarzyło, ale to było mniej bolesne; po prostu drobiazg. Tak, jestem uczciwym człowiekiem. Nie byłbym nim, gdyby pan z mojej winy nadal mnie szanował. Teraz kiedy pan mną gardzi, jestem uczciwy. Cięży na mnie to przekleństwo, że szacunek, którym mnie ludzie obdarzają, jest kradziony, więc upokarza mnie i gnębi, a ja mogę mieć szacunek dla siebie tylko wtedy, kiedy ludzie mną gardzą. Wówczas podnoszę się. Jestem galernikiem, który słucha głosu sumienia. Wiem, że to jest niewiarygodne, ale cóż zrobić? Tak jest. Mam zobowiązania względem samego siebie; wypełniam je. Pewne spotkania wiążą nas, pewne przypadki popychają nas do spełnienia obowiązku. Widzi pan, różne przygody miałem w życiu.

Znowu przerwał na chwilę i, z trudem przełknąwszy ślinę, jakby wypowiedane słowa miały gorzki smak, ciągnął dalej:

— Kiedy taka ohyda ciąży na człowieku, nie ma on prawa dzielić jej z innymi bez ich wiedzy, nie ma prawa zarażać ich swoją chorobą, wpychać ich niepostrzeżenie w swoją przepaść, okrywać ich swoim czerwonym kaftanem, nie ma prawa podstępnie zakłócać swoją nędzą szczęścia innych. Zbliżyć się do zdrowych i dotykać ich swym niewidzialnym wrzodem — to rzecz wstrętna. Na próżno Fauchelevant pożyczył mi swego nazwiska, nie mam prawa go używać; on mógł je dać, ja nie mogę go przyjąć. Nazwisko — to drugie ja. Widzi pan, chociaż jestem wieśniakiem, to jednak trochę myślałem, trochę czytałem i zdaję sobie sprawę z wielu rzeczy. Jak pan słyszy, wystawiam się poprawnie. Sam się kształciłem. Otóż, podszywać się pod cudze nazwisko — to nieuczciwość. Litery alfabetu kradnie się tak samo jak sakiewkę lub zegarek. Być sfalszowanym podpisem obleczonym w ciało, być żywym wytrychem, wchodzić do uczciwych ludzi, podstępem otworzywszy ich drzwi, nigdy nie spojrzeć w oczy, tylko zawsze zerkać z ukosa i być nikczemnym w głębi duszy, nie! nie! nie! Lepiej cierpieć, krwawić, płakać, zdzierać sobie paznokciami skórę z ciała, po nocach wić się w bólu i szarpać sobie wnętrzności i duszę. Oto, dlaczego opowiedziałem panu to wszystko. Z lekkim sercem, jak pan stwierdził. Odetchnął z trudem i rzucił ostatnie słowa:

— Kiedyś, żeby żyć, ukradłem bochenek chleba. Dziś nie chcę kraść nazwiska, żeby żyć.

— Żeby żyć! — przerwał Mariusz — przecież nazwisko nie jest potrzebne do życia!

— O, ja wiem, co mówię — odrzekł Jan Valjean i kilkakrotnie powoli pochylił głowę.

Zaległa cisza. Obaj milczeli, pogrążeni w przepaściach swoich myśli. Mariusz usiadł koło stołu i przyciskał rękę do ust. Jan Valjean chodził po pokoju. Zatrzymał się przed lustrem i stał bez ruchu. Po czym, jakby odpowiadając na jakieś wewnętrzne rozumowanie, rzekł patrząc w lustro, w którym się nie widział:

— A teraz czuję ulgę! Znow zaczął chodzić i przeszedł w drugi kąt salonu.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Mariusz obserwuje jego chód. Wówczas powiedział mu szczególnym tonem:

— Pociągam trochę nogą. Teraz pan rozumie, dlaczego.

Po czym stanął na wprost Mariusza:

— A teraz niech pan sobie wyobrazi, że nic panu nie powiedziałem; zostałem panem Fauchelevant, mieszkam przy was, należę do waszej rodziny, mam swój

pokój, rano przychodzę w pantoflach na śniadanie, wieczorem chodzimy we trójkę do teatru, towarzyszę pani Pontmercy do Tuileriów i na plac Królewski, żyjemy razem, uważacie mnie za równego sobie; aż pewnego, pięknego dnia, kiedy siedzimy sobie razem i śmiejemy się, nagle słyszy pan głos wołający: „Jan Valjean!” — i straszna ręka, ręka policji wysuwa się z cienia i zrywa moją maskę!

Znów umilkł. Mariusz wstał, wstrząsany dreszczem. Jan Valjean zapytał:

— I co pan na to? Odpowiedziało mu milczenie. Jan Valjean mówił dalej:

— Widzi pan więc, że miałem słuszną wyznając wszystko. Bądź pan' szczęśliwy, żyj jak w niebie, bądź aniołem dla anioła, żyj w słońcu i niech ci to wystarcza. Nie troszcz się pan o to, w jaki sposób biedny potępieniec rozdziera sobie serce i spełnia swój obowiązek. Ma pan przed sobą nieszczęśliwego człowieka.

Mariusz przeszedł wolno przez salon i, stanąwszy przed Janem Valjean, wyciągnął do niego rękę.

Ale sam musiał ująć tę dłoń, która nie odpowiedziała na jego gest; Jan Valjean nie zaprotestował, a Mariuszowi zdawało się, że ściska rękę z marmuru.

— Mój dziadek ma przyjaciół — rzekł. — Wyjednam panu ułaskawienie.

— To zbytuczne — odpowiedział Jan Valjean. —

Władze mają mnie za zmarłego, to wystarczy. Umarli nie podlegają nadzorowi. Wolno im gnić spokojnie. Śmierć jest tym samym co ułaskawienie.

I, uwalniając rękę z uścisku Mariusza, dodał z jakąś nieubłaganą godnością:

— Zresztą spełniam swój obowiązek, to jedyny przyjaciel, do którego udaję się po pomoc. I nie potrzebuję innej łaski oprócz łaski mojego sumienia.

W tej chwili w drugim końcu salonu uchylły się cicho drzwi i ukazała się w nich głowa Kozety. Widać było tylko jej słodką twarz. Włosy miała w prześlicznym nieładzie, powieki lekko nabrzmięte ze snu. Zrobiła ruch ptaka wysuwającego główkę z gniazdka, spojrzała najpierw na męża, potem na Jana Valjeana i zawołała z uśmiechem, a był to jakby uśmiech róży:

— Założę się że mówicie o polityce! Jak to brzydko, zamiast być ze mną!

Jan Valjean zadrżał.

— Kozeto... — wyjąkał Mariusz i urwał. Rzekłbyś, dwaj winowajcy.

Promieniejąca radością Kozeta wciąż spoglądała to na jednego, to na drugiego. W oczach jej lśniły odblaski raj.

— Przyłapałam was na gorącym uczynku — rzekła. — Słyszałam przez drzwi, jak mój pan-ojciec mówił: „Sumienie... spełnić obowiązek...” To coś z polityki. Ja tak nie chcę! Nie wolno mówić o polityce nazajutrz po ślubie. To nieładnie!

— Mylisz się, Kozeto — odpowiedział Mariusz — mówiliśmy o interesach. O tym, jak najkorzystniej umieścić twoje sześćset tysięcy franków...

— Mniejsza o to — przerwała Kozeta — przyszłam. Czy mnie przyjmiecie?

I, zdecydowanym ruchem przekroczywszy próg, weszła do salonu. Miała na sobie biały, luźny fałdzisty szlafrok z szerokimi rękawami, który spływał jej od szyi aż do stóp. Na złotym tle starych, gotyckich malowideł widuje się takie śliczne worki na anioły.

Przejrzała się od stóp do głów w dużym lustrze, po czym zawołała z wybuchem niewysłowionej radości:

— Był sobie raz król i królowa. O, jak się cieszę!

To rzekłszy zrobiła niski dyg przed Mariuszem i Janem Valjean.

— A teraz — powiedziała — siądę sobie przy was na fotelu, za pół godziny podadzą obiad. Rozmawiajcie sobie, o czym chcecie. Wiem, że mężczyźni muszą mówić, będę bardzo grzeczna.

Mariusz ujął ją za ramię i rzekł rozkochanym głosem:

— Mówimy o interesach.

— Czy wiesz — odpowiedziała Kozeta — otworzyłam okno od naszego pokoju, jakiś bal jest w naszym ogrodzie. Nie maskowy, ptasi. Dziś jest wprawdzie popielec, ale nie dla wróbli.

— Mówię ci, że rozmawiamy o interesach, kochanie, zostaw nas na chwilę samych. Mówimy o cyfrach, znudziłabyś się tylko! — Włożyłeś dziś śliczny krawat, Mariuszu. Mój pan jest bardzo zalotny. Nie, nie znudzę się.

— Zapewniam cię, że tak.

— Nie. Przecież to wy rozmawiacie... Nie rozumiem, o czym będziecie mówić, ale będę was słyszeć. Nie trzeba rozumieć słów, wystarczy, że słyszy się głosy

kochanych osób. Chcę tylko być razem z wami. Zostaję i już!

— Moja najdroższa, to niemożliwe. — Niemożliwe?

— Tak.

— Dobrze — odpowiedziała Kozeta — miałam dla was mnóstwo nowinek. Chciałam wam powiedzieć, że dziadek jeszcze śpi, że ciocia poszła do kościoła, że piec w pokoju ojca dymi, że Nikoleta sprowadziła kominiarza, że Toussaint i Nikoleta już zdążyły się pokłócić, bo Nikoleta wyśmiewa się z jąkania Toussaint. Ale teraz nie dowiedcie się niczego! To niemożliwe, powiadasz? Poczekaj, mój panie, ja też powiem ci kiedyś: „To niemożliwe!” I co wtedy? Proszę cię, mój Mariuszu, pozwól mi zostać z wami.

— Przysięgam ci, Kozeto, że musimy porozmawiać sami, bez nikogo.

— A czy ja jestem ktoś?

Jan Valjean nie wymówił ani słowa. Kozeta zwróciła się do niego:

— Przede wszystkim, ojcze, chcę, żebyś przyszedł mnie pocałować. Czemu nic nie mówisz, zamiast stanąć po mojej stronie? Kto mi dał takiego ojca? Widzisz przecie, że jestem strasznie nieszczęśliwa w pożyciu małżeńskim. Mąż mnie bije! Prędko, pocałuj mnie!

Jan Valjean zbliżył się do niej. Kozeta zwróciła się do Mariusza.

— A panu dostanie się tylko brzydka mina! I podała Janowi Valjean czoło do pocałunku. Postąpił jeden krok ku niej.

Kozeta cofnęła się:

— Jesteś taki blady, ojcze! Czy ręka cię boli?

— Nie, już się zgrała.

— Czy może źle spałeś?

— Nie.

— Czy jesteś smutny?

— Nie.

— Pocałuj mnie. Skoro jesteś zdrów, dobrze śpisz i jesteś zadowolony, to nie dam ci bury.

I znowu nadstawiła czoło.

Jan Valjean złożył pocałunek na tym czole, na którym lśnił odblask nieba.

— Uśmiechnij się, ojciec.

Jan Valjean usłuchał. Był to uśmiech widma.

— A teraz weź mnie w obronę przed moim mężem.

— Kozeto!... — zawołał Mariusz.

— Rozgniewaj się, ojciec! Powiedz mu, że muszę tu zostać. Przecież możecie mówić przy mnie. Więc uważacie mnie za takiego głuptasa? Nie ma nic nadzwyczajnego w waszej rozmowie! Interesy, ulokowanie pieniędzy w banku, wielkie mi rzeczy! Mężczyźni z byle czego robią tajemnicę. Chcę zostać. Ślicznie dzisiaj wyglądam, spójrz, Mariuszu!

I, uroczo wzruszywszy ramionami, spojrzała na Mariusza z rozkosznie nadaśaną minką. Przebiegła między nimi błyskawica. Nic ich nie obchodziło, że nie są sami.

— Kocham cię! — rzekł Mariusz.

— Ubóstwiam cię! — rzekła Kozeta.

I, pchnięci jakąś siłą, padli sobie w ramiona.

— A teraz — rzekła Kozeta poprawiając z tryumfującą minką jakąś fałdę swego szlafroka — zostaję!

— O nie — odpowiedział błagalnym tonem Mariusz — musimy zakończyć pewną sprawę.

— Ciągle nie? Mariusz rzekł poważnym tonem:

— Zapewniam cię, Kozeto, że to niemożliwe.

— A, pan zaczyna przemawiać po męsku. Dobrze! Idę sobie. A ty, ojciec, nie poparłeś mnie wcale! Panie mężu i panie tato, jesteście tyranami. Powiem to dziadkowi. Jeżeli wam się zdaje, że wrócę tu i będę się korzyć przed wami, to bardzo się mylicie. Jestem dumna. Teraz ja na was czekam. Zobaczycie, jak wam będzie nudno beze mnie. Stało się, odchodzę! I wyszła.

Po sekundzie drzwi otworzyły się raz jeszcze ukazując świeżą, różową twarzyczkę i Kozeta zawołała: — Okropnie się gniewam!

Drzwi zamknęły się i znowu zaległy ciemności. Był to jakby zbłąkany promień słońca, który sam o tym nie wiedząc przemknął nagle wśród nocy. Mariusz sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte.

— Biedna Kozeta! — szepnął — kiedy się dowie... Na te słowa Jan Valjean zadrżał i wlepił w Mariusza

błędne oczy:

— Kozeta — ach, prawda, pan to powie Kozecie! Słusznie! Nie przyszło mi to do głowy. Nie pomyślałem o tym. Na jedne rzeczy starcza człowiekowi siły, na inne już nie. Panie, błagam cię, zaklinam, daj mi najświętsze słowo honoru, że nic jej nie powiesz. Czyż to nie dosyć, że pan wie o wszystkim? Powiedziałem to panu z własnej, nieprzymuszonej woli, powiedziałbym wszystkim, całemu światu, wszystko mi jedno. Ale ona! Ona tego nie zrozumie, to ją przerazi. Galernik? Co to takiego? Trzeba by jej wytłumaczyć, powiedzieć: to taki człowiek, co był na galerach. Widziała kiedyś, jak przeciągał oddział więźniów. O! mój Boże!

Padł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Nie było słycać łkania, ale drganie ramion zdradzało, że płakał. Cichy płacz, płacz straszny.

Czasami łkanie dusi. Jan Valjean miał coś w rodzaju ataku, osunął się w tył na oparcie fotela, jakby dla zaczerpnięcia oddechu, i zwiesił ręce ukazując twarz zalaną łzami. Mariusza dobiegł szept tak cichy, jakby dobywał się z bezdennej głębin:

— Och! jakże chciałbym umrzeć!

— Niech pan będzie spokojny — rzekł Mariusz — zachowam pańską tajemnicę dla siebie.

Był może mniej wzruszony, niżby być powinien, ale już od godziny oswajał się ze straszliwą niespodzianką w oczach jego galernik stopniowo przysłaniał pana Fauchelevant. Ulegając z wolna tej ponurej rzeczywistości i samym rozwojem sytuacji zmuszony do przyjęcia przedziału, który zaczął się tworzyć między nim a tym człowiekiem, Mariusz dodał:

— Muszę jeszcze pomówić z panem o depozycie, który oddał pan tak wiernie i zacnie. Jest to dowód uczciwości. Należy się panu za to słuszne wynagrodzenie. Proszę ustalić sumę, wypłacę ją panu. Niech się pan nie krępuje i wymieni najwyższą kwotę.

— Dziękuję panu — odpowiedział łagodnie Jan Valjean.

Stał przez chwilę zamyślony, bezwiednie wodząc palcem wskazującym po

paznokciu wielkiego palca, po czym rzekł:

— To już chyba wszystko. Pozostała jeszcze jedna sprawa.

— Jaka?

Jan Valjean zawahał się, jakby mu zabrakło głosu i tchu, i wyjąkał raczej, niż powiedział:

— Teraz, kiedy pan już wie, czy uważa pan, pan, który ma prawo decydować, że nie powinienem widywać Kozety?

— Sądzę, że tak byłoby lepiej — odpowiedział zimno Mariusz.

— Więc już jej nie zobaczę — szepnął Jan Vailjean.

I skierował się ku drzwiom.

Położył rękę na klamce, nacisnął ją; drzwi uchyliły się; Jan Valjean otworzył je tak szeroko, że mógł przez nie przejść, przez chwilę stał nieruchomo na progu, po czym zamknął drzwi i odwrócił się w stronę Mariusza.

Nie był już blady, był siny. Oczy miał suche, ale gorzał w nich jakiś tragiczny płomień. Głos jego stał się dziwnie spokojny.

— Proszę pana — rzekł — jeżeli pan pozwoli, będę widywał Kozetę. Zapewniam pana, że bardzo tego pragnę. Gdyby mi nie zależało na tym, nie wyznałbym panu tego, co wyznałem; wyjechałbym; ale chcąc zostać tu, gdzie Kozeta, i widywać ją nadal, musiałem uczciwie wszystko panu powiedzieć. Pan pojmuje, co chcę powiedzieć? Nie trudno to zrozumieć. Widzi pan, od przeszło dziewięciu lat mam ją przy sobie. Mieszkaliśmy najpierw w tej ruderze przy bulwarze, potem w klasztorze, potem koło Ogrodu Luksemburskiego. Tam właśnie po raz pierwszy pan ją zobaczył. Pamięta pan jej kapelusik z niebieskiego pluszu? Potem zamieszkaliśmy w dzielnicy Inwalidów, tam, gdzie był ten ogród otoczony kratą. Na ulicy Plumet. Ja mieszkałem w oficynie, w małym podwórku, gdzie dobiegały mnie dźwięki jej fortepianu. Oto moje życie. Nie rozłączaliśmy się nigdy. Przez dziewięć lat i kilka miesięcy. Byłem dla niej ojcem, a ona była moim dzieckiem. Nie wiem, czy pan mnie rozumie, ale teraz odejść, nie widywać jej nigdy, nie rozmawiać z nią, stracić wszystko — byłoby mi bardzo ciężko. Jeżeli pan nie uważa tego za niestosowne, będę od czasu do czasu odwiedzał Kozetę. Nie przychodziłbym często i nie zostawałbym długo. Powie pan, żeby mnie przyjmowano w tym małym pokoiku na parterze. Chętnie wchodziłbym przez drzwi dla służby, ale to mogłoby budzić zdziwienie. Więc sądzą, że lepiej będzie, jeśli będę wchodził głównymi drzwiami, jak wszyscy. Doprawdy, proszę pana, bardzo chciałbym widywać czasem Kozetę; tak rzadko,



jak pan uzna za stosowne. Niech pan wstawi się w moje położenie — nic więcej nie mam na świecie. A poza tym trzeba zachować ostrożność. Gdybym już tu więcej nie przychodził, zrobiłoby to złe wrażenie, wydawałoby się dziwne. Mógłbym na przykład przychodzić wieczorem, po zapadnięciu zmroku.

— Niech pan przychodzi co wieczór — powiedział Mariusz. — Kozeta będzie pana oczekiwać.

— Pan jest dobry — rzekł Jan Valjean. Mariusz pożegnał go ukłonem, szczęście odprowadziło do drzwi rozpacz i ci dwaj ludzie rozstali się.

## ROZDZIAŁ II

### ILE NIEJASNOŚCI MOŻE ZAWIERAĆ WYZNANIE

Mariusz był wstrząśnięty.

Rozumiał teraz, dlaczego coś odpychało go od tego człowieka, przy którym widywał Kozetę. Instynkt ostrzegał go, że kryje się w nim jakaś zagadka. Tą zagadką była najohydniejsza hańba — galery. Ów pan Fauchelevant był galernikiem Janem Valjean.

Nagle odkryć taką tajemnicę wśród swego szczęścia to jakby *znaleźć* skorpiona w gniazdku synogarlic.

Czy odtąd szczęście Mariusza i Kozety ma być skazane na to sąsiedztwo? Czy to już przesądzone? Czy pogodzenie się z obecnością tego człowieka wiąże się nierozzerwalnie z zawartym małżeństwem? Czy nie można temu zaradzić?

A więc Mariusz połączył się dozgonnym węzłem również i z galernikiem?

Cóż z tego, że czoło opromieniało mu światło radości, że rozkoszował się godową godziną życia — szczęśliwą miłością. Taki wstrząs przejąłby dreszczem zgrozy nawet archanioła zatopionego w ekstazie, nawet półboga jaśniejącego w glorii.

Jak to zwykle bywa przy takich zmianach sytuacji, Mariusz zastanawiał się, czy nie ma sobie nic do wyrzucenia. Czy był za mało przezorny, za mało ostrożny? Czy mimo woli poddał się oszołomieniu? Może. Czy . zbyt lekkomyślnie, nie wyświeciliwszy wszystkiego, wplątał się w przygodę miłosną, która doprowadziła go do małżeństwa z Kozetą? Stwierdził — w ten bowiem sposób przez szereg kolejnych stwierdzeń, których dokonujemy sami o sobie, życie urabia nas powoli — stwierdził zatem w swojej naturze pewien brak równowagi i marzycielskość, coś w rodzaju wewnętrznego obłoku, właściwego wielu usposobieniom, który w chwilach wybuchu namiętności czy rozpacz — pod wpływem zmiany temperatury duchowej — rozprzestrzenia się i ogarnia całego człowieka, otulając mgłą jego świadomość. Nieraz przedstawiliśmy już ten rys charakterystyczny dla indywidualności Mariusza. Przypominał sobie, że, upojony miłością, podczas sześciu czy siedmiu tygodni ekstazy na ulicy Plumet nie wspomniął nawet Kozecie o tajemniczym dramacie w ruderze Gorbeau, kiedy to ofiara zachowała się tak dziwnie, nie wzywając pomocy w czasie walki, a następnie ratując się ucieczką. Jak to się stało, że nawet jednym słowem nie wspomniął o tym Kozecie? Przecież zdarzenie to było tak bliskie i tak

przerażające! Jak to się stało, że nie wymienił nawet nazwiska Thenardierów, zwłaszcza zaś wówczas kiedy spotkał Eponinę? Trudno mu było wytłumaczyć sobie teraz tamto swoje milczenie, jednakże zdawał sobie z niego sprawę. Przypomniał sobie swoje oszołomienie, zachwyt Kozetą, upojenie miłością, wspólne wzloty w krainę ideału, a może również — jako szczyptę rozsądku, którą zachował w tym gwałtownym i uroczym stanie duszy — przypomniał sobie niesprecyzowany i głuchy instynkt, nakazujący ukryć i zetrzeć z pamięci ową złowrogą przygodę; lękał się zetknięcia z nią, nie chciał odgrywać w niej żadnej roli, odżegnywał się od niej i nie mógł jej opowiadać ani być jej świadkiem nie będąc równocześnie oskarżycielem. Zresztą tych kilka tygodni przeleciało jak błyskawica; nie było czasu na nic poza miłością. Zważywszy i zbadawszy wszystko z każdej strony, gdyby był opowiedział Kozecie o zasadzce w ruderze Gorbeau i wymienił jej nazwisko

Thenardierów — bez względu na to, jakie byłyby tego następstwa, nawet gdyby był odkrył, że Jan Valjean jest galernikiem, czy to zmieniłoby jego, Mariusza? Czy to zmieniłoby Kozetę? Czy wycofałby się? Mniej ją kochał? Nie poślubił? Nie. Czy zmieniłby coś w tym, co się stało? Nie. A więc nie miał czego żałować ani wyrzucać sobie. Dobrze się stało. Jakiś bóg opiekuje się także tymi pijakami, którzy zwą się zakochanymi. Mariusz, zaślepiony, szedł tą samą drogą, którą obrałby będąc jasnowidzącym. Miłość zawiązała mu oczy i zawiodła — dokąd? Do raju.

Ale raj ów miał teraz piekielne sąsiedztwo.

Obcość, jaką Mariusz czuł dawniej w stosunku do owego człowieka, do tego Faucheleventa, który stał się Janem Valjean, była obecnie zaprawiona odrazą.

Wyznajmy wszakże, że w tej odrazie było też trochę litości, nawet pewne zdziwienie.

Ten złodziej, złodziej recydywista, oddał depozyt. I to jaki depozyt? Sześćset tysięcy franków. Tylko on jeden znał tajemnicę depozytu. Mógł wszystko zatrzymać dla siebie, a oddał wszystko.

Prócz tego sam dobrowolnie wyjawiał swoją tajemnicę. Nic go do tego nie zmuszało. Jeżeli kto wiedział, kim on jest, to tylko od niego. Czyniąc to wyznanie nie tylko godził się na upokorzenie, godził się również na niebezpieczeństwo. Dla przestępcy maska jest nie tylko maską, jest schronieniem. Wyrzekł się tego schronienia. Fałszywe nazwisko to bezpieczeństwo; odrzucił fałszywe nazwisko. On, galernik, mógł się ukryć na zawsze w uczciwej rodzinie; oparł się tej pokusie. I dlaczego? Przez skrupuły moralne. Wytłumaczył to zresztą sam w słowach tchnących nieodpartą prawdą. Kimkolwiek był ów Jan Valjean, było to niewątpliwie obudzone sumienie.

Rozpoczęła się jakaś tajemnicza rehabilitacja; i według wszelkiego prawdopodobieństwa, czułe sumienie było od dawna panem tego człowieka. Takie zrozumienie słuszności i dobra nie jest właściwe naturom pospolitym. Obudzenie sumienia to wielkość duszy.

Jan Valjean był szczery. Ta szczerość, widoczna, namacalna, niewątpliwa, oczywista przez sam ból, który . mu sprawiała, usuwała potrzebę dalszych poszukiwań i nadawała wagę każdemu słowu tego człowieka. I tu Mariusz spostrzegł przedziwną zmianę sytuacji: pan Fauchelevant budził w nim nieufność, Jan Valjean — zaufanie.

Mariusz zestawiał w myśli tajemniczy bilans tego Jana Valjean, stwierdzał aktywa, stwierdzał pasywa i starał się je zrównoważyć; działało się to jednak, jak podczas burzy. Usiłując wytworzyć sobie dokładne wyobrażenie o tym człowieku, Mariusz — rzecz by można — ścigał go wśród swoich myśli i to go gubił, to znajdował w jakiejś tragicznej mgle.

Uczciwe oddanie depozytu, szlachetność wyznania, dobrze. Było to jakby skrawkiem błękitu dojrzanym przez rozdarte chmury, ale potem znowu chmury stawały się czarne.

Mimo całej mglistości swoich wspomnień Mariusz mógł jednak wyłowić z nich pewne szczegóły.

Czym była właściwie przygoda na poddaszu Jondrette'a? Dlaczego po przybyciu policji ten człowiek zamiast oskarżać — umknął? Na to Mariusz znajdował odpowiedź. Bo ten człowiek był zbiegłym więźniem.

Drugie pytanie: czemu zjawiał się na barykadzie? Bo teraz Mariusz widział wyraźnie to wspomnienie, które pod wpływem wzruszeń wystąpiło na jaw, jak atrament sympatyczny pod działaniem ognia. Ten człowiek był na barykadzie, ale nie walczył. Po co więc tam poszedł? Na to pytanie odpowiadało zmartwychwstałe widmo: Javert. Mariusz doskonale przypomniał sobie teraz ten ponury obraz: Jan Valjean ciągnący za barykadę związanego Javer'ta, i słyszał jeszcze straszny strzał z pistoletu za rogiem uliczki Zakręt. Między szpiclem, a galernikiem istniała prawdopodobnie jakaś nienawiść. Jeden zawadzał drugiemu. Jan Valjean poszedł na barykadę, aby się zemścić. Przyszedł *późno*. Zapewne wiedział, że Javert jest tam uwięziony. Korsykańska wendeta przeniknęła do pewnych nizin społecznych i stała się prawem; jest tak naturalna, że nie dziwi nawet tych, którzy już połowicznie zwrócili się ku dobru. Takie są te serca, że przestępca czujący już skruchę cofnie się przed kradzieżą, ale nie cofnie się przed zemstą. Jan Valjean zabił Javerta, a przynajmniej wydawało się to oczywiste.

Wreszcie ostatnie pytanie, ale na nie nie było odpowiedzi. Mariusz czuł, że to pytanie wpija się w niego jak kleszcze. Jak to się stało, że życie Jana Valjean łączyło się tak ściśle i przez tak długi czas z życiem Kozety? Jakież to ponure zamysły Opatrzności zetknęły to dziecko z tym człowiekiem? Czy istnieją w niebiosach łańcuchy skuwające ze sobą dwie istoty i Bóg nie waha się łączyć anioła z demonem? Więc zbrodnia i niewinność mogą mieszkać razem na tajemniczych galerach nieszczęścia? Więc w tym szeregu skazańców, zwanym losem ludzkim, mogą się stykać dwa czoła, jedno niewinne, drugie posępne, jedno skąpane w boskiej jasności jutrzeńki, drugie siniejące w blasku nie gasnącej błyskawicy? Kto był sprawcą tego niezrozumiałego zespolenia? Jak, jakim cudem mogło ułożyć się wspólne życie tego niebiańskiego dziecka i tego potępionego starca? Kto mógł przywiązać jagnię do wilka i — rzecz jeszcze bardziej niezrozumiała — przywiązać wilka do jagnięcia? Bo wilk kochał jagnię, dzikie stworzenie uwielbiało istotę słabą, bo przez dziewięć lat potwór był ostoją anioła. To potworne przywiązanie ochraniało dzieciństwo i miłość Kozety, jej dziewiczy rozkwit ku życiu i światłu. W tym miejscu pytania jakby się rozszczepiały na niezliczone zagadki, na dnie otchłani otwierały się nowe otchłanie i Mariusz, pochylając się myślami nad Janem Valjean, czuł zawrót głowy. Kimże był ten człowiek-przepaść?

Stare symbole księgi Genezis są wieczne; w społeczności ludzkiej, takiej, jaka jest obecnie, nim jej nie przemieni mocniejsza światłość, istnieją zawsze dwa rodzaje ludzi: jeden jasny, drugi ciemny, jeden ciężący ku dobremu — Abel, drugi *ciężący* ku złemu — Kain. Ale czymże był ten tkliwy Kain? Czymże był ten zbrodniarz pogrążony w religijnym uwielbieniu dla dziewczicy, który jej strzegł, wychowywał ją, czuwał nad nią, uszlachetniał ją i — choć sam skalany — otaczał atmosferą czystości? Czymże była ta kloaka, która tak czciła niewinność, że nie splamiła jej najmniejszą skazą? Czymże był ten Jan Valjean wychowujący Kozetę? Czymże była ta postać z mroku, która z największą troską strzegła przed każdym cieniem i każdą chmurką wschodzącą gwiazdę?

To było tajemnicą Jana Valjean. To było również tajemnicą Boga.

Przed tą podwójną tajemnicą Mariusz cofał się. Jedna z tych tajemnic w pewnej mierze uspokajała co do drugiej. W tym dziwnym wydarzeniu Bóg był równie widoczny, jak Jan Valjean. Bóg ma swoje narzędzia i wybiera je wedle swojej woli. Nie jest odpowiedzialny przed człowiekiem. Czy my wiemy, jak Bóg postępuje? Jan Valjean pracował nad Kozetą; w pewnej mierze ukształtował tę duszę. To było niezaprzeczalne. Ale cóż z tego? Rzemieślnik był ohydny, ale dzieło cudowne. Bóg robi cuda, jak chce. Stworzył uroczą Kozetę i użył do tego Jana Valjean. Podobało mu się wybrać sobie takiego właśnie współpracownika. Czy możemy żądać od niego, aby nam zdawał rachunek? Nie po raz pierwszy kupa gnoju pomaga wiośnie do stworzenia róży.

Takie odpowiedzi dawał sobie Mariusz w duchu i mówił sobie, że są dobre. O wszystkie te sprawy nie ośmielił się wypytywać Jana Valjean, ale nie przyznawał się przed sobą, że się nie ośmiela. Ubóstwiał Kozetę, posiadał Kozetę, Kozeta była niepokalanie czysta. To mu wystarczało. Co jeszcze chciałby wyjaśnić. Kozeta była światłością. Czy światło potrzebuje wyjaśnienia? Posiadał wszystko, czegoś więcej mógł pragnąć. Wszystko — czyż to nie dosyć? Osobiste sprawy Jana Valjean nie obchodziły go wcale. Rozmyślając nad straszliwym mrokiem, który otaczał tego człowieka, czepiał się uroczystego oświadczenia nieszczęśnika: „Nie jestem krewnym Kozety. Dziesięć lat temu nie wiedziałem nawet, że istnieje na świecie.”

Jan Valjean był przechodniem. Sam mu to przecież powiedział. A więc już przeszedł. Kimkolwiek był, jego rola już skończona. Teraz Mariusz będzie spełniał wobec Kozety zadania Opatrzności. Kozeta odnalazła w błękitach podobną sobie istotę, swojego kochanka, męża, oblubieńca. Wzbijając się pod niebo, uskrzydłona i przeistoczona, zostawiała za sobą na ziemi swoją pustą, ohydłą skorupkę — Jana Valjeana. W którąkolwiek stronę Mariusz zwrócił swe myśli, zawsze wracał do jakiejś grozy, którą budził w nim Jan Valjean. Może była to święta groza, bo, jak powiedzieliśmy, odczuwał *quid divinum* w tym człowieku. Cokolwiek jednak Mariusz robił i jakiegokolwiek wyszukiwał okoliczności łagodzące, jedno pozostawało bez zmiany: był to galernik, to znaczy istota, dla której nie ma miejsca na drabinie społecznej, bo stoi ona pod najniższymi jej szczeblami. Galernik stoi za ostatnim z ludzi. Galernik nie jest już — rzecz by można — bliźnim człowieka. Prawo pozbawiło go wszystkich cech człowieczeństwa, jakie można odjąć człowiekowi. Mariusz, choć demokratą, uznawał jednak w dziedzinie wymiaru kary bezwzględność i w stosunku do osób skazanych przez prawo podzielał wszystkie poglądy prawa. Nie dokonał się w nim jeszcze postęp całkowity. Nie widział jeszcze różnicy między tym, co napisali ludzie, a tym, co napisał Bóg, między przepisem prawnym a prawem. Nie zważył i nie zbadał prawa, które uzurpuje sobie człowiek orzekając w sprawach nieodwoalnych i nie dających się naprawić. Nie oburzało go słowo: *vindicta*. Uważał za rzecz naturalną, że pewne naruszenia przepisów prawnych podciągają za sobą wiecznotrwałą karę, i potępienie społeczne przyjmował jako sposób postępowania cywilizacji. Takie było wówczas jego stanowisko, ale nie ulegało wątpliwości, że z czasem ulegnie ono zmianie, gdyż naturę miał dobrą i w gruncie rzeczy podatną na działanie postępu.

Wobec takich poglądów Jan Valjean wydawał mu się wstrętny i odrażający. Był to wyrzutek społeczeństwa, galernik. To słowo brzmiało dla niego jak trąby sądu ostatecznego. Toteż długo przyglądał się Janowi Valjean i w końcu odwrócił odeń głowę. *Vade retro*. Trzeba jednak przyznać, a nawet podkreślić z naciskiem fakt, że Mariusz wypytyjąc Jana Valjeana — aż ten mu powiedział: „Pan mnie wypytuje jak naspowiedzi” — nie postawił mu przecież paru pytań

zasadniczych. Nie dlatego by nie przyszły mu one do głowy, ale prosto lękał się ich. Poddasz Jondrette'a? Barykada? Javert? Kto wie, jak daleko posunęłyby się rewelacje? Jan Valjean wyglądał na człowieka, który nie zwykł się cofać. Kto wie, czy Mariusz, skłoniwszy go do wyznań, nie pragnąłby później ich powstrzymać? Każdemu z nas zdarzyło się, że dręczony strasznymi przypuszczeniami postawił pytanie, a potem zasłaniał sobie uszy, żeby nie słyszeć odpowiedzi. A człowiek, który kocha, tym bardziej staje się w takim wypadku tchórzliwy. Nie jest rzeczą roztropną badać uparcie ponure sytuacje, zwłaszcza kiedy część naszego życia jest z nimi nierozzerwalnie związana. Kto wie, jakie straszne światło mogłyby rzucić rozpaczliwe wyjaśnienia Jana Valjean i czy ten ohydny blask nie padłby również na Kozetę? Kto wie, czy na czole tego anioła nie pozostałby po nich jakiś piekielny odblask. Bryzgi rzucone przez błyskawicę to także piorun. Złowrogi los zna takie sploty, kiedy najczystsza niewinność zabarwia się zbrodnią na mocy ponurego prawa zabarwiającego refleksu. W pobliżu ohydy nieskalana postać może na zawsze zostać napiętnowana jej odblaskiem. Słusznie czy niesłusznie, Mariusz zląkł się. I tak za dużo wiedział. Chciał się raczej oszołomić niż wyjaśnić to do końca. Przerażony, unosił w swych ramionach Kozetę, nie chcąc już widzieć Jana Valjean.

Ten człowiek był nocą, nocą żyjącą i straszną. Jakże odważyć się, by zgłębić ją do dna? Przerażająca to rzecz — wypytywanie cienia. Kto wie, co odpowie? Może zaćmi na zawsze blask jutrzeńki?

W tym stanie ducha Mariusz truchlał na samą myśl, że ów człowiek będzie miał jeszcze jakąś styczność z Kozetą. Teraz wyrzucał sobie prawie, że nie zadał mu jeszcze tych strasznych pytań, przed którymi się cofnął, a z których mogłaby wyniknąć nieubłagana i ostateczna decyzja. Uważał, że był za dobry, za łagodny, powiedzmy otwarcie, za słaby. Ta słabość skłoniła go do niebezpiecznego ustępstwa. Dał się rozczulić. Popełnił błąd. Powinien był po prostu odepchnąć Jana Valjean. Jan Valjean — to pożoga. Powinien był ją ugasić, to znaczy uwolnić dom od tego człowieka. Gniewał się o to na siebie i na ten gwałtowny wir wzruszeń, który go ogłuszył, oślepił, porwał ze sobą. Był z siebie niezadowolony.

Co robić teraz? Czuł głęboki wstręt do odwiedzin Jana Valjean. Po co ten człowiek ma przychodzić do jego domu? Co robić? Tu zagłuszał się sam, nie chciał już badać, dochodzić, nie chciał zgłębiać samego siebie. Przyrzekł, pozwolił wymóc na sobie obietnicę; Jan Valjean miał jego słowo, a słowa należy dotrzymać nawet galernikowi, zwłaszcza galernikowi. Jednakże w pierwszym rzędzie miał obowiązki wobec Kozety. Obrzydzenie górowało w nim nad wszystkim. Te myśli kłębiły się w głowie Mariusza, badał jedną po drugiej i każda nim wstrząsała. Stąd jego głęboka rozterka. Niełatwo było mu ukryć ją przed Kozetą, ale miłość — to talent, i Mariusz dokazał tej sztuki.

Zresztą wypytywał nieznacznie Kozetę, a ona w niewinności swojej podobna białej gołąbce nie domyśliła się niczego; rozmawiał z nią o jej dzieciństwie i młodości i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ten galernik był dla Kozety najlepszym, najczulszym i zasługującym na szacunek opiekunem. To, co Mariusz przypuszczał, czego się domyślał, było prawdą. Ta ponura pokrzywa kochała i osłaniała lilię.



# KSIEGA ÓSMA

## CORAZ GĘSTSZY MROK

### ROZDZIAŁ I

#### POKÓJ NA PARTERZE

Nazajutrz o zmroku Jan Valjean zastukał do bramy domu pana Gillenormand. Otworzył mu Baskijczyk, który właśnie znalazł się w tej chwili na podwórzu, jak gdyby mu tak rozkazano. Czasami służący dostaje polecenie: „Uważaj, kiedy przyjdzie pan ten a ten.”

Baskijczyk nie czekając, aż Jan Valjean się zbliży, odezwał się pierwszy:

— Pan baron prosił zapytać, czy pan życzy sobie wejść na górę, czy zostać na dole?

— Zostać na dole — odpowiedział Jan Valjean.

Baskijczyk, z wielkim zresztą uszanowaniem, otworzył drzwi do pokoju i rzekł: „Pójdę zawiadomić panią.”

Pomieszczenie, do którego wszedł Jan Valjean, znajdowało się na parterze, było sklepienie i wilgotne; w razie potrzeby zastępowało piwniczkę, miało posadzkę z czerwonych płyt, a jedyne zakratowane okno, które wychodziło na ulicę, słabo je oświetlało.

Nie należało ono do pokoi, gdzie często działają miotły, szczotki i trzepaczki. Kurz leżał tu sobie spokojnie; pająki nie cierpiały prześladowań. Piękna, szeroko rozsnuta pajęczyna, szerniała i ozdobiona zdechłymi muchami, rysowała koło na jednej z szyb okna. W pokoiku tym niewielkim i niskim, przewracały się w kącie puste butelki; tynk na ścianie, pomalowanej na jakąś brązowożółtą barwę, odstawał szerokimi płatami. W głębi, w drewnianym pomalowanym na czarno kominku z wąskim blatem, palił się ogień; liczono widocznie na odpowiedź Jana Valjean: „Zostać na dole.” Po obu stronach kominka stały dwa fotele. Między fotelami leżał stary dywanik sprzed łóżka, w którym widać było raczej osnowę niż deseń.

Izbę oświetlał ogień kominka i *zierzch* sączący się przez okno.

Jan Valjean był zmęczony. Od kilku dni nie jadł i nie spał. Osunął się ciężko na

fotel.

Baskijczyk wrócił, postawił na kominku zapaloną świecę i wyszedł. Jan Valjean, siedząc ze zwieszoną głową i brodą przyciśniętą do piersi, nie spostrzegł ani Baskijczyka, ani święty.

Nagle gwałtownym ruchem wyprostował się. Za nim stała Kozeta.

Nie widział, jak wchodziła, ale poczuł, że weszła.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Była cudownie piękna. On jednak szukał przenikliwym spojrzeniem nie piękności, lecz duszy.

— A to ładny pomysł! — zawołała Kozeta. — Wiedziałam, że ojciec ma swoje dziwactwa, ale nigdy bym się tego nie spodziewała. Mariusz powiada, że ojciec chce, żebym go tu przyjmowała.

— Tak, chcę tego.

— Spodziewałam się takiej odpowiedzi. Uważaj ojczy, uprzedzam, że zrobię ci awanturę. Ale zacznijmy od początku. Pocałuj mnie!

I nadstawiła mu policzek. Jan Valjean stał bez ruchu.

— Ojciec nawet się nie ruszył. Stwierdzam to. Ojciec czuje się winny. Mniejsza o to, przebaczam. Chrystus powiedział: „Nadstaw drugi policzek.” Nadstawiam.

I nadstawiła drugi policzek.

Jan Valjean nie ruszył się, jakby miał nogi przygwożdżone do posadzki.

— To już zaczyna być poważne — rzekła Kozeta. — Co ja ojcu zrobiłam złego? Oświadczam, że się gniewam. Musisz mnie przebłagać, ojczy. Zostajesz u nas na kolacji.

— Jadłem już kolację.

— Nieprawda. Poproszę dziadka Gillenormand, żeby cię wyłajał. Dziadkowie mogą dawać burę ojcom. Idziemy! Chodź ze mną do salonu, ojczy, i to w tej chwili!

— To niemożliwe.

Doznawszy porażki Kozeta przestała rozkazywać i zaczęła wypytywać.

— Ale dlaczego? I jeszcze ojciec wybrał na spotkanie ze mną najbrudniejszy

pokój w całym domu. Tu jest okropnie!

— Wiesz przecie...

Jan Valjean poprawił się:

— Wie pani przecie, że jestem dziwak i mam swoje manie.

Kozeta klasnęła w rączki:

— Pani!... Wie pani! Znowu coś nowego! Co to ma znaczyć?

Jan Valjean spojrział na nią z tym rozdzierającym uśmiechem, w którym czasem szukał uciezki: — Chciałaś być panią. Jesteś nią.

— Nie dla ciebie, ojczy.

— Proszę nie nazywać minie już ojcem.

— Co znowu?

— Proszę minie nazywać panem Janem. Janem, jeśli pani woli.

— Jak to? Więc już nie jesteś ojcem, a ja Kozetą? Pan Jan? Co to znaczy? Ależ to jakaś rewolucja! Co się stało? Spójrz no mi w oczy. I nie chcesz, ojczy, mieszkać z nami. Pogardziłeś moim pokojem! Co ja ci zawiniłam? Co ci zawiniłam? Czy coś się stało?

— Nie.

— A więc?

— Wszystko jest po dawnemu.

— To dlaczego ojciec zmienia imię?

— Przecież i pani je zmieniła.

Uśmiechnął się tym samym bolesnym, uśmiechem i dodał:

— Skoro pani jest panią Pontmercy, to ja mogę być panem Janem.

— Nic nie rozumiem. Wszystko to jest bardzo niemądre. Zapytam męża, czy mi pozwoli nazywać ojca panem Janem. Mam nadzieję, że nie pozwoli. Robisz mi wielką przykrość, ojczy. Możesz mieć swoje zachcianki, ale nie możesz martwić twojej małej Kozety! Nie wolno ci być niedobrym, ojczy, bo przecie ty jesteś

dobry.

Nie odpowiedział.

Kozeta pochwyciła obie jego ręce i z nieodpartym wdziękiem zbliżywszy je do swojej twarzy, przycisnęła do szyi ruchem znamionującym prawdziwą tkliwość.

— O! — rzekła — bądź dobry, ojciec! Po czym mówiła dalej:

— Dobry, to znaczy grzeczny! Sprowadź się do nas, znowu chodź ze mną na spacer; tu jest tyle ptaków co na ulicy Plumet! Zamieszkać z nami, rzuć tę norę na ulicy Człowieka Zbrojnego, nie dawaj nam łamigłówek do rozwiązania, zachowuj się jak wszyscy, jadaj z nami obiad, jadaj kolację i bądź moim ojcem.

Wysunął swoje dłonie z jej uścisku.

— Ojciec nie jest już pani potrzebny, pani ma męża. Kozeta rozgniewała się:

— Niepotrzebny mi już ojciec! Doprawdy, nie wiadomo, co odpowiedzieć na takie niedorzeczności!

— Gdyby Toussaint była tutaj — Jan Valjean mówił jak ktoś kto szuka jakiegoś poparcia i czepia się każdego źdźbła — potwierdziłaby, że zawsze postępowałem dosyć dziwacznie. To nie nowość. Zawsze lubiłem siedzieć w ciemnym kącie.

— Ale też tu jest zimno i ciemno! To szkaradnie kazać się nazywać panem Janem. Nie chcę, żaby mi ojciec mówił pani.

— Idąc tutaj — odpowiedział Jan Valjean — widziałem śliczny mebel u stolarza na ulicy Św. Ludwika. Gdybym był ładną kobietą, kupiłbym go sobie. Bardzo zręczna toaletka w dzisiejszym stylu. Z różanego drzewa, jeśli się nie mylę. Inkrustowana. Z dosyć dużym lustrem, z szufladkami. Naprawdę ładna!

— Uu! brzydki niedźwiedź! — odpowiedziała Kozeta.

I z nieporównanym wdziękiem, zacisnąwszy zęby i rozchyliwszy wargi, prychnęła na Jana Valjean. Wyglądała jak gracja naśladowująca kotkę.

— Jestem zła! — zawołała. — Od wczoraj wszyscy mnie doprowadzają do wściekłości! Złoszczę się bardzo! Nic nie rozumiem. Ojciec nie broni mnie przed Mariuszem, Mariusz nie broni mnie przed ojcem, jestem sama, samiuteńka! Urządzą tak ślicznie pokój, że wprowadziłabym do niego Pana Boga, gdybym mogła. Dostaję kosza. Mój lokator nie dotrzymuje słowa. Polecam Nikolecie przygotować smaczną kolację. Obejdzie się bez kolacji, proszę pani! I mój pan

ojciec każe, żebym go nazywała panem Janem i przyjmowała w tejokropnej, szkaradnej, wilgotnej piwnicy, gdzie zamiast kryształów stoją puste butelki, a zamiast firanek wiszą pajęczyny. Ojciec jest dziwak, zgoda, taki już ojca styl, ale trzeba mieć trochę względów dla ludzi, którzy się tylko co pobrali. Można było odłożyć dziwactwa na później. Widocznie bardzo się ojcu podoba ta wstrętna ulica Człowieka Zbrojnego. Mnie ona doprowadzała do rozpacz. Czy ojciec ma do mnie jakieś pretensje? Martwisz mnie, a nieładnie!

Poważniejąc nagle, spojrzała Jamowi Valjean w oczy i zapytała:

— A może ojciec ma żal do mnie, że jestem szczęśliwa?

Naiwność bezwiednie sięga czasem bardzo daleko. To pytanie, proste dla Kozety, głęboko wstrząsnęło Janem Valjean. Kozeta chciała tylko drasnąć, a zraniła go boleśnie.

Jan Valjean zbladł. Przez chwilę stał bez słowa, a potem, mówiąc jakby do siebie, wyszeptał przejmującym głosem:

— Jej szczęście było celem mojego życia. Teraz Bóg może pozwolić mi odejść. Kozeto, jesteś szczęśliwa; mój czas minął.

— Och, ojczy! powiedziałaś mi „ty"! — zawołała Kozeta i rzuciła mu się na szyję.

Jan Valjean w obłądnym porywie przycisnął ją do piersi. Zdawało mu się prawie, że ją odzyskuje:

— Dziękuję ci, ojczy! — rzekła Kozeta.

Uniesienie stało się teraz dla Jana Valjean przejmująco bolesne. Łagodnie uwolnił się z objęć Kozety i wziął kapelusz.

— A to co znowu? — zapytała Kozeta.

— Odchodzę, czekają na panią.

Stanąwszy w progu, dodał jeszcze:

— Powiedziałem pani „ty". Niech pani zechce zapewnić swego męża, że to się nie powtórzy. Proszę mi wybaczyć.

Wyszedł zostawiając Kozetę zdumioną tym zagadkowym pożegnaniem.

## ROZDZIAŁ II .

### DALSZE KROKI W TYŁ

Nazajutrz Jan Valjean przyszedł o tej samej godzinie. Kozeta o nic go już nie pytała, nie dziwiła się, nie narzekała, że jej zimno, nie wspomniała o salonie. Unikała w rozmowie zwrotu: „ojcze” i „panie Janie”, nie protestowała, kiedy nazywał ją panią. Była jednak mniej wesoła. Byłaby smutna, gdyby mogła zdobyć się na smutek. Zapewne miała z Mariuszem jedną z tych rozmów, w których kochany mężczyzna mówi to, co chce powiedzieć, i choć nie wyjaśnia nic, zadowala kochaną kobietę. Ciekawość zakochanych nie sięga daleko poza ich miłość.

Pokoik na dole został nieco oporzędzony. Baskijczyk usunął butelki, a Nikoleta pajęczyny.

Każdy następny dzień sprowadzał o tej samej godzinie Jana Valjean do domu Kozety. Przychodził codziennie; traktował zezwolenie Mariusza dosłownie; nie miał siły postąpić inaczej. Mariusz starał się być nieobecny w porze jego odwiedzin. Domownicy przyzwyczaili się do nowych zwyczajów pana Fauchelevant. Pomogła im Toussaint powtarzając: „Pan zawsze był taki.” Dziadek zawyrokował: „To oryginał.” I wszystko zostało załatwione. Zresztą ten, kto ma dziewięćdziesiąt lat, nie jest już zdolny do nawiązywania nowych przyjaźni; wszystko już jest zajęte; każdy nowoprzybyły staje się zawadą. Nie ma wolnych miejsc; wszystkie przyzwyczajenia już są. Czy to był Fauchelevant, czy Tranchelevant, pan Gillenormand nie miał nic przeciw temu, by uwolnić się od „tego pana”. Dodał jeszcze: „Na świecie pełno takich oryginałów, robią wszystkie możliwe dziwactwa, dlaczego? Bez powodu. Markiz de Canaples był jeszcze gorszy. Kupił sobie pałac, żeby zamieszkać na strychu. Ludzi trzymają się takie pomysły.”

Nikt nie dostrzegł, że kryje się w tym coś złowieszczonego. Któż by zresztą mógł to przypuszczać? W Indiach istnieją takie trzęsawiska, woda w nich wydaje się jakaś dziwna, niezrozumiała, drżąca, choć nie ma wiatru, wzburzona tam, gdzie powinna być spokojna, Człowiek widzi na powierzchni to wrzenie bez przyczyny i nie dostrzega hydry pełzającej na dnie.

Wielu ludzi nosi w sobie ukrytego potwora, chorobę, która wysysa im krew, smoka, który ich pożera, rozpacz, która gnieździ się w ich nocy. Oto człowiek, który nie różni się od innych, chodzi, porusza się, i nikt nie wie, że ma w sobie straszliwego pasożyta — boleść stuzębną, która żyje w tym nieszczęśniku i zabija go. Nikt nie wie, że ten człowiek to topiel. Jest spokojny, ale bez dna. Od

czasu do czasu niezrozumiałe drżenie przebiega po powierzchni; pojawia się jakaś zmarszczka, znika, pojawia znowu; tworzy się pęcherzyk powietrza, pęka. Niby to nic, w istocie to rzecz straszliwa: oddech nieznannej bestii.

Przychodzić w porze, gdy inni wychodzą, usuwać się w cień, gdy inni się puszą, we wszystkich okolicznościach życia nosić jakby płaszcz w kolorze ochronnym, wyszukiwać bezludne aleje, lubić puste ulice, nie brać udziału w rozmowach, unikać tłumów i zabaw, uchodzić za człowieka zamożnego, a żyć w ubóstwie będąc bogatym, nosić klucz w kieszeni, a świecę zostawiać u stróża, przemykać się bocznymi drzwiami, schodzić po schodach służbowych, te dziwne zwyczaje, te nic nie znaczące dziwactwa, zmarszczki, pęcherzyki powietrza, przelotne falowanie powierzchni — często dobywają się ze straszliwej głębin.

Tak minęło parę tygodni. Kozetę coraz bardziej absorbowano nowe życie: stosunki towarzyskie, które stwarza małżeństwo, wizyty, zajęcia gospodarskie, przyjemności — to ważne sprawy. Przyjemności Kozety nie były kosztowne, streszczały się w jednym: być razem z Mariuszem. Wychodzić z domu razem z nim, siedzieć w domu razem z nim — to było najważniejsze zajęcie jej życia. Znajdowali w tym ciągle nową radość, by spacerować pod rękę w słońcu, na ulicy, na oczach wszystkich, a tylko we dwoje. Kozetę spotkała jedna przykrość. Toussaint nie zgodziła się z Nikoletą — te dwie stare panny nie mogły ze sobą żyć się — i odeszła. Dziadek był zdrów. Mariusz, czasami bronił przed sądem jakiejś sprawy; ciotka Gillenormand prowadziła obok młodej pary swoje spokojne życie na marginesie życia, które jej wystarczało. Jan Valjean przychodził codziennie.

Ale że znikła ich zażyłość, że mówili sobie „pani” i „panie Janie”, Jan Valjean stawał się dla Kozety kimś innym. Wysiłki, jakie czynił, by odsunąć ją od siebie, powiodły się. Była coraz weselsza i coraz mniej tkliwa. Mimo to kochała go nadal i on to czuł. Pewnego razu powiedziała mu nieoczekiwanie:

— Był pan moim ojcem i już pan nim nie jest. Był pan moim stryjem i już pan nim nie jest. Był pan panem Fauchelevant, stał się pan panem Janem. Kim właściwie pan jest? Nie podoba mi się to wszystko. Gdybym nie wiedziała, jaki pan jest dobry, to bym się pana bała.

Mieszkał nadal na ulicy Człowieka Zbrojnego nie mogąc się zdobyć na porzucenie dzielnicy, w której był dom Kozety.

Z początku zostawał z Kozetą zaledwie parę minut i odchodził. Powoli przyzwyczaił się przedłużać swoje wizyty. Rzekłbyś, że korzystał z upoważnienia dni, które stawały się coraz dłuższe; przychodził wcześniej i odchodził później.

Pewnego dnia Kozecie wyrwało się: „Ojcze!” Błyskawica radości rozświetliła starą, posępną twarz Jana Valjean.

Poprawił ją:

— Proszę nazywać mnie Janem.

— Ach, prawda! — zawołała ze śmiechem — pan Jan!

— Tak jest — odrzekł i odwrócił się, żeby nie zauważyła, że ociera oczy.



## ROZDZIAŁ III

### WSPOMINAJĄ OGRÓD PRZY ULICY PLUMET

Zdarzyło się to po raz ostatni. Po tym ostatnim błysku wszelkie światło zgasło. Skończyły się poufałości, powitania pocałunkiem, nigdy już nie zabrzmiało najśodsze słowo: „ojcze”. Na własne życzenie i za własną jego przyczyną odsuwano go stopniowo od wszystkiego, co było jego szczęściem. Dożył tej nędzy, że straciwszy jednego dnia całą Kozetę, potem powtórnie tracił ją raz jeszcze po odrobinie.

Oko przyzwyczaja się w końcu do piwnicznego mroku. Wystarczało mu, że co dzień widywał Kozetę. Całe jego życie koncentrowało się w tej godzinie. Siadał przy niej, patrzył na nią w milczeniu albo też opowiadał jej o minionych latach, o jej dzieciństwie, o klasztorze, o jej dawnych, małych przyjaciółkach.

Pewnego popołudnia — a był to jeden z pierwszych dni kwietnia, już ciepły, lecz jeszcze rześki, kiedy słońce świeci najradośniej, kiedy ogrody pod oknami Mariusza i Kozety przebiegał dreszcz przebudzenia, tarnina miała już pąki, na starych murach lewkonie układały klejnoty swoich kwiatów, różowe lwie paszcze otwierały się w kamiennych rozpadlinach, pierwsze stokrotki i jaskry wychylały urocze główki z trawy, pierwsze białe motyle zaczynały latać, a wiatr, ten kapelmistrz odwiecznych godów, próbował na drzewach pierwszych tonów wielkiej, świetlanej symfonii, zwanej przez dawnych poetów powrotem wiosny — Mariusz powiedział do Kozety: „Postanowiliśmy odwiedzić nasz ogród przy ulicy Plumet. Chodźmy. Nie bądźmy niewdzięczni.” I pofrunęli jak dwie jaskółki lecące na spotkanie wiosny. Ogród przy ulicy Plumet wydawał im się zorzą poranną. Mieli już w życiu poza sobą coś niby wiosnę swej miłości. Dom wydzierżawiony na dłuższy czas, należał jeszcze do Kozety. Weszli do ogrodu, weszli do domu, odnaleźli się tam i zapomnieli o świecie. Wieczorem Jan Valjean przyszedł na ulicę Panien Kalwaryjskich o zwykłej porze.

— Pani wyszła z panem i jeszcze nie wróciła — powiedział mu Baskijczyk.

W milczeniu usiadł i czekał godzinę. Kozeta nie wracała. Zwiesił głowę i odszedł. Nazajutrz Kozeta była tak upojona spacerem do „ich ogrodu” i tak zachwycona, że „przeżyła cały dzień wśród swojej przeszłości”, że nie mówiła o niczym innym. Nie zauważyła wcale, że tego dnia nie widziała Jana Valjean.

— Jak państwo dostali się tam? — zapytał Jan Valjean.

— Poszliśmy piechotą.

— A z powrotem? — Dorożką.

Od pewnego czasu Jan Valjean zauważył, że młoda para żyje bardzo skromnie. To go zaniepokoiło. Mariusz zaprowadził surową oszczędność, która była rzeczywiście surowa dla Jana Valjean. Zaryzykował pytanie:

— Dlaczego nie macie własnego pojazdu? Ładny powozik kosztowałby was tylko pięćset franków miesięcznie. Jesteście bogaci.

— Nie wiem — odpowiedziała Kozeta.

— Tak samo z Toussaint — mówił dalej Jan Valjean — Odeszła i na jej miejsce nie wzięliście nikogo. Dlaczego?

— Nikoleta wystarcza.

— Przecież pani potrzebna jest pokojowa

— Czyż nie mam Mariusza?

— Powinniście mieć własny dom, własną służbę, powóz, łożę w teatrze. Należą wam się najpiękniejsze rzeczy. Dlaczego z nich nie korzystacie, skoro jesteście bogaci? Bogactwo trzeba dorzucić do szczęścia.

Kozeta nic nie odpowiedziała.

Odwiedziny Jana Valjean nie stawały się krótsze. Przeciwnie. Gdy serce się pośliźnie, nic nie zdoła zatrzymać człowieka na pochyłości.

Kiedy Jan Valjean chciał przedłużyć wizytę i zapomnieć o czasie, zaczynał pochwały na cześć Mariusza; mówił, że jest piękny, szlachetny, odważny, dowcipny, wymowny, dobry; Kozeta prześcigała go w pochwałach. Jan Valjean zaczynał od nowa. Był to nie kończący się temat. Mariusz — słowo niewyczerpane. Z tych siedmiu liter można by wysnuć całe tomy. W ten sposób Janowi Valjean udawało się pozostać dłużej. Widzieć Kozetę, zapomnieć przy niej o wszystkim była to dlań słodycz niezmierna. Był to opatrunek założony na jego ranę. Nieraz Baskijczyk przychodził po dwa razy, żeby powiedzieć: „Pan Gillenormand kazał mi przypomnieć pani baronowej, że podano do stołu.”

W te dni Jan Valjean wracał do domu zamyślony.

Czy trafne było porównanie go do skorupki poczwarki, które nasunęło się Mariuszowi? Czy istotnie Jan Valjean był tą pustą skorupą, która z uporem odwiedzała swego motyla?

Pewnego dnia pozostał jeszcze dłużej niż zazwyczaj. Nazajutrz zauważył, że na kominku nie rozpalono ognia. „O! — pomyślał — nie napalono w kominku.”

I sam wytłumaczył sobie: to zupełnie zrozumiałe. Mamy kwiecień, zimna ustały.

— Boże, jak tu zimno! — zawołała wchodząc Kozeta.

— Ależ, nie — zaprotestował Jan Valjean.

— Więc to pan kazał Baskijczykowi nie palić? — Tak. Wkrótce będziemy mieli maj.

— Ależ pali się aż do czerwca, a w tym lochu powinno się palić przez cały rok.

— Sądziłem, że obejdzie się bez ognia.

— To znowu jedno z pana dziwactw — odrzekła Kozeta.

Następnego dnia ogień palił się już wprawdzie w kominku, ale oba fotele stały w drugim końcu pokoju przy drzwiach.

„Co to ma znaczyć?” — pomyślał Jan Valjean.

Przysunął fotele i ustawił je na zwykłym miejscu przy kominku. Rozpalony ogień dodał mu odwagi. Przeciągnął rozmowę dłużej niż zwykle. Kiedy już odchodził, Kozeta odezwała się:

— Mój mąż powiedział mi wczoraj dziwną rzecz.

— Cóż takiego?

— Powiedział: „Kozeto, mamy trzydzieści tysięcy franków renty. Ty masz dwadzieścia siedem, a ja od dziadka mam trzy.” Odpowiedziałam: „To razem trzydzieści.” A on na to: „Czy miałabyś odwagę żyć z trzech tysięcy?” Odpowiedziałam: „Nawet z niczego, byle z tobą”, a potem spytałam go: „Dlaczego mi to mówisz?” Odpowiedział: „Chciałem wiedzieć.”

Jan Valjean nie znalazł ani słowa odpowiedzi. Prawdopodobnie Kozeta spodziewała się od niego jakiegoś wyjaśnienia. Wysłuchał jej w ponurym, milczeniu. Wrócił na ulicę Człowieka Zbrojnego; był tak pogrążony w myślach, że pomylił drzwi i, zamiast do siebie, wszedł do sąsiedniego domu. Dopiero na drugim, piętrze spostrzegł swoją pomyłkę i zszedł na dół.

Dręczyły go przeróżne domysły. Najwidoczniej Mariusz miał wątpliwości co do pochodzenia owych sześciuset tysięcy franków, bał się jakiegoś ciemnego źródła, kto wie, może odgadł nawet, że pochodzą od Jana Valjean. Wahał się

więc korzystać z tych podejrzanych pieniędzy i, brzydząc się nimi, wolał żyć z Kozetą w ubóstwie niż używać nieczystego majątku.

Ponadto Jan Valjean zaczynał pojmować, że Mariusz pragnie się go pozbyć.

Nazajutrz wchodząc do pokoiku na parterze doznał wstrząsu. Fotele znikły. Nie było nawet krzesła.

— A to co? — zawołała Kozeta wchodząc — nie ma foteli? Gdzie się podziały fotele?

— Nie ma ich — odpowiedział Jan Valjean. — No, tego już za wiele! Jan Valjean wyjąkał:

— To ja powiedziałem Baskiczykowi, żeby je zabrał.

— Dlaczego?

— Zostanę dziś tylko parę minut. — To jeszcze nie powód, żeby rozmawiać stojąc. — Zdaje się, że Baskijczyk potrzebował tych foteli do salonu.

— Po co?

— Zapewne macie dziś gości.

— Nie mamy nikogo.

Jan Valjean nie mógł już wykrztusić ani słowa.

Kozeta wzruszyła ramionami.

— Kazać zabierać fotele! Już raz kazał pan zgasić ogień na kominku. Co za dziwactwa!

— Żegnam — szepnął Jan Valjean.

Nie powiedział: „Żegnam cię, Kozeto, ale nie miał siły powiedzieć: „Żegnam panią.”

Wyszedł zdruzgotany.

Tym razem zrozumiał.

Następnego dnia nie przyszedł. Kozeta spostrzegła to dopiero wieczorem. — O! — rzekła — pan Jan nie przyszedł dzisiaj.

Serce ścisnęło się jej trochę, ale zaledwie to spostrzegła, bo w tej samej chwili Mariusz pocałował ją.

Następnego dnia Jan Valjean nie przyszedł również.

Kozeta nie zwróciła na to uwagi, spędziła wieczór jak zwykle, spała dobrze i pomyślała o nim dopiero po przebudzeniu. Była tak szczęśliwa! Natychmiast wysłała Nikoletę do pana Jana z zapytaniem, czy nie jest chory i czemu wczoraj nie przyszedł. Nikoleta przyniosła odpowiedź pana Jana. Jest zdrow, ale bardzo zajęty. Wkrótce przyjdzie. Jak tylko będzie mógł. Zresztą niebawem wyjeżdża na jakiś czas. Pani pamięta chyba, że miał zwyczaj wyjeżdżać czasami. Prosił, żeby się o niego nie kłopotać i nie zaprzętać sobie głowy jego osobą.

Nikoleta, przyszedłszy do pana Jana, powtórzyła mu dosłownie polecenie swojej pani. Pani przysłała ją, żeby się dowiedzieć, "czemu pan Jan nie był wczoraj".

— Nie byłem już dwa dni — poprawił łagodnie Jan Valjean.

Ale Nikoleta nie zrozumiała tej uwagi i nie powtórzyła jej Kozecie.

## ROZDZIAŁ IV

### PRZYCIĄGANIE I GAŚNIĘCIE

W ostatnich miesiącach wiosny i w pierwszych miesiącach lata 1833 roku nieliczni przechodnie dzielnicy Bagno oraz sklepikarze i ludzie beczynnie wystający przed bramami widywali starca w schludnym, czarnym ubraniu, który codziennie o tej samej porze, o zmierzchu wychodził z ulicy Człowieka Zbrojnego od strony ulicy Św. Krzyża, przechodził koło ulicy Białych Płaszczy, mijał Ogrodową-Św. Katarzyny i, doszedłszy do ulicy Echarpe, skręcał w lewo i wchodził w ulicę Św. Ludwika.

Tutaj zwalniał kroku, szedł z głową wysuniętą do przodu nie widząc nic, nie słysząc nic, z okiem utkwionym nieruchomo w jeden punkt, zawsze ten sam, który widać był dla niego jasną gwiazdą, naprawdę zaś był rogiem ulicy Panien Kalwaryjskich. Im bliżej był tego rogu, tym bardziej błyszcząły mu oczy; jakaś radość rozświeślała mu źrenice wewnętrzną zorzą; wydawał się urzeczony i wzruszony, wargi jego poruszały się lekko, jakby mówił do kogoś niewidzialnego, uśmiechał się blado i posuwał się, jak mógł, najwolniej. Rzekłbyś, że pragnie dojść, a równocześnie lęka się chwili, (kiedy stanie na miejscu. Kiedy już tylko kilka domów dzieliło go od tej ulicy, która go tak przyciągała, zaczynał iść tak wolno, że chwilami można było pomyśleć, iż wcale nie posuwa się naprzód. Drżąca głowa i nieruchoma źrenica przypominały igłę magnesową szukającą bieguna. Jakkolwiek starał się iść jak najdłużej, musiał w końcu dotrzeć do celu; dochodził do ulicy Panien Kalwaryjskich; wówczas stawał drżąc cały, z chmurną lękliwością wysuwał głowę zza węgła ostatniego domu i patrzył w tę ulicę, a w jego tragicznym spojrzeniu było coś jak olśnienie nieziszczalnym szczęściem, jak odbłask utraconego raj. Potem wielka łza, która powoli wzbierała mu pod powieką, staczała się po policzku, a czasem zatrzymywała się w kąciku ust. Starzec czuł jej gorzki smak. Stał tak przez kilka minut jak skamieniały, potem wracał tą samą drogą i tym samym krokiem, a w miarę jak się oddalał, wzrok jego przygasał.

Po jakimś czasie starzec przestał dochodzić do rogu ulicy Panien Kalwaryjskich; zatrzymywał się w połowie drogi, na ulicy Św. Ludwika, raz, trochę dalej, raz trochę bliżej. Pewnego dnia przystanął na ulicy Ogrodowej-Św. Katarzyny i z daleka patrzył na ulicę Panien Kalwaryjskich. Potem milcząco pokręcił głową, jakby czegoś sobie odmawiał, i zawrócił.

Niebawem nie posuwał się już nawet do ulicy Św. Ludwika, lecz zatrzymywał się na Brukowej, potrząsał głową i zawracał z powrotem; potem dochodził już tylko do ulicy Trzech Pawilonów, potem już tylko do Białych Płaszczy. Rzekłbyś

— wahadła nie nakręconego zegara, które waha się coraz słabiej, nim stanie na zawsze.

Codziennie wychodził z domu o tej samej godzinie i obierał tę samą drogę, ale nie dochodził do końca i — może nieświadomie — ciągle ją skracał. Twarz jego wyrażała jedną jedyną myśl: „Po co?” Zgasłe źrenice nie rozjaśniały się już światłem. Łzy także wyschły; nie zbierały się już w kącikach powiek; te zadumane oczy były suche. Głowa starca była zawsze wysunięta do przodu, broda poruszała się chwilami; przykro było patrzeć na zmarszczki jego wychudłej szyi. Niekiedy, podczas, słoty, trzymał pod pachą parasol, ale nigdy go nie otwierał. Kumoszki, z dzielnicy mówiły: „To pomylenieć.” Dzieci śmiejąc się biegały za nim.

# KSIĘGA DZIEWIĄTA

## NAJGŁĘBSZY MROK, NAJJAŚNIEJSZA ZORZA

### ROZDZIAŁ I

#### LITOŚCI DLA NIESZCZĘŚLIWYCH, ALE POBŁĄŻANIA DLA SZCZĘŚLIWYCH

Straszna to rzecz być szczęśliwym! Jak to człowieka zaspokaja! Jak mu wystarcza! Jak łatwo, osiągnąwszy fałszywy cel życia — szczęście, zapomina się o jego celu prawdziwym — obowiązku!

Trzeba jednak powiedzieć, że błędem byłoby potępiać Mariusza.

Wyjaśniliśmy już, że przed ślubem Mariusz nie zadawał żadnych pytań panu Fauchelevant, a później bał się pytać Jana Valjean o cokolwiek. Żałował obietnicy, do której dał się skłonić. Nieraz wyrzucał sobie, że popełnił błąd robiąc to ustępstwo dla rozpaczycy. Poprzestał na tym, że odsuwał powoli Jana Valjean od swojego domu i, o ile możliwości, wymazywał go z serca Kozety. Rzec by można, że stawał zawsze między Janem Valjean a Kozetą, pewny, że w ten sposób przysłoni go i usunie z jej myśli. To było coś więcej niż usunięcie, to było unicestwienie!

Mariusz postępował w sposób, który uważał za konieczny i słuszny. Sądził, że ma poważne powody, by odsunąć Jana Valjean od Kozety łagodnie, ale stanowczo; niektóre z nich czytelnik już zna, inne pozna niebawem.. Przypadek zrządził, że stając w pewnym procesie Mariusz poznał dawnego komisanta banku Laffitte'a i, nie starając się nawet o to, zdobył pewne zagadkowe wiadomości; nie mógł wprawdzie zgłębić ich do dna, szanując tajemnicę, której obiecał dochować, a także przez wzgląd na bezpieczeństwo Jana Valjean. Doszedł jednak do wniosku, że ciąży na nim ważny obowiązek zwrotu owych sześciuset tysięcy franków komuś, kogo poszukiwał z jak największą dyskrecją. Tymczasem zaś nie tykał tych pieniędzy.

Kozeta nie była wtajemniczona w żadną z tych spraw, ale i ją potępiać byłoby okrucieństwem.

Mariusz miał na nią przemożny, magnetyczny wpływ, dzięki czemu instynktownie i niemal bezwiednie postępowała tak, jak Mariusz sobie życzył. W stosunkach „z panem Janem” wyczuwała nieujawnioną wolę Mariusza i podporządkowała się jej. Mąż nie potrzebował jej nic mówić; odczuwała nacisk nieokreślony, lecz niewątpliwy jego woli i była mu ślepo posłuszna. W tym



wypadku jej posłuszeństwo polegało na tym, aby nie pamiętać tego, o czym Mariusz zapomniał. Przychodziło jej to bez trudu. Nie można jej mieć tego za złe, sama nie wiedziała, jak do tego doszło, że dusza jej stała się tak wiernym odbiciem duszy męża, iż wszystko, co w myśli Mariusza zasnuwało się cieniem niepamięci, zaćmiewało się także i w jej myśli.

Nie posuwajmy się wszakże za daleko; jeśli chodzi o Jana Valjean, to zapomnienie i zatarcie było tylko pozorne. Kozeta była raczej roztargniona niż pozbawiona pamięci. W gruncie rzeczy nadal kochała tego człowieka, którego przez tyle lat nazywała ojcem. Ale jeszcze bardziej kochała męża; i to właśnie zachwiało równowagę jej serca i przechyliło szalę na jedną Stronę.

Zdarzało się, że Kozeta wspominała Jana Valjean i dziwiła się jego nieobecności. Wówczas Mariusz uspokajał ją: „Zdaje się, że wyjechał z Paryża; przecież sam mówił, że wyjeżdża.” „To prawda — myślała Kozeta — nieraz zdarzało się przecież, że tak zniknął, ale nie na tak długo.” Kilka razy posłała Nikoletę na ulicę Człowieka Zbrojnego, aby się dowiedziała, czy pan Jan wrócił z podróży. Jan Valjean kazał odpowiadać, że nie.

Kozeta nie dowiadywała się więcej, potrzebowała bowiem na świecie jedynej tylko osoby — Mariusza.

Dodajmy, że Mariusza i Kozety także przez pewien czas nie było w Paryżu. Pojechali do Vernon. Mariusz zawiózł Kozetę na grób swojego ojca.

Powoli Mariusz oderwał Kozetę od Jana Valjean. Kozeta nie protestowała.

Zresztą to, co nieraz nazbyt surowo nazywamy niewdzięcznością dzieci, nie zawsze jest rzeczą tak godną nagany, jak można by przypuszczać. Jest to niewdzięczność natury. Mówiliśmy już, że natura „patrzy przed siebie”; 'dzieli istoty żyjące na te, co przychodzą, i te, co odchodzą. Ci, co odchodzą, zwróceni są ku ciemnościom, ci, co przychodzą — ku światłu. Stąd przedział, u starych — nieodwracalny i tragiczny, u młodych — nieświadomy. Przedział ów, z początku nieznaczny, rośnie powoli jak parzy rozszczepieniu gałęzi: gałęzie nie odrywają się od pnia, ale oddalają się od niego. To nie ich wina. Młodość biegnie tam, gdzie jest radość, zabawa, gdzie jest pełnia blasku, miłość! Starość zmierza do kresu. Nie tracą się z oczu, ale już nie są splecione uściskiem. Młodych owiewa czasem chłodne tchnienie życia, starych — chłodne tchnienie grobu. Nie wińmy tych biednych dzieci.

## ROZDZIAŁ II

### OSTATNIE DRGANIA LAMPY BEZ OLIWY

Pewnego dnia Jan Valjean zszedł ze schodów, przeszedł ulicą trzy kroki i usiadł na kamiennym słupku, na tym samym słupku, na którym w nocy z 5 na

6 czerwca zastał go Gavroche pogrążanego w myślach; posiedział tak kilka minut i wrócił na górę. Było to ostatnie poruszenie wahadła zegara. Nazajutrz nie wyszedł z domu. Następnego dnia nie wstał z łóżka.

Dozorczyńni, która przyrządzała mu skromne posiłki — trochę kapusty, parę kartofli ze słoniną — spojrzała na glinianą miskę i zawołała:

— Pan wczoraj nic nie jadł, kochany panie!

— Ależ jadłem — odpowiedział Jan Valjean.

— Przecież talerz jest pełen.

— Proszę zajrzeć do dzbanka z wodą. Jest pusty.

— To znaczy, że pan pił, ale to wcale nie znaczy, że pan jadł.

— Cóż robić — rzekł Jan Valjean — skoro mam chęć tylko na wodę.

— To się nazywa pragnienie, a jeżeli się przy tym nic nie je, to się nazywa gorączka.

— Będę jadł jutro.

— Albo na święty Nigdy. Dlaczego nie dziś? Kto słyszał, żeby mówić: „Będę jadł jutro!” Zostawiać mi całe jedzenie nietknięte! Tak smacznie przyrządzałam kapustę.

Jan Valjean ujął rękę staruszki.

— Obiecuję, że wszystko zjem — rzekł swoim serdecznym tonem.

— Nie jestem z pana zadowolona — odparła dozorczyńni.

Poza tą zacną kobiecina Jan Valjean nie widywał żadnej ludzkiej twarzy. Są w Paryżu ulice, którymi nikt nie przechodzi, i domy, do których nikt nie wchodzi. *On* mieszkał na takiej właśnie ulicy i w takim właśnie domu.

Kiedy wychodził jeszcze na miasto, kupił sobie za parę groszy niewielki, miedziany krzyż i zawiesił go na gwoździu naprzeciwko łóżka. Ten obraz kaźni zawsze jest dobrze mieć przed oczami.

Upłynął tydzień; Jan Valjean nie opuszczał łóżka. Leżał ciągle. Dozorczyńni mówiła do męża:

— Ten starowina z góry już nie wstaje, nie je i długo nie pociągnie. Ani chybi, ma jakieś zmartwienie. Jego córka musiała źle wyjść za mąż, nikt mi nie wybije tego z głowy! — Dozorca odpowiedział jej na to z mężowską pewnością siebie:

— Jeżeli jest bogaty, niech sprowadzi doktora. Jeżeli nie jest bogaty, niech nie sprowadza. Jak nie sprowadzi doktora, umrze.

— A jeżeli go sprowadzi?

— To i tak umrze — zawyrokował dozorca.

Dozorczyńni, wygrzebując starym nożem trawę rosnącą między kamieniami — jak mawiała — jej bruku i wrywając ją, mruzczała:

— Szkoda go. Taki schludny starowina. Biały jak gołębek.

I zobaczywszy, że ulicą przechodzi właśnie lekarz z tej dzielnicy, z własnej inicjatywy wystąpiła z prośbą, aby wszedł na górę do jej lokatora.

— Na drugim piętrze — wyjaśniła. — Drzwi nie są zamknięte, ho staruszek nie rusza się z łóżka i klucz jest w drzwiach.

Lekarz obejrzał Jana Valjean i pogawędził z nim. Kiedy zszedł na dół, dozorczyńni zagadnęła go:

— No i co, panie doktorze?

— Wasz chory jest poważnie chory.

— Co mu jest?

— Wszystko i nic. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ten człowiek stracił kochaną osobę. Z tego się umiera.

— Co panu powiedział?

— Powiedział, że jest zdrów.

— Czy pan doktor jeszcze, tu wróci?

— Tak — odpowiedział lekarz — ale trzeba by, żeby tu wrócił ktoś inny.

## ROZDZIAŁ III

### CZŁOWIEK, KTÓRY NIEGDYS MÓGŁ PODŻWIGNĄĆ WÓZ FAUCHELEVENTA, Z TRUDEM PODNOSI PIÓRO

Pewnego dnia Jan Valjean ledwo zdołał unieść się na łokciu; wziął się za rękę i nie znalazł pulsu; oddech miał krótki, przerywany. Zdał sobie sprawę, że jest słabszy niż kiedykolwiek. Wówczas, ulegając jakiemuś nakazowi, dobył ostatka sił, usiadł na łóżku i ubrał się. Włożył swoje stare, robotnicze ubranie. Odkąd nie wychodził z domu, wrócił do tego ubrania i najlepiej się w nim czuł. Ubierając się, lalka razy musiał odpoczywać. Sam wysiłek przy wciąganiu rękawów kurtki powodował, że czoło: oblewało mu się kroplistym potem.

Odkąd został sam, (przesunął swoje łóżko do przedpokoju, aby jak najmniej widzieć opustoszałe mieszkanie.

Otworzył kuferek i wyjął z niego ubranka Kozety.

Rozłożył je na łóżku.

Świeczniki biskupa stały jak zwykle na kominku. Wyjął z szuflady dwie woskowe świece i osadził je w świecznikach. A potem, choć jeszcze było zupełnie jasno — było lato — zapalił je. Widuje się czasem takie świece, płonące w biały dzień w pokojach, w których leżą umarli.

Każdy krok, który robił czepiając się mebli, wyczerpywał go; musiał co chwila siadać. Nie było to zwykłe zmęczenie, zużycie sił, które się znów odnowią; były to ostatnie poruszenia, do których był zdolny, ostatnie krople życia, wyciekające przy niezmiernym wysiłku, których już nic nigdy nie zdoła zasilić na nowo.

Jedno z krzesel, na które się ciężko osunął, stało naprzeciw lustra tego lustra — tragicznego dla niego, opatrnościowego dla Mariusza — w którym przeczytał pismo Kozety odcisnięte na bibule. Zobaczył się w tym lustrze i sam siebie nie poznał. Wyglądał na osiemdziesiąt lat; przed ślubem Mariusza można by mu dać najwyżej pięćdziesiąt; przez ten jeden rok postarzał się o trzydzieści lat. Na czole miał nie zmarszczki starości, lecz tajemnicze piętno śmierci; rzekłbyś, że wyrzył je jakiś bezlitosny palec. Policzki mu obwisły, twarz nabrała dziwnej barwy, jakby już była przysypana ziemią; oba kąciki ust były opuszczone, jak w maskach, które starożytni rzeźbili na grobowcach; z wyrazem wyrzutu patrzył w pustkę; rzecz by można — jedna z tych wielkich tragicznych postaci, skrzywdzonych przez kogoś.

Przeżywał tę ostatnią fazę przygnębiania, kiedy boleść już się nie sączy kroplami krwi; kiedy już zakrzepła, tworząc na duszy jak gdyby skrzep rozpaczy.

Nadszedł wieczór. Mozolnie przyciągnął do kominka stół i stary fotel, położył na stole pióro, kałamarz, papier.

Zrobiwszy to wszystko, zemdłał. Kiedy odzyskał przytomność, uczuł pragnienie. Nie mogąc podnieść dzbanka, z wielkim trudem przechylił go do ust i wypił parę łyków.

Potem odwrócił się w stronę łóżka i — siedząc, gdyż nie miał siły wstać — patrzył na czarną sukienkę, na te wszystkie drogie mu przedmioty.

Takie zapatrzenie trwa całe godziny, które wydają się jedną chwilą. Nagle wstrząsnął nim dreszcz; poczuł, że przenika go zimno; oparł się na stole oświetlonym świecznikami biskupa i wziął pióro do ręki.

Pióro i atrament od dawna nie były używane, koniec pióra zakrzywił się, atrament wysechł. Musiał więc wstać, wziąć parę kropli wody do atramentu — przy czym przerywał swą czynność i parę razy siadał, aby odpocząć. Musiał pisać odwrotną stroną pióra. Od czasu do czasu ocierał pot z czoła.

Ręka mu drżała. Pisał wolno następujące słowa:

Kozeto, błogosławię Cię. Wszystko Ci wytłumaczę. Twój mąż słusznie postąpił dając mi do zrozumienia, że powinienem odejść; chociaż pomylił się nieco, ale miał słuszność. To idealnie dobry człowiek. Kochaj go zawsze, kiedy ja już umrę. Panie Pontenency, kochaj pan zawsze moje najdroższe dziecko. Kozeto, znajdziesz ten list; chcę Ci w nim powiedzieć, pokazać Ci cyfry — o ile będę miał siły przypomnieć sobie; posłuchaj, te pieniądze są naprawdę Twoje. Oto na czym rzecz polega: białe dżety pochodzą z Norwegii, czarne dżety z Anglii, czarna imitacja ze szkła pochodzi z Niemiec. Dżety są lżejsze, cenniejsze i droższe. We Francji można wyrabiać imitacje równie dobre jak w Niemczech. Trzeba mieć małe kowadełko o powierzchni dwóch cali i spirytusową lampkę do topienia masy. Masę tę robiono dawniej z żywicy i sadzy, to kosztowało cztery franki za funt. Przyszło mi do głowy, aby ją robić z gumilaki i terpentyny. Kosztuje wówczas tylko trzydzieści su i jest o wiele lepsza. Kolczyki robi się z fioletowego szkła, które przykleja się masą do cienkiej, żelaznej płytki. Szkło powinno być fiołkowe dla ozdób żelaznych, a czarne — dla złotych. Hiszpania dużo tego: kupuje. To kraj dżetów...

Tutaj przerwał, pióro wypadło mu z ręki, porwał go rozpaczliwy szloch, który wydobywał się czasem z głębi jego istoty; biedny człowiek ujął głowę w obie

ręce i pogrążył się w- myślach..

„Och! — zawołał w głębi ducha; żałośnie wołanie, które tylko Bóg słyszy. —  
Więc już wszystko skończone! Nie zobaczę jej nigdy. Był to uśmiech, który  
zabłysnął dla mnie tylko na chwilę i zgasł. Wejdę w noc nie ujrawszy jej. O,  
gdyby na chwilę usłyszeć jej głos, dotknąć jej sukni, zobaczyć ją, mojego anioła,  
a potem umrzeć. Umrzeć — to nic; ale straszne jest umierać nie zobaczywszy  
jej przed śmiercią. Uśmiechnęłaby się do mnie i coś by mi powiedziała. Komu  
by to szkodziło? Ale nie, to koniec. Już nigdy. Jestem sam.

O mój Boże, mój Boże, już jej nie zobaczę! W tej chwili zapukano do drzwi.

## ROZDZIAŁ IV

### BUTELKA ATRAMENTU, KTÓRY ZAMIAST CZERNIĆ WYBIELA

Tego samego dnia albo raczej tego samego wieczora kiedy Mariusz wstał od stołu i przeszedł do gabinetu, aby przejrzeć jakieś akta, Baskijczyk wręczył mu list i powiedział:

— Osoba, która to pisała, czeka w przedpokoju.

Kozeta wzięła dziadka pod rękę i poszła z nim przejść się po ogrodzie.

List, jak człowiek, może mieć odrażającą powierzchowność. Sam jego widok — ordynarny, niezgrabnie złożony papier — od pierwszego rzutu oka nastraja niechętnie. List przyniesiony przez Baskijczyka należał właśnie do tego gatunku.

Mariusz wziął go do ręki. Czuć go było tytoniem. Nic tak nie budzi wspomnień jak zapach. Mariusz poznał ten tytoń. Spojrzał na adres: „Wielmożny pan baron Pontmerci, we własnym pałacu.” Pośmiawszy zapach tytoniu, poznał również pismo. Można by powiedzieć, że zdziwienie miewa błyskawice. Mariusz został olśniony taką właśnie błyskawicą.

Węch, tajemniczy pomocnik pamięci, wskrzesił w jego myśli cały świat przeszłości. Był to ten sam papier, tak samo złożony, ten sam wyblakły atrament, to samo pismo, a nade wszystko ten sam zapach tytoniu. Poddasze Jondrette'ów stanęło mu przed oczyma jak żywe.

Tak więc, przedziwnym zrzędzeniem losu, jeden ze śladów, których tak szukał, i to ten, który do ostatka tropił tak usilnie i który wydawał się zgubiony na zawsze, sam wpadał mu w ręce.

Rozpieczętował list i chciwie czytał:

Panie Baronie!

Gdyby Najwyższa Istota obdażyła mnie odpowiednimi taletami, mógłbym zostać baronem Thenard, członkiem instytutu (akademii nauk). Ale nim nie jestem. Mam tylko wspólne z nim nazwisko, szczęśliwy, jeśli to podobieństwo poleci mnie łaskawym względem Wielmożnego Pana Barona. Dobrodziejstwo, którym mnie pan obdaży, będzie odwzajemnione. Jestem w posiadaniu



tajemnicy, która dotyczy pewnego osobnika. Osobnik ten dotyczy Pana Barona. Chowam tę tajemnicę do dyspozycji Pana Barona, pragnąc mieć chonor być mu pożytecznym. Mogę Panu służyć prostym sposobem, w jaki wypędzisz Pan z łona swojej czcigodnej rodziny tego osobnika, który do niej nie należy, bo Pani Baronowa pochodzi ze znakomitego rodu. Sanktuarium cnoty nie może dłużej zamieszkiwać razem ze zbrodnią, jeśli nie chce abdykować. Czekam w przedpokoju rozkazów Pana Barona.

Z poważaniem

List był podpisany *Thenard* .

Podpis nie był fałszywy, był tylko nieco skrócony.

Bezsensowna pisanina i swoista ortografia uzupełniły odkrycie. Świadectwu pochodzenia niczego nie brakowało. Nie mogło być żadnych wątpliwości.

Mariusz był głęboko poruszony. Po uczuciu zdziwienia doznał uczucia radości. Gdyby tylko odnalazł jeszcze tego drugiego poszukiwanego człowieka, tego, który ocalił mu życie, niczego by więcej nie pragnął.

Otworzył szufladę sekretery, wyjął z niej parę banknotów, wsunął je do kieszeni, zamknął sekreterę i zadzwonił. Baskijczyk uchylił drzwi.

— Prosić — rzekł Mariusz.

Baskijczyk zaanonsował.

— Pan Thenard.

Wszedł jakiś mężczyzna.

Nowa niespodzianka. Człowiek, który wszedł, był Mariuszowi zupełnie nie znany.

Człowiek ten, dosyć stary, miał gruby nos, brodę schowaną w halsztuku, na oczach zielone okulary z daszkiem z zielonej kitajki, szpakowate włosy, przylizane, szczesane na czoło aż po brwi, jak peruki stangretów w angielskim *high Uje*. Ubrany był na czarno, w strój mocno zniszczony, lecz schludny; pęk breloków, zwisający z kieszeni od kamizela, nasuwał przypuszczenie, że ma zegarek. W ręku trzymał stary kapelusz. Był przygarbiony, co podkreślało jeszcze uniżoność jego ukłonu.

Od pierwszego rzutu oka uderzało to, że surdut zbyt obszerny, choć starannie zapięty, nie wydawał się szyty na tego człowieka.

Tutaj niezbędna jest pewna dygresja.

W owym czasie mieszkał w Paryżu, w starej, nędznej norze przy ulicy Beautreilliis koło Arsenалу, pewien pomysłowy Żyd, który trudnił się przemianiami łotra w uczciwego człowieka; nie na długo wprawdzie, gdyż taka przemiana mogłaby stać się dla łotra dość niewygodna. Ta przemiana dokonywała się na oczekaniu na przeciąg jednego lub dwóch dni za cenę trzydziestu su dziennie, za pomocą kostiumu możliwie jak najbardziej przypominającego uczciwych ludzi. Właściciel wypożyczalni strojów nazywał się Dostawcą; tym mianem ochrzczili go opryszkowie paryscy i nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska. Miał on dosyć obfity wybór garderoby. Łachy, w które przystrajał ludzi, były dosyć porządne. Dzielili się na różne specjalne kategorie; w jego sklepiku na każdym kołku wisiało — zniszczone i wytarte — inne stanowisko społeczne: tu strój prawnika, tam księdza, bankiera, w kącie strój emerytowanego oficera, dalej strój literata, dalej strój męża stanu. Ów Żyd dostarczał kostiumów do olbrzymiego dramatu, który hultajstwo odgrywa w Paryżu. Z jego nory — jak z za kulisów — wychodziło złodziejstwo, a wracało oszustwo. Obdarty rzezimieszek przychodził do tej szatni, dawał trzydzieści su, wybierał strój odpowiedni do roli, którą chciał odegrać, i nim wyszedł na ulicę, przemieniał się w przyzwoitego człowieka. Nazajutrz skrupulatnie odnoszono ubranie i Dostawca, który wszystko powierzał złodziejom, nigdy nie został okradziony.. Ubrania te miały jedną niedogodność — „źle leżały” — nie były robione na tych, którzy je nosili, dla jednych były za obciste, dla innych za luźne i nie pasowały na nikogo. Każdy łotrzyk, który nieco odbiegał od przeciętnego wzrostu, był za mały lufo za wysoki, źle się czuł w ubraniach

Dostawcy. Nie można też było być za grubym lub za chudym. Dostawca przewidział tylko normalne figury. Wziął miarę z pierwszego lepszego filuta, który nie jest ani gruby, ani chudy, ani niski, ani wysoki. Stąd pewne trudności w dopasowaniu strojów, ale klienci Dostawcy radzili sobie, jak mogli. Tym gorzej dla wyjątków! Tak na przykład strój męża stanu, cały czarny; a zatem przyzwoity, byłby za obszerny dla Pitta, a za ciasny dla Castelcicali. Ów ubiór „męża stanu” był opisany w następujący sposób w katalogu Dostawcy (przepisujemy dosłownie): „Surdut czarny, sukieny; spodnie czarne z grubego sukna; kamizelka jedwabna, trzewiki, bielizna.” Na marginesie napis: „Były ambasador”, i uwaga, którą również przepisujemy: „W osobnym pudełku świeżo fryzowana peruka, zielone okulary, breloki i dwa piórka długości cala zawinięte w watę.” Wszystko to przysługiwało mężowi stanu, byłemu ambasadorowi. Cały ten strój był, jeśli można tak powiedzieć, mocno sfatygowany, szwy wytarte, na łokciu? dziura, na piersi brak jednego guzika, ale to drobiazg! Ręka męża stanu powinna zawsze spoczywać pod surdudem, na

piersi — w ten sposób może zakrywać brak guzika.

Gdyby Mariusz znał tajemne instytucje Paryża, natychmiast poznałby na grzbiecie gościa, którego wprowadził Baskijczyk, ubranie męża stanu wypożyczone z garderoby Dostawcy.

Rozczarowanie, jakiego Mariusz, doznał widząc, że nieznajomy nie jest człowiekiem, którego oczekiwał, przemieniło się w niechęć do przybysza. Obejrzał go od stóp do głów, kiedy tamten giął się w przesadnych ukłonach, i zapytał sucho:

— Czego pan chce?

Człowiek odpowiedział ze słodkim grymasem, o którym pewne pojęcie mógłby dać pieszczotliwy uśmiech krokodyla:

— Nie podobna, abym nie miał dotąd zaszczytu spotkać pana barona w towarzystwie. Wydaje mi się, że kilka lat temu widywałem go u księżnej Bagration i w salonach jego wysokości wicehrabiego Dambray, para Francji.

Znana taktyka oszustów polega na udawaniu, że poznaje się kogoś, kogo się wcale nie zna.

Mariusz przysłuchiwał się uważnie mowie tego człowieka. Badał dźwięk jego głosu, ruchy, ale rozczarowanie jego rosło — przybysz mówił głosem nosowym, zupełnie różnym od ostrego, suchego głosu, którego się spodziewał. Zbiło go to z tropu.

— Nie znam — rzekł — ani pani Bagration, ani pana Dambray. Noga moja u nich nie powstała.

Odpowiedź była opryskliwa, ale nieznajomy osobnik, nadal pełen uprzejmości, nalegał:

— Zatem spotkałem pana u Chateaubrianda! Dobrze znam Chateaubrianda. Bardzo jest dla mnie łaskawy. Nieraz mi mówi: „No co, Thenard, przyjacielu, wypijemy może po kieliszku?”

Czoło Mariusza chmurzyło się coraz bardziej.

— Nie miałem zaszczytu być przyjmowanym u pana de Chateaubriand. Do rzeczy. Czego pan chce?

Na dźwięk surowego głosu gość skłonił się jeszcze niżej.

— Niech pan baron raczy mnie wysłuchać. W Ameryce, gdzieś koło Panamy, jest wioska, zwana Joya. Wioska ta składa się z jednego domu. Dom jest ogromny, kwadratowy, trzypiętrowy, zbudowany z cegły suszonej na słońcu, każdy bok kwadratu ma pięćset stóp długości, każde piętro jest cofnięte o dwanaście stóp w stosunku do niższego piętra, tak że tworzy taras biegnący dookoła gmachu; w środku jest wewnętrzne podwórze, gdzie mieszczą się zapasy i amunicja; zamiast okien — strzelnice, zamiast drzwi — drabiny, którymi wchodzi się z dołu na pierwszy taras, z pierwszego na drugi, z drugiego na trzeci, po drabinach schodzi się na podwórze wewnętrzne, zamiast drzwi do pokoi — zamykane otwory, zamiast schodów — drabiny; wieczorem zamyka się klapy otworów, wciąga drabiny, ustawia muszkiety i strzelby w strzelnicach — niesposób dostać się do środka. We dnie dom, w nocy twierdza, ośmiuset mieszkańców — oto ta osada. Dlaczego takie ostrożności? Bo to kraina niebezpieczna, pełna ludożerców. Więc po cóż tam ludzie jeżdżą? Bo to kraina cudowna, znajduje się tam złoto.

— Do czego to wszystko zmierza?— przerwał Mariusz, którego rozczarowanie zmieniło się w niecierpliwość.

— Do tego, panie baronie. Jestem dawnym dyplomata, bez zdrowia i bez sił. Stara cywilizacja zmęczyła mnie. Chcę próbować życia w dzikich krajach.

— Co dalej?

— Panie baronie, egoizm rządzi światem. Komornica wiejska, która pracuje na dniówkę, ogląda się, kiedy jedzie omnibus; bogata chłopka, kiedy pracuje na własnym polu, nie ogląda się. Pies biedaka szczeka na bogacza, pies bogacza szczeka na biedaka. Każdy myśli o sobie. Interes — oto cel ludzi. Złoto — oto magnes.

— Co dalej? Proszę kończyć.

— Chciałbym osiedlić się w Joyi. Jest nas troje. Mam małżonkę i córkę, bardzo urodziwą panienkę. Podróż jest długa i kosztowna. Potrzeba mi pieniędzy.

— Co mnie to obchodzi? — zapytał Mariusz. Nieznajomy ruchem sępa wyciągnął szyję z halsztuka i odrzekł z, podwójnie miłym uśmiechem:

— Czy pan baron nie czytał mojego listu?

Uwaga była słuszna. W istocie, do świadomości Mariusza nie dotarła treść owej epistoły, raczej przyglądał się pismu, niż czytał. Zaledwie pamiętał o treści listu. Przed chwilą znów odżyły jego przypuszczenia. Zwrócił uwagę na ten szczegół: „mam małżonkę i córkę”. Utkwił w nieznajomym przenikliwy wzrok; sędzia śledczy nie spoglądałby inaczej. Niemal przeszywał swego gościa wzrokiem i

odpowiedział tylko:

— Proszę powiedzieć, o co chodzi.

Nieznajomy wsunął obie ręce w kieszenie kamizelki, podniósł głowę nie prostując pleców i również badał Mariusza zielonym spojrzeniem swoich okularów.

— Dobrze, panie baronie. Powiem, o co chodzi. Mogę odsprzedać panu pewną tajemnicę. — Tajemnicę?

— Tajemnicę.

— Która mnie dotyczy?.

— W pewnej mierze.

— Cóż to za tajemnica?

Mariusz słuchając przyglądał się coraz uważniej nieznajomemu.

— Zaczynam gratis — rzekł tamten. — Pan baron osądzi, czy to coś interesującego.

— Proszę mówić.

— Panie baronie, pan ma w swoim domu złodzieja i mordercę.

Mariusz zadrżał.

— W moim domu? Nie — odrzekł.

Nieznajomy ze spokojem otarł łokciem kapelusz i ciągnął dalej:

— Mordercę i złodzieja. Niech pan baron zwróci uwagę, że nie mówię tu bynajmniej o wypadkach dawnych, przebrzmiałych, minionych, które przedawnienie mogło zmasać wobec prawa, a skrucha wobec Boga. Mówię o wypadkach świeżych, niedawnych, o których sprawiedliwość jeszcze nie wie. Idę dalej. Otóż człowiek ten wkradł się w pana zaufanie, prawie w pańską rodzinę, pod fałszywym nazwiskiem. Powiem panu jego nazwisko i powiem je za darmo.

— Słucham.

— Nazywa się Jan Valjean. — Wiem o tym.

— Powiem panu również za darmo, kim on jest. — Słucham

— Dawnym galernikiem.

— Wiem o tym.

— Wie pan baron, odkąd miałem mu zaszczyt to powiedzieć.

— Nie. Wiedziałem o tym dawniej.

Chłodny ton Mariusza, dwukrotna odpowiedź: „Wiem o tym”, jego lakoniczność, nie zachęcająca do rozmowy, obudziły w nieznanym głuchy gniew.

Ukradkiem rzucił na Mariusza wściekłe spojrzenie, które natychmiast zgasło. Jakkolwiek szybki był błysk owego spojrzenia, należało ono jednak do spojrzeń, które — raz widziane — pamięta się zawsze. Nie uszło ono uwagi Mariusza. Pewne płomienie w oczach właściwe są tylko niektórym duszom; źrenica, to okienko myśli, zapala się od takiej duszy. Okulary nie ukryją nic. Spróbujcie zakryć szybą piekło.

Nieznanomy mówił z uśmiechem dalej:

— Nie pozwolę sobie zadawać kłamu sławom pana barona. W każdym razie musi pan przyznać, że jestem dobrze poinformowany. Ale to, co powiem teraz, znane jest tylko mnie. Dotyczy to majątku pani baronowej. Niezwykła tajemnica. Panu baronowi proponuję ją naprzód. Jest do sprzedania. Tanio. Za dwadzieścia tysięcy franków.

— Znam tę tajemnicę, jak i wszystko inne — rzekł Mariusz.

Osobnik poczuł, że musi trochę zniżyć cenę:

— Pan baron da dziesięć tysięcy, a powiem.

— Powtarzam, że nie dowiem się od pana nic nowego. Wiem, co pan chce powiedzieć.

We wzroku człowieka znowu mignęła błyskawica. Zawołał:

— Przecie muszę dziś zjeść obiad. To niezwykła tajemnica, powtarzam. Panie baronie, powiem, już mówię. Niech mi pan da dwadzieścia franków.

Mariusz popatrzył na niego badawczo.

— Znam tę pańską niezwykłą tajemnicę; znałem nazwisko Jana Valjean tak samo, jak znam pańskie nazwisko.

— Moje nazwisko?

— Tak.

— To nic dziwnego, panie baronie. Miałem honor podpisać się nim i powiedzieć je panu: Thenard.

— Dier.

— Co?

— Thenardier.

— Któż to taki?

W obliczu niebezpieczeństwa jeżozwierz nastawia kolce, skarabeusz udaje martwego, stara gwardia formuje się w czworobok; ten człowiek zaczął się śmiać.

Następnie strzepnął palcem jakiś pyłek z rękawa surduta.

Mariusz mówił dalej:

— Jesteś pan również robotnikiem Jondrette, aktorem Fabantou, poetą Genflot, Hiszpanem don Alvarezem i wdową Balizard.

— Jaką wdową?

— I miałeś pan szynk w Montfermeil.

— Szynk? Nigdy w życiu!

— Powiadam panu, że jesteś Thenardier.

— Zaprzeczam temu.

— I że jesteś łajdak. Masz!

Mariusz wyciągnął z kieszeni banknot i rzucił go w twarz Thenardierowi.

— Dziękuję. Przepraszam! Pięćset franków! O panie baronie!

Zaskoczony, zdumiony, chwycił banknot, oglądał go i giął się w ukłonach.

— Pięćset franków! — powtarzał zdumiony. I dorzucił półgłosem: — Grubsza flota!

I nagle zawołał: — Ano, to dobrze, pogadajmy bez ceregieli!

Z małpią zwinnością odrzucił w tył włosy, zerwał okulary, wyjął z nosa dwa piórka, o których wspominaliśmy przed chwilą i o których była też mowa na innych kartach tej książki — i zdjął swoją twarz, jak się zdejmuje kapelusz.

Oczy mu rozbłyły, odłoniło się nierówne, poorane i guzowate czoło, ohydnie zmarszczone u góry; nos zaostrzył się jak dziób i ukazał się okrutny i przebiegły profil człowieka-drapieżcy. — Pan baron jest nieomylny — rzekł czystym głosem, z którego zniknął wszelki ślad nosowego akcentu. — Jestem Thenardier.

I wyprostował pochylone plecy.

Thenardier — on to bowiem był w istocie — zdumiał się niezmiernie, byłby się nawet zmieszał, gdyby to było dla niego możliwe. Przyszedł zaskoczyć Mariusza i sam został zaskoczony. Za to upokorzenie zapłacono mu pięćset franków, pogodził się więc z nim; niemniej jednak był oszołomiony.

Po raz pierwszy w życiu widział barona Pontmercy i oto ten baron poznaje go mimo przebrania i przenika na wskroś. I nie dość, że wiedział wszystko o Thenardierze, ale zdaje się wiedzieć wszystko o Janie Valjean. Kimże był ten młodzieniec, ten gołowąs prawie, tak lodowato wyniosły i tak hojny, który znał nazwiska ludzi — wszystkie ich nazwiska — i otwierał im swoją sakiewkę, który dręczył oszustów jak sędzia śledczy i płacił im jak prowincjusz?

Pamiętamy, że Thenardier, choć był niegdyś sąsiadem Mariusza, nigdy go nie widział, co często się zdarza w Paryżu — słyszał tylko od córek o jakimś bardzo ubogim młodzieńcu imieniem Mariusz, który mieszkał w tym samym domu. Nie znając go, napisał kiedyś do niego wiadomy list. Ale nawet przez myśl mu nie przeszło, aby łączyć tamtego Mariusza z panem baronem Pontmercy.

Co do nazwiska Pontmercy, czytelnik przypomina sobie, że na poboju pod Waterloo Thenardier usłyszał z niego jedynie dwie ostatnie sylaby, dla których żywił tę niewygastłą i słuszną pogardą, należną słowom, podziękami niczym nie popartym.

Przez swoją córkę, Anzelmę, wysłaną na przespiegi za młodą parą, którą zauważył 16 lutego, i dzięki własnym poszukiwaniom dowiedział się wielu rzeczy, i z głębi swoich mroków udało mu się pochwycić niejedną tajemniczą nić. Jeżeli nie odkrył przez swoje zabiegi, to w każdym razie odgadł na podstawie logicznego rozumowania, kim był ów człowiek, którego pewnego dnia spotkał w Głównym Kanale. Ustaliwszy osobę, łatwo ustalił jej nazwisko. Wiedział, że panią baronową Pontmercy była Kozeta, ale w tej sprawie



postanowił zachować dyskrecję. Sam dobrze nie wiedział, kim właściwie była Kozeta. Podejrzywał wprawdzie, że była nieślubnym dzieckiem; historia Fantyny wydawała mu się zawsze podejrzana. Ale poco o tym mówić. Żeby sobie kazać zapłacić za milczenie? Miał coś lepszego do sprzedania, a przynajmniej tak sądził. A poza tym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, gdyby, nie przedstawiając dowodów, oznajmił baronowi Pontmercy: „Pańska żona - jest bękartem”, skończyłoby się to kopniakiem w okolicę krzyża. Zdaniem Thenardiera rozmowa z Mariuszem jeszcze się nie zaczęła. Musiał wycofać się, zastosować inną taktykę, porzucić zajęte stanowisko, zmienić front; istotnych planów jeszcze nie popsuł, a miał *już* pięćset franków w kieszeni. Miał do powiedzenia coś tak rewelacyjnego, że czuł się silny nawet wobec tego barona Pontmercy, tak dobrze poinformowanego i uzbrojonego. Dla ludzi z gatunku Thenardiera każda rozmowa jest utarczką. W rozmowie, która miała się rozpocząć, jaka była jego sytuacja? Nie wiedział, do kogo. mówi, ale wiedział, o czym będzie mówił. Zrobił w duchu pośpieszny przegląd swoich sił i powiedziawszy: „Jestem Thenardier” — czekał.

Mariusz zamyślił się. A więc nareszcie miał w ręku Thenardiera. Człowiek, którego tak pragnął odnaleźć, stał przed nim. Mógł wypełnić wreszcie polecenie pułkownika Pontmercy. Czuł się upokorzony, że ten bohater zawdzięcza coś temu bandycie i że weksel, który ojciec przekazał do spłacenia z za grobu jemu, Mariuszowi, był aż po dziś dzień nie wykupiony. Wśród sprzecznych uczuć, jakie w nim budził Thenardier, pomyślał, że powinien pomścić pułkownika za to, iż miał nieszczęście zostać ocalonym przez takiego łajdaka. W każdym razie był zadowolony. Mógł wreszcie uwolnić cień pułkownika od tego niegodnego wierzyciela i wydawało mu się, że pamięć swojego ojca wydobywa z więzienia za długi.

Obok tego obowiązku istniał jeszcze drugi: wyświecić w miarę, możliwości pochodzenie majątku Kozety. Zdawało się, że właśnie nastęcza się po temu sposobność. Może Thenardier wie coś o tym? Zbadanie tajemnicy tego człowieka mogłoby być użyteczne. Od tego zaczął.

Thenardier wsadził do kieszeni „grubszą flotę” i wpatrywał się w Mariusza nieledwie z czułością.

Mariusz pierwszy przerwał milczenie:

— Thenardier, powiedziałem wam wasze nazwisko. Czy chcecie, żebym wam powiedział teraz tajemnicę, którą chcieliście mi wyjawić? Ja też zebrałem informacje i przekonacie się, że wiem więcej od was. Jan

Valjean jest istotnie, jak powiadacie, złodziejem i mordercą. Złodziejem, bo okradł bogatego przemysłowca, pana Madeleine, którego doprowadził do ruiny.

Mordercą — bo zabił inspektora policji Javerta.

— Nic nie rozumiem, panie baronie — rzekł Thenardier.

— Zaraz wam wytłumaczę. Posłuchajcie. Około roku 1822 żył w departamencie Pas-de-Calais człowiek, nazwiskiem Madeleine, który dawniej miał jakieś zatargi z policją, ale wrócił całkowicie na drogę uczciwości, przybrawszy nazwisko Madeleine. Stał się on, w całym znaczeniu tego słowa, człowiekiem sprawiedliwym. Rozbudowawszy przemysł — fabrykę wyrobów z czarnego szkła — wzbogacił całe miasto. Sam również dorobił się majątku, ale przypadkowo, jakby od niechcienia. Był żywicielem biednych, zakładał szpitale, otwierał szkoły, odwiedzał chorych, wyposażał dziewczęta, pomagał wdowom, adoptował sieroty; był opiekunem całej okolicy. Nie przyjął orderu. Mianowano go merem. Pewien zwolniony galernik znał tajemnicę przestępstwa, które niegdyś popełnił ten człowiek, zadenuncjował go, spowodował jego aresztowanie, a potem, korzystając z tego, przyjechał do Paryża i podjął na sfałszowany podpis w banku Laffitte'a — wiem to od samego kasjera — przeszło pół miliona franków, stanowiących własność pana Madeleine. Byłym galernikiem, który okradł pana Madeleine, jest Jan Valjean. Co do drugiej sprawy, to też nic nowego od was się nie dowiem. Jan Valjean zabił inspektora Javert. Zastrzelił go z pistoletu. A ja, we własnej osobie byłem przy tym.

Thenardier rzucił Mariuszowi pełne wyższości spojrzenie człowieka, który, poniosłszy porażkę, znowu bierze górę nad przeciwnikiem i w jednej chwili odzyskuje cały stracony teren. Ale uśmiech natychmiast

powrócił na jego usta; triumf nad wyżej postawionym przeciwnikiem zawsze powinien być zaprawiony pochlebstwem i Thenardier powiedział tylko:

— Panie baronie, błądzimy po manowcach. Podkreślił te słowa wymownym gestem, wprawiając pęk breloków w ruch obrotowy.

— Co takiego? — zapytał Mariusz. — Zaprzeczacie temu? To są fakty!

— To są przywidzenia. Zaufanie, którym zaszczyca mnie pan baron, zmusza mnie do powiedzenia tego. Prawda i sprawiedliwość przede wszystkim. Nie lubię, gdy ktoś przy mnie niesłusznie oskarża ludzi. Panie baronie, Jan Valjean nie okradł pana Madeleine i Jan Valjean nie zabił Javerta.

— Dobre sobie! Jak to?

— Z dwóch powodów.

— Z jakich? Mówcie!

— Oto pierwszy: Jan Valjean nie okradł pana Madeleine, ponieważ sam jest panem Madeleine.

— Co to za bzdury?

— A oto drugi: Jan Valjean nie zabił Javerta, bo tym, kto zabił Javerta, jest sam Javert.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— To, że Javert popełnił samobójstwo.

— Dowody! Proszę o dowody! — zawołał Mariusz tracąc panowanie nad sobą.

Thenardier powtórzył, skandując słowa, jak w antycznym heksametrze:

— Zwłoki a-genta po-licji, Javerta, zostały znalezione pod galarami koło mostu Wymiany.

— Dowody.

Thenardier wyciągnął z bocznej kieszeni dużą kopertę z szarego kartonu, która zdawała się zawierać złożone arkusze papieru różnej wielkości.

— Mam tu akta — rzekł ze spokojem, po czym dodał: — Panie baronie, w pańskim interesie chciałem gruntownie zbadać Jana Valjean. Mówię, że Jan Valjean i Madeleine to jedna i ta sama osoba, mówię, że zabójcą Javerta jest nie kto inny, tylko sam Javert, a skoro tak mówię, mam na to dowody. I to nie pisane ręcznie — pismo może budzić wątpliwości, może usłużnie kłamać — ale dowody drukowane. Mówiąc to Thenardier wyciągnął z koperty dwa numery dziennika, pożółkłe, pomięte i mocno przesiąknięte zapachem tytoniu. Jeden z nich, podarty na zgięciach i rozpadający się, w kwadratowe strzępy, wydawał się znacznie starszy od drugiego. — Dwa fakty, dwa dowody — zakończył Thenardier, podając Mariuszowi oba rozłożone dzienniki.

Czytelnik zna dobrze te dzienniki. Jeden, ów stary numer „Białego Sztandaru” z dnia 25 lipca 1823 roku, z którego tekstem czytelnik zapoznał się na stronie 474 pierwszego tomu tej książki, ustalał tożsamość pana Madeleine z Janem Valjean. Drugi, „Monitor” z 15 czerwca 1832 roku, stwierdzał samobójstwo Javerta, dodając, że z ustnego raportu, złożonego przez niego prefektowi policji, wynika, iż wzięty do niewoli na barykadzie przy ulicy Konopnej, zawdzięczał życie wielkoduszności jednego z powstańców, który zamiast go zabić wystrzelił z pistoletu w powietrze.

Mariusz czytał. Prawdziwość tych rewelacji była oczywista, data była pewna,

dowód nieodparty, te dzienniki nie zostały wydrukowane umyślnie na poparcie słów Thenardiera; notatkę w „Monitorze” nadesłała drogą administracyjną prefektura policji. Mariusz nie mógł wątpić. Informacje kasjera były błędne. On sam pomylił się. Jan Valjean, nagle wyolbrzymiony, wynurzał się z mglistego obłoku. Mariusz nie mógł powstrzymać okrzyku radości.

— A więc ten. nieszczęśnik jest człowiekiem godnym podziwu! Cały ten majątek istotnie należy do niego! To Madeleine, opatrzność Montreuil i jego okolicy! To Jan Valjean — zbawca Javerta! Bohater! Święty!

— Ani święty, ani bohater — odrzekł Thenardier. — To morderca i złodziej.

I dorzucił tonem człowieka, który zaczyna zdobywać przewagę:

— Uspokójmy się!

Złodziej, morderca — te słowa, które Mariusz uważał już za wykreślone, powracały znów i spadły na niego jak strumień zimnej wody.

— Znowu to samo! — rzekł.

— Zawsze to samo — odparł Thenardier. — Jan Valjean nie okradł Madeleine'a, ale jest złodziejem. Nie zabił Javerta, ale jest mordercą.

— Czy mówicie może — wtrącił Mariusz — o owej nieszczęsnej kradzieży sprzed czterdziestu laty, odpokutowanej, jak to zresztą wynika nawet z tych dzienników, całym życiem, pełnym skruchy, samozaparcia i cnoty?

— Mówię o morderstwie i kradzieży, panie baronie. I powtarzam, że mówię o wydarzeniach zupełnie świeżych. To, co mam panu wyjawić, nie jest znane nikomu na świecie. Prawdziwa rewelacja. I może dzięki niej znajdzie pan źródło fortuny, którą Jan Valjean tak zręcznie ofiarował pani baronowej. Powiadam: zręcznie, bo dzięki takiej darowiźnie wśliznąć się do czcigodnego domu, dzielić jego dobrobyt, a równocześnie ukryć swoją zbrodnię, korzystać z owoców swojej kradzieży, *zataić* prawdziwe nazwisko i stworzyć sobie rodzinę — to rzeczywiście wcale sprytny pomysł.

— Tu mógłbym przerwać — Wtrącił Mariusz — ale mówcie dalej.

— Panie baronie, powiem wszystko, zdając się w kwestii wynagrodzenia na wspaniałomyślność pana barona. Tajemnica warta jest góry złota. Pan mi powie: „Czemu nie zwracasz się z tym do Jana Valjean?” Dla bardzo prostej przyczyny: wiem, że wyzbył się całego majątku i wyzbył na rzecz państwa; uważam, że niezwykle sprytnie to sobie wykombinował; ale ponieważ nie ma ani grosza, pokazałby mi figę, a ja potrzebuję pieniędzy na podróż do Joya, więc

wolałem zwrócić się do pana, który ma wszystko, niż do niego, który nie ma nic. Jestem nieco zmęczony, pan pozwoli, że usiądę.

Mariusz usiadł i ruchem ręki wskazał mu krzesło.

Thenardier rozsiadł się na wyściełanym krześle, wziął oba dzienniki, włożył je z powrotem do koperty i, przytknąwszy paznokciem w numer „Białego Sztandaru”, mruknął: „Nie małym się nabiedził, nim to dostałem!” Po czym założył nogę na nogę, oparł się o poręcz krzesła, przybierając postawę człowieka, który jest pewny swego, i rozpoczął przemowę tonem poważnym, kładąc nacisk na każde słowo:

— Panie baronie, dnia 6 czerwca 1832 roku, mniej więcej rok temu, podczas rozruchów pewien człowiek znajdował się w Głównym Kanale, w miejscu gdzie kanał dochodzi do Sekwany, między mostem Inwalidów a mostem Jeny.

Mariusz gwałtownie przysunął się z krzesłem do Thenardiera.

Thenardier zauważył jego ruch i ciągnął dalej z powolnością mówcy, który wie, że trzyma słuchacza w napięciu, i czuje, jak jego słowa poruszają przeciwnika.

— Ten osobnik, zmuszony ukrywać się — z powodów zresztą zupełnie obcych polityce. — obrał kanał za swoje mieszkanie i miał do niego klucz. Działo się to, powtarzam, 6 czerwca koło ósmej wieczór. Człowiek ów posłyszał nagle jakiś szmer w kanale. Bardzo zdziwiony, przycałił się i czekał. Był to odgłos kroków; ktoś szedł w ciemnościach w jego kierunku. Dziwna rzecz, okazuje się, że oprócz niego był w kanale jeszcze ktoś. Krata zamykająca wyjście znajdowała się niedaleko. Wpadało przez nią trochę światła, które pozwoliło mu rozpoznać przybysza i zobaczyć, że niesie coś na grzbiecie. Posuwał się, przygarbiony. Człowiek, który szedł pochylony, był dawnym galernikiem; to zaś, co dźwigał na plecach, to był trup. Można powiedzieć, że został przyłapany na gorącym, uczynku. Co do kradzieży, to rozumie się ona sama przez się; nikt nie zabija człowieka za darmo. Dawny galernik zamierzał wrzucić trupa do rzeki. Należy podkreślić jeszcze

jeden szczegół: zanim ten człowiek, który szedł kanałem z daleka, dotarł do wyjścia, napotkał na swej drodze straszliwą zapadlinę, gdzie mógłby utopić trupa, ale następnego dnia robotnicy pracujący przy naprawie, tej zapadliny znaleźliby zamordowanego człowieka, a tego morderca wcale sobie nie życzył! Wolał przejść przez trzęsawisko i musiał przy tym pokonać straszliwe trudności. Trudno bardziej ryzykować życie! Nie pojmuję, jak wyszedł stamtąd żywy.

Krzesło Mariusza przysunęło się jeszcze bliżej. Thenardier skorzystał z tego, aby odetchnąć głęboko, i ciągnął dalej:

— Panie baronie, kanał — to nie Pole Marsowe. Brak tam wszystkiego, nawet miejsca. Kiedy dwaj ludzie tam się znajdą, muszą się spotkać. Tak też się właśnie stało. Stały mieszkaniec i przechodzień byli zmuszeni — choć niechętnie — powiedzieć sobie „dzień dobry”. Przechodzień powiedział do mieszkańca kanału: „Widzisz, co niosę na grzbiecie. Muszę wyjść, potrzebny mi jest klucz. Daj mi go.” Galernik był człowiekiem niepospolitej siły. Niesposób było odmówić. Jednakże właściciel klucza wdał się w pertraktacje po to tylko, aby zyskać na czasie. Obejrzał zabitego, ale tylko to zdołał zobaczyć, że był to młodzieniec przyzwoicie ubrany, wyglądający na bogatego i cały zbroczony krwią. Rozmawiając udało mu się oderwać kawałek poły z surduta zamordowanego, tak że morderca tego nie spostrzegł; Dowód rzeczowy, pan rozumie. W ten sposób mógł kiedyś wpaść na trop i dowieść winy przestępcy. Włożył ten dowód rzeczowy do kieszeni. Potem otworzył kratę przy wyjściu, wypuścił człowieka razem z jego kłopotliwym ciężarem, zamknął kratę i umknął, nie mając najmniejszej ochoty zostać wmieszany w tę awanturę, a nade wszystko nie chcąc patrzeć, jak zabójca będzie wrzucał zabitego do rzeki. Pan baron teraz wszystko rozumie. Człowiekiem, który niósł trupa jest Jan Valjean; posiadacz klucza rozmawia w tej chwili z panem; a kawałek surduta.

Thenardier dokończył zdanie, wyciągając z kieszeni i rozpościerając w dwóch palcach na wysokości oczu strzęp czarnego sukna, pokryty gęsto ciemnymi plamami.

Mariusz zerwał się blady, bez tchu, z oczyma utkwionymi w ten kawałek czarnego sukna i bez słowa, nie spuszczać wzroku z tej szmaty, cofał się ku ścianie. Wyciągnął w tył prawą rękę i szukał nią po omacku klucza, który tkwił w zamku szafy stojącej przy kominku. Namacał klucz, otworzył szafę, nie patrząc wsunął do niej rękę, a jego rozszerzone źrenice nie odrywały się od kawałka sukna, który Thenardier trzymał, rozwinięty.

Thenardier mówił dalej:

— Panie baronie, mam poważne podstawy, aby sądzić, że ów zamordowany młodzieniec, którego Jan

Valjean wciągnął w zasadzkę, był bogatym cudzoziemcem i miał przy sobie ogromną sumę pieniędzy.

— Tym młodzieńcem byłem ja, a oto masz surdut! — krzyknął Mariusz i rzucił na podłogę stary czarny surdut, pokryty plamami krwi.

Wyrwawszy z rąk Thenardiera kawałek sukna, przykucnął i przyłożył go do poły surduta. Brzegi rozdarcia pasowały do siebie najdokładniej; oddarty kawałek uzupełniał surdut. Thenardier osłupiał. Pomyślał sobie tylko: „Wpadłem!”

Mariusz wstał, rozdygotany, zrozpaczony, promieniejący.

Poszperał w kieszeni, ruszył z wściekłością na Thenardiera, wymachując mu przed samą twarzą pięścią pełną pięćset i tysiącfrankowych banknotów.

— Jesteś nikczemnik, kłamca, oszczerca i zbrodniarz! Przyszedłeś oskarżyć tego człowieka, a uniewinniłeś go; chciałeś go zgubić, a zdołałeś tylko okryć go chwałą. To ty jesteś złodziej! To ty jesteś morderca! Widziałem cię, Thenardier-Jondrette, w ruderze na Bulwarze Szpitalnym. Wiem o tobie tyle, że gdybym chciał, mógłbym cię posłać na galery albo jeszcze dalej. Masz, bierz tysiąc franków, ty nicponiu!

I rzucił Thenardierowi banknot tysiącfrankowy.

— A, Jondrette-Thenardier, podły łotrze! Niech ci to posłuży za naukę, kramarzu tajemnic, frymarczący sekretami nędzniku! Bierz te pięćset franków i precz stąd! Waterloo cię osłania.

— Waterloo? — wybełkotał Thenardier pakując do kieszeni pięćset franków razem z banknotem tysiącfrankowym.

— Tak jest, zbóju! Ocaliłeś tam życie pułkownikowi...

— Generałowi — poprawił Thenardier unosząc głowę.

Pułkownikowi! — krzyknął z gniewem Mariusz. — Za generała nie dałbym ci i pół szeląga. I masz czelność przychodzić tutaj w tak podłych zamiarach! Powiedziałem ci, żeś popełnił wszelkie zbrodnie. Precz! Wynoś się! Życzę ci szczęścia. Ach, potworze! Masz tu jeszcze trzy tysiące franków. Bierz! Jutro wyjedziesz do Ameryki razem z córką, bo twoja żona nie żyje, wstrętny kłamco! Dopilnuję twojego wyjazdu, łotrze, i wypłacę ci tego dnia dwadzieścia tysięcy franków. Jedź, niech cię gdzie indziej powieszają!

— Panie baronie — odrzekł Thenardier, kłaniając się aż do ziemi. — Dozgonna wdzięczność.

I wyszedł, nic nie rozumiejąc, ogłupiały i zachwycony słodkim ciężarem worków ze złotem i tych piorunów, co spadały na jego głowę w postaci banknotów.

Rzeczywiście, czuł się jak rażony gromem, a równocześnie zadowolony; byłby bardzo zmartwiony, gdyby przed takimi piorunami chronił go piorunochron.

Skończmy od razu z tym człowiekiem. W dwa dni po wydarzeniach, które opisujemy, dzięki staraniom Mariusza, Thenardier wraz ze swoją córką Anzelma wyjechał pod fałszywym nazwiskiem do Ameryki, zaopatrzonej w czek płatny w

Nowym Jorku. Ale nędza moralna Thenardiera, tego wykolejeńca burżuazji, była nieuleczalna; pozostał w Ameryce tym, czym był w Europie. Dotknięcie złego człowieka wystarczy nieraz, aby zepsuć dobry uczynek i wykorzystać go do złych celów. Thenardier obrócił pieniądze Mariusza na handel. Murzynami.

Kiedy Thenardier wyszedł, Mariusz, pobiegł do ogrodu, gdzie Kozeta przechadzała się jeszcze.

— Kozeto! Kozeto! — wołał. — Chodź! Chodź prędko! Jedziemy! Baskijczyku, wołaj dorożkę! Kozeto! Ach, rńójBoże! To on ocalił mi życie! Nie traćmy ani chwili! Bierz swój szal;

Kozeta pomyślała, że oszalał, i zrobiła to, co jej kazał. Mariuszowi brak było tchu, przyciskał ręką serce, jakby chciał stłumić jego bicie. Chodził wielkimi krokami tam i z powrotem, całował Kozetę i powtarzał:

— Ach, Kozeto, nieszczęsny ze mnie człowiek! Tracił głowę. Zaczął dostrzegać w Janie Valjean coś wielkiego i posępnego. Objawiała mu się niezwykła cnota, wzniosła i cicha, pokorna w swojej wielkości. Galernik przemienił się w Chrystusa. Cud ten olśnił Mariusza. Nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, co widzi, ale odczuwał wielkość tego zjawiska.

Po chwili dorożka stanęła przed bramą.

Mariusz pomógł wsiąść Kozecie i sam wskoczył do środka.

— Ulica Człowieka Zbrojnego, numer siódmy — rzekł do woźnicy.

Dorożka ruszyła.

— Ach, jak to dobrze! — odezwała się Kozeta. — Jedziemy na ulicę Człowieka Zbrojnego. Nie śmiałam już wspominać ci o tym. Odwiedzimy pana Jana.

— Twojego ojca, Kozeto, twojego ojca, bardziej niż kiedykolwiek. Kozeto, teraz domyślam się wszystkiego. Mówiłaś mi, że nie otrzymałaś listu, który ci posłałem przez Gavroche'a. Musiał się dostać do jego rąk. Kozeto, on poszedł na barykadę, żeby mnie ocalić; a ponieważ taką ma naturę, że postępuje jak anioł, więc przy sposobności ocalił także i innych; uratował Javerta. Wyciągnął mnie z tej otchłani, aby oddać tobie. Niósł mnie na plecach w tych straszliwych kanałach. Ach, jestem potworem niewdzięczności.

Kozeto, on był twoją opatrnością, a potem stał się moją. Wyobraź sobie, że tam była olbrzymia zapadlina, gdzie można się było utopić sto razy w błocie! On mnie przeniósł przez nią, Kozeto! Byłem zemdlony, nic nie widziałem, nic nie słyszałem, nie wiedziałem, co się ze mną działo. Zabierzemy go do siebie,



weźmiemy go, czy chce, czy nie chce, już nigdy nie rozstanie się z nami. Oby tylko był w domu! Obyśmy go zastali! Do końca życia będę go czcił. Tak Kozeto, to tak pewno było, Gavroche jemu musiał oddać list. Wszystko się wyjaśnia. Rozumiesz.

Kozeta nie rozumiała ani słowa. — Masz słuszność — odrzekła.

Dorożka jechała szybko.

## ROZDZIAŁ V

### NOC, ZA KTÓRĄ JEST DZIEŃ

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Jan Valjean odwrócił się.

— Proszę — rzekł słabym głosem.

Drzwi otworzyły się. Kozeta i Mariusz stanęli w progu.

Kozeta wbiegła do pokoju.

Mariusz zatrzymał się na progu, oparty o futrynę drzwi.

— Kozeta! — szepnął Jan Valjean i wyprostował się na krześle, wyciągając drżące ramiona, zdumiony, trupio blady, wynędzniały, z oczyma pełnymi bezgranicznej radości.

Kozeta, dławiąc się ze wzruszenia, wpadła mu w objęcia.

— Ojcze! — zawołała.

Jan Valjean, wstrząśnięty, jękał:

— Kozeto! To ona! To pani! To ty! Ach, mój Boże!

I objęty jej uściskiem zawołał:

—To ty! Ty tutaj! Więc mi przebaczasz!

Mariusz spuścił powieki, aby powstrzymać cisnące się łzy, postąpił jeden krok i wyszeptał, ściskając konwulsyjnie usta, które mu drgały od tłumionego łkania:

— Ojcze!

— I pan tutaj! Więc pan też mi *przebacza*? Mariusz nie mógł znaleźć słów. Jan Valjean dodał:

— Dziękuję.

Kozeta zdjęła szal i rzuciła kapelusz na łóżko:

— Przeszkadza mi! — rzekła.

I usiadłszy na kolanach starca, prześlicznym ruchem odgarnęła jego siwe włosy i ucałowała go w czoło.

Jan Valjean nie opierał się, oszołomiony.

Kozeta pieściła go z podwójną czułością, jakby chciała spłacić dług Mariusza, choć właściwie z niczego nie zdawała sobie sprawy.

Jan Valjean wyjąkał:

— Jaki ja jestem niemądry! Myślałem, że już jej nigdy nie zobaczę. Niech pan sobie wyobrazi, panie Pontmercy, że właśnie w tej chwili, kiedyście weszli, mówiłem sobie: „Wszystko skończone.” Oto jej sukienka; nieszczęsny ze mnie człowiek, już nigdy nie zobaczę Kozety, tak sobie mówiłem, kiedyście wchodzili na schody.. Byłem głupi! Jak to można zgłupieć! Zapomniałem, że Pan Bóg istnieje. A Pan Bóg, powiedział: „Cóż to, głuptasie, myślisz, że cię opuszczą? Nie, nie, tak nie będzie. Stary biedaczysko pragnie zobaczyć swego anioła i anioł przychodzi.” I biedaczysko znów widzi swoją Kozetę, swoją małą Kozetę! O, jakże byłem szczęśliwy!

Przez chwilę nie mógł mówić, potem ciągnął dalej:

— Naprawdę, musiałem widywać Kozetę od czasu do czasu, choćby przez małą chwilkę. I serce musi się czymś pokrzepić. Ale dobrze wiedziałem, że jestem zbyteczny. Tłumaczyłem sobie: oni ciebie nie potrzebują, siedź w swoim kącie, nie możesz przesiadywać u nich bez końca. Ach, Bogu dzięki, widzę ją znowu.

Wiesz, Kozeto, masz bardzo pięknego męża. O, jaki ładny, haftowany kołnierzyk włożyłaś. Podoba mi się ten wzór, pewno mąż ci go wybrał, prawda? Później powinnaś ubierać się w kaszmiry. Panie Pontmercy, niech pan pozwoli mi mówić jej po imieniu. To już nie potrwa długo.

— Jakiś ty niedobry, żeś nas tak porzucił — mówiła Kozeta. — Gdzie ojciec był? Dlaczego wyjeżdżałeś na tak długo? Dawniej twoje podróże trwały najwyżej trzy albo cztery dni. Posyłałam Nikoletę, zawsze wracała z tą samą odpowiedzią:- „Nie ma go.” Kiedy wróciłeś, ojczy? Czemu nas nie zawiadomiłeś? Bardzo jesteś zmieniony. O ty niedobry ojczy, chorowałeś, a myśmy o tym nie wiedzieli. Mariuszu, dotknij jego ręki, jaka zimna.

— Więc i pan przyszedł, panie Pontmercy! Przebacza mi pan! — powtórzył Jan Valjean.

Na te słowa, wymówione po raz drugi, wszystkie uczucia, które wzbierały w sercu Mariusza, przerwały tamę, Mariusz wybuchnął:

— Kozeto, czy słyszysz, co on mówi? Prosi mnie o przebaczenie! A czy wiesz, co on dla mnie zrobił, Kozeto? Ocalił mi życie. Więcej! Dał mi ciebie! A kiedy mnie ocalił, kiedy dał mi ciebie, co zrobił? Poświęcił własne szczęście. Oto człowiek. I mnie, mnie, niewdzięcznikowi bez serca, bez pamięci, mnie, winnemu, on mówi: „Dziękuję!” Kozeto, gdybym resztę życia przeklęczał u stóp tego człowieka, i tak byłoby za mało. Poszedł na barykadę, przeszedł przez kanał, przeszedł przez ogień i przez tę kloakę dla mnie i dla ciebie, Kozeto! Wyrwał mnie śmierci, odsunął ją ode mnie, sam się na nią narażał. Najwyższa odwaga, wszelkie cnoty, bohaterstwo i świętość — wszystko jest w tym człowieku. Tak, Kozeto! Ten człowiek jest aniołem!

— Cicho, cicho — szepnął Jan Valjean. — Po co o tym mówić?

— Ale dlaczego — zawołał Mariusz z gniewem pełnym głębokiej czci — dlaczego pan sam nic o tym nie powiedział? I pan również zawinił. Katować życie innym ludziom i kryć się z tym, co więcej, pod pozorem wyznania prawdy oczerniać się — to okropne.

— Powiedziałem prawdę — rzekł Jan Valjean.

— Nie! — odparł Mariusz. — Prawda — to cała prawda, a pan jej nie powiedział. Dlaczego pan nie powiedział, że pan był panem Madeleine? Że ocalił pan Javerta? Że uratował mi pan życie?

— Myślałem tak, jak pan wtedy. Uważałem, że pan ma słuszość. Powinienem być odejść. Gdyby pan wiedział o tej przeprawie przez kanał, zatrzymałby pan mnie u siebie. Musiałem milczeć. Wyjawienie prawdy byłoby przeszkodą.

— Jaką przeszkodą? Komu przeszkodą? — zawołał Mariusz. — Czy pan sądzi, że go tu zostawimy. Zabieramy pana. Mój Boże, pomyśleć, że tylko przypadkiem dowiedziałem się wszystkiego. Zabieramy pana! Należy pan do nas. Jesteś jej i moim ojcem. Ani jednego dnia więcej nie spędzisz w tym okropnym domu. Nie wyobrażaj sobie nawet, że będziesz tu jeszcze jutro.

— Jutro — rzekł Jan Valjean — nie będę już tutaj, ale nie będę też i u was.

— Co to znaczy? — zapytał Mariusz. — Nie pozwalamy na żadne podróże. Nie opuścisz nas. Należysz do nas i nigdy się nie rozstaniemy.

— Tym razem nic ci, ojczy, nie pomoże — dodała. Kozeta. Dorożka czeka na dole. Porywam cię! A jeżeli będzie trzeba, użyję siły!

I śmiejąc się, udawała, że bierze starca na ręce.

— Pokój czeka ciągle na ojca — mówiła. — Żebyś wiedział, jaki śliczny jest teraz

nasz ogród. Azalie doskonale się przyjęły. Alejki są wysypane rzeczonym piaskiem; są tam małe, fiołkowe muszelki. Będzie ojciec zajadał moje truskawki, sama je podlewam. I nie będzie już żadnej pani, żadnego pana Jana, żyjemy w republice i wszyscy mówimy sobie „ty”, prawda, Mariuszu? Program został zmieniony. Wiesz, ojczy, jakie miałam zmartwienie? W szczelinie muru uwił sobie gniazdko rudzik i wstrętne kocisko zjadło go. Mojego biednego, ślicznego rudzika, który wysuwał łepkę z gniazdka i patrzył na mnie! Okropnie się spłakałam. Byłabym zatłukła tego kota! Ale od dziś nikt już nie płacze! Wszyscy się śmieją, wszyscy są szczęśliwi. Jedziesz z nami. Dziadek bardzo się ucieszy. Dostaniesz, ojczy, grządkę w ogrodzie, będziesz ją uprawiał i zobaczymy, czy twoje truskawki będą równie piękne jak moje. Będę robiła wszystko, co zechcesz, a ty będziesz mi posłuszny!

Jan Valjean słuchał jej, nie słysząc. Docierała do niego raczej melodia jej głosu niż znaczenie słów. Wielkie łzy, te ciemne perły duszy, wzbierały mu powoli pod powieką.

Szepnął:

— Ona jest tutaj; to dowód, że Bóg jest dobry.

— Ojczy — rzekła Kozeta. Jan Valjean mówił dalej:

— Tak, to prawda, miło byłoby żyć razem. Tyle ptaków gnieździ się tam na drzewach. Chodziłbym z Kozetą na przechadzkę. Ach, należę do ludzi, którzy żyją, mówią sobie „dzień dobry”, nawołują się w ogrodzie — jakież to słodkie życie. Widzielibyśmy się od samego rana, każde z nas uprawiałoby swój zagonek w ogródku. Ona dawałaby mi swoje truskawki i zrywałaby moje róże. Pięknie by było. Tylko że...

Przerwał i dodał cicho:

— Szkoda.

Łza nie spadła, zatrzymała się pod powieką, Jan Valjean zastąpił ją uśmiechem.

Kozeta ujęła w swoje obie dłonie ręce starca.

— Mój Boże — zawołała — ojciec ma coraz zimniejsze ręce. Czy jesteś chory? Czy cierpisz?

— Nie — odrzekł Jan Valjean. — Czuję się bardzo dobrze, tylko że...

Urwał.

— Tylko że co?

— Za chwilę umrę. Kozeta i Mariusz zadrżeli.

— Umrzesz? — zawołał Mariusz.

— Tak, ale to nic — odpowiedział Jan Valjean. Odetchnął, uśmiechnął się i mówił dalej:

— Mówiłaś do mnie, Kozeto, mów dalej, mów, więc twój mały rudzik nie żyje? Mów, niech słyszę twój głos! .

Mariusz skamieniały patrzył na starca. Kozeta krzyknęła rozzwierającym głosem:

— Ojcze! Kochany ojcze! Ty nie umrzesz! Będziesz żył! Chcę, żebyś żył, czy słyszysz?

Jan Valjean podniósł głowę, patrząc na nią z uwielbieniem:— O tak! Zabroń mi umierać! Kto wie, może cię usłucham. Umierałem już, kiedyście przyszli, ale wasze przyjście zatrzymało mnie, czułem, że wracam do życia.

— Jesteś pełen sił i życia, ojcze! — zawołał Mariusz. — Czy wyobrażasz sobie, że tak się umiera? Miałeś zmartwienia, ale już się skończyły. Teraz ja błagam cię, błagam cię na kolanach, żebyś mi wybaczył. Będziesz żył razem z nami i będziesz żył długo! Zabieramy cię! Odtąd oboje będziemy myśleli tylko o twoim szczęściu!

— A widzisz, ojcze — wtrąciła zalana łzami Kozeta — Mariusz powiada, że nie umrzesz.

Jan Valjean ciągle się uśmiechał.

— Choćby pan zabrał mnie do swojego domu, panie Pontmercy, czyż przestanę być tym, kim jestem? Nie. Bóg myślał tak, jak pan i ja, i nie zmienił zdania; . powinienem odejść. Śmierć wszystko ułoży. Bóg lepiej od nas wie, co nam potrzeba. Bądźcie szczęśliwi, niech pan zostanie z Kozetą, niech młodość poślubia poranek, niech dokoła was, moje dzieci, będą bzy i słowiki, niech życie ściele się przed wami jak piękna łąka w słońcu, niech wszystkie uroki niebios wypełnią Wam duszę, a ja, już do niczego niezdatny, umrę. Tak na pewno będzie dobrze. Bądźmy rozsądni, nic już się nie da zrobić, czuję wyraźnie, że koniec się zbliża. Przed godziną zemdlałem, a w nocy wypilem ten cały dzbanek wody. Jaki twój mąż jest dobry, Kozeto. Lepiej ci z nim niż ze mną.

Jakiś szmer rozległ się przy drzwiach. Wszedł lekarz.

— Witaj i żegnaj, doktorze — rzekł Jan Valjean. — Przyszły moje drogie dzieci.

Mariusz podszedł do lekarza i zapytał tylko:

— Panie doktorze?.. — ale w tych. dwóch słowach mieściło się wszystko.

Lekarz odpowiedział mu wymownym spojrzeniem.

— Że nam się coś nie podoba — rzekł Jan Valjean — to jeszcze nie powód, żeby być niewdzięcznym wobec

Boga.

Zapadła cisza. Wszystkim ścisnęły się serca.

Jan Valjean zwrócił się w stronę Kozety. Zaczął się w nią wpatrywać, jakby pragnął unieść jej obraz ze sobą na wieczność. W głębokich mrokach, w które już zstąpił, zdolny był jeszcze do ekstazy na widok Kozety. Odblask jej słodkiej twarzy opromienił jego blade oblicze. Grób miewa swoje olśnienia. Lekarz zbadał mu puls.

— Ach, więc to wy byliście mu potrzebni! — szepnął spoglądając na Mariusza i Kozetę.

I nachylając się szepnął Mariuszowi do ucha:

— Za późno.

Jan Valjean, nie odrywając prawie oczu od Kozety, rzucił Mariuszowi i lekarzowi pogodne spojrzenie. Z ust jego padły niewyraźne, ledwo dosłyszalne słowa:

— Umierać — to nic; straszne jest nie żyć.

Nagle podniósł się. Takie przyptywy siły są czasem oznaką agonii. Pewnym krokiem podszedł do ściany, odsunął Mariusza i lekarza, którzy chcieli mu pomóc, zdjął z gwoźdźca mały miedziany krucyfiks, wrócił na swoje miejsce ze swobodą ruchów zdrowego człowieka -i kładąc krucyfiks na stole rzekł mocnym głosem:

— Oto wielki męczennik.

Potem zgarbił się, głowa zachwiała mu się bezwładnie, jakby ogarnęło go oszołomienie grobu, a palce obu rąk leżących na kolanach wpiły się w sukno spodni.

Kozeta podtrzymywała go za ramiona i łkała, daremnie usiłując przemówić.

Poprzez słowa, zmieszane z tą gorzką śliną, która towarzyszy łzom, można było dosłyszeć słowa: — Nie opuszczaj nas, ojczyźnie! Czyż to możliwe, że odnaleźliśmy cię po to, żeby cię utracić?

Można by powiedzieć, że linia agonii jest zygzakowata. Idzie naprzód i cofa się, przybliża się do grobu i wraca do życia. Umieranie ma w sobie coś z błędzenia po omacku.

Po tym półomdleniu Jan Valjean wyprostował się, potrząsnął głową, jakby chciał strącić z niej ciemności i prawie zupełnie oprzytomniał. Ujął skraj rękawa Kozety i ucałował go.

— Przychodzi do siebie, panie doktorze! Przychodzi do siebie! — zawołał Mariusz.

— Jesteście dobrzy oboje — rzekł Jan Valjean. — Powiem wam, co mi sprawiło przykrość. Przykro mi było, panie Pontmercy, że pan nie chciał używać tych pieniędzy. One naprawdę należą do pańskiej żony. Zaraz wam wszystko wyjaśnię, moje dzieci, nawet i dlatego cieszę się, żeście przyszli. Czarne dżety pochodzą z Anglii, białe dżety z Norwegii. Wszystko to jest opisane na tej kartce, którą przeczytacie. Wynałazłem mowy sposób zastępowania w bransoletkach ogniów lutowanych przez ogniwa zaciskane. To jest ładniejsze, lepsze i tańsze. Rozumiecie, na tym można dużo zarobić. Majątek Kozety jest naprawdę jej własnością. Mówię wam o tych szczegółach, żebyście mieli spokojne sumienie. Dozorczyni, która weszła na górę, zaglądała przez uchylone drzwi. Lekarz odprawił ją ruchem ręki, ale nie mógł przeszkodzić, żeby przed odejściem gorliwa kobiecina nie zawołała do umierającego:

— Czy przysłać panu księdza?

— Ksiądz jest już przy mnie — odpowiedział Jan Valjean.

I zdawał się wskazywać palcem jakiś punkt nad swoją głową, jakby tam kogoś widział. Może istotnie biskup był obecny przy jego ostatnich chwilach.

Kozeta wsunęła mu ostrożnie poduszkę pod plecy. Jan Valjean mówił dalej:

— Panie Pontmercy, zaklinam pana, nie miej żadnych obaw. Sześćset tysięcy franków to własność Kozety. Gdybyście z nich nie korzystali, moje życie poszłoby na marne. Wyrób tych świecidełek szedł nam bardzo dobrze. Mogliśmy rywalizować z tak zwaną berlińską biżuterią. W wyrobie czarnego szkła dorównaliśmy Niemcom. Tysiąc dwieście pięknie oszlifowanych szkiełek kosztuje zaledwie trzy franki.

Kiedy droga nam osoba umiera, wpatrujemy się w nią tak, jakbyśmy swym



spojrzeniem obejmowali ją i chcieli zatrzymać. Kozeta trzymała za rękę Mariusza i oboje oniemieli z bólu nie wiedząc, co powiedzieć śmierci; stali przed Janem Valjean zrozpaczeni i drżący.

A on słabł z każdą chwilą. Dogasał, był coraz bliżej ciemnego horyzontu. Oddech miał nierówny, czasami przerywało go rżenie. Ledwo mógł poruszać ręką, nogi miał już zupełnie bezwładne, w miarę jednak jak rósł bezwład członków i niemoc ciała, cały majestat duszy rozlewał się na jego czole. Blask nieznanych światów lśnił już w jego źrenicy.

Twarz jego bladła i równocześnie promieniała. Nie było już w niej życia, było coś innego. Oddech zamierał, spojrzenie wzbierało światłem. U ramion umierającego ciała wyrastały skrzydła.

Skinął na Kozetę, żeby podeszła bliżej, potem skinął na Mariusza. Było widoczne, że nadeszła, ostatnia minuta ostatniej godziny. Przemówił do nich głosem tak cichym i tak dalekim, jakby już oddzielał go od nich jakiś mur:

— Zbliź się, zbliźcie się oboje! Kocham was. O, jak dobrze jest tak umierać. I ty mnie także kochasz, Kozeto! Wiem, że zawsze byłaś przywiązana do swojego starego opiekuna. Jakaś ty dobra, żeś mi położyła poduszkę pod plecy! Zapłaczesz trochę po mnie, prawda?

Ale nie za dużo! Nie chcę, żebyś miała prawdziwe zmartwienia. Powinniście się dużo bawić, moje dzieci. Zapomniałem wam powiedzieć, że na sprzączkach bez kolców zarabia się najwięcej. Koszt wyrobu dwunastu tuzinów wynosił dziesięć franków, a sprzedawało się go za sześćdziesiąt. To był dobry interes. Nie powinno dziwić pana te sześćset tysięcy, panie Pontmercy. To uczciwie zarobione pieniądze. Możecie spokojnie korzystać z bogactwa. Musicie mieć powóz, chodzić do teatru, sprawić sobie piękne, balowe toalety, zapraszać przyjaciół na dobre obiady i żyć bardzo szczęśliwie. Pisałem przed chwilą do Kozety. Znajdzie mój list. Zapisuję jej także te dwa świeczniki, które stoją na kominku. Są srebrne, ale dla mnie są złote, diamentowe; zwyczajna łojówka zmienia się w nich w woskową świecę. Nie wiem, czy ten, kto mi je dał, jest ze mnie zadowolony tam, w górze. Robiłem, co mogłem. Moje dzieci, pamiętajcie, że jestem biedakiem, pochowajcie mnie w byle jakim kącie, a żeby oznaczyć grób — połóżcie zwykły kamień. Taka jest moja wola. Żadnego nazwiska na kamieniu. Jeżeli Kozeta zechce tam przyjść czasem, będę bardzo szczęśliwy. I pan również, panie Pontmercy. Muszę wyznać, że nie zawsze lubiłem pana, proszę mi to wybaczyć. Teraz ona i pan jesteście dla mnie jedną osobą. Jestem panu bardzo wdzięczny. Wiem, że Kozeta jest z panem szczęśliwa. Wie pan, jej śliczne rumieńce były moją wielką radością; kiedy widziałem, że przybladła, martwiłem się. W szufladzie komody leży pięćset franków. Nie wydałem ich. Niech to będzie dla biednych, Kozeto, widzisz tam na łóżku swoją sukienkę?

Poznajesz ją? Dziesięć lat temu ją nosiłaś. Jak ten czas mija. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Skończyło się. Nie płaczcie, moje dzieci, nie odchodzę daleko. Będę na was stamtąd patrzył. Kdedy noc zapadnie, spójrzcie w ciemności, a zobaczycie, że uśmiecham się do was. Czy pamiętasz Montfermeil, Kozeto? Byłaś sama w lesie, bałaś się, Pamiętasz, jak ująłem pałak wiadra? Pierwszy raz dotknąłem wtedy twojej biednej rączki. Była taks zimna! Ach, jakie wtedy miałaś czerwone rączyny, a teraz, moja panienko, masz bieluteńkie. A twoja wielka lalka? Pamiętasz? Nazwałaś ją Katarzyną. Tak żałowałaś, że nie wzięłaś jej ze sobą do klasztoru. Ileż te razy rozśmieszałaś mnie, mój słodki aniele! Po deszczu puszczałaś na wodę słomki i patrzyłaś, jak płynęły. Raz dałem ci rakieta i wolant z piórek żółtych, niebieskich i zielonych. Ty już tego nie pamiętasz. Byłaś małą figlarką, bawiłaś się, zawieszałaś sobie na uszkach wiśnie Wszystko to przeminęło. Lasy, przez które przechodziłem z dzieckiem, drzewa, pod którymi się przechadzałem, klasztor, w którym się ukryłem, zabawy, śmiechy dziecięce — to tylko cień. A ja wyobrażałem sobie, że to moja własność. Byłem głupi. Ci Thenardierowie byli bardzo źli, ale trzeba im wybaczyć. Kozeto, nadeszła chwila, alby ci powiedzieć imię twojej matki. Nazywała się Fantyna. Zapamiętaj to imię: Fantyna. Klęknij, ilekroć będziesz je wymawiała. Wiele cierpiała. Kochała cię bardzo. Zaznała w życiu tyle nieszczęścia, ile ty szczęścia. Takie są wyroki boskie. On jest tam, w górze, widzi nas i wśród swoich gwiazd wie, co czyni. Dzieci moje, odchodzę. Kochajcie się. Tylko to jedno istnieje na świecie: miłość. Pomyślcie czasem o waszym biednym zmarłym. O Kozeto, to nie moja wina, że ostatnio nie odwiedzałem cię, serce mi pękało z bólu, dochodziłem aż do rogu twojej ulicy, przechodnie musieli się dziwić, wyglądałem jak wariat, raz wyszedłem nawet bez kapelusza. Dzieci moje, już was prawie nie widzę, jeszcze tyle chciałbym wam powiedzieć. Trudno. Pomyślcie czasem o mnie. Błogosławię was. Nie wiem, co mi jest, widzę światło. Zbliźcie się jeszcze. Umieram szczęśliwy. Przysuńcie wasze najdroższe głowy, niech na nie położę ręce.

Kozeta i Mariusz padli na kolana, nieprzytomni, dusząc się łzami, tuląc usta do dłoni Jana Valjean. Te dostojne ręce już się nie poruszyły.

Przechylił się w tył oświetlony blaskiem dwóch świec; jego biała twarz patrzyła w niebo; nie bronił Kozecie i Mariuszowi całować się po rękach. Nie żył.

Noc była bezgwiezdna i ciemna. Ale w mroku stał pewno jakiś ogromny anioł z rozwiniętymi skrzydłami, czekając na duszę.

## ROZDZIAŁ VI

### TRAWA ZARASTA — I DESZCZ ZACIERA

Na cmentarzu Pere-Lachaise, w pobliżu wspólnej mogiły, z dala od wytwornej dzielnicy tego miasta grobów, z dala od pretensjonalnych nagrobków, które w obliczu wieczności popisują się ohydą cmentarnej mody, w odległym zakątku, pod starym murem, pod wyniosłym cisem rosnącym wśród perzu i mchów, wokół którego pną się powoje — leży kamień. Kamienia tego, podobnie jak innych nie oszczędził trąd czasu, pleśń, *grzyb* i ślady ptaków. Woda pokryła go zielenią, powietrze — czernią. Z dala od ścieżek, nie przyciąga przechodniów, bo w wysokiej trawie moczy się obuwie. Kiedy słońce świeci przychodzą tu jaszczurki. Dokoła szeleszczą zielska. Na wiosnę piegże nawołują się wśród drzew. Kamień jest nagi. Ciosając go, myślano tylko o tym, by się nadawał na kamień grobowy, był dość długi i szeroki, by przykryć człowieka.

Nie ma na tym kamieniu żadnego nazwiska.

Tylko — wiele już lat temu — ktoś napisał ołówkiem te cztery wiersze, które niebawem zatarte zostały przez deszcze i kurz, a dziś prawdopodobnie całkiem już znikły:

On śpi. Choć los dla niego był twardy i wrogi,  
On żył, dźwigając ciężkie brzemie męczennika,  
A kiedy z życia jego zniknął anioł drogi,  
Zgasł tak, jako dzień gaśnie, kiedy, słońce znika!  
koniec